

Taki, co przyszedł z góry

Bohdan Petecki



calibre 0.9.43

BOHDAN PETECKI

TAKI, CO PRZYSZEDŁ Z

GÓRY

I. ZIEMIA. PRZESZŁY NIEDOKONANY

Na Kupową nikt nigdy nie przychodził z góry. Granica rezerwatu, biegnąca pobliską granią, nie była ogrodzona. Nie istniała też jakakolwiek bariera innego rodzaju. Dostępu z góry nie broniły żadne prawa, zwyczaje ani przesady. Zresztą, z przesądów nieliczni mieszkańcy przysiółka zapewne niewiele by sobie robili. Ich życie było proste i uporządkowane. Kobiety gospodarowały i uprawiały ogródki przy domach, a mężczyźni zarabiali pieniądze na nizinie, tam, gdzie za odgałęzieniem karpackiej magistrali, oraz za rzeką, zwaną Starą, zaczynało się Miasto.

Powód był najzupełniej praktyczny i prozaiczny. Jedyna stroma droga, wiodąca w głąb dolinki wzdłuż pojedynczego rzędu zabudowań, doprowadzała do ostatniej chaty i zaraz za nią kończyła się ślepo, uderzając w ścianę lasu. Las był rozrośnięty, wysoki, zdrowy, z bujnym podszyciem. Z kolei idąc grzbietami, granią, nie napotykało się bodaj na ślad dróżki, zbiegającej w tę akurat dolinę. Dlatego na Kupową nikt nie mógł przyjść z góry.

Po upalnym dniu nad południowym skrajem Parku przetoczyła się burza. Rozbiła zapiekłe powietrze i zmyła lesiste wierzchołki żywiołową ulewą. Potem wiatr ucichł, chmury odpłynęły i zaświecił księżyc. Była pełnia.

W najwyżej położonym domu kobieta wyniosła do sieni szczotkę i wiadro. Następnie wróciła do izby. W półmroku sosnowa podłoga lśniła białością. Kobieta umieściła na piecu czajnik, dotknęła jednego z kolorowych przycisków, po czym podeszła do ściany. Między dwoma kwadratowymi oknami, wychodzącymi na drogę, wisiał tam kiczowaty obraz, przedstawiający Świętą Rodzinę w Betlejem. Pod obrazem paliła się miniaturowa wieczna

lampka i stał flakonik z wiązką polnych kwiatów. Kobieta zmieniła kwiatom wodę, zerknęła na obraz i uśmiechnęła się. Był to uśmiech dosyć szczególny. Szczery, życzliwy, ale w najmniejszym stopniu nie modlitewny. Już prędzej porozumiewawczy, jeśli nie wręcz poufały.

W tej samej chwili ktoś zapukał do drzwi.

Kobieta zgasiła palnik pod parującym czajnikiem i zwróciła głowę w stronę sieni. Przez kilka sekund było cicho. Następnie pukanie zabrzmiało znowu. Inaczej, ostrzej. Ktoś przeszedł spod drzwi pod okno i stukał w szybę.

— Kto tam? — samotna gospodyni nie podniosła głosu ani o pół tonu wyżej, niż było to konieczne.

— Przemokłem do nitki. Zobaczyłem światło i zapukałem — odpowiedział z zewnątrz mężczyzna. — Mogę wejść?

Kobieta spokojnie przeszła do sieni, po czym natychmiast wróciła, sunąc tyłem drobnymi kroczkami. Za nią ukazała się osobliwa postać. Przybysz miał czarny kapelusz wsunięty na czoło po same brwi, niebywale krzaczaste i opadające na oczy jak u pekińczyka. Wydatny nos z przylegającymi do niego jasnymi skrawkami policzków otaczała poducha czarnego zarostu, w której bokobrody łączyły się z wąsami, a wąsy z szuflowatą brodą. Część tej ostatniej tonęła pod odchylonym kołnierzem peleryny, równie czarnej, jak kapelusz i zarost. Tylko buty, poniżej przykrótkich nogawek czarnych spodni, były brązowe. Przynajmniej niegdyś. Teraz stanowiły dwie bryły rozbabrannej gliny.

Czarny przestąpił próg, zrobił dwa kroki i stanął. Z jego kapelusza, brody i peleryny kapiała woda. Na świeżo umytej podłodze rozlała się mętna kałuża.

— Pan do męża? — spytała współczująco kobieta. — Jest w pracy. Wróci dopiero pojutrze.

Mężczyzna potrząsnął głową.

— Nie do męża...? — w oczach kobiety pojawił się wyraz napięcia. — My mieszkamy tu tylko we dwoje. Bo nie do mnie, prawda? Nie do mnie...? — powtórzyła błagalnie.

Czarny ponownie zaprzeczył ruchem głowy.

— Po prostu przechodziłem — powiedział. — Wypogodziło się, ale z drzew ciągle jeszcze cieknie jak w łazience doktora Priessnitza. Dlatego tak wyglądam.

— Z drzew...? — kobieta stawiała się coraz bardziej nieufna. — Jak to, z drzew? A czemu nie wstąpił pan gdzieś po drodze? — spytała podejrzliwie. — Tu obok dwa domy są puste, bo sąsiedzi poszli na starość do dzieci, ale niżej? Dlaczego zatrzymał się pan dopiero tutaj?

— Co znaczy „dopiero tutaj”? — zachnął się przybysz. — Zapukałem do pierwszego domu, jaki mi się trafił. Nie szedłem z dołu, tylko z góry.

— Z g ó r y ?!

— No z góry, z góry! Przez las!

— Pan przyszedł z g ó r y ...?!

Czarny przestąpił z nogi na nogę. Rozległy się dwa soczyste mlaśnięcia.

— Wie pani co? Może rzeczywiście zejść jeszcze kawałek i spróbuję wysuszyć się gdzie indziej.

— Zaraz, zaraz! — powstrzymała go kobieta. — Z góry? Przez las? Przecież tamtędy nie można!

— Widocznie można! — warknął mężczyzna. — Wybrałem się na spacer grzbietami, złapała mnie burza, więc poszedłem na przełaj w dół. W końcu przecież i tak nie mógłbym nie trafić do osiedla w dolinie. A stamtąd od razu pojechałbym do siebie.

— Do siebie? Pan mieszka gdzieś niedaleko?

— Mieszkam i pracuję w instytucie. Jestem psychofizykiem. Zajmuję się...

— Wiem, wiem! — zawołała kobieta, nagle zupełnie odprężona i uspokojona. — Syn
mojego szwagra też jest psychofizykiem. Był tu nawet niedawno, ze swoim kolegą.
Przywieźli jakieś aparaty i chcieli mi je zakładać na głowę. Hi, hi! — zaśmiała się
nieoczekiwanie, po czym raptownie załamała rękę.

— Ale ja gadam i gadam, a pan mokry, zziębnięty... Już, już! — rzuciła się w stronę
dziwnego, spóźnionego wędrowca.

Pięć minut później po kałuży i błotnistych plackach na podłodze nie było śladu. Peleryna,
spodnie, kapelusz i brązowe buty, wyjęte z oczyszczacza, dosychały obok pieca. Ich
właściciel, otulony kocem, siedział przy stole nakrytym śnieżnobiałą serwetą, obejmował
dłońmi gorący kubek, pełen aromatycznej, ziołowej herbaty i spod tych swoich niebywałych
brwi spoglądał na kobietę, która zajęła miejsce naprzeciw niego.

Gospodyni najwyżej położonego domu na Kupowej Górze musiała już dość dawno
przekroczyć pięćdziesiątkę, ale jej okrągłe, niebieskie oczy tchnęły pogodą, zdrowiem i
chęcią życia. Była tęga, lecz nie otyła. Miała ciemnoblond włosy, gładko szesane do tyłu.
Cera jej jasno opalonej twarzy przypominała cerę dziecka. Tylko nabrzmiałe dłonie, o
szorstkiej skórze i pogrubiłych palcach zdradzały jej lata. Kiedy mówiła, jej głosu słuchało
się z przyjemnością. A mówiła bez przerwy. Opowiadała niezwykłemu gościowi o swojej
rodzinie, o mężu i dwóch dorosłych synach, pracujących daleko w Mieście. O sąsiadach. O
ogródku, który sprawiał jej moc kłopotów, bo deszcze stale niszczyły tarasowate grządki,
wykopane w nieznośnie stromym stoku.

Czarny słuchał nie przerywając. Dopiero gdy kobieta wstała, by dolać mu herbaty,
powiedział:

— Właściwie nie najgorzej wam się tu żyje, co?

— A no — kobieta niefrasobliwie wzruszyła ramionami. Wróciła na swoje miejsce przy

stole i dodała: — Jak wszystkim.

— Nie przeszkadzają wam ograniczenia, obowiązujące w rezerwacie?

— Ja nie narzekam — padła powściągliwa odpowiedź.

— Ładnie u nas, spokojnie. Mąż czasem się złości — pokiwała głową. — Nie wolno tu budować tych nowoczesnych latających kolei, nie ma fotobusów. Musi dojeżdżać do pracy z przystanku za rzeką. A do rzeki i z powrotem pod górę chodzi piechotą, jak jego pradziadek. To kawałek drogi i stromo, więc do domu wraca na noc dwa, trzy razy w tygodniu. Częściej nie daje rady. Cóż, proszę pana, mnie w zeszłym roku zaczął się siódmy krzyżyk, a on jest osiem lat starszy. Ale tak w ogóle...

Mężczyzna zerwał się, przewracając krzesło.

— Tak w ogóle, to po prostu jak w raju! — wrzasnął. — Co?!!!

Ten niczym nie sprowokowany wybuch, nie poprzedzony bodaj najdrobniejszym sygnałem ostrzegawczym, był tak gwałtowny, że kobieta też skoczyła na równe nogi i uciekła pod ścianę, gdzie zastygła z wyciągniętą szyją i wytrzeszczonymi oczami. Natomiast Czarny zaczął chodzić po izbie tam i z powrotem, szarpiąc koc, który krępował jego ruchy. Koc na przemian furkotał i skrzypiał jak żagiel na złamanym maszcie.

— W raju!!! — ryczał wściekle. — A żeby pani wiedziała, że moglibyście żyć jak w raju!

Wszyscy! Ale nie! My w ogóle nie będziemy żyć! Niech pani wyjrzy przez okno! No?! Co pani widzi?! — huknął, choć kobiecie ani się śniło ruszać z miejsca. — Księżyc jak z bajki.

Nie?! Las, nie?! Prześliczną dolinę?! Piękne, stare domy?! Prawda?! Nieprawda!!! — zawył.

— Widzi pani agonię! Śmierć! śmierć! Ago... — zachłysnął się i urwał. Trwało dobrą chwilę, zanim udało mu się zaczerpnąć powietrza. Zabrzmiał przeciągły dźwięk, przypominający pomyłkę szklarza.

— Proszę pana... — wykrztusiła kobieta, widać ośmielona przedłużającą się ciszą. —

Proszę pana — złożyła dłonie. — To wszystko przez tę burzę. Zaparzę panu jeszcze herbatę.

Na pewno ma pan gorączkę... — umilkła, bo Czarny gniewnie machnął ręką w jej stronę.

Następnie jednak podniósł krzesło i postawił je z powrotem przy stole.

— Nie mam żadnej gorączki — był zachrypnięty, ale poza tym jego głos opadł do niemal normalnego tonu. — Tylko ilekroć znajdę się w jakimś pięknym zakątku na obrzeżu rezerwatu, muszę myśleć o Ziemi, której stamtąd nie widać. O całej Ziemi, rozumie pani? I zawsze ogarnia mnie taka pasja, że mógłbym... a, tam! — zacietrzewił się znowu.

— Ale dlaczego? Dlaczego? — Kobieta, ujęta wiadomością, że nawet jeśli zapalczywy przybysz zrobi to, co mógłby zrobić, katastrofa nie spadnie wyłącznie na nią, lecz na cały świat, oderwała plecy od ściany i posunęła się dwa kroczki do przodu.

— Dlaczego...?

Czarny ponownie zaczął krążyć po izbie, od stołu do stołu i z powrotem. Jego ruchy stały się jednak wolniejsze, opanowane.

— Dlatego, że te dwa tysiące rezerwatów, jakie pozostawiliśmy na Ziemi, to oszustwo — stwierdził. — Nie podeszła pani do okna, kiedy tak krzychałem — wąsy wygięły mu się w górę, dotknęły nosa, po czym oklapły. Przy odrobinie dobrej woli można to było uznać za przelotny, niewesoły uśmiech. — Nie dziwię się. Przestraszyłem panią. Przepraszam.

Chciałem jedynie, żeby pani zobaczyła, co pani traci. Woda zmywa grządki. Nieszczęście.

Mąż musi chodzić piechotą pod górę. Biedaczek. Jednakże gdy się już w końcu wydrapie, ma przed sobą cudowną, pustą dolinę, za nią zielone góry, wyżej rozgwieżdżone niebo, z tyłu las, a w domu panią. Oczywiście, nie wiecie, że jesteście wybrańcami losu. Tego nigdy się nie wie... do czasu. Tylko, że to wszystko fałsz. Świat, od którego zależycie, wraz z całą tą waszą sztuczną Arkadią, jest inny. Jeszcze się męczy, ale już cuchnie trupiarnią. Kiedy opustoszały archipelagi wieżowców, kiedy o podziale żywności, leków, oraz dwóch czy trzech podobnych

rzeczy zaczęliśmy decydować globalnie, kiedy po uruchomieniu orbitalnego systemu energetycznego przestała dymić ostatnia elektrownia, optymiści wpadli w euforię. Cel! Sens! Aspiracje! — darli się jeden przez drugiego. Teraz nareszcie człowiek odnajdzie samego siebie! Ach, ach, będzie świetnie! No i co? — Czarny zatrzymał się, chwycił oburącz oparcie krzesła i zawisł nad stołem, wpatrzony w milczącą kobietę. — I nic. Bryja. Klapa.

Marmolada. O, tak! Każdy, kto sobie tego życzy, może mieć dzisiaj przed domem spłachetek własnego, wyliniałego trawnika! Ale czy pani rozumie, co to oznacza, że tak jakoś nie wiadomo kiedy zaczęliśmy zamiast „Ziemia” mówić po prostu „Miasto”? Na całej planecie nie ma jednej głowicy termojądrowej. Nie ma broni „humanitarnej”, eliminującej. Nie ma wojen, nie ma armii. Zostały wyłącznie nieszkodliwe, kadłubowe sztaby. Tacy grzeczni, dyskretni teoretycy. Bez mała hobbyści. Tylko że ci poczciwcy dniami i nocami nadzorują superrakiety wraz ze wszystkim, co wylęгло się w duszyczkach współczesnych von Braunów, a co tak elegancko przenieśliśmy stąd na orbity, między pierścienie energetyczne. I na Księżyc. Czy możemy mieć do nich pretensje? W żadnym razie. Przecież pilnują się nawzajem lepiej niż najwytrawniejsi pokerzyści. Z tego podzielonego jak pomarańcza kosmosu coś w końcu gruchnie, bo rachunek prawdopodobieństwa dowodzi, że gruchnąć musi, lecz ponieważ nie wiemy, czy zdarzy się to jutro, czy za sto lat, póki co pójdziemy z poczuciem odpowiedzialności do pracy, a wracając zahaczymy o jakąś aukcję, coś kupimy i wstąpimy do banku. Ale i pomijając wizję pękających głowic, bez oglądania się na rachunek prawdopodobieństwa, możemy dokładnie obliczyć, ile dzieli nas od dnia, w którym pani i tak to straci — mężczyzna wyciągnął rękę w stronę okna. Koc, spływający z jego ramienia, udrapował się w skośne fałdy. Czarny wyglądał teraz jak demon z seryjnego thrillera. — Rezerwatów nie przeniesiemy na planety Centaura, nawet gdybyśmy tam kiedyś dotarli, czego na pewno nie zdążymy dokonać — kontynuował. — Zginą wraz z Ziemią. A Ziemia

ginie. Przyczyny... O, jest ich niemało. Poprzestańmy na jednej. Te arsenały na orbitach są obsługiwane przez setki wahadłowców. Otóż od dawna potrafimy wskazać rok, w którym ozonowa osłona planety do reszty pójdzie w strzępy. Będzie to rok ostatni. Już teraz w naszym kodzie genetycznym zachodzą nieodwracalne zmiany. Wie pani, co mnie najbardziej złości?

— Wiem — kobieta, już zupełnie spokojna i rozluźniona, podeszła do stołu. — Mówił pan przecież — spojrzała na Czarnego. W jej oczach zamigotały ciepłe błyski. — To, że tu tak ładnie, a tam świat...

Mężczyzna przerwał jej pogardliwym prychnięciem.

— Dziecinada! — rzucił pod własnym adresem. — Sztubackie nastroje. Somnambuliczny romantyk na wysypisku śmieci? Nie. To nie ja. Prawdziwa wściekłość ogarnia mnie dopiero, kiedy pomyślę, że ta nieuchronna zagłada wcale nie musi być nieuchronna. W ciągu tygodnia moglibyśmy posłać do diabła wszystkie orbitalne bazy, razem z ich ładunkami. Moglibyśmy jeszcze wskrzesić lasy Amazonii, dorzecza Konga, Kanady. Moglibyśmy odbudować ozonosferę, instalując w atmosferze tlenownie, od razu wytwarzające gaz o cząsteczce trójatomowej. Trzeba tylko trochę więcej mądrości i dobrej woli. Trzeba trochę innego człowieka. Ale skąd go wziąć? Posiadamy powszechny dostatek żywności i pławimy się w nadmiarze energii. Miało to nas gruntownie przewartościować. Mieliśmy zacząć myśleć o tych wiekach, w ciągu których trzymało nas w trybach błędne koło: produkcja — potrzeby — produkcja — potrzeby — jak dziś myślimy o epoce niewolnictwa. Akurat! Okazało się, że energetyczna manna zamiast rozwalić ten szatański młyn, tylko przyśpieszyła jego obroty. Czy może się narodzić nowy człowiek wśród figurek oszalałej karuzeli, daremnie wyciągających ręce, by skrócić dystans dzielący ich od uciekającej w tym samym tempie cudownej lampy Aladyna? Dalej, dalej, dalej, z muzyką, feeriami reklam, po jeszcze jeden

automacik, jeszcze jedną błyskotkę, jeszcze sto pierwszą nóżkę dla nakręcanej stonogi. —

Czarny zrobił krótką pauzę. Ochłonął i dodał ciszej: — Właśnie to jest nasza klęska i to doprowadza mnie do prawdziwej furii.

— Niepotrzebnie — powiedziała kobieta tonem dobrotliwej przygany. — Niepotrzebnie.

Przekona się pan. Będzie ten, jak pan mówi, trochę inny człowiek — w jej głosie brzmiała niezachwiana pewność. — Inny świat.

— Lepszy?

— Tak. Trzeba w to wierzyć. Trzeba wierzyć.

— Pani wierzy?

Kobieta skinęła głową.

— Pozazdrościć — burknął kąśliwie mężczyzna. — Niestety, wierzyć, to grubo za mało.

Należałoby w jakiś sposób tak potrząsnąć tą gnijącą skorupą, żeby gwiazdy poleciały z sufitu.

Co do mnie, nie znam takiego sposobu. Nikt go nie zna.

— Polecą.

— Co?!

— Gwiazdy. Przynajmniej jedna. Już raz ją widziano. Wszystko się zmienia.

— Co?!

— To, co pan słyszy — role się odwróciły. Teraz kobieta miała argumenty, które dotąd trzymała w zanadrzu. Ona dyktowała warunki. — Nie rozmawiałabym o tym z obcym — ciągnęła — choć to żadna tajemnica. Ale pan przyszedł z góry. Wie pan, ja jestem w ciąży.

Zapadła cisza. Z zewnątrz dobiegł szum lasu. Coś zaszeleściło w kominie.

— W ciąży...? — wybąkał po dłuższej chwili mężczyzna.

Kobieta przytaknęła.

— Nie rozumiem... Sama pani mówiła o tym swoim siódmym krzyżyku...?

— Och, proszę pana — uśmiechnęła się pobłażliwie. — Kiedy Pan Bóg kogoś wybiera, to nie pyta o lata. Jestem w ciąży już trzeci rok.

— Co...?

— A tak. Urodzę Pana Jezusa.

Czarny podciągnął koc, odsłaniając owłosione łydki. Zupełnie, jakby nagle sobie przypomniał, że na tym złym świecie lepiej mieć zapewnioną swobodę ruchów, przynajmniej od pasa w dół. Następnie odchrząknął i wymruczał:

— No to tego... — pozbierał swoje rzeczy i wyszedł z nimi do sieni. Gdy wrócił, ubrany jak wtedy, kiedy pierwszy raz wkroczył do izby, kobieta stała w tym samym miejscu, w niezmienionej pozie. Na jej twarzy wciąż tlił się uśmiech, trochę zawstydzony, trochę zalotny, trochę zwycięski, ale nade wszystko pogodny jak jedyny dobry sen Michała Anioła.

Mężczyzna rzucił koc na krzesło, cofnął się i uważnie zmierzył wzrokiem krzepką postać gospodyni. Najwyraźniej wahał się, czy wypowiedzieć na głos myśl, która przyszła mu do głowy przed chwilą w sieni, czy raczej to sobie darować. W końcu przemówił. Popułnił błąd.

Widać kiepsko znał się na uśmiechach.

— Zazartowała sobie pani ze mnie, prawda? — spytał.

— Dlatego, że tyle gadałem o naszych grzechach? W porządku. Należało mi się.

Rzeczywiście, poniosło mnie...

Przerwał mu szczery, niegłośny śmiech.

— Nie uwierzył mi pan! — zawołała radośnie kobieta.

— To nic. Wcale się nie gniewam. Nasz ksiądz, w tym kościółku na dole, także mi nie wierzy. Nawet się złości, że za często przychodzę do spowiedzi. A ja muszę przychodzić, bo nie wiem, kiedy to będzie. Ale uwierzy — spoważniała. — Pisałam już do biskupa.

Zawiadomiłam również papieża. Mieliby do mnie żal, gdybym ich nie uprzedziła.

Czarny znowu odchrząknął, po czym powiedział zmienionym głosem:

— Już późno. Dziękuję i dobranoc — skierował się ku sieni. Kobieta odprowadziła go do drzwi.

— Przed spaniem niech pan sobie koniecznie naparzy kwiatu lipowego — posłała za oddalającą się postacią. — Nic tak nie pomaga na przeziębienie. I uspokaja. Tylko niech pan nie zapomni.

— Nie ma obawy — dobiegło z cienia. — Nie zapomnę.

— Dobranoc — kobieta zamknęła drzwi.

Czarny przeszedł kilkanaście kroków i zatrzymał się. Zerknął za siebie, po czym obiegł oczami uśpioną dolinę.

— Co się przejmujesz? — zaburczał ironicznie. — Napij się ziółek. To uspokaja. Włóż pantofle i czekaj. Ona urodzi Chrystusa, Chrystus odkupi nasze winy względem Ziemi i wszystko będzie dobrze. Moje szczęście, cholera. Burza, ulewa, las jak zasieki i w pierwszej chałupie wariatka. Powinienem był jej powiedzieć, że mit matki rodzącej boga–zbawcę wije się przez wieki niczym kosmiczny wąż. I że psychiatrzy mają z nim najwięcej roboty właśnie zawsze wtedy, kiedy cywilizacja potyka się nad przepaścią. Ale i tak powiedziałem dosyć. Cholera. Ona stuknięta, a ja? Ryczałem, że chałupa się trzęsła. Teraz na odmianę gadam do siebie. Powoli. Dzisiaj wszyscy częściej gadają do siebie, niż do innych. A może to przez ciebie? — Czarny nagle zadarł głowę i wbił wzrok w okrągłą tarczę księżyca. — Ty prabogini, ty! Ty kobieca duszo ludzkości! Wisisz nad tą cichą dolinką jak srebrna wiedźma! Przez tysiąclecia łagodniej karano zbrodnie, popełnione podczas pełni! Co ty na to?! A napady melancholii? Schizofrenii? Napięcia neurohormonalne? Mnie nie oszukasz. Wiem, jak potrafisz świdrować w ludzkich mózgach. Jestem fachowcem, rozumiesz?! Gdyby ktoś rzeczywiście miał spłodzić nowego człowieka... Nowego człowieka... — mężczyzna raptem

umilkł. Długo stał nieruchomo z uniesioną twarzą. Następnie znowu coś zamruczał. Ale przestał wymyślać księżycowi. Powtarzał jedno słówko: — Gdyby... Gdyby... Gdyby... Minęło dwadzieścia minut. Może pół godziny. Czarny nie patrzył już w niebo, tylko pod nogi. Wyciągniętym, sprężystym krokiem sadził w dół, mijając pojedyncze domy, przylepione do drogi. Była północ. Za chwilę miał się zacząć nowy dzień.

II. ZIEMIA JEDEN. JEDEN

Przeciągnąłem się z lubością i głęboko odetchnąłem. Leżałem wygodnie na czymś znakomicie nadającym się do leżenia. Pachniało jabłkami. Czułem się cudownie wypoczęty, odprężony od czubka czaszki po koniuszki palców.

— Może pan wstać — usłyszałem.

Wstawać mi się nie chciało. Uniosłem powieki. Zobaczyłem tuż nad sobą mordę brodacza monachijskiego. Lubię psy, ale na dzień dobry wolałbym ujrzeć psa, którego znałem. A jeśli już obcego, to odrobinę młodszego. Ten mógłby być dziadkiem posiwiąłego Akeli.

— Pfuj — powiedziałem łagodnie. — Szukaj, szukaj.

Morda odpłynęła w górę. Okazało się, że to nie pies.

— Nie pies — przyznałem na głos. — Jałowiec — skonstatowałem, patrząc z podziwem na niewiarygodnie bujny, srebrnobiały zarost pochylonej nade mną twarzy. Twarz pewnie posiadała oczy, lecz nie sposób było się co do tego upewnić.

— Gałąź jałowca, obcięta i odwrócona — kontynuowałem.

— Ciekawy kolor. Jakiś księżycowy jałowiec.

— Niech pan wstanie — głos dobywający się z siwej gęstwiny brzmiał przesadnie rzeczowo. Uniosłem się na łokciach i rozejrzałem. Sen uciekł ze mnie jak złoty pył spod abażuru, kiedy zgaśnie lampa. Ale światło nie zgasło. Przeciwnie, nabrało ostrości.

Równocześnie wyostrzyły się szczegóły wnętrza, w którym przebywałem, kontury przedmiotów, a także zarysy postaci. Usiadłem, spuściłem nogi na podłogę i chwyciłem dłońmi krawędź wąskiej, wysokiej leżanki. Spałem na zwykłej, ambulatoryjnej leżance, nie na barokowym łożu, przywiezionym specjalnie dla mnie z sal wystawowych Wersalu.

Bezpośrednio nade mną, pod wklęsłym sufitem, widniało ażurowe rusztowanie z przewodami, gniazdkami i uchwyty, mogące służyć jedynie jako wiszący stelaż dla

zestawów specjalistycznej aparatury. Ale żadnej aparatury na nim nie było.

Leżanka stała w centralnym punkcie kolistej hali. Regularna kopuła, stanowiąca ściany i sufit, nie posiadała ozdób ani jakichkolwiek urządzeń. Nie mówiła absolutnie nic o zajęciach ludzi, którzy tu bywali. Wyjąwszy ową szkieletową konstrukcję nad leżanką, była gładka jak zwierciadło orbitalnej anteny, pokryte szronem zielonkawej barwy. Ten sam odcień miały szyby w oknach, oraz zasłony, wykonane z lejącego się, matowego tworzywa.

Dwa kroki przede mną stał starszy, krępy mężczyzna z wypukłym czołem i pióropuszem białych włosów, okalających łysinę na ciemieniu. Jego owalna twarz, pokryta niemal w całości siwym zarostem i przedłużona ku dołowi rozwichrzoną brodą, naprawdę przypominała zawieszoną na nitce gałąź srebrnego jałowca. Oczy ginęły mu pod niewiarygodnie wybujałymi brwiami. Nic dziwnego, że wyrwany z rozkosznego snu, w pierwszej chwili wziąłem go za sędziwego brodacza monachijskiego lub kudłatego owczarka.

Przeniosłem wzrok na drugiego mężczyznę, przyglądającego mi się z nieco większej odległości. Ten był młodszy, zaledwie szpakowaty, wysoki i chudy. Nosił staroświeckie okulary, zza których patrzyły zimne, bladoniebieskie oczy, podkrążone rogalikowatymi sińcami. Jego wargi wyglądały jak zlepione kreseczki i były tak wykrojone, że przyjąłbym za coś zupełnie naturalnego, gdyby spomiędzy nich wysunął się nagle okrągły, długi język z dwoma ruchliwymi koniuszkami. Dlaczego nie? Pan Jałowiec i pan Kobra. Poczytaj mi, mamó. W porządku.

Był jeszcze ktoś trzeci. Dziewczyna. Stała z boku, w nogach leżanki, leciutko podana do tyłu. Miała jasnozłote włosy z jakimś fantastycznym połyskiem, którego sprawcą mogła być jednak wszechobecna tutaj zielonkowatość. Wielkie chabrowe oczy patrzyły na mnie z niemym wyczekiwaniem. Była drobna, lecz nie nazbyt filigranowa i w ogóle zgrabna jak Królowna Śnieżka. Nosiła krótką białą sukienkę bez rękawów. Chciałem dojść, co mi się tak

podoba w jej twarzy, ale niczego nie wymyśliłem. Ładna? Miła? To też, tyle, że to nic nie znaczy. Nasunęło mi się określenie: prawdziwa. Bez sensu. Pewnie kręciło mi się jeszcze w głowie po tym dziwacznym spaniu. Nigdy w życiu nie widziałem takiej ślicznej dziewczyny. Nie widziałem...

Zaraz. Zaraz. A co ja właściwie w życiu widziałem?

Och, mnóstwo rzeczy! Krajobrazy Miasta i rezerwatów. Architekturę. Wnętrza. Atrybuty codziennego życia. Fabryki, domy, pojazdy, laboratoria, automaty. Programy i schematy informatyczne. Komputery, książki. Setki książek. Ludzi, naturalnie, także. Mężczyzn i kobiety.

Otóż nieprawda. Żeby móc powiedzieć: widziałem — trzeba wiedzieć, że się gdzieś było, na coś patrzyło, coś obserwowało, wysnuwało wnioski i zapamiętywało. A ja tylko znałem te krajobrazy, wnętrza, aparaty, ludzi i tak dalej, ale w ich poznawaniu sam nie uczestniczyłem. Nie istniałem we własnej pamięci ani wśród nich, ani bodaj na ich tle. W ogóle nie istniałem. Nigdy nie widziałem takiego srebrnego jałowca? Takiej ślicznej dziewczyny? A czy kiedykolwiek widziałem swoje odbicie w lustrze?

Kim jestem? Czym jestem? Jak się nazywam? Ile mam lat? Którędy i jak długo szedłem, zanim trafiłem pod tę kopułę, żeby się zdrzemnąć na szpitalnej leżance i obudzić wyprany z wszelkich, absolutnie wszelkich, wspomnień? Noworodek ma ich więcej. Znacznie więcej, jeśli wierzyć embriologom.

Chwileczkę. Coś tu się nie zgadza. Niech będzie, że noworodki mają wspomnienia, ale na pewno nic nie wiedzą o embriologii. Ani, na przykład, o amnezji.

Oderwałem wzrok od dziewczyny i jeszcze raz, powoli, ze skupieniem, rozejrzałem się po hali. To słabe określenie: nie zgadza. Śmiesznie słabe.

Kiedy człowiek traci pamięć, zapomina wszystko. Trzeba go uczyć, że noga to jest noga,

pokazywać, jak się wkłada buty i jak trzyma widelec. A ja znałem nazwy przedmiotów, na które patrzyłem, znałem ich pochodzenie, przeznaczenie, cechy materiałowe, często i technologię ich wytwarzania. Potrafiłem wyliczyć niezliczoną ilość pojęć, związanych z tym, co akurat oglądałem, rozgraniczyć je, rozwinąć i objaśnić. A kiedy wybiegłem myślą poza przestrzeń zamkniętą zielonkawą kopułą, ujrzałem panoramę cywilizacji. Nie było w niej jednego elementu, który przedstawiałby dla mnie zagadkę. Oczywiście, jeśli pominąć kilka podstawowych, dzieciennych pytań najogólniejszej natury. Ale żeby nie umieć odpowiedzieć na te pytania, nie trzeba zostać dotkniętym amnezją, więc mniejsza o nie.

Kiedy człowiek traci pamięć...

O, nie. Mamy tu parę drobiazgów wartych zastosowania. Wiem dużo, lecz nic o sobie. To raz. Dwa, medycyna nie notuje przypadków amnezji, aż tak precyzyjnie ukierunkowanej.

Trzy, miejsce, w którym się znajduję. Nie jest to sala operacyjna, choć ta konstrukcja pod sufitem pewnie może być opuszczana, wraz z podpinaną do niej w razie potrzeby aparaturą.

Ale pacjenta, który ma być poddany operacji, nie kładzie się na zwykłej leżance. Nie jest to również pokój zabiegowy, diagnostyczny, ani gabinet intensywnej terapii. Ani w ogóle szpital. Brak mebli, urządzeń, narzędzi. Separatki dla rekonwalescentów, o rozmiarach sal gimnastycznych, też nie oferują nawet najbardziej ekskluzywne sanatoria dla

znerwicowanych miliarderów. Mieszkanie? Koń by się uśmieł. Pracownia? Możliwe. Pod warunkiem, że właśnie usunięto z niej stare wyposażenie, a nowego jeszcze nie dowieźli.

Wówczas jednak zostałyby ślady. Choćby takie, jakie zostają po zdjęciu obrazu ze ściany, przed malowaniem. Nie było żadnych śladów. Zatem, gdzie jestem? Po czwarte, ta

przyglądająca mi się trójka. Jałowiec, Kobra i dziewczyna. Ile sekund upłynęło, odkąd usłyszałem: niech pan wstanie? Z całą pewnością nie są to już sekundy, tylko minuty. Nie wstałem. A oni milczą. Nic nie robią, nie ruszają się. Patrzą na mnie i milczą. Czy tak

mogliby się zachować lekarze? Pielęgniarze? Na pewno nie. Kto wobec tego mógł się tak zachować? W jakich okolicznościach? Zresztą, nie wyglądali na lekarzy. Nie powierzyłbym im kota, cierpiącego na obstrukcję. Biała, niemal plażowa sukienka dziewczyny. Proszę bardzo. Dziewczyna niech sobie nosi co chce. Ale Kobra, w wyświechtanych džinsach i ohydnej, brudnej koszuli, wylewającej się na pasek, niczym zwłoki zagłodzonej ośmiornicy? Jałowiec miał wprawdzie czysty zielonkawy kitel, lecz przykrótkie nogawki jego spodni wyglądały jak skąpane w bagnie. Poza tym praktykujący lekarz nie mógłby chodzić z aż tak zarośniętą gębą. Goliłby sobie przynajmniej policzki.

A ja?

Spojrzałem po sobie. Błękitne spodnie. Czyste, odprasowane, nie za obszerne i nie nazbyt ciasne. Z paskiem, sporządzonym z tego samego materiału. Materiał był lekki, przewiewny, miły dla oka i w dotyku. Niemal nie czuło się go na skórze. Identyczne tworzywo posłużyło do wykonania ni to koszuli, ni bluzy. Przyjemny, letni komplet. Pod spodniami miałem jakieś elastyczne, nie uwierające slipy. Bluzkę włożyłem na gołe ciało.

Uniosłem ramię. Z krótkiego rękawka wybiegała mocna, opalona, młoda męska ręka.

Drugie ramię przedstawiało się podobnie. Obejrzałem obydwie ciekawie i z zadowoleniem.

Nie byłem chory, a jeśli, to nie ciężko i nie długo. Nie mógłbym mieć takich rąk. Nie czułbym w nich tyle siły.

Wypadek? Uraz czaszki, czy coś w tym rodzaju?

Nie wiem kiedy dojrzało we mnie postanowienie: o nic nie pytać. Udawać, że wszystko jest w zupełnym porządku. Musiało to nastąpić już chwilę temu, ale wówczas decyzja zapadła w mojej podświadomości. Dopiero w tym momencie mogłem ją odrzucić bądź zaakceptować.

Uczyniłem to drugie.

Uśmiechnąłem się i tak od niechcienia przygładziłem sobie włosy. Włosy miałem miękkie,

gęste, dość krótko przystrzyżone. Objąłem twarz dłońmi, po czym przejechałem nimi od czoła i skroni do podbródka. Twarz jak twarz. Lepiej byłoby ją jednak zobaczyć. Na przykład nos sprawiał niezłe wrażenie. Mógł być bulwiasty albo kopytkowaty. Ale był raczej szczupły, chyba regularny. Cera dobra, choć powinienem się już ogolić. Żadnych brodawek ani pryszczycy. A przede wszystkim śladu opatrunków, szwów, plastrów i tym podobnych. Nie miałem wypadku.

Szaleństwo?

To by coś wyjaśniało. U wariata wszystko jest nieobliczalne. Także amnezja. Jakiś wewnętrzny piorun. Przeżycie, zbyt przeraźliwe, bym mógł z nim chodzić dalej od dnia do dnia. Chciałem zapomnieć i nie zdołałem. Wryło się za głęboko. Wobec tego musiałem wyrwać z siebie całą substancję, w której utkwilo.

Obłąd. Tak. To by tłumaczyło nawet wygląd i zachowanie tej trójki. Psychiatrizy nierzadko prezentują się bardziej podejrzanie niż ich pacjenci. Uśpili mnie, poddali jakiejś kuracji nie wymagającej sali operacyjnej ani ciężkiej aparatury i teraz patrzą, co z tego wynikło. Czekają i milczą, bo nie wiedzą, czy przemówię po ludzku, czy odśpiewam basem arię Rozyny z drugiego aktu *Cyrulika sewilskiego*, czy też skoczę na nich z pazurami i pianą na ustach. Żeby rozproszyć ich obawy uśmiechnąłem się od ucha do ucha. Przyszło mi to bez najmniejszego trudu.

Właśnie. Jeszcze jeden drobiażdżek godny zastanowienia. Już chyba piąty. Jak na wariata czułem się odrobinę zbyt dobrze. Nie tylko fizycznie. Czułem się pozbierany, sprawny i rozluźniony jak mistrz kung-fu przed pierwszą walką wieczoru. Ale mistrzowi kung-fu na pewno nie byłoby tak wesoło. Dopiero co przestał się koncentrować. Przedtem długo kontemplował. Ja miałem w sobie tyle gotowości do kontemplacji, co żreback do chomąta.

Wariat, nie wariat, powinienem być w tej chwili przejęty i wystraszony. Co najmniej

onieśmielony. A mnie wręcz rozpiekał dobry humor. Mało powiedzieć: dobry. Nie istniało nic ważnego. Świat pojawił się jedynie w tym celu, żeby nieustannie sprawiać mi przyjemność. Owszem, jestem mu życzliwy, ale nasz wzajemny stosunek opiera się na niewzruszonej zasadzie. On dla mnie, nie ja dla niego. Jeśli to ma być obłąd, to kto jest normalny? O nic nie zapytam. Nie pokażę po sobie, że istnieje coś, o co mógłbym zapytać. Lecz przecież nie z obawy, by nie znaleźć się w pokoiku bez kłamki, obitym materacami. Nie ma we mnie cienia jakiegokolwiek obawy. Nie wiem, co to znaczy lękać się. Zazartuję sobie po prostu. A jeśli przypadkiem zwariowałem naprawdę, niech się tym martwią inni. Od tego są. Mnie jest dobrze.

— Jak się pan czuje? — przerwał w końcu milczenie Jałowiec.

Uniosłem nogi do poziomu i wyciągnąłem je na całą ich długość. Wyprostowałem ramiona, aż mi w kościach zatrzeszczało. Następnie zaśmiałem się.

— Znakomicie — powiedziałem wesoło. — Jak młode, wolne zwierzę. Z tych większych. Bez trudu dałbym radę dziesięciu takim jak wy.

— Nie wątpię — w przeciwieństwie do mnie siwy był coraz bardziej ponury. — A teraz...

— Chwileczkę — powstrzymałem go. Opuściłem nogi, zgiąłem ręce, położyłem sobie dłonie na barkach i poklepałem je. — Dajcie mi skończyć. Powiedziałem, że czuję się jak dzikie zwierzę, ale zwierzę latające. Tymczasem tam nic nie ma — wpadłem w płaczliwy ton.

— Co zrobiliście z moimi skrzydłami? — nikt nawet nie mruknął, więc musiałem sam się domyśleć. — Już wiem! — zawołałem. Rozpromieniłem się, przekrzywiłem figlarnie głowę i mrugnąłem do dziewczyny. — Jeden anioł na raz wystarczy! — wielkie chabrowe oczy zrobiły się jeszcze większe. — Święta racja — ciągnąłem z zapałem.

— Tym bardziej, że musiałem być o wiele podlejszym aniołem. A już z pewnością nieskończenie brzydszym. Bo drugiego takiego...

— Ten anioł — przerwał mi z kolei Jałowiec, wciąż tym pozornie obojętnym, rzeczowym głosem — ma na imię Helena i jest asystentem. Asystentką — poprawił się. — Mój kolega i współpracownik, Robert — przedstawił Kobrę. — Adiunkt. Doktor Iwo — wskazał na siebie. — Jałowiec — sprostowałem odruchowo.

— Może być Jałowiec — zgodził się chłodno. Spojrzałem na niego i na chwilę przestałem błaznować. Nie jest tak źle. Wiedzieli, że ich nie znam. To znaczy, że mam prawo ich nie znać.

— Pan nazywa się Halny. Marek Halny. Niech pan wstanie.

Coraz lepiej. Wzruszyłem ramionami.

— Pytania i odpowiedzi — rzekłem z zadumą. — Żeby było co pamiętać. Pamięć — podniosłem się, wygładziłem błękitną bluzkę i pokiwałem głową. — Pamięć — powtórzyłem.

— Coś, co człowiekowi nie pozwala skupić się na jednej, właśnie uciekającej chwili. W efekcie uciekają mu wszystkie. Ciągle.

— Niech pan nie filozofuje — usłyszałem. Zabrzmiało to trochę ostrzej. — Nie rozmyśla. Nie powinien pan.

Znowu się uśmiechnąłem.

— Wy mi tu, Halny, nie filozofujcie, he? — rzuciłem. — Czy pana pra-ileś-tam-dziadek nie był przypadkiem z zawodu i powołania kapralem w pruskiej armii? Czytałem...

— Niech pan nie rozpamiętuje książek, które pan czytał — padł następny rozkaz. — Zwłaszcza rzeczy poważnych.

— To, o czym myślałem, wcale nie było poważne — zapewniłem. — Wręcz przeciwnie.

Nie mam najmniejszego zamiaru czegokolwiek rozpamiętywać. A już co się tyczy filozofowania, mogę przysiąc na... do licha — rozłożyłem bezradnie ręce — nie przychodzi

mi do głowy nic, co byłoby dla mnie dostatecznie święte...

— Może na anioła — podrzucił zgryźliwie Kobra. Spojrzałem na niego z

ukontentowaniem. Nie wysunął języka, więc nie mogłem sprawdzić, czy jest szpiczasty i rozwidlony. Ale głos miał wysoki, zachrypnięty i nieco zgrzytliwy. Od biedy można by go nazwać syczącym.

— Brawo — powiedziałem. — Jest pan inteligentnym człowiekiem, panie Kobra. Zatem...

— Co, co?!

— Nic, nic — wróciłem wzrokiem do siwego. — Zatem przysięgam na tego tu anioła — wykonałem kurtuazyjny gest w stronę dziewczyny — że filozofowanie jest ostatnią rzeczą, na jaką miałbym ochotę i do jakiej czułbym się zdolny. W ogóle żywię nieprzepartą odrazę do spraw poważnych, a jak tak teraz zaglądam w głąb własnego serca i umysłu, nie widzę szansy, by to kiedykolwiek mogło się zmienić. — Najzabawniejsze — pomyślałem — że to najszczęśliwsza prawda.

— Dobrze — rzekł Jałowiec. — Ale niech pan również nie zagłada w głąb własnego serca i umysłu. Niech pan, przynajmniej świadomie, nie poświęca żadnej uwagi sobie, jako jednostce. Tak trzeba. Będzie to korzystne również dla pana — gdyby pisał, przy owym „również” złamałby ołówek. A przynajmniej zrobił dziurę w papierze. Zaraz jednak wrócił do poprzedniego tonu. — Proszę pana...

— Zgoda, zgoda — uniosłem ręce. — Przecież plotę co mi ślina na język przyniesie.

Gdzie pan tu ma filozofowanie?

— To wszystko brzmi dla pana dziwacznie i niezrozumiale. Ale proszę mi wierzyć, ja wiem co mówię.

— No właśnie — zaśmiałem się. — A ja nie. W dodatku wcale nie chcę wiedzieć. I nie chcę rozumieć. Ani pana, ani siebie. Natomiast nie mam nic przeciwko temu, że coś brzmi

dziwacznie. Im dziwaczniej, tym lepiej. Nie bawią mnie prostackie rozmowy z sensem, podtekstem i aluzjami. Ale skoro nie będziemy rozpamiętywać wielkich autorów, ani dyskutować o liniach rozwojowych arystotelizmu, powstaje pytanie, co pocniemy z resztą tak mile rozpoczętego przedpołudnia. Co byście powiedzieli, gdybyśmy, odrzucając ze wzdgarą wszelkie deliberacje, poza tym postąpili jednak jak perypatetycy i pospacerowali trochę po skwerku? Chyba jest tu w pobliżu jakiś skwerek?

— Znajduje się pan w instytucie, położonym w rozległym parku, który stanowi część rezerwatu — odrzekł Jałowiec.

— Można tu spacerować całymi dniami. Ale pan musi teraz pójść do drugiego pawilonu.

— Sam? — zdziwiłem się uprzejmie. Wariaci, prawdziwi lub choćby domniemani, na ogół nie biegają samopas po parkach i rezerwatach.

— Jeśli pan sobie życzy, może panu towarzyszyć nasza młoda koleżanka — musnął wzrokiem dziewczynę.

Uruchomiłem mięśnie twarzy.

— A czy zna pan kogoś, kto mógłby sobie tego nie życzyć? — oblizałem wargi. Nie wiem, czy mi się zdawało, czy rzeczywiście z miejsca, gdzie stała dziewczyna, dobiegło jakieś zdławione „och” czy „ach” albo coś w tym rodzaju.

— Pójdzie pan ścieżką za zielonymi znakami — Jałowiec zignorował popis mojego uwodzicielskiego kunsztu. — Będą się zapalać specjalnie dla pana. Nie wolno panu zboczyć ze szlaku. Zielone strzałki. To jest pańska droga. Jeśli pan zechce, po wizycie w drugim pawilonie Helena pójdzie z panem również dalej.

— To znaczy, że będzie i trzeci pawilon? A po nim czwarty?

— Oczywiście. Przechodzi pan normalne, okresowe badania. Zanim zostanie panu powierzona następna misja, musi się pan poddać wszystkim obowiązkowym testom. To nie

potrwa długo. Komplet wyników możemy mieć nawet jeszcze dzisiaj, przed wieczorem.

— Ten zielony szlak, z którego nie wolno mi zboczyć, jest także testem?

— Tak. Jednym z najważniejszych.

— Skoro o tym wiem...

— To nie ma znaczenia.

Istotnie. To nie miało znaczenia. Spojrzałem na dziewczynę, wyjątkowo bez uśmiechu. Ale chabrowe oczy uciekły przed moim wzrokiem. Patrzyły w podłogę. Długie rzęsy rzucały cień na policzki. Miłe zaskoczenie. Dziewczyna nie umiała kłamać. Przynajmniej nie tak dobrze jak Jałowiec i potakujący mu w milczeniu Kobra. Ten spoglądał zza swoich okularów jakby nigdy nic.

— Jeszcze jedno — przypomniał sobie doktor Iwo. — Pana znakomite samopoczucie jest czymś najzupełniej normalnym. W pierwszym etapie badań pacjentów poddaje się...

— Rekonstrukcji — przerwałem, bo na razie dowiedziałem się już dosyć. — To i owo im się uzupełnia, to i owo prostuje, coś usuwa, coś wygładza. Z leżanki złazi zdrowe, wesołe byczysko i radośnie maszeruje zieloną dróżką do następnego pawilonu. A propos, powiedział pan, że badania nie potrważą zbyt długo. Wobec tego nie muszę się spieszyć?

— Nie, nie — odrzekł dziwnie skwapliwie Jałowiec. — Pośpiech byłby nawet wysoce niewskazany.

— Czyli mogę po drodze wpaść do siebie? — spytałem niewinnie. Znowu byłem uśmiechnięty. Co mi tam. Czuję się rzeczywiście tak, że lepiej nie można. Wyjdę sobie do parku z tą śliczną dziewczyną. Pójdę ścieżką zieloną, żółtą, niebieską, pomarańczową, jaką zechcę.

— Do siebie...? — powtórzył siwy. W jego głosie pierwszy raz pojawiło się wahanie.

— Na chwileczkę — zaznaczyłem prosząco. — Ogołę się, wykąpię i natychmiast

powędruję dalej. Przecież mieszkam tu zaraz — strzeliłem. Jak się okazało, celnie.

Jałowiec kiwnął głową.

— Dobrze — rzekł. — Jeśli na krótko. Helena pokaże panu, w którym miejscu będzie pan mógł zejść ze szlaku. Potem dalszą drogę za strzałkami musi pan rozpocząć dokładnie w tym samym punkcie.

— Zielony złoty ślad — zaśmiałem się. — Przepraszam za cytaty, ale moim zdaniem Hesse nie jest dostatecznie poważny, bym koniecznie miał go nie lubić i o nim nie pamiętać.

Zresztą, mniejsza o to — wyprostowałem się i ruszyłem przez halę w stronę drzwi. Było ich tutaj kilkoro, jednak tylko nad jednymi paliła się mała strzałka, skądinąd raczej seledynowa, aniżeli czysto zielona. Usłyszałem, że dziewczyna idzie za mną. Drzwi rozsunęły się bez szmeru. Wciąż uśmiechnięty odwróciłem się i mrugnąłem. Nie do dziewczyny. Do Jałowca.

— Magik! — zawołałem przekornie. — Okultysta! Zapomnij, że masz serce i umysł. Czuj się zespolony z wszechbytem, bo i tak jako jednostka nie istniejesz. Idź wytyczoną dróżką, a spotkasz czarodziejski kwiat, dobrego dzina i białego jednorożca. Anioł z tobą. Złoty, zielony szlak — powtórzyłem, pociągając nosem. — Coś tu zalatuje siarką i kadzidłem. Mistycy! W dzisiejszych czasach!

— Bzdura! — syknął Kobra. Obaj, on i jego szef, stali tam, gdzie ich zostawiłem, z głowami zwróconymi ku wyjściu.

— Bzdura! — przytaknął ostro Jałowiec. — Program, opracowany w związku z pana osobą, oparto na najnowszych osiągnięciach ścisłej, specjalistycznej wiedzy. Żaden z nas nigdy nie zajmował się i nie zajmuje parapsychologią czy czymś takim, nie mówiąc już o magii. Absurd. Ma pan do czynienia z naukowcami.

Tym razem nie kłamał. To się jakoś wyczuwało. Poza tym nikomu, kto nie był najautentyczniejszym naukowcem, nie przeszłoby przez gardło zdanie: „program opracowany

w związku z...” Nonsens. Trochę szkoda. Chyba jednak wolałbym wpaść w łapy zwykłych szarlatanów. Ale po prawdzie niewiele mnie to obeszło. Co mi mogą zrobić?

— Oczywiście — powiedziałem z przekonaniem. — Wystarczy na was popatrzeć — z tymi słowami opuściłem wnętrze kopuły. To znaczy, pierwszy pawilon.

III. ZIEMIA JEDEŃ. DWA

Trzy wysypane żwirem ścieżki wiodły w trzy rejony parku. Poszedłem prosto, tam, gdzie jakieś pięć metrów przede mną, mniej więcej na wysokości kolan, zarysowała się w powietrzu zielona strzałka, doskonale widoczna, pomimo że najbliższa okolica była zalana słońcem. Drzewa, a wraz z nimi cień, zaczynały się dopiero dalej. Wielkie rozłożyste dęby, buki, modrzewie, czerwone klony, cofały się, gęstniejąc, ku błękitowi nieba. Z najwyższym trudem wypatrzyłem ledwie dostrzegalne nad ich koronami szczytowe garby dwóch innych kopulastych budowli. Czy też, jak chciał Jałowiec, pawilonów. Park musiał być rzeczywiście niezwykle rozległy. Ale skoro instytut znajdował się na terenie rezerwatu...

Zielony drogowskaz pomykał przede mną jak unoszony na niewidzialnej nitce.

Zatrzymałem się. Strzałka również. Oczywiście. Przecież to ja sam wywabiałem ją z nicości, swoim pojawieniem się i swoim ruchem. Taka optyczna zabaweczka. Postanowiłem coś sprawdzić. Ruszyłem, zrobiłem parę kroków i nagle skoczyłem w bok. Strzałka zachybotwała i zgasła.

Nie. Nie zabaweczka. Naturalnie, że to ja jestem projektorem, od którego zależy, czy ukaże się, czy nie. Ale ukaże się tylko pod warunkiem, że wybiorę właściwą drogę. To znaczy, drogę, wybraną dla mnie przez kogoś innego.

— Niech pan tego nie robi — powiedziała nerwowo Helena. Stale trzymała się dwa, trzy kroki za mną. Na chwilę zapomniałem o jej obecności.

Po raz pierwszy usłyszałem jej głos. Miły, czysty i nie za wysoki, nawet teraz, choć dziewczyna była naprawdę przestraszona. Posłusznie wróciłem na ścieżkę, upewniłem się, że strzałka wróciła także, tam gdzie przed momentem zgasła, i spojrzałem za siebie.

— Jesteś aniołem, ale nie Aniołem Stróżem — wyciągnąłem do niej rękę. — Chodź. Nie musisz deptać mi po piętach z rozpostartymi skrzydłami.

Dziewczyna ominęła moją rękę, lecz podeszła bliżej.

— Niech pan tego nie robi — powtórzyła.

— Dlaczego? — rzuciłem z uśmiechem. — Miało być beztrosko, bezmyślnie i wesoło. No więc się bawię. Najwyżej zbląźnię się przy jednym teście. Jak mnie ukarzą? Nie powierzą mi tej nowej misji? Wyleją z pracy?

— Proszę pana, to jest b a r d z o ważne, żeby pan nie zbaczał ze szlaku. Musi pan iść dokładnie tą samą... — zająknęła się i urwała. Wiedziałem, co chciała powiedzieć, chociaż nie miałem pojęcia, co by to mogło znaczyć. Zauważyłem też, że i tak powiedziała więcej, niż powinna. Zmieszała się jak uczennica.

— ...drogą, co strzałki — dokończyłem za nią, żeby ją uspokoić i pocieszyć. Spojrzała na mnie, odrobinę zaskoczona. — Aniołom nie mówi się per pan czy pani — ciągnąłem nie zmienionym tonem — i to nie dlatego, że rodzajnik brzmiałby niegramatycznie. Ja wprawdzie nie jestem aniołem, lecz nie jestem też uczonym siwym Jałowcem, ani mniej siwą, ale nie mniej uczoną Kobrą. Na imię mi...

Niech to szlag trafi. Zapomniałem.

— Marek... — wyszeptała cichutko.

Zaśmiałem się z wdzięcznością.

— Skoro wiesz, uznajemy sprawę za załatwioną. A wracając do testów i strzałek...

— Proszę pana... Panie Marku — poprawiła się. Moje imię nabrało w jej ustach szlachetnego blasku, ale to tylko ja odniosłem takie wrażenie. Ona wymówiła je z wyraźnym przymusem. — Niech pan... proszę to wziąć... — podała mi coś, co dotąd trzymała wewnątrz zamkniętej dłoni. Ujrzałem mały, płaski kwadracik, ładnej, kawowej barwy, przytwierdzony do cienkiego srebrnego łańcuszka. Natychmiast wyleciały mi z głowy wszystkie skrzydlate i nieskrzydlate anioły. Oczywiście, wiedziałem co to jest.

— Dla mnie? — ucieszyłem się obłudnie. — Prezenty? Od ciebie? Już?

Zaczerwieniła się aż po skronie.

— To znaczek tożsamości... — szepnęła. Wziąłem od niej kwadracik i powiesiłem go sobie na szyi. Naturalnie, że znak tożsamości. Każdy człowiek ma taki. Inaczej nie mógłby korzystać z dobrodziejstw cywilizacji. Nie mógłby, na przykład, dysponować swoim kontem bankowym. Nie mógłby się leczyć, bo komputery diagnostyczne nie odnalazłyby w pamięci opisu jego organizmu i nikt w przychodni nie chciałby z nim gadać. Nie mógłby pracować, podróżować, robić zakupów. Nie mógłby mieszkać, chyba w ukradzionej beczce, jak ów Grek, który stał się mędrce i uznał, że prócz mądrości nie ma żadnych potrzeb, odkąd za oszustwa wypędzono go z rodzinnej Synopy. I który nie słyszał o rozliczeniach bezgotówkowych. Nie mógłby właściwie niczego, wyjąwszy parę rzeczy, przez tegoż Greka i jego duchowych spadkobierców uważanych za najważniejsze. Ja, jak się teraz nad tym zastanowiłem, również nie odczuwałem żadnych potrzeb. Nie istniało nic, co chciałbym mieć. Ambicje? A cóż to jest? Pozycja? Zdobycze? Otwórzcież mi, kobieto, klozet pierwszej klasy, jak kiedyś mawiał pewien pisarz. Tylko, że u mnie ten brak zainteresowania nie wynikał z przyjętej postawy. Postawa, jakakolwiek postawa, była mi akurat tyle pożądana, co prywatny księżyc. Ewentualnie mógłbym na tym zbędnym księżycu ulokować wszystkich Diogenesów, ilu ich kiedykolwiek żyło, i ilu przetrwało do naszych czasów, gdzieś tam, w okolicach subkontynentu indyjskiego. Ale co innego autentyczne zainteresowania, a co innego ciekawość. Zaspokajanie zwykłej, przelotnej ciekawości, to też rodzaj zabawy. A mnie było wesoło. Pomyślałem, że tym razem pozwolę mojemu aniołowi trochę się pomęczyć.

— Popatrz, popatrz — zdziwiłem się, obracając w palcach brązowy kwadracik. — A więc mam szczęście cieszyć się twoim towarzystwem nie dlatego, że sobie tego życzyłem. To było zaplanowane. Od początku wiedziałaś, że ze mną pójdziesz. Inaczej nie miałabyś tutaj tego

cacuszka. Oto jak anioł przemienia się w goryla. A może tylko kwalifikowaną pielęgniarkę?

Trenowałaś judo?

Dziewczyna przygryzła dolną wargę i spuściła oczy. Przybladła, a potem znowu się zaczerwieniła.

— No i jeszcze jeden śmieszny szczegółik — ciągnąłem bezlitośnie. — Okazuje się, że posiadam coś takiego, jak tożsamość. Ja? Osobnik, któremu nie wolno czuć się jednostką?

Wątpliwe, abyśmy na tym czarodziejskim szlaku, chodząc od pawilonu do pawilonu w cieniu srebrzystych wiązów, spotkali jakiegoś przypadkowego spacerowicza. Ale nie można tego wykluczyć, prawda? Niech się na przykład przewrócę i złamię sobie nogę. Niech wybuchnie pożar. Przyleci straż, albo pogotowie. Każdy niewtajemniczony ogromnie by się zdziwił, widząc człowieka bez znaczka tożsamości. Niemniej jest to potknięcie. Mając ten kwadracik mógłbym przecież, gdyby mi się tu przestało podobać, plunąć na zielone strzałki, podejść do pierwszego napotkanego telefonu i wezwać inspektorów.

— Pan tego nie zrobi... — splotła dłonie na piersiach. Jej wargi zadrżały. — Proszę, nie stójmy dłużej. Powinien pan iść...

— Dlaczego niby miałbym nie zrobić? Eksperymenty na ludziach są zabronione.

Chabrowe oczy spojrzały na mnie z rozpaczą.

— Jestem tylko asystentką... Właściwie nawet stażystką. Nie było mnie, kiedy... — głos uwiązł jej w krtani. — Zapewniono mnie... — znowu nie skończyła. — Proszę pana — wykrztusiła, zdesperowana — jeśli ma się pewność, że to nie zaszkodzi, a może pomóc innym...

Stanowczo nie umiała kłamać.

— Powiedz jeszcze raz: proszę.

— Proszę... — ledwie to dosłyszałem. Roześmiałem się, odwróciłem i ruszyłem w dalszą

drogę, pilnie bacząc, by prowadzić przed sobą strzałki dokładnie tam, gdzie chciały być prowadzone.

Weszliśmy w cień, wprowadziliśmy nie srebrzystych wiązków tylko jednego, ogromnego dębu, ale zrobiło się jeszcze przyjemniej. Przez liście przeświecało trochę słońca. Ścieżka poruszała się przed nami jak wielka nakrapiana salamandra. Pachniała trawa i ziemia. Tym ostrzej smagnął mnie upał, kiedy znów znaleźliśmy się na odsłoniętej przestrzeni. Było południe. Słońce stało w zenicie.

Za dębem dróżka biegła jakieś pięćdziesiąt metrów prosto, po czym skręcała w prawo, wpadając między zarośla. Nieco wcześniej zaczynała się długa grządka, równoległa do ścieżki i obsadzona różami. Grządka była nieco zachwaszczona, lecz różane krzewy wyglądały zdrowo i miały mnóstwo kwiatów. Zupełnie odruchowo zboczyłem, żeby przytknąć nos do najbliższego otwartego pąka, przypominającego flaminga z lekko rozchylonymi skrzydłami, zastygłego na jednej nodze. Oczywiście, strzałka w przodzie zgasała, dziewczynie wyrwał się bolesny okrzyk, a ja szybko zabrałem nos i skierowałem go we właściwą stronę.

— Przepraszam, nie chciałem — mruknąłem. Powiniennem się jeszcze wyjątkowo promiennie uśmiechnąć, ale właśnie wyjątkowo nie uśmiechnąłem się wcale. Dokonałem bowiem pewnego odkrycia. Kiedy schodzę na fałszywą drogę, moje strzałki obrażają się i znikają. O tym już wiedziałem. Dopiero teraz zauważyłem jednak, że wtedy i mnie samemu zaczyna się iść jakoś inaczej. Jakby powietrze stawało się naraz gęstsze, a żwir na ścieżce bardziej sypki i grząski. Jakbym musiał pokonywać przeciwny wiatr, wiejący wyłącznie dla mnie, choć nawet ja nie miałem prawa go słyszeć, ani czuć na skórze jego podmuchów. Ciekawe. Dodatkowe zabezpieczenie? Wątpliwe. Zawsze można pójść po piargu pod wiatr. Autosugestia? Złudzenie? Niewykluczone. A jeśli nie? Cóż, wówczas fizyk powiedziałby, że

zielone strzałki prowadzą mnie linią najmniejszego oporu. A psychofizyk...

Do diabła z psychofizykami! Do diabła z sugestiami i złudzeniami! W każdej chwili mogę ponowić próbę. Tylko po co? Przecież tak czy owak wygodniej idzie mi się tym przygotowanym dla mnie szlakiem, niż poza nim. Najwyżej znowu nastraszę dziewczynę. Już teraz zachowuje się jakoś dziwnie.

Jak na to, do czego zdążyła mnie przyzwycząić, Helena rzeczywiście zachowywała się dziwnie. Od kilkunastu sekund szła nie za mną, a obok mnie i niespokojnie się rozglądała. Róże zostały w tyle. Ścieżka wpadała w łuk. W głębi, za podwójnym szpalerem krzewów obsypanych fioletowymi kwiatami widniała słoneczna polana z niewielkim pagórkiem. Dalej znowu rosły drzewa. Spomiędzy nich, jak szara tęcza, wybiegał na niebo dach kopuły. Następna hala. Drugi pawilon.

W tym momencie dziewczyna wyprzedziła mnie i nie odwracając się stanęła z lekko odchylonymi rękami, jakby chciała zagrozić mi drogę, a przynajmniej zasłonić sobą obraz mojej małej, zielonej przyjaciółki. Podszedłem, zatrzymałem się i spytałem:

— Aniołeczek zmęczony? Czy gorylowi coś się pokićkało?

Chyba ją uraziłem. Musnęła mnie chmurnym wzrokiem, po czym ponownie odwróciła się do mnie tyłem. Spuściła głowę. Nie trzymała już rąk odchylonych od ciała. Uniosła je i coś sobie poprawiała na piersiach, tak, żebym nie widział. Może sukienka jej się rozpięła? Jednak kiedy zajrzałem jej przez ramię, zobaczyłem, że nie zapina sukienki, tylko przeciwnie. Pod nią nic na sobie nie miała, jak ja, pod moją błękitną bluzką. Było na co popatrzeć. To znaczy, nie u mnie.

— Do licha! — zapałem z entuzjazmem. — Czy to nowy test? Jeśli tak, proszę o dalszy ciąg. Ale natychmiast! Inaczej sam go sobie zaprogramuję!

Podskoczyła. Dopiero kiedy się odezwałem spostrzegła moją brodę, wyzierającą z nad jej

ramienia. Błyskawicznie odsunęła się o krok i skrzyżowała dłonie na piersiach. Zrobiła to jednak ułamek sekundy za późno. Z trudem, bo z trudem, lecz przeniósł wzrok odrobinę wyżej. Tam, gdzie jej smukła szyja pięknymi, miękkimi liniami, spływała w obojczyk.

Ona również nosiła swój znaczek tożsamości na cieniutkim, srebrnym łańcuszku. Ale, w przeciwieństwie do mnie, zawiesiła sobie nie jeden, a dwa łańcuszki. Do drugiego było przytwierdzone coś, czego na pewno nie uznałyby za ozdobę najbardziej ekstrawagancka modnisią. Podłużny skrawek sztywnej, perforowanej folii.

Nie rozpięła sukienki po to, żebym niby przypadkiem mógł się zachwycić widokiem jej wspaniałego ciała. Nie pokazała go zresztą aż tak dużo. To tylko ja zareagowałem jak początkujący harcerzyk. Po prostu, łańcuszek z folią był co najmniej dwa razy dłuższy od tego, na którym wisiał jej zwykły, osobisty znaczek. Perforowana karteczka znajdowała się za nisko i posiadała zbyt ostre brzegi, by mogła ją wydobyć przez skromnie wycięty dekolt. W najlepszym razie podrapałaby sobie skórę na biuście. To byłoby okropne.

— Dobrze już, dobrze — powiedziałem pojednawczo, prostując się. — Niech pan tego nie robi, niech pan tak nie mówi, niech pan tak nie patrzy. Poddaję się... na razie. Niegrzeczna dziewczynka — wreszcie znowu uśmiechałem się, jak należało uśmiechać się przez cały czas, czyli promiennie. — Tylko niegrzeczne dziewczynki noszą przy sobie ściągawki. Zdażyłaś? Nie będzie dwóje?

Niestety zdażyła. Ściągaczka powędrowała tam, gdzie przenigdy nie powinno wędrować coś równie zimnego i nieczułego jak folia. Szybko doprowadziła sukienkę do porządku. Była zdyszana i zarumieniona po nasadę włosów. Ale już nie myślała o tym, że niechcący pozwoliła mi zapuścić żurawia w zastrzeżone rejony. Miała coś ważniejszego na głowie.

— Proszę pana — unikała mojego wzroku. — Musimy...

— Marku — upomniałem się.

Przełknęła ślinę.

— Panie Marku — na więcej absolutnie nie mogła się zdobyć. — Cofnijmy się kawałeczek, dobrze...?

Podążyłem za jej spojrzeniem. Powoli, uważnie mierzyła oczami długość grządki z różami.

Jakby przechodząc tamtędy o czymś zapomniała, albo coś zgubiła. Lub też jakby nie wydarzyło się tam coś, co powinno było się wydarzyć. Co musiało się wydarzyć.

— Czemu nie? — powiedziałem pogodnie. — Z tobą mogę cały dzień chodzić po tym pięknym parku tam i z powrotem. Wolę to, niż podejrzane wizyty w podejrzanych pawilonach u podejrzanych osób. A kiedy znużone słońce złoży płomienistą głowę na widnokręgu, wtopimy się w pociemniałą zieleń, odnajdziemy altanę oplecioną girlandami kwieciami i tam, podczas tajemniczego misterium przechodzenia wieczoru w noc, nareszcie spotkają się nasze spragnione wargi...

— Och! — zaprotestowała okrzykiem, w którym obok oburzenia zabrzmiała najprawdziwsza pasja. Nieźle, jak na anioła.

— Co? — uniosłem brwi. — Stara, zacna liryka cię nie bierze? Trudno. Wobec tego powiem inaczej. Jesteś cudowna i mam wściekłą ochotę...

— Proszę pana! — pasja nader szybko ustąpiła miejsca błaganiu. Skapitulowałem. Ale niezupełnie. Odwróciłem się i tak jak sobie tego życzyła ruszyłem z powrotem wzdłuż różanej grządki. Jednak po paru krokach przystanąłem i wyciągnąłem za siebie rękę.

— Przedtem prowadziły mnie strzałki. Teraz ich nie ma. Czuję się osamotniony i zagubiony. Nie pójdę dalej, jeśli nie wesprze mnie czyjaś opiekuńcza dłoń.

Nie spodziewałem się tego, lecz wzięła mnie za rękę. Ujęła ją trzema palcami i trzymała tak, jakby niosła mydlaną bańkę. Miała długie, wąskie, delikatne palce. Ich dotyk był ciepły, matowy i, wbrew jej woli, pieszczotliwy. Nic już nie powiedziałem. Ruszyłem znowu przed

siebie.

Przy końcu grządki ponownie poprosiła, żebyśmy zawrócili. Wciąż o nic nie pytałem i nie odzywałem się. W pewnym momencie jej palce uściśniły mnie odrobinę mocniej. Był to znak, że mam iść troszeczkę wolniej. Usłuchałem. Dlaczego nie. Jeśli właśnie na tym odcinku miało się coś wydarzyć? Może poprzednio minęliśmy go za prędko? Nie chciałem, żeby jeszcze raz musiała sięgać po tę paskudną folię.

Nie musiała. Zrobiłem następne dwa kroki i zapadłem się w nicość. Nie poczułem żadnego zamętu w głowie, nagłego osłabienia, duszności. Światło dnia na najkrótsze mgnienie nie utraciło nic ze swego blasku. Straciłem przytomność w ułamku sekundy, bez najmniejszej oznaki zapowiadającej omdlenie.

IV. ZIEMIA MINUS IKS. JEDEN.

V. ZIEMIA JEDEN. DWA (C.D.)

Gdy człowiek traci przytomność, wali się na ziemię i leży jak długi. Budzi się w pozycji horyzontalnej i przez pewien czas widzi wszystko od dołu, nie wiedząc, czemu to tak dziwnie wygląda.

Ja stałem na ścieżce dokładnie tam, gdzie zemdlałem, w pełni sił i świadomości, gotów natychmiast ruszyć dalej. Odczuwałem wprawdzie pewne zmęczenie, ale na pewno nie chorobliwe. Raczej takie, jakie odczuwa sportowiec po rzetelnym treningu. Nic się nie stało. Nic się nie zmieniło.

Co to, to nie.

Zmieniło się oświetlenie. Sam potem nie mogłem pojąć, dlaczego w pierwszej chwili zupełnie nie zwróciłem uwagi na Helenę, tylko uniosłem głowę, żeby odszukać słońce.

Dopiero co było w zenicie. Teraz go tam nie znalazłem. Schowało się za drzewa i wisiało tuż nad horyzontem. Tyle, że nie już. Jeszcze. Nie trzeba koniecznie wiedzieć, gdzie jest wschód, a gdzie zachód, by odróżnić świt od wieczoru.

Był wczesny ranek. Moje omdlenie trwało...

Oczywiście, żadne omdlenie. Mój... No, moja nieobecność.

Odetchnąłem głęboko. Powietrze przeniknęło mnie całego i wyparowało przez skórę wraz z resztkami zmęczenia. Park w południe był cichy i senny. O świcie przepiękny. Wypełniał go świergot ptaków. Ni stąd ni zowąd ogarnęła mnie euforyczna radość. Przegiąłem się do tyłu, zadarłem w górę łokcie, a dłońmi objąłem sobie twarz. Euforia trochę mi przeszła. Byłem gładko ogolony, jakbym właśnie wyszedł od fryzjera. A przecież jeszcze przed chwilą... Co tam. Też zmartwienie. Gdybym odkrył, że wyrosła mi srebrna, jałowcowata broda, to co innego.

Opuściłem ręce i dopiero teraz spojrzałem na dziewczynę. Zatrzaszczyli się o nią. Przynieśli jej turystyczne łóżeczko i umieścili je na trawniku, w zacisznym kącie, między różami a pierwszym krzewem owego szpaleru, w który wpadała ścieżka. Nie zapomnieli również o kocu. Wezłowie łóżeczka było uniesione.

Uśmiechnąłem się i podszedłem bliżej. Spała. Przekrzywiła głowę, i oparła policzek na otwartej dłoni. Koc zsunął jej się na piersi, odsłaniając ramiączka białej sukienki. Miała lekko rozchylone wargi. Dwa kosmyki złocistych włosów opadły jej na czoło. Jeden z nich sięgał kącika oka. Podszedłem jeszcze bliżej, pochyliłem się i dotknąłem ustami jej ust. Właśnie tak. Nie był to pocałunek. Musiała jednak spać bardzo czujnie. Natychmiast podniosła powieki, zamrugała nimi i oczy jej się raptownie rozszerzyły. W następnym momencie usiadła, wyprostowana, i odruchowo podciągnęła koc nieco wyżej.

— Przyjechał książę — powiedziałem. — Czas wstawać. Krasnoludki poszły już do pracy. Słyszysz, jak śpiewają? — pomachałem ręką, wskazując korony drzew. Ptaki albo nie lubiły krasnoludków, albo nie spodobał im się mój ruch, bo jak na złość akurat przycichły. Ale zdążyła je jeszcze usłyszeć, lub też domyśliła się, o czym mówię. Po raz pierwszy ujrzałem jej uśmiech. Było to coś równie krótkiego i nieuchwytnego jak błysk w potoku, którego powierzchnię musnął rozpędzony pstrąg. Zmarszczyła brwi i leciutko przejechała palcem po wargach. Nie znalazła jednak na nich niczego, co pozwoliłoby jej się przekonać, czy to jakieś dotknięcie należało do snu, czy też właśnie ją z niego wyrwało. Wobec tego poprawiła sobie pod kocem sukienkę i wstała. Bezwiednym gestem odrzuciła włosy z czoła. Potrząsnęła głową.

To była rzeczywiście prześliczna dziewczyna.

— Bardzo pana przepraszam — odezwała się, mimo wszystko nieco zmieszana. —

Zaspałam...

— Nic dziwnego — podchwyciłem prędko. — Biedactwo. Czekalaś na mnie tak długo.

Wolę nie myśleć, jak długo. Od wczoraj? Przedwczoraj? Od tygodnia?

Odpowiedziała jeszcze prędeej.

— Och nie, nie. Od wczoraj...

Rozłożyłem bezradnie ręce.

— Widzisz. To ja przepraszam. Ale wiesz, nagle przypomniałem sobie, że mam coś bardzo pilnego do załatwienia. Nie wyobrażasz sobie, jak mi przykro. Przecież moje badania, a więc i nasza wędrowka po pawilonach, miały trwać tylko jeden dzień. Poza tym — uśmiechnąłem się szerzej — straciliśmy wieczór w altanie. I całą noc...

Nic nie powiedziała. Strzepnęła koc, złożyła go, umieściła w nogach łóżeczka, po czym zeszła z trawnika na ścieżkę i przybrała wyczekującą pozę. Nie dałem się prosić. Zerknąłem przed siebie i ruszyłem za zieloną strzałką.

Skończył się szpaler zarośli, zaczęła polana z okrągłym pagórkiem, którego kształty mogłyby zainteresować archeologów, ale mnie nie przypadły do gustu. Tajemnicza całodobowa eskapada w najmniejszym stopniu nie pogorszyła mojego znakomitego samopoczucia, niemniej z jakichś niejasnych powodów zaczynałem powoli patrzeć ze zniechęceniem na wszystko, co choć trochę przypominało kopułę. Za polaną był lasek, za laskiem pierścień ogromnych buków, a wewnątrz pierścienia pawilon. Regularna niebieskoszara półkula o promieniu liczącym mniej więcej trzydzieści metrów. Do połowy wysokości obejmowały ją gałęzie posadzonych za bukami płaczących jesionów. Ich cień kładł się na drzwiach, nad którymi, kiedy się zbliżyłem, zapłonęła seledynowa strzałka.

Zrobiła to za wcześnie.

Tak przynajmniej osądziła dziewczyna. Znowu wybiegła przede mnie i zatrzymała się.

Naturalnie, ja też stanąłem. Odgarnąłem zwisające gałązki, które zasłoniły mi widok i

spytałem zachęcającym tonem:

— Wracamy? Zorientowałaś się, że trzeba jeszcze raz? Bez ściągaczki? Brawo! Robimy postępy!

Bezwiednie dotknęła miejsca, gdzie pod sukienką znajdowała się dziurkowana folia.

Następnie potrząsnęła przecząco głową i powiedziała:

— Nie, nie. Tylko... Bardzo pana przepraszam, czy nie zechciałby pan tu chwileczkę zaczekać? Muszę tam — zrobiła gest w kierunku drzwi — zajrzeć najpierw na moment sama. To będzie trwało najwyżej minutę...

Sposepniałem.

— Minuta bez ciebie? Toż to wieczność!

— Proszę pana...

— Musisz ich uprzedzić, co? Nie są przygotowani, bo skąd mieli wiedzieć, na jak długo wyskoczyłem, żeby załatwić to coś, co miałem do załatwienia. Dali ci łóżeczko i kocyk, ale nie mogli przewidzieć, ile nocy przyjdzie ci spędzić w polowych warunkach. A gdybym tak zaskoczył ich nie przygotowanych... strach pomyśleć, co mógłbym zobaczyć. Albo i usłyszeć. Krzątają się właśnie przy zwisającej nad leżanką pajęczynie i wymieniają fachowe uwagi. Ja cichutko uchylam drzwi...

— Bardzo proszę...

— Zapomniałaś o telefonach? — mijaliśmy po drodze dwa lub trzy z tych aparacików, rozsianych po całej Ziemi, za pośrednictwem których można w trzydzieści sekund zamówić hotel w Kioto, wysłuchać lokalnej prognozy pogody dla Zewnętrznych Hybrydów, nawymyślać kustoszowi skansenu Aborygenów i zgłosić się do Biura Emigracyjnego na Cape Canaveral. A jeszcze, korzystając z okazji, kazać sobie jakiemuś komputerowi przeczytać fragment raportu Betona według Pliniusza Starszego, zawierający wzmiankę o Yeti, oraz

uprzedzić żonę, że po południu ma się ważną konferencję. Telefony były tu dyskretnie wkomponowane w zieleń, ale stały na swoich gałązkowatych nóżkach zbyt blisko ścieżki, by można je przeoczyć.

— No? — powtórzyłem z udanym zdziwieniem. — Czemu do nich nie zadzwoniłaś?

Dobrze znałem odpowiedź.

— Przy pa... — wydała urwany odgłos, przypominający łkanie i zakryła dłonią usta. Tak.

Ta dziewczyna przenigdy nie zrobiłaby kariery jako polityk, albo wtyczka konkurencyjnego lobby. Zafascynowany jej urodą reżyser kręcący film o życiu Maty Hari, wyrzuciłby ją po pierwszych próbnym zdjęciach. — Proszę pana... — usłyszałem w końcu coś całkiem nowego.

— Marku! — burknąłem srogo.

— Panie Marku...

— Marku!

Znowu ten jęk.

— Marku...

Wybuchnąłem śmiechem.

— Idź, kochanie, idź — powiedziałem czule. — Będę na ciebie czekać, choćby siedem dni i siedem nocy... bez koca ani łóżeczka.

Kiedy drzwi zamknęły się za nią, jak chmura przesłaniająca księżyc, wszedłem na trawnik i oparłem się plecami o pień najbliższego drzewa. Ogarnęły mnie półmrok i kojący chłód.

Powiodłem wzrokiem po parku. Błogi spokój. Mnóstwo zieleni. Mnóstwo kwiatów. Ptaki.

Czegoś mi w tym widoku brakowało. Siebie? Naturalnie, też, ale teraz nie o to chodzi. To coś ma wprawdzie związek ze mną, jednak nie dotyczy mojej pamięci. Faktu, że w niej nie istnieję. Dotyczy rzeczy, która jest w tej chwili, tu, gdzie stoję i wszędzie, gdzie spojrzę. Co

to takiego? A, mniejsza o to. Nie zadaję pytań innym, nie będę ich stawiać samemu sobie.

Zresztą, nie mam pytań. Zaraz. Może przypadkiem właśnie trafiłem. Może to, czego mi brakuje, jest jakimś pytaniem. Wylęgło się we mnie, rozpoczęło drogę ku światłu, lecz mrok był zbyt gęsty. Zostało po nim jedynie poczucie, że coś przeszło obok. Mogło być nic nie znaczącą efemerydą, zupełną bzdurą, niemniej należałoby się co do tego upewnić. Nie upewniłem się, bo nie zauważyłem, że coś przechodzi.

Brednie. Niczego mi nie brakuje. To wszystko dlatego, że nie widzę przed sobą żadnej strzałki. I że nie ma przy mnie złotowłosej dziewczyny, do której mógłbym szczerzyć zęby.

Minuta dawno już minęła. Za długo jestem sam.

W tym momencie, jakby ktoś właśnie doszedł do identycznego wniosku, zmaterializowała się koło mnie dziwaczna postać. Mężczyzna. Nie stary i nie młody, smukły, zgrabny, z uderzająco piękną twarzą. Zbyt piękną. Wyglądała jak odlana ze szczerego złota. Jednak ten, kto sporządzał formę, do ostatniej chwili nie mógł się zdecydować, czy jego dzieło ma przedstawiać Adonisa, czy Afrodytę. W końcu machnął ręką i sportretował oboje kochanków naraz. Ale materiału wystarczyło mu tylko na jedną figurę i jedną złotą gębę.

Musiał po prostu wyjść z za drzewa, lecz określenie: zmaterializował się, znacznie lepiej oddawało efekt sytuacyjny, jakiego byłem świadkiem.

— Dobro zwycięża — usłyszałem miły, głęboki głos. Brakowało mu tylko dźwięczności.

Zawsze jej brakuje, kiedy mówiąc używa się automatycznego tłumacza. On nosił swój przyczepiony do małżowiny ucha. Adonisofrodyta z jednym kolczykiem, naturalnie złotym, żeby ładnie harmonizował z karnacją ciała i, jakżeby inaczej, złotymi włosami. Zresztą złota była również powiewna, luźna bluzka, którą miał na sobie, oraz bufiaste spodnie, szyte w Bakczysaraju, dawno temu i nie dla niego. Gołe stopy wsunął w miękkie, złote pantofle.

Powinny mieć złote skrzydełka przy piętach, lecz dziś wyjątkowo zostawił je na safianowej

poduszce obok złotego nocnika. Śpieszyło mu się.

— Dobro zwycięża?

Wariat. Pewnie przywieźli go z jakiejś zapomnianej wysepki na Pacyfiku, skoro musiał posługiwać się tłumaczem. Albo też ubrdał sobie w swoim obłędzie, że jest Wielkim Nieznajomym. Proszę. A więc jednak bawię w domu wariatów. Zaciszne pawilony, dyskretnie rozrzucone w ogromnym parku... Nieźle pomyślane.

— Dobro zwycięża?! — głos brzmiał ponagląjąco. Cóż to takiego? Hasło? Obowiązkowe pozdrowienie pacjentów, w ramach psychoterapii? Na wszelki wypadek uśmiechnąłem się i odpowiedziałem grzecznie:

— Dziękuję.

To nie powinno zrazić ani porządnego pomyślnca, ani kogoś, kto przypadkiem nim nie był, tylko sądził, że sam natknął się na wariata. Uprzejmy wariat nie jest niebezpieczny.

Nie okazał rozczarowania. Przeciwnie. Jego twarz pojaśniała. Wielkie orzechowe oczy w oprawie wymodelowanej przez tego samego artystę, który rzeźbił popiersie Nefretete, odnalezione w Tell el-Amarna, spojrzały na mnie przyjaźnie.

— Wyszedłeś stamtąd? — spytał najnaturalniej w świecie, wskazując drzwi kopuły. — Już pracujesz?

Nie wiedziałem co odpowiedzieć, więc potrząsnąłem głową. Mój uśmiech nieco przygasł. On także jakby zmarkotniał.

— Byłeś dopiero w pierwszym pawilonie — stwierdził.

— Trudno. Wobec tego zechciej mi na razie uwierzyć na słowo, że nie jest ważne, czy postępujesz świadomie, czy nie. Liczy się twoja obecność. Tylko obecność. Chodź — wyciągnął do mnie rękę. Zignorowałem ten gest.

— Miło wreszcie spotkać kogoś, z kim jestem po imieniu — zaryzykowałem. — Jak ten

czas leci! Znamy się już... czekaj... — zagrałem zapominalskiego.

— Około dwudziestu lat — jego ręka nadal czekała na moją.

— Widzisz — westchnąłem. — A ja wciąż czuję się właśnie jak dwudziestolatek.

— Jesteś nim... w sensie biologicznym. Przynajmniej tutaj.

Przestałem grać.

— A w sensie psychologicznym nie ma mnie w ogóle — zauważyłem. — Przynajmniej tutaj.

— Tak jakby — uśmiechnął się.

— Niestety — wyraziłem ubolewanie. — Czekam na kogoś — wyjaśniłem.

— Ten ktoś zastanie cię tutaj, kiedy tylko nadejdzie — odparł. — Dla niego i dla wszystkich innych mieszkańców twojego globu wrócisz w tym samym momencie, w którym stąd odleciemy. Dokładnie w tym samym. Czas... — cofnął rękę, żeby wykonać nią bezradny ruch. — Czas...

— Czas bywa niekiedy zdradliwy — pozwoliłem sobie nadmienić. — Całkiem niedawno zniknąłem już raz... na moment. Ale ktoś, kogo tu zostawiłem, musiał na mnie czekać bez mała okrągłą dobę.

— Tamto zniknięcie miało charakter lokalny. Nazwijmy to ograniczonym, albo lepiej: punktowym, zabiegiem strukturalnym. Pozostałeś przecież u siebie, tyle że w wyniku małego, zaplanowanego kolapsu, zresztą o dość nieprecyzyjnych parametrach, chwilowo znalazłeś się na dole.

— N a d o l e ? — wariat wariatowi może zadawać pytania. Ile chce i jakie chce. Nic nikomu do tego. Rozmowa stawała się obiecująca.

— Przepraszam — powiedział szybko. — To taki zawodowy żargon. Z wykształcenia jestem inżynierem geonetykiem, wiesz. Na dole, znaczy: dawniej.

O geonach słyszałem. O geonetyce nic.

— Dawniej? To znaczy, jak dawno?

Znowu rozłożył ręce.

— Kilka lat, kilkanaście, kilkadziesiąt, kilkaset. Najprawdopodobniej albo niespełna dwa, albo około osiemnastu. Ale nie wiem. Przecież to zaprogramowali i wykonali twoi ziomkowie. A ja nie mieszam się w wasze sprawy, poza wąskim, ściśle wytyczonym zakresem, bezpośrednio związanym z moim światem. Nie sądz też, że przebywałeś na dole, to znaczy w przeszłości, na pewno akurat dobie. Tu minęła doba, ale tam, dla ciebie, mogły to być tygodnie lub miesiące. Zrozum. Ingerencja w strukturę cząstek, tworzących krzywiznę przestrzeni, operowanie wewnątrz nieliniowej, pozaciągłej równowagi, powoduje... — przerwał, bo zamachałem dłonią, jakbym odganiał osę. Rozmowa przestała być obiecująca. Zaczynał zmuszać mnie do myślenia. Tego tylko brakowało. Wariatom wolno zasypywać się nawzajem zwariowanymi pytaniami, ale nie wolno im męczyć swoich szarych komórek, wewnątrz zachwianej równowagi ich cząstek, tworzących krzywiznę przestrzeni, zajętej przez mózg. Pora kończyć tę farsę.

— Jesteś pewny, że wrócimy dokładnie w momencie, w którym znikniemy? — spytałem.

— Najzupełniej.

— W takim razie znikajmy — zrobiłem krok w jego stronę. Następnie zrobiłem parę kroków, prowadzony przez niego za rękę. Dłoń miał szczupłą i chłodną. W cieniu, po przeciwnej stronie pnia, wszedłem na coś, czego nie było widać. Poczulem mrowienie w stopach, które błyskawicznie objęło całe ciało. Ułamek sekundy później rzeczywiście zniknąłem. Nie. Park, drzewa, pawilony, Ziemia. Ale nie ja. Nie straciłem przytomności. Odniosłem niesamowite wrażenie, że nagle znalazłem się we wnętrzu kolosalnej mineralnej kongrecji, i pędząc, roztrącam sobą nawarstwione w niej ogromne, doskonale przezroczyste, a

zarazem kolorowe kryształy. Kiedy nadlatywałem wszystkie zwracały ku mnie wydłużone szpice, świecące jak słońce, oglądane przez stos najróżniejszych pryzmatów. Jednak żaden nawet mnie nie musnął. Kryształy zbudowane z powietrza. Tylko, że powietrza także nie było. Wiedziałem, że go nie ma, choć nie odczuwałem jego braku. Zresztą, cała ta podróż, ten sen, ta fantasmagoria, trwała bardzo krótko. Przyszło mi jeszcze do głowy, że właśnie jestem n a d o l e , jak się wyraził mój piękniś i oglądam czas czy świat o d s p o d u . Więcej nie zdążyłem pomyśleć niczego. Kryształy roztopiły się w jasnym, ale już nie rażącym świetle. Wróciło powietrze. Łagodnym ruchem przesuwałem się znowu nad realnym krajobrazem. Tyle, że nie był to krajobraz Ziemi.

Stałem wewnątrz przezroczystego, odwróconego kielicha, lub, jak kto woli, dzwonu zamkniętego od dołu szklaną podłogą. Moje palce wciąż obejmowała wąska złota dłoń. Uniosłem głowę. Nie patrzył na mnie. Ślizgał się nieruchomym wzrokiem po pasie łądu. Niczego nie odprowadzał oczami. Lecieliśmy idealnie spokojnie i niezbyt szybko na wysokości mniej więcej stu metrów. Uśmiechał się. Był to piękny uśmiech i każde inne określenie oznaczałoby niezręczność lub pomyłkę. Ale gdybym sam tego nie widział, nie uwierzyłbym, że piękny uśmiech może być równocześnie aż tak bardzo smutny.

Prędko przeniosłem wzrok na krajobraz w dole. Co u diabła. Nie moja twarz, nie mój uśmiech, nie mój smutek. Nie musiałem wynajdować sobie dodatkowych zagadek. Aż nazbyt hojnie darzyły mnie nimi sytuacja i miejsce, w jakich się znalazłem.

Kraina złotej roślinności, złotych budowli, złotych wód i złotych falistych wzgórz. Złote były światło, błękit, powietrze, zieleń, wszystko. A jak coś było już zbyt błękitne, zielone, czerwone czy brązowe, to miało przynajmniej złotawy połysk. I żadnych zgrzytów. To ostatnie dotyczyło również kształtów. Naturalnych oraz sztucznych. Z góry nawet składnice złomu mogą się prezentować jak artystyczne objawienia supermodnych rzeźbiarzy. Tu jednak

nie było takich składnic. Nie było fabryk, węzłów komunikacyjnych, lotnisk, portów, mostów, sieci dróg. Jak okiem sięgnąć śladu czegoś, co wskazywałoby na obecność przemysłowej bądź miejskiej aglomeracji. Cały obszar był łagodnie pofałdowany i cały pokryty luźno stojącymi domkami podobnymi do buduarowych abażurów. Wszystkie miały dachy porośnięte trawą i jakimiś zwisającymi pnączami. Wszystkie wykorzystywały rzeźbę terenu tak, żeby nie psuć jej naturalnej harmonii, i żeby sąsiedzi nie musieli nawzajem na siebie patrzeć. Nad dyskretnymi ścieżkami dyskretnie polatywały nieliczne jajowate wehikuły, odcinające się od tła jedynie nieco jaśniejszym odcieniem złota. Tu i tam poruszały się drobniutkie postacie. Było ich mniej niż mała. I żadnej się nie śpieszyło.

— Gdzie jestem? — spytałem.

Puścił moją rękę.

— U mnie — odrzekł. — W moim świecie. My nazywamy tę planetę... zresztą, to śmieszne. Jedyne sensowny przekład brzmi: Ziemia.

— Zapewne. Ziemia. Rzeczywiście, śmieszne. Żeby było jeszcze śmieszniej pozwól mi, na mój prywatny użytek, nazywać ją Alfą. Współcześni Münchhausenowie opisujący obce światy uwielbiają posługiwać się greckim alfabetem, choć żaden z nich nie potrafiłby go wymieniwać w całości i po kolei. A kimże ja teraz jestem, jak nie Münchhausenem?

— Dobrze. Ale kiedy będziesz rozmawiać z nieznajomymi mów jednak: Ziemia.

— O — mruknąłem. — Będę z kimś rozmawiać?

— Naturalnie. Przynajmniej mam nadzieję, że tak. A, właśnie — znowu wziął moją rękę, lecz tym razem jedynie po to, by wsunąć mi w dłoń jakiś malutki przedmiot. — Weź to. Będzie ci potrzebny.

— Przecież ty rozumiesz mnie doskonale bez tłumacza?

— Zdążyłem nauczyć się twojego języka. Miałem mnóstwo czasu. Ale tylko ja jeden.

Poprzednio też... — urwał i umilkł.

Posłusznie zapiąłem na uchu cieniutki, złoty klips. Spróbowałem pociągnąć. Trzymał mocno. A zarazem miałem wrażenie, że na płacie małżowiny przysiadł mi nic nie ważący owad.

— Gotowe — powiedziałem wesoło. Teraz mój głos także utracił dźwięczność i dobiegł do mnie z ledwo zauważalnym opóźnieniem.

— Spójrz przed siebie — przerwał mi zabawę złocisty wariat z Alfą.

Spod horyzontu wypłynęła budowla, różniąca się od wszystkiego, co tu dotąd widziałem. Zdecydowanie górowała nad całą okolicą, choć nie mogła liczyć więcej niż trzydzieści metrów wysokości. Wzniesiono ją na terenie zupełnie płaskim. To także stanowiło nowość. Była okrągła. W miarę jak się zbliżała, wychwytywałem następne szczegóły. Otaczał ją rozległy kolisty obszar, pozbawiony nie tylko tych dyskretnych domków, lecz również drzew i w ogóle roślinności, jeśli pominąć gładki jak jezioro trawnik. Zabudowania mieszkalne trzymały się z dala od tego obszaru. Pierwsze widniały dopiero na obrzeżu pierścienia, zaznaczonym najbliższymi pagórkami. Kiedy znaleźliśmy się w odległości około kilometra, zauważyłem, że wielkiego koła opasującego budowlę strzeże błyszczące w słońcu, oczywiście złote, ogrodzenie. Złote, ale poza tym nader solidne i mało zachęcające. A za wysoką rotundą wypatrzyłem regularny plac, zabezpieczony dodatkowym płotem, na którym ustawiono ażurowe zwierciadła, rusztowania i maszyny.

— Co to jest? — wskazałem osobliwą budowlę.

— Centrum administracyjne — padła odpowiedź, wymówiona szczególnym, nienaturalnie beznamiętnym tonem.

— Centrum naukowe i gospodarcze. Centrum ideowe. Centrum życia kulturalnego i duchowego. Centrum prawnicze i medyczne — głos Złotego brzmiał jak głos dziecka,

znudzonego powtarzającą się po raz setny tą samą wyliczanką.

— Centrum porządku publicznego. Centrum oświaty i wychowania. Centrum t r w a n i a

— tego nie zrozumiałem. Ale też wcale nie pragnąłem zrozumieć, a on, na szczęście, nie

kwapił się do bardziej szczegółowych wyjaśnień. Przynajmniej w tym momencie. — Centrum

informacyjne — ciągnął. — Centrum pogody i niepogody. Centrum rozróżniania dobra od

zła. Przy okazji jedyny na planecie dworzec kosmiczny. I jedyna instytucja, którą ty

nazwałbyś Biurem Emigracyjnym. Po prostu Centrum. Jesteśmy na miejscu — zakończył

wreszcie. — Lądujemy.

VI. ALFA JEDEN

Na obcej planecie wszystko musi być inne. Krajobraz, budowle, drzewa, urządzenia, a już koniecznie istoty żywe. Nikt jeszcze nie postawił stopy na żadnej zamieszkałej planecie, ale każdy wie, że byłaby nieskończenie inna. To trochę tak, jak z nową żeniątką, po rozwodzie. Będzie zupełnie inaczej i kropka.

Tutaj i było inaczej i nie. Ja osobiście nie czułem się ani odrobineczkę mniej u s i e b i e niż w ziemskim parku z wielkimi kopułami, spinającymi korony swojskich dębów.

Szklany dzwon, który opuściliśmy przed chwilą przechodząc po prostu przez niewidzialne ściany, jakby nigdy nie istniały, nie wiedzieć kiedy zniknął.

— Ładnie — powiedziałem rozglądając się z uśmiechem. — Tylko to złoto. Nigdy nie macie ochoty popatrzeć na coś zielonego, niebieskiego, czerwonego... a choćby czarnego?

Skąd wam się to wzięło?

Pokazał palcem niebo i rzekł:

— Stąd. Mamy trochę inne słońce niż wy i inny skład chemiczny górnych warstw atmosfery. Złoto jest u nas kolorem dominującym. Przynosiła je sobie cała przyroda, a z nią i my. Bo my się świetnie przystosowujemy — w jego głosie zabrzmiała nutka ironii. — To znaczy, teraz nie. Teraz już jesteśmy doskonale przystosowani i tylko dbamy o to, by jakimś brutalnym gestem nie naruszyć świętej harmonii. Rozwijamy się wyłącznie razem z naturą. Do niej przymierzamy nasze aspiracje i potrzeby. Jedynie wspólnie z nią pokonujemy przestrzeń i czas. Czyli nie rozwijamy się w ogóle.

— Tak...? — bąknąłem. — W jakim sensie? Przecież nie naukowym ani technicznym. W ciągu paru sekund odbywacie podróż na Ziemię i z powrotem. Dokonujecie wynalazków, produkujecie... Inna rzecz, że pewnie nie tu, tylko na orbicie, albo na satelitach. Bo kiedy lecieliśmy, nie zauważyłem ani jednej fabryki.

— Dokonywaliśmy wynalazków — rzekł. — To, naturalnie, odbijało się na przyrodzie.

Pewnego dnia humaniści powiedzieli: dosyć, i wszczęli bunt. Pociągnęli za sobą młodzież.

Nastał terror... nie będę ci opowiadać naszej historii. W każdym razie teraz — podjął po chwili — koncentrujemy cały wysiłek na tym, by nigdzie na obszarze cywilizacji nie wylągl się najdrobniejszy kiełek jakiegokolwiek nowej potrzeby. Rzeczywiście przenieśliśmy niektóre procesy technologiczne na satelity, ale ich nie doskonalimy, nie mówiąc już o zastępowaniu starych nowymi. Pozostajemy w granicach tego, co osiągnęliśmy do momentu owego buntu humanistów. Mamy inżynierów, lecz nie mamy uczonych techników ani badaczy. Gdybyśmy wcześniej nie opanowali geoniki, nie nauczyli się przekształcać struktury wewnątrz bezkierunkowego kontinuum...

— Chcesz zapewne powiedzieć — przerwałem — że wówczas nie ujrzałbym cię pod pewnym drzewem, potem nie odbyłbym fascynującej podróży, a teraz nie miałbym okazji usłyszeć, że gdzieś we wszechświecie kiedykolwiek wzięli górę humaniści. Tak?

Nie wziął mi za złe ani mojego zniecierpliwienia, ani lekko kpiącego tonu.

— Tak — rzekł. — Ale nie tylko to. Spójrz na nasz pojazd. Nie ma go, co? Wróc tam, a przekonasz się, że czeka w tym samym miejscu, w którym z niego wysiadłeś. Gdy stoi bezpiecznie w odpowiedniej atmosferze, człowiek swobodnie przenika przez jego ściany, dach, czy podłogę. To prosta sprawa. Zaprogramowanie wiązań tworzywa, z którego został wykonany. Lecz poza tym w ogóle go nie widać, prawda? Otóż właśnie. Mamy dużo fabryk i zakładów przetwórczych również tu, na macierzystym globie. Ale wszystkie są otoczone centralnie stymulowanymi polami, które czynią je niewidzialnymi. Gdyby chodziło wyłącznie o estetykę, można by temu jedynie przyklasnąć. Jednakże to nie jest kwestia estetyki. Rzecz wyrasta wprost z podstawowych przesłanek naszego ładu. My nie tylko nie chcemy patrzeć na technikę. My się jej wstydzimy. Jakby ci to lepiej zobrazować... Powiedzmy, dawniej, u

ciebie, ktoś musiał wykonywać zawód kata. Niemniej nawet najbliżsi krewni wiedzieli zaledwie tyle, że ojciec czy brat podlega jakiemuś ministerstwu i że pracuje o dziwnych porach. Prawie dokładnie tak jest u nas dzisiaj z inżynierami. Są obcym ciałem w społeczności, która każdą ingerencję w nieświadomą, majestatyczną ewolucję przyrody uważa za cios zadany jej najszczytniejszym ideałom. Niepokojenie kosmosu? Materialne wymogi cywilizacji? Wytwórczość? Energetyka? Dostawy? Pewnie istnieją, ale przecież nie będziemy o tym rozmawiać, nie będziemy o tym myśleć, nie będziemy o tym pamiętać.

Jesteśmy wrażliwi i posiadamy poczucie godności, które nie pozwala nam zniżać się do poziomu robotów. Opuszczać sfery ducha. Piękna, sztuki, urody abstrakcyjnych rozważań — lecz tylko ich urody. Dopuszczalne są wyłącznie dociekania, dotyczące teorii najogólniej pojętej harmonii i najogólniej pojmowanej szczęśliwości. Oczywiście, harmonia jest złudzeniem, a szczęśliwość łgarstwem. Jednak zabrnęliśmy już dostatecznie daleko, by ze złudzeń i łgarstwa wykuć niepodważalny kanon obyczajowy. A także prawny. Inżynier jest czyniącym gwałt intruzem, tolerowanym, bo niezbędnym. Ale jeśli bodaj myślą wybiegnie poza zakreślone granice, natychmiast z intruza przeobraża się w przestępcę. Wiesz jak to bywa ze skostniałymi systemami. Po pewnym czasie wszyscy nawzajem trzymają się w szachu. A jakby co, zawsze jeszcze zostają służby specjalne.

Cywilizacja, która grając o swój los, obstawiła jedno jedyne pole. Co zrobić z naiwniutką, brodatą bajką dla starszych, która raptem ogarnia człowieka w postaci jak najbardziej realnej rzeczywistości?

— Skąd w takim razie biorą się u was inżynierowie? — spytałem.

Uniósł brwi. Jego oczy załśniły.

— Bakcyl poznania — rzekł. — Niemal nieśmiertelny, jak te mikroorganizmy, które można ożywić, pomimo że tkwiły w skale miliony lat. Drzazga zbyt głęboko tkwiąca w

rodzicie genetycznym rozumnej istoty, by dało się ją wyrwać, nie unicestwiając całego człowieka. Przez jakieś dwa pokolenia rzeczywiście brakowało kandydatów. Teraz jest ich sporo. Stale więcej.

— Widzisz. Zresztą, wspomniałeś, że sam jesteś inżynierem. Nie sprawiasz wrażenia kogoś wyrzuconego poza nawias społeczności?

— Nie pracuję jako inżynier. Oficjalnie jestem inspektorem. Tak jak ty.

— No, no — mruknąłem, bo cóż mogłem powiedzieć. — Inspektorem? — prędko podniosłem głos, żeby zagadać własne myśli. — Czego? Policji? Zresztą wszystko jedno. Jak na i n s p e k t o r a wyrażasz się co najmniej dziwnie o waszym ładzie publicznym i w ogóle o waszym świecie. Prowokator? Nie, bo ja przecież nie podlegam tutejszym prawom. Tym samym nie mogę ich łamać, ani też ponosić odpowiedzialności za mimowolne gafy. Nie przywoziłbyś mnie specjalnie z Ziemi, żeby na siłę stworzyć pretekst, pod jakim znalazłbym się w miejscowym, zapewne złotym, kryminale. Więc już nic nie wiem.

Uśmiechnął się blado.

— Gdybym rzeczywiście był prowokatorem lub przynajmniej uczciwym szpiclem, zapewniam cię, że nie musiałbym szukać pretekstów, by cię aresztować. Właśnie ciebie i właśnie tutaj. Z dwiema poprawkami. Po pierwsze nie mamy, jak się wyraziłeś, kryminałów. Na przestępców czekają jedynie ustronne sanatoria z fachową obsługą. Po drugie, aresztowałbym nas obu. Zawiniłem bardziej niż ty. Ja podlegam miejscowym prawom. Widzisz przed sobą odszczepieńca. Zdrajcę. Autorzy waszych powieści sensacyjnych nazwaliby mnie agentem działającym na dwa fronty. Wyrażam się o naszym ładzie społecznym tak a nie inaczej, ponieważ go nienawidzę. To złe słowo. Myśląc o nim czuję to, co czuje się myśląc o śmierci. Od dwóch wieków panuje tu zastój. Trwamy w ułudach. Rozumiesz, co to znaczy? Że giniemy. Próbuję walczyć z tą śmiercią. Należę do wtórnie

zbuntowanych. Dlatego między innymi znowu cię tu przywiozłem. Chwytam się każdej, bodaj najniklejszej szansy.

„Inspektorem, jak ty”. „Znowu cię przywiozłem”. Znowu. Cholera. Spokojnie. A mój dobry nastrój? Humor? Bawmy się dalej.

— Powiedziałeś, że... zaraz... o, właśnie. „Należę do wtórnie zbuntowanych”. Tak? — spytałem.

Skinął głową.

— Miałeś na myśli jakąś organizację? Grupę? Jeśli jest was dostatecznie dużo...

— Jest nas garstka i nie mamy organizacji. Na upartego można by nas nazwać grupą. Ale to dotyczy tylko, że tak się wyrażę, aktywnych zbuntowanych. Biernych, którzy widzą i pojmują, co się dzieje, jest mnóstwo. Są bierni, bo czują się bezsilni. Zaraz ich poznasz. Chodź.

— Poczekaj, niech się trochę rozejrzę — przystopowałem go, żeby zyskać na czasie. Nie miałem najmniejszej ochoty zawierać znajomości ze zbuntowanymi, obojętnie, aktywnymi czy biernymi. Jeden najzupełniej mi wystarczył.

Zagryzłem wargi, ściągnąłem brwi i zacząłem się pilnie rozglądać.

Jednakże już po chwili przestałem udawać. W końcu nawet wariat nie co dzień ma okazję przyglądać się życiu na obcej planecie.

Tak. Tu naprawdę wszystko i było inne, i nie było.

Moja Ziemia nie cała jest pokryta małymi, łagodnymi wzgórzami, płynącymi od horyzontu do horyzontu jak fale piasku na pustyni, ale nietrudno na Niej znaleźć obszary dokładnie tak samo pagórkowate i monotonne. Trawa ma złotą barwę, niemniej jest trawą. Posiada identyczne źdźbła jak trawa w parku z szarymi kopolami. Domów o tak pięknych liniach, aż tak doskonale harmonizujących z naturalną rzeźbą terenu, zawsze schowanych jeden przed

drugim, zawsze patrzących w różne strony świata, u nas nie ma. Lecz te ich absolutnie doskonale kształty, rozmiary, okna, drzwi i rozmaite drobne szczegóły zdawały się zapraszać człowieka do swych cichych wnętrz. Po prostu człowieka, nie jakąś tam istotę skądś.

Drzewa. No, drzewa były inne. Przypominały monstrualnie rozrośnięte, ząbkowane szpikulce. Z kolei widoczne wśród liści kwiaty wyglądały jak lampy. Gładkie, kuliste, rozjaśnione. Każde drzewo wyrastało z kilku pni. Trzech, czterech, nawet pięciu. To znaczy, tyle pni podtrzymywało jedną wspólną koronę, kolosalną, najeżoną czapę, dodatkowo przybraną gronami przydeptanych, złotych butów, związanych ze sobą sznurowadłami. Pewnie owoce. Ale przy tym wszystkim te drzewa były ładne. Mnie się podobały. A fakt, że jak tylko na nie spojrzałem, przysły mi na myśl ziemskie osty, też o czymś świadczył.

Wreszcie ludzie. Naturalnie, nie lu... e tam. Właśnie, że ludzie. Jak niby o nich myśleć? Tak samo, jak ten glob jest Ziemią. Przekładając z łaciny na polski żaden tłumacz nie powie, że Italię Cezara i Cicerona zamieszkiwały *homy*. Bzdura.

W moim polu widzenia było ich zadziwiająco wielu. Zważywszy, że wylądowaliśmy w dość głęboko wciętej gwiazdzistej bruździe między zabudowanymi wzgórzami, która jak na tutejsze warunki zasługiwała na miano wąwozu, można nawet mówić o tłoku. Wszyscy spoglądali w jednym kierunku. Tam, gdzie domy znikwały, pagórki przechodziły w równinę, a zza garbu ostatniego wzniesienia wзираł fragment kolistej budowli.

Ludzie byli piękni i młodzi. Tak określiłem ich w duchu i mnie samemu zabrzmiało to jak dowcip. Nic na to nie poradzę. Byli po prostu piękni i młodzi. Wszyscy.

Ubierali się tak samo lub prawie tak samo jak mój przewoźnik, a obecnie przewodnik. Trzewiczki, szarawary. Kloszowe bluzki, przypominające krótkie domina, wykonane z najdelikatniejszej satyny. Ich twarze posiadały zapewne indywidualne rysy, ale ja musiałbym podbić któremuś oko, żeby potem móc go odróżnić od pozostałych. Jeśli były tutaj kobiety,

mógłbym się co do tego upewnić jedynie przy użyciu rąk. Jednakowe brody, usta, oczy i czoła. Jednakowe, jednakowo ułożone włosy. Właściwie, trochę to dziwne. Piękno należy do ich podstawowych wartości. A przecież piękno jest zawsze subiektywne i nie może się obyć bez pewnej różnorodności. Na równi z pięknem cenią harmonię. Zgoda, lecz tonalny, melodyczny akord, nawet komuś najgoręcej rozmiłowanemu w harmonii daje więcej estetycznej satysfakcji niż pojedynczy dźwięk. Tu drgała jedna struna i unosił się jeden głos. Złoty, ale jeden.

Czy poczucie piękna stanowi akurat tę rzecz, która tutaj jest rzeczywiście inna?

— No co? — odezwał się mój towarzysz. — Przyjrzałeś się? Możemy już iść?

— Dokąd? — spytałem bez entuzjazmu.

— Tam — wskazał budowlę za ogrodzeniem. Żeby szukał pięć lat, nie mógłby wybrać bardziej pociągającego kierunku.

— Tam? — uśmiechnąłem się jak ktoś, kto wie, że z niego żartują. — Tam nie wolno.

Spójrz na ludzi. Wszyscy tam patrzą, ale nikt nie rusza się z miejsca. Nie nabierzesz mnie.

— Wcale cię nie nabieram. Im nie wolno. Muszą czekać, dopóki ich nie wywołają. A kiedy ich wywołają, pobiegną jak na wyścigi. Prosto w pułapkę.

— Pułapkę? — powtórzyłem z niedowierzaniem. — Na mnie sprawiają wrażenie, jakby spodziewali się czegoś przyjemnego.

— Bo tak jest. Wspominałem ci o naszym biurze emigracyjnym. Wszyscy, których tu widzisz, zgłosili chęć opuszczenia Ziemi. Zapisali się na listę. Teraz są pojedynczo wzywani i poddawani badaniom lekarskim oraz testom.

— Chcą polecieć gdzieś, gdzie nie sięga władza waszego Centrum? Rozumiem. Ale stoimy tu już dość długo i nie zauważyłem, by ktokolwiek został wywołany. Ta pułapka działa zdumiewająco opieszale. A w ogóle, dlaczego pułapka? Skoro po zwykłych badaniach

będą sobie mogli wyfrunąć w dalekie i najdalsze światy, czerwone, żółte, niebieskie, niechby i srebrne, byle nie złote?

— Będą sobie mogli wyfrunąć do miejsc, które nazywamy sanatoriami — odparł. — Nie wysyłamy ludzi poza układ słoneczny. Nie wymkną się tutejszej władzy. O tym wiedzą. Pragną jedynie zamieszkać w bazach produkcyjnych na wewnętrznych planetach, satelitach, bodaj na orbicie. Nie dążą do generalnej zmiany porządku, który ich przytłacza, a który oficjalnie muszą wielbić i wychwalać. Dlatego nazwałem ich biernymi zbuntowanymi. Chcą tylko zmienić swoje własne życie. W przeciwieństwie do Ziemi, świat satelitów i planet jest bowiem światem inżynierów. Tam nie są katami. Obcują z potężnymi kompleksami informatycznymi. Tylko usiąść, pomyśleć, zmodyfikować programy, a zasklepiiony horyzont pryśnie jak cieniutka, napięta błona. Otworzą się nowe ścieżki. Nowe, rozumiesz? Są wśród swoich i ocierają się o nowe. To znaczy, tak to sobie wyobrażają. W rzeczywistości nigdy się tam nie znajdują. Inżynierów i techników do pracy w kosmosie dobiera się wyłącznie spośród absolwentów specjalistycznych szkół. A to biuro emigracyjne, działające tutaj przy Centrum, od samego początku było pomyślane właśnie jako pułapka. Ośrodek profilaktyki społecznej. Po co się męczyć i tropić nosicieli bakcyła postępu, którzy stanowią największe potencjalne zagrożenie? Sami przyjdą. Wystarczy pokazać im kij z marchewką, w postaci wizji niegodnego życia w bazach kosmicznych. Oczywiście, kiedy się zgłaszają, nie podają prawdziwych motywów swojej decyzji. Mówią, że chcą jedynie z odmiennej perspektywy spojrzeć na piękno świata, na sztukę, na uśmiechającego się przez sen ducha epoki. Pod niegasnącymi gwiazdami rozmyślać o istocie harmonii. Nie podejrzewają, że badania, do których im tak spieszo, bezbłędnie wyłapią i ujawnią wszystko, co faktycznie tkwi w ich mózgach. Rzecz jasna, od czasu do czasu trafi się jakiś autentyczny artysta czy kontemplator. Taki otrzymuje dokument stwierdzający, że stan jego zdrowia nie pozwala na emigrację i jest

odsyłany do domu. Ale zdarza się to niesłychanie rzadko. Ponad dziewięćdziesiąt dziewięć procent tych, których tu masz przed sobą, powędruje prościutko do sanatoriów. Nikt ich nie ostrzeże, bo wtajemniczonych jest bardzo niewiele. A później żaden z krewnych czy przyjaciół również nie zainteresuje się ich losem. Przecież wybierając technikę, sami skazali się na cywilną śmierć. Tyle na temat pułapki. Natomiast masz rację, że dzisiaj dziwnie długo nikogo nie wzywają. Coś musiało się zaciąć. Jakaś przerwa. Zaraz się przekonamy. Chodź.

— A czemu ty ich nie ostrzeżesz? — zagadnąłem.

— A czemu ty podsuwałeś tu ludziom myśl o emigracji? — odpowiedział pytaniem. —

Gdyby cię nie posłuchali, Centrum nie wpadłoby na pomysł urządzenia tego rodzaju pułapek.

Nie chciał mnie zaskakiwać. Po prostu zapomniał, że ja jeszcze nie wiem, że nie pamiętam. Już w parku na Ziemi mina mu zrzedła, kiedy usłyszał, że odwiedziłem dopiero jeden, pierwszy pawilon. Dobrze mi tak. Gdybym siedział cicho, nie byłby mi tego powiedział. Nigdzie z nim nie pójdę.

Natychmiast wracam do siebie. Pokpię sobie trochę z mojej ślicznej, naiwniutkiej Maty Hari i spróbuję ją poderwać. Odkąd ją ujrzałem mam na to ochotę.

Odruchowo przejechałem językiem po wargach. Były spierzchnięte.

— Napiłbym się czegoś. Od rana nie miałem nic w us... — urwałem. Skąd mogłem to wiedzieć. Jeśli wracając z dołu pojawiłem się świeżo ogolony, kto zaręczy, czy nie przybywałem także wprost z najlepszej chińskiej restauracji.

Przestraszył się.

— Moja wina — spojrzał na mnie ze skruchą. — Bardzo cię przepraszam. Wiesz, my od dawna nie jemy i nie pijemy. Powinienem być o tym pomyśleć. Teraz... — umilkł i rozejrzał się z zakłopotaniem.

Stanowczo miałem dość tego globu.

— Ładna historia — starałem się nie okazać po sobie zadowolenia. — Cóż, w takim razie musisz mnie odstawić z powrotem do świata, którego mieszkańcom nie wystarcza pochłanianie piękna w jego najbardziej eterycznej postaci. W drogę!

— Nie żywimy się pięknem — rzekł. — Nie w tym sensie. Słyszałeś o fotosyntezie?

— Słyszałem. Co z tego?

— Wiesz już przecież, że jesteśmy szalenie naturalni. Wobec tego musieliśmy i pod tym względem wtopić się w przyrodę.

— W przyrodzie żaba zjada muchę, wąż żabę, mangusta węża i tak dalej. A ja nie chcę się wtapiać, tylko napić. Co to za heca z tą fotosyntezą? — roześmiałem się. — Codziennie w południe wysuwacie schowane w tych bufiastych portkach ogony pokryte wielkimi liśćmi, i wypinacie się do słońca?

— Ogonów nie mamy — jego głos brzmiał absolutnie rzeczowo. — Natomiast liście istotnie odegrały tu decydującą rolę — ciągnął. — Po prostu podpatrzyliśmy, jak to robią. Mając wyniki analiz, stworzyliśmy struktury kompozytów o identycznych właściwościach. Wszczepienie ich w biologię człowieka było już właściwie tylko kwestią inżynierii materiałowej. Nie gniewaj się, ale na takie rozwiązanie wpadły już chyba wszystkie wyżej rozwinięte cywilizacje. Oczywiście białkowe, lecz istnienie innych wciąż jest jedynie hipotetyczne. Z punktu widzenia ewolucji bardzo łatwo udowodnić wyższość węgla nad, powiedzmy, krzemem. Życie w kosmosie ma wszędzie podobny rodowód genetyczny, a rozum powstaje i kształtuje się pokonując podobną drogę. Rzecz jasna mówię o światach, które znam. Nie jest ich wiele — zastrzegł się skromnie.

— I tak o jeden za dużo — zauważyłem. — Jednak z tych wszystkich mądrości wynika niezbiecie, że tu u ciebie nie dostanę nic do picia — skwitowałem. — A zatem gdzież jest ten twój latający dzwoneczek? — rozejrzałem się tęsknie. — Zapewniłeś, że będzie czekać.

Chciał coś powiedzieć, ale nie zdążył. Atmosferę przecięło kilka spadających gwiazd. Cienkich i prostych jak ostrze noża ognistych błysków. Wszystkie celowały w jeden punkt. Uderzyły bezgłośnie tuż za okrągłą budowlą, tam, gdzie znajdował się ów plac z konstrukcjami i maszynami. Przez moment nic się nie działo. Tylko cisza jakby stężała. Chwilę później znowu musiałem zmrużyć oczy. Jaskrawe światło, wyjątkowo bardziej pomarańczowe niż złote, ponownie przeszło powietrze. Biegło jednak w odwrotnym kierunku. Jego źródło znajdowało się tu, na Ziemi. Ściślej, na dachu rotundy Centrum. Poza tym nie cięło przestrzeni pojedynczymi promieniami, tylko rozlewało się jak luna. Po upływie dwóch, trzech sekund zaczęło rytmicznie pulsować.

— Alarm?! — mój towarzysz gwałtownym szarpnięciem wydobyl spod bluzy jakieś prostokątne, płaskie pudełeczko. On też nosił coś na łańcuszku. Rzecz jasna, nie srebrnym.

— Meteoryty? Pożar? — spytałem. — Co to jest? — wskazałem pudełeczko.

Przebiegł po nim palcami, po czym podniósł je do ucha.

— Na pewno nie meteoryty — rzekł niespokojnie. — To? Komunikator. Wersja dla inspektorów. — Przez chwilę uważnie słuchał. — Alarm — potwierdził. — Atak.

Tylko tego mi brakowało.

— Wojny gwiazdne? O tym nie wspominałeś — powiedziałem z wyrzutem. —

Naraziliście się innym białowcom? Przykro mi to mówić, ale jeśli cię przypadkiem ukatrupili, umarłbym tu z głodu. Jako liść czuję się fatalnie niedorozwinięty. Usilnie proszę...

Nie skończyłem. Zza budowli jeden po drugim wyskoczyły trzy latające maszyny. Były szybkie i pędziły prosto w naszym kierunku. Płynnie przemknęły nad ogrodzeniem, wpadły w gardziel wąwozu i bezszelestnie usiadły na trawie. „W naszym kierunku” to zbyt ogólne określenie. One przybyły do nas. Do mnie i mojego przewodnika. Zamknęły nas obu w ramionach trójkąta, jak w rozchylonych szczypcach.

Żadne kielichy czy szklane dzwony. Nic przeźroczyściego. Masywne, ciężkie jaja, naszpikowane wypustkami, wysięgnikami, hakami, licho wie czym jeszcze. Ziemia ugięła się pod nimi.

Cofnąłem się o krok z przepaszającym uśmiechem. Rozumiem, zaszła drobna pomyłka, zdarza się, nie szkodzi, nie mam pretensji.

W odpowiedzi wszystkie trzy jaja pękły i uniosły pokrywy. Jakby wielkie chrząszcze wysunęły skrzydła spod chitynowych pancerzy. Ukazały się istoty... no, niezupełnie. Roboty. Wcale nie piękne, jak należało się spodziewać, pamiętając o rafinowanych gustach ich twórców. Ale może ich twórcy wyrosli w innym świecie?

— Słuchaj — odezwałem się półgłosem. — Jeśli te przemiłe figurki należą do kogoś, z kim macie na pieńku, to powiedz im, że ja jestem obcy, neutralny i darzę ich najgłębszym szacunkiem. Chyba możesz to zrobić za pomocą tego twojego komunikatora... w wersji dla inspektorów. No, na co czekasz? — dodałem, ponieważ trójkąt przekształcił się w pierścień.

To jest, jaja pozostały na swoich stanowiskach, ale ich pasażerowie w liczbie sześciu otoczyli nas ciasnym kołem. Odkąd niebo połączyły z ziemią pierwsze ogniste nici, minęły najwyżej dwie minuty. Wypadki rozgrywały się błyskawicznie.

Widziałem wszystko jak w szerokokątnym obiektywie. Pulsującą lunę i ludzi. Widziałem pojazdy i twory, które z nich wysiadły. Miały głowy podobne do krótkich, zamkniętych walców, owalne tułowia i przegubowe kończyny z ostrymi chwytakami.

Równocześnie widziałem mojego towarzysza. Bez przerwy wołał coś, czego nie rozumiałem, to do robotów, to do komunikatora. Przerywał, słuchał, po czym znowu zaczynał wołać. Wreszcie zwrócił się do mnie.

— Te maszyny nie są z gwiazd — był oszołomiony i wstrząśnięty. — Przybyły z naszej bazy kosmicznej, by zaatakować Ziemię. Centrum. Nic nie rozumiem. To po prostu nie mogło

się zdarzyć! Chyba, że... zaraz! — znowu zajął się swoim komunikatorem.

Jasne, że nie mogło. Nie mogło się zdarzyć nic z tego, co mi się zdarzyło, odkąd uniosłem powieki i zobaczyłem zarośniętą gębę Jałowca. Teraz też majaczą. Mam halucynacje.

Normalne.

Upłynęła kolejna sekunda. Jeden z robotów raptownym skokiem dopadł mojego przewodnika, wyrwał mu to inspektorskie pudełeczko i objął go pieszczelowatym ramieniem.

Nie był to zamach na jego życie, bo martwe ramię zaledwie dotknęło złotego ciała. Niemniej wtórnie zbuntowany tajniak z Alfy został całkowicie unieruchomiony i ubezwłasnowolniony.

W następnym momencie inny robot zbliżył się do mnie, zatrzymał w odległości dwóch kroków i powiedział:

— Witaj, c z ł o w i e k u .

Mówił na jednym tonie, bezbarwnie, metalicznie, jak każdy robot. Jak każdy robił przerwy między sylabami. Ale to „człowieku” było już rozciągnięte niczym glista przepuszczona przez drutownicę.

— Dzień dobry — odrzekłem uprzejmie. Odniosłem wrażenie, że trochę się zdziwił.

Nonsens. Roboty się nie dziwią.

— Jesteś bezpieczny — oświadczył. Rzeczywiście, musiał być produktem tutejszej cywilizacji. Mój tłumacz przy uchu działał bez zarzutu. — Zagrożenie ze strony wrogiego źródła impulsów minęło — ciągnął. — Jednakże bezpieczeństwo będzie większe, kiedy znajdziesz się na przyczółku. Proszę — jeden z wysięgników wykonał ruch, przypominający gest aktora, grającego manekina. Celował w środkowy pojazd. — Czy życzysz sobie, żebym cię przeniósł?

Nie życzyłem sobie. Niezbyt skwapliwie, ale i nie tak powoli, by mógł się zniescierpliwic, ruszyłem we wskazanym kierunku. Asysta, oczywiście, podążyła za mną. Spostrzegłem, że

„źródło wrogich impulsów” idzie także, wciąż zamknięte w luźnym uścisku zakrzywionego ramienia.

— Gdzie mam się znaleźć? — spytałem, przystając mimo woli. Cała kawalkada natychmiast zatrzymała się również. — Na przyczółku?

— Tak. Wylądowaliśmy obok Centrum. Stamtąd przypuścimy atak. Proszę — przypomniał, że czas nagli.

Usłużna łopатовata łapa, użyta w charakterze podnośnika, pomogła mi wleźć do jaja.

Wewnątrz było więcej miejsca, niż się spodziewałem. Usadowili mnie wygodnie na jakiejś miękkiej skrzynce. Mój towarzysz spoczął naprzeciwko, na podłodze. Dwa roboty, które weszły za nami zrobiły ze sobą coś, co sprawiło, że upodobniły się do zwalonych domków z kart. Tylko jedno ramię zachowało swoje kształty i rozmiary. To, które opasywało żywego tubylca. Dach zamknął się nad nami. Zapadła zupełna ciemność. Ale niemal natychmiast znowu zrobiło się jasno. Pokrywy pojazdu ponownie stanęły otworem. Wyprostowałem się i rozejrzałem.

Nie wiedziałem, że lecimy. A jednak znajdowaliśmy się już gdzie indziej.

Z nieba spadło dokładnie dziewięć iskier. Dziewięć ciężkich żuków, identycznie jak te, które przyleciały po nas do zamieszkałego wąwozu, ustawiło się na obrzeżu owego wyodrębnionego placu za okrągłą budowlą.

W tym momencie mój towarzysz zerwał się z miejsca. Robot natychmiast ścisnął go mocniej. Piękną twarz zniekształcił grymas bólu. Mimo to Złoty zdołał zawołać, i to tak, że jego głos odbił się echem od dalekich pagórków.

— Czy tu ktoś jest?!!! Z jakiej bazy przybywacie?! Wyjdź, jeśli siedzisz w którejś z maszyn! Odezwij się!

Echo umilkło. Cisza. Zza rotundy dobiegł przytłumiony zgrzyt. Zaraz potem drugi.

— Mnie nie będą odpowiadać! — to padło pod moim adresem. — Dla nich jestem inspektorem i nikim więcej. Mów ty!

Wzruszyłem ramionami.

— Przepraszam cię — powiedziałem. — Wolałbym nie mieszać się w wasze sprawy.

— P y t a j !!! Już!!! To także twoja sprawa! Jeśli chcesz kiedykolwiek...

Nie czekałem, aż skończy.

— Kto wami dowodzi? — zwróciłem się do robota. — Czy jest tutaj ktoś... — zawahałem się — zbudowany tak jak ja i ten, kto przed chwilą krzychał?

— Ktoś żywy? Nie — mnie robot rzeczywiście odpowiedział od razu. — Wysłał nas ośrodek informatyczny bazy numer dwadzieścia siedem. Zaprogramował lot i akcję.

— Słyszałeś? — spytałem jednego, prócz mnie, żywego.

— Co przewiduje ten program?! — cisnął gorączkowo.

Powtórzyłem.

— Uratowanie zagrożonego c z ł o w i e k a i wykorzystanie obecności c z ł o w i e k a do zniszczenia wadliwego układu społecznego, poprzez przeprowadzenie ataku na centralny, wyjściowy węzeł informatyczny.

— Absurd! — krzyknął Złoty. — Nie mają najmniejszych szans!

— Podobno nie macie najmniejszych szans — powiedziałem, zaznaczając tonem, że nie mówię tego od siebie.

— Z c z ł o w i e k i e m mamy szansę — zaprzeczył robot. — On przekształca strukturę układu swoim oddziaływaniem. My tylko musimy mu zapewnić bezpieczne dotarcie do Centrum. C z ł o w i e k chce zmienić wadliwy układ. To wystarczy. Tak jest zapisane w naszym programie.

— Wystarczy, że człowiek chce? — to pytanie zadałem już od siebie.

— Tak.

Mój przyjaciel z Alfy wydał zdławiony jęk.

— Powiedz im, żeby natychmiast wracały tam, skąd przybyły! — zawołał. — One nie wiedzą, że komputery w bazach mogą być w każdej chwili zdalnie unicestwione. Awaryjne zabezpieczenie, rozumiesz?! Stracą kontakt ze swoim ośrodkiem i automatycznie przejdą pod kontrolę Centrum! A my razem z nimi! Tu działa teraz jeszcze moment zaskoczenia.

Bezpośredniego ataku nikt nie przewidywał. Prawdopodobnie trwa mobilizacja. Ale to kwestia minut. Potem... co ci będę tłumaczyć. Niech startują! Już!

— Czy jednak odrobinę mnie nie przeceniasz? To, że chcą ze mną gadać, nie oznacza jeszcze, bym mógł im rozkazywać.

— C z ł o w i e k u !!!

Właściwie to nawet wcale nie najgorsza zabawa, nagle znaleźć się na obcej planecie jako zaufany towarzysz fałszywego szpicla, który raptem utracił grunt pod nogami. Do tego w charakterze pana i władcy miejscowych robotów, planujących atak na centralną władzę.

— Czy moglibyście przerwać akcję i wrócić do bazy? — rzuciłem lekko.

— Z nami! — uzupełnił skwapliwie mój Złoty.

— Z nami — zgodziłem się.

— Czy to jest rozkaz? Zmiana programu?.

— Tak.

Skrzydła dachu pojazdu zaczęły pełznąć w górę. Do ostatniej chwili patrzyłem na lunę, kłującą niebo rytmicznymi błyskawicami.

Ciemność trwała tym razem dłużej. Jajowate żuki nie były chyba przeznaczone do przewożenia ludzi. Posiadały jednak aparaty wytwarzające powietrze. Oddychało się w nich zupełnie normalnie.

Minął jakiś czas, zanim zorientowałem się, że dach jest ponownie otwarty. Pewnie w ogóle bym tego nie zauważył, gdyby nie gwiazdy. Nieskończenie dużo gwiazd, wielkich i nieruchomych. Nie mrugały, nie filowały, nic ich nie interesowało. Oczywiście, brak atmosfery. Prawdziwe gwiazdy rodzą się i żyją w powietrzu, nie ponad nim. Niebo było czarnofioletowe.

— Niech mnie puszczą i niech mi oddadzą komunikator — głos mojego przyjaciela z Alfy (pewnie ten martwy świat nad naszymi głowami sprawił, że już drugi raz nazwałem go w myśli przyjacielem), brzmiał nieco spokojniej, choć ponuro.

Powiedziałem, żeby puściły i żeby oddały. Ramię, które obejmowało Złotego, znikło.

Drugi robot wręczył mi zarekwirowane uprzednio pudełeczko. Ruch łańcuszka przebiegł przez mrok jak gasnąca iskra. Moje oczy powoli oswajały się z ciemnością. Złoty podniósł komunikator do ust i zaczął mówić.

Nagle zalało nas światło. Wstałem i powiodłem wzrokiem po otoczeniu.

Byliśmy na martwej planecie, albo jakimś satelicie. Podłoże stanowiła skała. Na wprost mnie szarzała bryła niewielkiej budowli, czy raczej bunkra, z wejściem poprzedzonym tunelowatym przedsionkiem. Śluza? Chyba tak. Teren był pewnie nakryty niewidzialnym polem, podobnie jak owe wstydlive fabryki, wśród malowniczych pagórków. Wnętrze siłowego pęcherza wypełniało powietrze, jednak na wypadek awarii pomyślano i o śluzie. Bardzo roztropnie.

Na granicy oświetlonego kręgu widniały zarysy zabudowań i konstrukcji, których dalsze fragmenty tonęły w ciemności. Obiekty przemysłowe. Jasne. Znajdowałem się przecież w placówce wytwórczej.

Mój towarzysz ciągle przynosił swój komunikator od ust do ucha i z powrotem. I ciągle posługiwał się niezrozumiałym dla mnie szyfrem. W pewnym momencie opuścił rękę.

— Baza numer dwadzieścia siedem jest bezludna — powiedział z ulgą. — Ale dzisiaj...

Nie musiał kończyć. Dzisiaj baza nie była bezludna. Drzwi otworzyły się na oścież. Z

bunkra wyszła jakaś postać, zrobiła dwa kroki w naszą stronę i zatrzymała się.

Złoty. Tak, to również był Złoty, ale jakże inny od wszystkich, których widziałem na Alfie.

S t a r y . W sztucznym świetle wyglądał jak chory, wyblakły lew z rysunkowej bajki. Rzadka,

splowiała, nastroszona grzywa. Zapadła, pomarszczona twarz. Był wysoki, lecz przeraźliwie

chudy i przygarbiony. Jednak, kiedy się odezwał, jego głos zabrzmiał nadszpiewanie

mocno i młodo.

— Przepraszam, że nie wyszedłem od razu. Byłem w dyspozytorni — wyjaśnił.

— Czy to ty spowodowałeś atak? — spytał mój Złoty.

— Skądże — zaprzeczył stary. — Przyleciałem, kiedy on zdążył już wysłać na Ziemię

wszystko, co miał pod ręką.

— Kto?

— Miejskowy komputer. Odebrał sygnał, że w pobliżu Centrum pojawiliście się wy —

powiedział „wy”, lecz patrzył wyłącznie na mnie. — Uruchomił zakonspirowany program —

ciągnął — ponieważ, jak wynikało z danych, którymi dysponował, zostały spełnione warunki,

umożliwiające jego realizację. Oczywiście, sam wiesz najlepiej jak fatalnie się pomylił.

Próbowałem go powstrzymać, ale on żąda autora zapisu — nie spuszczał wzroku ze mnie. —

Nie ma rady — podjął ciężko, po krótkiej pauzie. — Trzeba będzie zrezygnować z tej

pozycji. Zostaną nam... szkoda gadać — koścista ręka wykonała wymowny gest. —

Pójdziemy tam, prawda? Tylko przedtem muszę jeszcze coś sprawdzić... — nagle odwrócił

się i zniknął w przedsionku.

— Kto to jest? — spytałem, mimo woli zniżając głos.

— Zbuntowany — odrzekł mój Złoty. — Aktywny, taki jak ja.

— Mówił, że przyleciał, kiedy komputer w tej bazie już zaczął szaleć. Skąd wiedział, że akurat tu coś się dzieje?

— Mamy pewien sposób porozumiewania się. Znają go również orbitalne węzły informatyczne, które swego czasu otrzymały potajemnie dodatkowy wpis.

— A jak ten komputer dowiedział się, że my — bezwiednie położyłem nacisk na ten zaimek — wylądowaliśmy w waszym świecie, niedaleko Centrum?

Musnął mnie zagadkowym spojrzeniem.

— Nie wiem. Domyślam się tylko. Mózg człowieka wysyła impulsy...

— Mózg człowieka — uśmiechnąłem się. — Skąd wiesz, że dla mnie, po cichu, jesteś po prostu człowiekiem?

Z kolei on się uśmiechnął. Błado, z jakimś dziwnym wyrazem w oczach.

— To nietrudno odgadnąć — powiedział. — Ale nie mówiłem o sobie.

— Wracając do tego starca — prędko zmieniłem temat — co on robi, poza tym, że jest zbuntowany?

— Pracuje jako inżynier w jednej z większych baz.

— W tym wieku?

Znowu ten szczególny uśmieszek.

— Jest moim rówieśnikiem.

— Co?

— U was nauka już sto lat temu знаła wyciąg białkowy wiążący tkanekę, a także przywracający jej pierwotną elastyczność i zwartość. Nazwano go collagenem. W twoim świecie to się jakoś nie przyjęło...

— Przyjęło się — sprostowałem — tylko nie na masową skalę. Rzecz wciąż jest niesłychanie kosztowna. Ludzi na to zwyczajnie nie stać.

— My mamy technologie nieco bardziej zaawansowane. Natomiast kwestia ceny nie istnieje w ogóle. Środki zapewnia Centrum, a kuracja jest obowiązkowa. Czy nie zwróciłeś uwagi, jak wyglądamy?

— Owszem. Dlatego tak mnie zdziwił widok tego staruszka. Czekał no, to ile ty właściwie masz lat?

— Osiemdziesiąt siedem. Jeszcze nic strasznego. Dożywamy półtora wieku. Do ostatniej chwili będę mieć taką figurę i taką twarz jak teraz. Ale aparatura się zużywa... nawet w szczerozłotym opakowaniu.

— A on?

— Nie chciał. Pozwolono mu, ponieważ jest inżynierem i nigdy nie odwiedzi Ziemi. Tam natychmiast trafiłby do sanatorium.

Zastanowiłem się.

— Jeśli do ostatniej sekundy życia każdy z was wygląda jak ty w tej chwili — powiedziałem — to ta obowiązkowa kuracja sprawia też pewnie, że nigdy nie chorujecie. W pięknym świecie, doskonale spokojnym, piękni, zdrowi i młodzi osiągacie wiek stu pięćdziesięciu lat. Wszyscy. Dzięki owemu hokus pokus z fotosyntezą nikt nie bywa głodny, ani spragniony. To nie tylko idealna harmonia. To również coś w rodzaju idealnej demokracji. Nie wiem, mój drogi zbuntowany, czy byłbym po twojej stronie.

— Byłeś po mojej stronie — odparł. — A demokracja nie polega na tym, że wszyscy posiadają identyczne dobra, materialne czy niematerialne. Ani na rządach większości. Jej istotą jest to, że mniejszość ma równe prawa.

— Cytujesz moich ziomek i do tego starożytnych — zauważyłem.

— Twoi starożytni ziomekowie tego nie opatentowali. Zresztą, nawet nie odkryli jako pierwsi.

W drzwiach ponownie ukazał się blisko dziewięćdziesięcioletni inżynier. Jego rówieśnik, młody i śliczny jak wcielenie Apollina, ruszył mu naprzeciw.

— Możemy wejść — powiedział stary. — On czeka — znowu patrzył na mnie. Cały czas na mnie.

Dyspozytornia znajdowała się w trzecim, czy czwartym pomieszczeniu, licząc od przedsionka. Nie było w niej żadnych sprzętów, jeśli nie liczyć wtyczek, kabli, kilku małych, przytwierdzonych do ściany puszek, oraz jednego, wystającego z podłogi stożka, zakończonego kulką z opalizującym okiem.

— Witaj, c z ł o w i e k u — odezwało się oko.

Tym razem nie zrewanżowałem się moim zwykłym, uśmiechniętym „dzień dobry”.

Zerknąłem pytająco na Złotego z Alfy.

— Porozmawiaj z nim — rzekł. — Rozkaż mu, żeby wymazał ze swojej pamięci dodatkowy program.

— Dlaczego akurat ja? I co to w ogóle jest?

— Usta i uszy węzła informatycznego tej bazy. Dlatego ty, że on usłucha jedynie autora zapisu.

Przestałem się wzbraniać. Musiałbym dalej pytać.

— Dzień dobry — powiedziałem więc, ze spóźnionym uśmiechem. — Wymaż ze swojej pamięci dodatkowy program, dobrze?

— Program wymazany — oświadczyła kulka.

Za sobą usłyszałem dwa westchnienia.

— Czy go zapomniałeś? — zadał pytanie stary.

— Tak — teraz komputer odpowiadał już każdemu c z ł o w i e k o w i . Nie wyłącznie mnie.

— Mógłbyś jednak, gdyby tego od ciebie zażądano, ujawnić, że na polecenie przybyłej tu

żywej istoty skasowałeś jakieś pole informacyjne w swojej pamięci?

— Tak.

Młody Złoty wyprostował się. Spojrzał na starego. Następnie przeniósł wzrok na mnie.

— Centrum przeczesuje obecnie bazę po bazie szukając sprawców ataku — rzekł. — Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że zdemaskują nas w ciągu najbliższych paru sekund. A zatem...

— Tak — przerwał krótko stary, jakby naśladował głos komputera.

Mój towarzysz podniósł do warg swój komunikator. Teraz nie używał już żadnego szyfru.

Mówił twardo, dobitnie, oficjalnym tonem:

— Jestem w bazie numer dwadzieścia siedem. Aresztowałem dwie osoby, które dopuściły się zniekształcenia programu tutejszego komputera. Jedna z nich jest naszym inżynierem.

Druga przybyszem z obcej planety. W wyniku ich machinacji komputer wysłał maszyny z robotami, polecając im dokonanie napaści na Centrum. Niebezpieczeństwo jest zażegnane.

Wrogi program został skasowany. Należy jednak dokonać szczegółowej inspekcji, a także zabrać stąd zatrzymanych. Powtarzam, baza numer dwadzieścia siedem. Czekam.

Umilkł i popatrzył na mnie, jakbym naprawdę był jego wrogiem.

— Musiałem — powiedział, chowając w dłoni pudełeczko z łańcuszkiem. — Oni i tak by tu lada chwila przylecieli. Jest nas bardzo niewielu i nie mogę lekkomyślnie narażać się na wyłączenie z gry. Może następnym razem powiedzie nam się lepiej. A ty — zwrócił się z kolei do starego — uciekaj. Nie znam cię, nigdy cię przedtem nie widziałem. Szybko.

— Intryga i przyjaźń — mruknąłem mimo woli. Obaj spojrzeli na mnie nieprzytomnie.

Przybrałem niewinny wyraz twarzy, charakterystyczny dla ofiary policyjnej pomyłki.

— Oświadczyłeś przecież, że aresztowałeś dwie osoby — wzbraniał się wiekowy inżynier.

— Nonsens — mój Złoty chwycił go za ramię i zaczął ciągnąć w stronę wyjścia. — Jestem

nieuzbrojony. Musiałem pilnować przede wszystkim o b c e g o . I tak zasłużyłem na medal.

Byłem na miejscu, kiedy nastąpił atak, zawróciłem napastników, wdarłem się do jednego z ich pojazdów, przyleciałem tutaj, unieszkodliwiłem komputer i zatrzymałem sprawców. Nikt nie weźmie mi za złe, że jednemu udało się zbiec.

Znajdowaliśmy się już na oświetlonym placu, w połowie drogi między przedsionkiem bazy a jajowatymi żukami. Stary dał się wreszcie przekonać. Skinął nam głową, po czym wsiadł do najbliższego pojazdu. Zamknął kabinę i wystartował. To znaczy, zniknął.

Te podróże przez przestrzeń rzeczywiście opanowali do perfekcji.

Przybyli na wezwanie najwyżej dwie minuty po ucieczce mniej ważnego ze sprawców.

Trzy wielkie baki, z których wysypało się po dziesięciu funkcjonariuszy alfiańskiej legislatury. Jeden z nich stanął przede mną i nie patrząc na mojego towarzysza uniósł rękę.

Już myślałem, że powie „witaj, człowieku”. On jednak zachował się bardziej po ludzku.

— To ten? — warknął. Mój Złoty przytaknął. Celująca we mnie ręka podniosła się wyżej.

Straciłem przytomność.

Nie wiem, może zdarzało mi się to, jeszcze zanim zawarłem bliższą znajomość z Jałowcem i parą jego współpracowników. Może z natury byłem zbyt wrażliwy i delikatny. Jedno jest pewne. Odkąd opuściłem pierwszy pawilon w parku na pewnej odległej planecie, tracenie przytomności stało się u mnie czymś równie powszednim jak odruch ssania u jednodniowych szczeniąt.

Jeden atlasowy głos opowiadał jedną uroczą historyjkę, drugi drugą. Obie były o mnie. Z obu wynikało niezbiecie, że jestem mądry i wspaniały. Bardzo mi się podobały, ale męczyło mnie rozdzielanie tych głosów, żeby nadażyć za różnymi wątkami różnych opowieści. Wobec tego dałem sobie z tym spokój i pozwoliłem się kołysać tylko ich brzmieniu. To było jeszcze przyjemniejsze. Tym bardziej, że kołysały mnie nie same dźwięki. Leżałem na jakimś

nadmuchiwanym materacu, czy pontonie, pływającym prawdopodobnie po Zatoce Kadyksu.

Właśnie tam w pogodne dni często przelewają się takie długie, martwe, oceaniczne fale.

W pewnym momencie materac uniósł się jednak do pionu i postawił mnie na nogach.

Głosy umilkły. Otworzyłem oczy.

Kochali się w kołach. Sala była okrągła, miała okrągłe okna i okrągłą dziurę w podłodze, przez którą spiralne schody prowadziły na niższe piętro lub do podziemi. Połowę okrągłego stołu na wprost mnie obsiadła piątka Złotych.

— Skąd pan przybywa? — spytał jeden z nich, różniący się od pozostałych tym, że zajął środkowe miejsce. Innych różnic nie było.

— Z Kadyksu — odrzekłem uprzejmie.

— Gdzie to jest?

Naszkikowałem mu, jak umiałem, zachodnią linię brzegową Andaluzji. Osobnik siedzący po lewej stronie dotknął palcem spoczywającego na stole okrągłego pudełka z pigułkowatymi oczkami.

— Nie znamy takiej planety — powiedział środkowy.

Uśmiechnąłem się przepaszająco i bezradnie rozłożyłem ręce.

— Czy chce pan tam wrócić?

— Tak.

— Po co pan do nas przylatuje? W bazie numer dwadzieścia siedem to pan wymazał z pamięci komputera nielegalny wpis do programu, w wyniku którego nastąpiły zbrodnicze zaburzenia. Z tego wynika, że znał pan treść owego wpisu. A skoro tak, najprawdopodobniej sam go pan kiedyś wprowadził. Zatem, jest pan tutaj nie pierwszy raz i bynajmniej nie w przyjacielskich zamiarach. Czy w tej sytuacji możemy panu pozwolić odejść, narażając się na dalsze wrogie akcje?

— Nie pamiętam, bym kiedykolwiek przedtem bawił w waszym świecie — odparłem zgodnie z prawdą — i nic mi nie wiadomo na temat nielegalnych operacji, jakoby dokonywanych przeze mnie w waszych bazach czy gdziekolwiek indziej. Rzeczywiście poleciłem komputerowi, by skasował jakiś zapis w swoim programie, ale wbrew temu, co mi zarzucacie, nie znałem jego treści. Zostałem namówiony. A poza tym przysięgam na wszystkie najświętsze świętości, że nie mam względem was w ogóle żadnych zamiarów. Ani przyjacielskich, ani wrogich.

Chwilę panowała cisza.

— Dobrze — odezwał się wreszcie znowu środkowy. — Jest pan przybyszem z kosmosu i tylko dlatego potraktujemy pana wyrozumiale. Nie chcemy narażać się na ewentualną interwencję pańskich ziomków, w razie jakiegoś... wypadku — wstał. — Przed chwilą przeszedł pan terapię rozluźniającą, którą stosujemy wobec wszystkich, hm, interesantów. Teraz zostanie pan poddany egzaminowi — oświadczył kategorycznym tonem. — Musimy sprawdzić, czy istnieje między nami dostateczna duchowa bliskość, byśmy mogli zawierzyć pańskim słowom — nie od razu połąpałem się, o co mu chodzi. Doprawdy, jak na oficjalnego przedstawiciela idei harmonii i piękna wysławiał się wręcz katastrofalnie. — Jeśli wynik wypadnie pozytywnie — ciągnął w tym samym stylu — odbierzemy od pana przyrzeczenie, że nigdy pan tu więcej nie przyleci. Wtedy będzie pan mógł wrócić do siebie.

— Jestem gotowy — powiedział ktoś za moimi plecami. Poznałem głos m o j e g o Żłotego. A kiedy się odwróciłem, poznałem również jego twarz. Nie wiem po czym, ale poznałem.

Widać mimo wszystko nie było to niemożliwe.

— Wyprowadzić!

— Do widzenia — obdarowałem ich na pożegnanie uśmiechem, mającym świadczyć o

niesłuchanie bliskiej więzi duchowej między nami.

Prowadzony przez przyjaciela szpicla zszedłem spiralnymi schodami w dół, do małego, okrągłego przedsionka z otwartymi drzwiami, za którymi widniała wolna, słoneczna przestrzeń. Na zewnątrz zatrzymałem się. Z lewej strony był gęsto zarośnięty ogród, czy nawet park. Skąd tutaj park? Przecież opuściliśmy właśnie wielką rotundę. Powinienem ujrzeć gładkie pole, dalej złoty parkan, a jeszcze dalej wzgórza z pierwszymi domkami. Powiedziałem to mojemu towarzyszowi.

— Bez pytań! — rzucił do komunikatora. Wyłączył go i rzekł cicho: — Z daleka nie widać. Tak jak fabryk. Idź w prawo.

Na prawo znajdowało się to, co było widać również z daleka. Rozległy, ogrodzony plac, a w perspektywie pagórki. Pomyślałem, że czeka nas kawałek drogi. Myliłem się.

Czarodziejskie pudełeczko w wersji dla inspektorów kryło w sobie rzeczywiście bogate możliwości. Coś w nim nacisnął, coś przesunął, mruknął dwa niezrozumiałe słowa, po czym wziął mnie za rękę. Zrobiłem jeszcze jeden krok, poczułem znane mi już mrowienie, które przebiegło moje ciało od stóp do włosów i ułamek sekundy później znowu oglądałem świat od spodu. Znowu pędziłem przez kolorowe kryształy. Zdążyłem jednak uświadomić sobie, że Złoty wezwał swój latający dzwon wprost pod boczne drzwi Centrum, przez które tak szczęśliwie wydostaliśmy się na wolność.

— Bardzo pana przepraszam — powiedziała niepewnie Helena, zerkając w stronę wejścia do pawilonu. — Najpierw muszę tam zajrzeć sama. Wrócę po pana dosłownie za minutę... Zacząłem się z nią przekomarzać. Mówiłem, że minuta bez niej to wieczność, pytałem, czemu nie uprzedziła ich telefonicznie, skoro musieli odpowiednio przygotować się na moje przyjęcie, wreszcie postawiłem warunek: niech zwróci się do mnie po imieniu. Wykrztusiła: Marku... więc roześmiałem się, powiedziałem: idź, kochanie, idź — a kiedy zniknęła za

drzwiami, zszedłem ze ścieżki na trawnik. Oparłem się plecami o drzewo i ukryty w miłym chłodzie patrzyłem na park, krzewy i kwiaty. O czymś sobie leniwie myślałem. Nagle obok mnie zmaterializowała się jakaś postać. Ujrzałem złotą Adonisoфроdytę i natychmiast przeniosłem się do bieżącej rzeczywistości.

— Miało być dokładnie w tym samym momencie — burknąłem. — Nie później, ale i nie w c z e ś n i e j . Nie jesteś znowu aż takim wirtuozem struktury zakrzywionej przestrzeni, jak ci się zdaje.

— Nie popełniłem błędu — odrzekł. — Przesunięcie miało charakter podgeonicznego kolapsu i powstało z powodu przemieszczenia pojazdu. Gdyby został tam, gdzie wylądowaliśmy...

— Załóżmy, że rozumiem — spojrzałem na niego lekko zdziwiony, bo ni stąd ni zowąd schował się za pień drzewa. — Ale to cię nie usprawiedliwia. Pisarz nazwiskiem Wells, który żył dwieście lat temu i który nie miał pojęcia o geonice, przedstawił identyczne przesunięcie, tyle że nieodwracalne w skutkach, przynajmniej dla bezpośrednio zainteresowanego. Coś takiego groziło i mnie. Czy wiesz, na co byś mnie naraził, gdybym wrócił nie wcześniej, a później i nie zastał już pewnej ślicznej dziewczyny? Byłaby to kompletna klęska.

— Sądzę, że i z takiej opresji wyszedłbyś obronną ręką — powiedział z powagą. — A jeśli chodzi o pisarzy i artystów, którzy potrafili logicznie myśleć, to urzeczywistnianie się ich wizji jest zjawiskiem normalnym i naturalnym, jak określony kierunek ewolucji w określonych warunkach. Chyba się teraz pożegnamy, co?

— Poczekaj — zatrzymałem go. Drzwi pawilonu wciąż jeszcze były zamknięte. — Czy nic ci nie robią za to, że mnie puściłeś?

— Powiem, że pojazd, którym przybyłeś, przypadkiem stał akurat tam, gdzie miał się odbyć egzamin. Wsiadłeś i odleciałeś. Rozpłynąłeś się. Uwierzą mi, możesz być pewny.

— Jak na szlachetnego buntownika, walczącego o świetlaną przyszłość twoich bliźnich, łąsz zastanawiająco dobrze. Rzekłbym, odrobinę za dobrze.

— Muszę... Człowieku.

Pokiwałem głową.

— Riposta byłaby celna, gdyby nie to: „muszę”. Pobrzmiwa w nim nutka chorobliwej przesady. Masz obsesję śmierci. To niewątpliwie smutne, ale zarazem, daruj mi, trochę banalne.

— Czy istnieje coś bardziej banalnego niż nekrologi? — odpowiedział pytaniem. —

Poświęcasz im mniej więcej tyle uwagi, co reklamom kosmetyków. Aż nagle widzisz ten, który sam ułożyłeś poprzedniego dnia. Wzruszysz ramionami i pomyślisz: banał.

— Właśnie — mruknąłem. — Kraczesz i kraczesz. Wybacz — zmieniłem ton. — Stale zapominam, że jesteś ode mnie o tyle starszy i że powinienem się do ciebie zwracać z szacunkiem, należnym siwym włosom, nawet, jeśli są złote. A propos, właśnie przyszło mi coś do głowy. Wspomniałeś mimochodem, że nie wtrącasz się tutaj w żadne nasze sprawy, które nie mają bezpośredniego związku z twoim światem i tym, co pragniesz dla niego zrobić. Z tego wynika, że w pewne sprawy jednak się wtrącasz. Z całkowicie dla mnie irracjonalnych powodów akurat ja, we własnej, jakże skromnej osobie, jestem jedną z takich spraw...

— Jedyń... — przerwał.

— Tym gorzej. Czy zatem w trosce o swoje interesy, przypadkiem sam, lub za czyimś pośrednictwem, nie poczęstowałeś i mnie tą magiczną substancją, która tak cudownie wiąże tkankę i przywraca młodość? Może jestem jeszcze starszy niż ty i ten twój przyjaciel inżynier, przypominający wyliniałego lwa?

— Owszem — rzekł sucho. — Przeszedłeś tego rodzaju kurację. Za czyimś, jak się wyraziłeś, pośrednictwem. Ale i bez niej mógłbym być twoim dziadkiem... gdybym

pochodził stąd. Co jeszcze chcesz wiedzieć?

— Przepraszam za Iwa — wycofałem się. — Co chcę wiedzieć? — powtórzyłem z ociąganiem. — Och, najwyżej parę drobiazgów — rzuciłem zdawkowym tonem. — Na przykład te twoje napomknięcia, dotyczące naszych dawnych wspólnych przygód. Tam coś kiedyś w twojej obecności doradzałem, gdzie indziej zmieniałem programy. I tak od bez mała dwudziestu lat?

— Byłem tu, kiedy pierwszy raz przechodziłeś przez pawilony tego instytutu — powiedział. — Szukałem ratunku w całym dostępnym nam zamieszkanym kosmosie. Odebrałem impuls. Jeszcze bardzo słaby, ale zwiastujący pojawienie się szansy. Ten impuls wysłałeś ty. Twój mózg, po wstępnych, nader niedoskonałych zabiegach, dokonanych przez tutejszego naukowca, doktora Iwo. Czyżbym ci o tym nie wspominał? Potem wziąłem cię ze sobą. Stworzyłeś plan. Ludzie mieli emigrować na planety naszego układu, stacje satelitarne, do baz produkcyjnych, bądź gdziekolwiek, byle w kosmos. Coraz więcej ludzi. W końcu byłoby ich wystarczająco dużo, żeby się porozumieć, zjednoczyć i jednym atakiem rozbić tę skorupę, w której tkwimy, tocząc się wraz z nią ku nieuchronnej zagładzie. Przyjąłem ten plan... i przyjęli go również moi przyjaciele, ponieważ pochodził od ciebie. Uczyniliśmy to nie bez pewnych wątpliwości i obaw. Oczekiwaliśmy przecież od ciebie czegoś innego. O d d z i a ł y w a n i a . Wyłącznie o d d z i a ł y w a n i a . Niestety, jak na razie, spotkał nas zawód. Zresztą nie tylko nas...

Drzwi pawilonu otworzyły się i na ścieżkę wybiegła Helena.

— Do widzenia — rzekł Złoty.

— Uhm — mruknąłem. Do widzenia? Dlaczego nie. Ale tutaj i tylko tutaj. Tymczasem to jego jak na razie” otwiera pole do niejasnych domysłów, które lepiej, by pozostały niejasnymi.

Odbiłem się plecami od pnia drzewa i wyszedłem z cienia na słońce.

VII. ZIEMIA JEDEN. TRZY

Dziewczyna szła szybko, rozglądając się gorączkowo. Kiedy mnie spostrzegła, stanęła jak wryta i wydała cichy okrzyk.

— Witaj, człowieku — powiedziałem, podchodząc. Zobaczyłem równocześnie czerwoną plamę, wypływającą na jej policzki i zieloną strzałkę, która zapaliła się nad drzwiami. — Myślałaś, że ci uciekłem? Ja? Tobie? — spojrzałem na nią z gorzkim wyrzutem, po czym jednak prędko rozpląnąłem się w stosownym uśmiechu. Określiłbym go jako obiecujący.

Wieczór coraz bliżej — stwierdziłem rozmarzonym tonem. — Czyżbyś zapomniała? Słowiki, kwiaty, ustronna altana? No dobrze — posmutniałem i wskazałem wzrokiem drzwi. — Jak poszło? Wszystko gotowe?

— Bo ja... Bo... — wyjąkała. — Przepraszam. Nie było mnie dłużej, niż się spodziewałam. Tak, oczywiście, możemy wejść. Proszę.

Na progu dotknąłem jej ramienia.

— Jeszcze jedno — mruknąłem. — Pewnie to ogromnie niedyskretne pytanie, ale mam swoje powody. Powiedz mi do ucha — pochyliłem się — czy te twoje prześliczne złociste włosy są złociste z natury, czy też, szczęśliwym dla mnie zbiegiem okoliczności, troszeczkę tej naturze pomagasz?

Odsunęła się ode mnie z pośpiechem stanowczo godnym lepszej sprawy.

— Nie rozumiem...

— Wydawać by się mogło, że zagadnienie jest stosunkowo proste — zauważyłem. — Chodzi mi mianowicie...

— Mam włosy takie, jakie mam — przerwała naburmuszona. Nareszcie doszła w niej do głosu stuprocentowa kobieta.

Zaśmiałem się.

— To nic. I tak za tobą szaleję — uspokoilem ją, po czym wszedłem pierwszy.

Wszystko zielonkawe. Wszystko jak w pierwszym pawilonie, wyjąwszy kilka niewielkich aparatów na stojakach, połączonych kablami. Nad wezłowiem leżanki opuszczane rusztowanie. Jałowiec i Kobra patrzyli na mnie zimnawo. Położyłem się, wyciągnąłem jak długi, odetchnąłem z rozkoszą i powiedziałem:

— Już. Mogę tracić przytomność. Przecież nie powinienem widzieć, co spłynie na mnie z sufitu. Jeszcze bym się przestraszył i stracił wesoły nastrój. Jaki wtedy byłby ze mnie pożytek?

— Istotnie musi pan teraz zasnąć — rzekł doktor Iwo. — Tego wymagają badania. Nie będzie to jednak narkoza, tylko zwykły sen hipnotyczny. Proszę się rozluźnić i zamknąć oczy.

— Jak najchętniej. Przynajmniej co się tyczy oczu. Bo rozluźnić bardziej już się nie mogę.

Zasypiając spodziewałem się, że po przebudzeniu znowu zobaczę nad sobą brodacza monachijskiego i nie będę wiedzieć, gdzie jestem. Ale oczyszczanie pamięci z niepożądanych wspomnień należało widać jedynie do pierwszego etapu. Przyjemnie zdziwiony zeskoczyłem z leżanki na podłogę, wykonałem kilka przysiadów, po czym usiadłem i rozejrzałem się leniwie.

— Znowu ubyło mi parę lat — oświadczyłem. — Uważaj, aniele — zwróciłem się ostrzegawczo do dziewczyny. — Powiedz im, żeby w porę przystopowali. Inaczej któregoś dnia dojdę do wniosku, że jesteś dla mnie za stara.

— Może pan przejść do następnego pawilonu — oznajmił skrzypiącym głosem Kobra.

— Zastanę was tam?

— Tak.

— Pójdziecie jakimś tunelem? Czy tylko na skróty? No cóż, wy nie musicie trzymać się wytyczonego szlaku. Choć podejrzewam, że też go macie, a jedynie o tym nie wiecie.

Nieważne. Ważne, że tam będziecie. Zażęskniłbym się na śmierć, jeśli można tak powiedzieć.

A zmieniając temat, czy jest tu gdzieś w pobliżu studnia? Taka zwyczajna, staroświecka?

Znajdujemy się przecież w rezerwacie?

— Nie ma. Po co panu studnia? — zainteresował się Jałowiec.

— Drobiazg — machnąłem ręką. — Chciałem sobie coś sprawdzić. Od biedy

wystarczyłoby mi lusterko, ale studnia byłaby lepsza. Chodzi o element głębi i tajemniczości.

Pochyliłbym się powoli, zajrzał... i co bym zobaczył? Oto jest pytanie.

— A co pragnąłby pan zobaczyć?

— Na przykład człowieka — starałem się wymówić to słowo dokładnie tak, jak wymawiał

je robot na Alfie. Wymienili szybkie spojrzenia. To znaczy, Kobra i Jałowiec. Dziewczyna

usiłowała wypatrzeć zieloną pchłę, która właśnie skoczyła jej pod stopy i ukryła się w

zielonej, włochatej wykładzinie.

— Jakiego człowieka? — odezwał się po chwili siwy. — Takiego, jakim jest, czy takiego,

jakim być powinien?

— Ajejeje! — złapałem się za głowę. — Jeszcze jedno podobne zdanie, a zacznę myśleć.

Myśleć i mówić. O homeostazie, przebudowie neosfery, skali wartości, o istocie etycznej i o

sprzecznościach współewolucji rozumu oraz przyrody. Dorzucę jeszcze parę słów o

motywacjach i co? Albo z pacjenta stanę się nagle waszym uczonym kolegą, albo weźmiecie

mnie za durnia, powtarzającego wyświechtane truizmy, albo, ponieważ nie wolno mi

filozofować, uznacie, że skoro jednak filozofuję, to widać w pierwszym pawilonie

popelniliście błąd i będę tam musiał natychmiast wrócić, abyście go mogli naprawić. Żadna z

tych trzech ewentualności nie wydaje mi się na tyle pociągająca, bym miał tu siedzieć choć

sekundę dłużej. Bywajcie — skierowałem się ku drzwiom. Zatrzymał mnie głos Kobry.

— Wspomniał pan o motywacjach... — odwróciłem się i spojrzałem na niego z sympatią.

Wreszcie porządnie zasyczał.

— Tylko mimochodem — zastrzegłem się prędko. — I nie miałem na myśli siebie.

Osobiście nie znajduję w sobie jakichkolwiek motywacji. Natomiast na was nie postawiłbym złamanego grosza. Jest taka jedna motywacja. Fachowcy nazywają ją hubrystyczną. Polega na niepokromionej potrzebie stałego potwierdzania własnej ważności. Chodź, aniele — skłoniłem głowę w stronę Heleny. — Najwyższy czas, żebyśmy się wzajemnie trochę samopotwierdzali. Brzmi to może odpychająco — przyznałem — ale nie zrażaj się. Zobaczysz, będzie jak w starym kinie.

— Chwileczkę — zaproponował tym razem Jałowiec. Wzruszyłem ramionami i zatrzymałem się ponownie.

— Żeby potem nie było na mnie — powiedziałem. — O nic nie pytam, niczego nie doradzam, nawet nie patrzę w kierunku komputerów.

— Właśnie — podchwycił. — Z tonu, jakim przed chwilą wymówił pan słowo: człowiek, oraz z tego, co usłyszeliśmy teraz wynika, że przed przyjściem tutaj odbył pan... miał pan jakieś spotkanie. Coś pan przeżył, lecz nic nam pan o tym nie mówi.

— Nawet jeśli mały wiaterek z kosmosu sypnął mi w oczy garścią informacji, to stało się to bez udziału mojej woli — oświadczyłem. — A zważywszy waszą rozbajającą, dziecięcą szczerłość, jak panu nie wstyd podejrzewać, że w rewanżu ja coś przed wami ukrywam?

— Lepiej, by pan jak najmniej wiedział o zdarzeniach, w których pan kiedykolwiek i gdziekolwiek uczestniczył — odrzekł. — Lepiej dla sprawy. Ponieważ jednak w miarę upływu czasu i tak będzie pan stopniowo odkrywać przypadkowe karty, kilka rzeczy panu wyjaśnimy. Najpierw o motywacji, skoro od niej zaczęliśmy. Nie kierują nami egoistyczne cele, nie szukamy samopotwierdzenia się, w ogóle nie myślimy o sobie. Pracujemy w imię sfery rozumu, o której to przebudowie wyrażał się pan tak ironicznie, bo jest ona absolutnie

konieczna, jeśli mamy przetrwać. Przedstawiciele różnych dyscyplin, generalnie podzielający nasz pogląd na problemy współczesnego świata, różnie próbują przyczynić się do poprawy sytuacji. Co do nas, jesteśmy psychofizykami i działamy w ramach naszej specjalności.

Postanowiliśmy stworzyć alotropiczną odmianę, pierwiastka ludzkiego w społeczeństwie.

Wie pan przecież, na czym polegają naturalne i sterowane procesy alotropii... pomijając samo zjawisko, które jest stare jak wszechświat. Zmiany zaczynają się w jednym miejscu i rozszerzają. Obejmują sąsiednie drobiny, te zarażają, że tak to określe, znowu sąsiednie i tak dalej. Bez naruszania stanu skupienia...

— A jakże — przerwałem. — Pewnie, że wiem. Na przykład czysta cyna nagle, ni stąd ni zowąd samorzutnie rozsypuje się w drobniutki proszek. Stan skupienia? Ten sam, czego chcecie. A małutka, niezauważalna zmiana zaczyna się, jak pan słusznie powiedział, w jednym punkcie. Całkiem podobnie zaczynają się rak u cioci Frani, czarna ospa w Bangladeszu i cywilizacja na dziewiczej planecie, kiedy małpa zeżre dzikie jabłko wiadomości złego i dobrego. Psychofizyka uratuje ludzkość? W ogóle nauka? Przepraszam — podniosłem dwa palce. — Czy mogę wyjść?

— Jedną z naszych decydujących przesłanek było uzmysłowienie sobie faktu, że zasięg pseudonaukowego ogłupienia przekroczył na Ziemi wszelkie dopuszczalne granice — odezwał się Kobra.

— Naprawdę? — ucieszyłem się. — Znakomicie. Uzmysłowiliście sobie, poszperali w historii i odkryli, że wroga zawsze najskuteczniej zwalczało się jego własną bronią. Moje gratulacje. Ale osobiście, jako nieuczona jednostka, rządzona przez naukę, mam dobre prawo wyrzucania do kosza wszystkiego, co mi się z tych czy innych powodów, albo i bez powodów, nie spodoba. Do licha! Zapomniałem, że nie jestem jednostką. Kiedy umrę, będzie to tak, jakby oswojonemu tapirowi ucięto koniuszek szczeciniastego włoska nad tyłkiem.

Tapir niczego nie zauważy i pójdzie sobie spokojnie dalej. A włosk odrośnie.

— Prosiliśmy, żeby pan nie myślał o sobie, jako o jednostce. Nie mówiliśmy, że pan nią nie jest — zdobył się na odkrywcze stwierdzenie Jałowiec. — Co więcej, tak się składa że właśnie tylko jako samodzielna jednostka i to o wybitnie indywidualnych cechach może pan wykonać swoje zadanie. W warunkach jakie stworzyliśmy na Ziemi, stymulowane przez naukę niezbędne przejście od kultury wzrostu przemysłowego do kultury biologicznej zajęłoby nam teraz dwieście lat. To za długo. Nie przetrwalibyśmy nawet pięćdziesięciu.

— Stara śpiewka — westchnąłem. — Inwestuj w tysiąclecie, ale to i tak na nic, bo twoim upragnionym światem jest sad, którego nie posadziłeś i którego nie doczekasz. A wy: nie. Wy bierzecie pierwsze z brzegu drzewko, szczepicie je i rach ciach ciach, sypią się owoce. Kto to powiedział, że jest tylko jedna rzecz głupsza od pesymizmu, mianowicie optymizm?

— Nie wiem — Jałowiec machnął ręką. — Musi pan się czuć dobrze. Musi pan być idealnie zdrowy i wesoły — wrócił do punktu wyjścia. — Rzeczywiście nie powinien pan rozmyślać, rozpamiętywać. Niemniej do swojej misji mógłby się pan odnosić trochę bardziej serio.

— Naprawdę? Skoro już i tak odsądziliśmy od czci i wiary całą naukę, pozwólcie, że postawię nienaukowe pytanie: po co?

— Odrzucanie tego pytania było przez stulecia największym błędem nauki — rzucił Kobra.

— Tośmy sobie pogadali — zatarłem ręce. — Taki mały, odprężający bełkocik przed podwieczorkiem. Mam iść przeciw czasowi? Pod prąd? Niedoczekanie. Kiedy zdrowy, wesoły facet stoi w strumieniu i nadstawia prądowi plecy, to jest mu dobrze i nikomu nie szkodzi. W związku z tym uprzejma prośba: nie zawracajcie mi głowy.

— A jeśli wystarczy sam fakt, że pan wejdzie do tego strumienia? — podsunął doktor Iwo.

— Bo skoro prąd ma kierunek... i tak dalej — wyszczerzyłem do niego zęby. — Przecież to sofizmat. Nieprawda.

— Nie sofizmat — zaprzeczył. — A kryterium prawdy odrzucamy. Bo co to jest prawda?

— Brzmi mi to jakby znajomo.

— Odrzucamy to, co brzmi nam znajomo.

Teraz uśmiechnąłem się już całą gębą. Wszystko się we mnie uśmiechnęło. Coraz lepszy ten bełkocik.

— Myślenie nieliniowe? — powiedziałem z podziwem. — Nieliniowa dynamika? Nie. To jest, tak.

— W pewnym sensie — poprawił się Jałowiec.

— Matematyka chaosu?

— Tak.

— To jest nie — wyręczyłem go. — W pewnym sensie. I tylko do granic Złotego Wieku.

Nadzieja, że będzie lepiej, była ponoć zawsze najsilniejszym bodźcem dla głupich i nieszczęśliwych. A także mądrych i nieszczęśliwych. Ja nie jestem ani głupi, ani mądry, ani nieszczęśliwy. Po co mi nadzieja? Naprawdę nie zamierzam filozofować, ale muszę wyznać, że odczuwam filozoficzny wstręt do męczeństwa. Bez paniki. U mnie to kwestia emocji, nie intelektualnych dociekań. Jednak skoro wam tak bardzo zależy, żebym o swoim zadaniu myślał co najmniej równie serio, jak myślał Hannibal o Scypionie Starszym, rzecz jasna, przed Zumą, to czy przypadkiem w najogólniejszych zarysach nie powinienem wiedzieć, co właściwie mam zrobić?

— Będzie pan iść śladem zła — rzekł Jałowiec. — A raczej śladem błędu.

— O! — zawołałem, nie kryjąc rozczarowania. — To te rajskie strzałki wskazują drogę od doktora Iwo do Belzebuba? Cóż za przewrotność! Trudno. Może jakoś ocaleję, skoro pójdę w

towarzystwie anioła. Przyjmuję, że chodzi o zło jako takie, zło w ogóle, grzęzawisko o niedocieczonej głębi, na nie objętym wyobraźnią obszarze?

— Nie. Teraz ma pan tropić konkretnego...

— C z ł o w i e k a — domyśliłem się radośnie.

— Człowieka — przytaknął ponuro Jałowiec.

— Człowieka — wysyczał Kobra.

— Człowieka...? — szepnęła cichutko dziewczyna. Postawiła znak zapytania, ale nie oczekiwała odpowiedzi.

Strzałki poskakały trochę z powrotem tą samą ścieżką, po czym wskazały odnogę, odbiegającą w lewo. Drzew było tu mniej, za to krzewy dochodziły do wysokości czterech metrów i szepiały się w górze wygiętymi pędami. Pod nimi leżał cień i panowała chłodna, szarozielona cisza. Żwir chrzęścił pod stopami. Wkrótce krzaki ustąpiły miejsca otwartemu trawnikowi. Odetchnąłem głębiej i odruchowo potarłem dłonią policzki. Może dla mieszkańców mojej Ziemi przebywałem na Alfie mniej niż nic, ale sam nie wymknąłem się czasowi. Znowu byłem nie ogolony. Nadto przypominałem sobie, że chce mi się pić.

Przypominałem sobie o tym już wcześniej, lecz nie miałem ochoty prosić o cokolwiek tych dwóch mędrków w pawilonie. Do tego wszystkiego nagle ogarnęła mnie senność.

Zatrzymałem się.

— Do domu! — powiedziałem tonem nie znoszącym sprzeciwu. — Już!

Dziewczyna spojrzała na mnie zaskoczona.

— Pan nie chce, żebym z panem szła...? — nie była urażona, lecz wyraźnie zaniepokojona. — Ja przecież...

— Totalne nieporozumienie! — zamachałem rękami.

— Chcę, żebyś poszła ze mną do mojego domu.

— Do domu...?

— A co? Wspominałem o tym zaraz w pierwszym pawilonie i wszyscy ważni się zgodzili.

Przyjrzała mi się nieufnie. Wreszcie zrobiła nieznaczny ruch głową i westchnęła.

— Dobrze. W takim razie musimy skręcić za tym drzewem — wskazała widniejący w odległości jakichś pięćdziesięciu metrów dąb, stary jak piramidy. — Nie będzie pan tam długo? — spytała nieśmiało.

— Nie wiem — odrzekłem bezlitośnie. — Muszę się wykapać, ogolić i przespać. Tym razem za krótko pozwolono mi cieszyć się towarzystwem kruczowłosego syna Hypnosa. Może było mu ze mną trochę niewygodnie na jednej wąskiej leżance. Tylko nie mów, że badania mają się zacząć i skończyć w tym samym dniu. Minęło ich już co najmniej kilka. Jedną nadprogramową dobę śmiało mogą na mnie poczekać. Dotyczy to zarówno twoich uczonych przyjaciół, jak i człowieka, którego ścigam. W drogę — ruszyłem zwawo przed siebie, wyminąłem dziewczynę, po czym, jak to leżało w moich zwyczajach, straciłem przytomność. Zniknąłem.

VIII. ZIEMIA MINUS IKS. DWA

IX. ZIEMIA JEDEN. TRZY (C.D.)

Jeśli czekała na mnie dłużej niż dobę, to w każdym razie zdążyli jej zabrać z powrotem łóżeczko i koc. Było popołudnie, późne popołudnie, ciemnozłote z domieszką czerwieni. Na pół siedziała, na pół leżała obok ścieżki, z podciągniętymi kolanami. Kiedy spostrzegła, że wróciłem, zerwała się błyskawicznie, obciągnęła sukienkę i zbiegła z trawnika na ścieżkę. — Wiecznie te interesy — poskarżyłem się. — Nie dadzą człowiekowi odetchnąć. Długo czekałaś?

Potrząsnęła głową, że niedługo. Kto wie? Może naprawdę? Może tylko tyle, ile potrzebowało słońce, by znad jednego horyzontu przenieść się nad drugi? Jednak ile razy dla mnie w tym samym czasie to samo słońce obiegiło Ziemię dokoła? Kopernik by się zachnął, słysząc takie pytanie, ale powinien być zadowolony, że nie może ode mnie usłyszeć niczego więcej.

Dotknąłem twarzy. Szczecina jak u dzika. Tylko pić mi się już nie chce. Nie jestem głodny. Nie jestem także śpiący. Wyspałem się na dole. Pewnie prócz tego coś tam jeszcze robiłem. Dzień, dwa, tydzień. Nic dziwnego, że muszą mnie nieustannie odmładzać.

— Chodźmy prędzej do tego dębu — mruknąłem, ruszając z miejsca. Dziewczyna bez słowa podążyła za mną. Kiedy wyszliśmy z cienia, rzucanego przez ogromne drzewo, stanęła. Zatrzymałem się również.

— To tu? — spytałem, patrząc w lewo i w prawo. Nigdzie śladu dachu, nigdzie najniklejszej bocznej dróżki.

— Tak — dziewczyna również bacznie się rozglądała. Jednak ona szukała czegoś nie za drzewami, tylko w bezpośrednim sąsiedztwie. Wreszcie znalazła. Podeszła do charakterystycznego ostrokrzewu, który nie wzbudził mojego zachwyty, ponieważ skojarzył

mi się z ostowatymi drzewami w świecie fałszywego złota, i dopiero za nim skręciła pod prostym kątem, wstępując na trawnik.

— Prawda! — strzeliłem palcami. — Musimy przecież wrócić na zielony szlak dokładnie tam, gdzie go opuścimy. Owszem. Ten ostrokrzew ja też dobrze sobie zapamiętam.

Nie odpowiedziała. Patrzyła, czy idę jej śladem, czy też przypadkiem nie skracam sobie drogi, omijając krzew z niewłaściwej strony. Kiedy się przekonała, że drepczę za nią posłusznie jak stary mops, ruszyła dość szybko na przełaj, przez lekko nachyloną polanę. Znała kierunek, choć trawa przed nią wszędzie była idealnie świeża i bujna. Nic nie wskazywało na to, że kiedykolwiek deptały ją ludzkie stopy. Czy łąka może tak wyglądać tam, gdzie ktoś stale wychodzi i wraca do siebie? Uśmiechnąłem się pod nosem. Widać rzadko bywam w domu.

Strzałki, rzecz jasna, zostały na głównej ścieżce. Poczekają pod ostrokrzewem. Jeśli się nie poszkapię, będą tam czekać do rana. Nie tak znowu długo. Słońce spłynęło już za drzewa. Polanę zamykał gęsty, brzozowy las. Helena zaczęła kluczyć między białymi pieńkami. W tej swojej sukience sama wyglądała jak brzózka, której autor filmowej bajki kazał wędrować przez świat.

Za laskiem rosły kwitnące krzaki wajgelii. W pewnym miejscu rozstępowały się, tworząc naturalny otwarty przedsionek stosunkowo małej budowli. Była to, oczywiście, kopuła. Gładka, szarawa, z niewielkimi oknami i drzwiami, które przed dziewczyną natychmiast stanęły otworem. Miniatura pawilonów. Pewnie w całym parku obowiązywała jednolita architektura. Do diabła z nią.

Przed wejściem znajdowały się dwa tarasowate schodki. Helena poczekała, aż wejdę na wyższy z nich, po czym usiadła na niższym i upozowała się na osamotnioną nimfę.

— A cóż to ma znaczyć! — obruszyłem się. — Za niskie progi?

— Zostanę tutaj — odrzekła prosząco. — Na pewno chce pan mieć trochę spokoju.

— Bez ciebie nie zaznam spokoju — podałem jej rękę, po pierwsze, wpadnę w okropne stresy i nie wykonam zadania, bo mogę je wykonać jedynie jako osobnik absolutnie zrównoważony, beztroski i właśnie spokojny. Po drugie, tropię błąd w postaci człowieka. Wiem tyle, że to człowiek i nic więcej. Nie dostałem listu gończego z rysopisem. Skąd mam wiedzieć, że to nie ty? Na wszelki wypadek nie wolno mi cię spuszczać z oczu. Proszę. Ty pierwsza. Ociągała się jeszcze parę sekund, następnie jednak wstała i omijając wzrokiem moją wyciągniętą w jej stronę rękę weszła do środka. Drzwi zamknęły się za nami jak szara kurtyna.

Z króciutkiego korytarza łukowaty otwór w ścianie prowadził wprost do największego pokoju. Był pókolisty. Podłoga znajdowała się mniej więcej metr niżej. Na poziomie wejścia zaczynała się galeryjka, biegnąca wzdłuż całej półokrągłej ściany, także w poprzek okien, przez które wpadały resztki słonecznego światła. U jej końca wąskie, strome schodki wiodły gdzieś w górę.

Przez chwilę stałem i patrzyłem, bezwiednie przygryzając dolną wargę. Niski, podłużny stolik. Koło niego barek na kółkach. Z jednej strony stołu trzy fotele, z drugiej obita tym samym zielonkawym materiałem przepaścista wersalka. Pod galeryjką jakieś szafki czy skrytki. Musiałbym pełzać, żeby się do nich dostać. Naprzeciwko przystawiony do prostej ściany regał z czterema wspierającymi się o siebie książkami. Obok stolik z telefonem. Nad regałem obraz przedstawiający w artystycznym skrócie historię powstawania Rowu Atlantyckiego. Albo nalot asyryjskich szurmowców bombardujących na Babilon. Albo cokolwiek innego, byle nie coś, na czym mógłbym mieć ochotę od czasu do czasu spocząć znużonym wzrokiem. W tej samej ścianie dwoje zamkniętych drzwi. W kącie jeszcze jeden samotny rozkładany fotel i stojąca lampa z zielonym abażurem. Wszystko.

Może tu i mieszkałem. Ale z całą pewnością nie ja urządziłem dla siebie to wnętrze.

— No, no — pokiwałem głową. — No, no. Więc tak wygląda moje miejsce na Ziemi. A twoje? — zagadnąłem niespodziewanie.

— Moje...? — uniosła na mnie nieco spłoszone oczy.

— Gdzie jest twój dom? — spytałem pogodnie. — Ażyl. Osobisty ogródek marzeń, gdzie przychodzi poczta, gdzie przyjmujesz przyjaciółki przynoszące ploteczki i przyjaciela, przybywającego z bukietem fiołków. A oprócz tego znajdujesz tam samą siebie, własne życie i schronienie przed nim. No?

— Mieszkam w instytucie — odpowiedziała po chwili. — Mam służbowy pokój... i czasem znajduję w nim samą siebie. A raczej próbuję znaleźć. Ale nikt mi tam nie przynosi fiołków. Ostatnio... — urwała. Jej oczy zaśniły cieplejszym blaskiem.

— Co ostatnio?

— Och, to przecież nieważne...

— Nie ma nic ważniejszego.

Całkiem nieoczekiwanie uśmiechnęła się. Częściowo do mnie, ale bardziej do własnych myśli. Niemniej był to prawdziwy, jasny, niewymuszony uśmiech, może odrobinę melancholijny, lecz tylko odrobinę. Śliczne dziewczyny niekiedy tracą trochę wdzięku, kiedy się tak uśmiechają. Ona jeszcze zyskiwała.

— Popełniłam szaleństwo — powiedziała — i kupiłam opuszczoną wiejską chatę w górskiej dolince. Tanio, bo w rezerwacie nie wolno przecież sprzedawać domów ludziom, którzy już w nich nie mieszkają. O, tam — zrobiła gest w kierunku jednego z okien. Zszedłem na dół, po stopniach obitych, tak jak podłoga, zieloną wykładziną i zbliżyłem się do tego okna. Galeryjka była zabezpieczona poręczą wspartą na płaskich prętach, które nie przesłaniały widoku. Brzozowy lasek ogradzał moją mikrokopułę jedynie od strony wejścia.

Stąd, gdzie stałem teraz, wzrok biegł swobodnie aż po widnokrąg, skrócony pasmem gór.

Podeszła, nadal z tym niezwykłym u niej uśmiechem, i pokazała łagodne siodełko między dwoma zalesionymi grzbietami.

— To właściwie zupełnie blisko — lekko potrząsnęła głową. — Z parku, to znaczy od bramy wjazdowej instytutu, pieszo niewiele ponad półtorej godziny drogi. Idzie się prosto jak strzełił nie skręcając razem z szosą. Jest potok, kładka, potem sad, za sadem szkoła, parę starych domów i zabytkowy, drewniany kościółek. Wystarczy mieć twarz stale zwróconą ku górą, żeby nie zabłądzić. Za kościółkiem przecina się rzekę, linię kolejową... tę odnogę głównej magistrali i wspina wprost na moją dolinkę. Innej dolinki w najbliższej okolicy nie ma, a zresztą nie ma i innej drogi. Ta kończy się ślepo, w lesie. To niewielki przysiółek — mówiła z coraz większym ożywieniem. — Chaty stoją pojedynczo, jedna za drugą, wzdłuż polnej drogi. Trochę stromo, ale za to niesłychanie zacisznie i taki widok... wie pan, jakby nic nie mogło się zdarzyć. Kiedyś sobie pomyślałam, że tam zasypia spokój. Śmieszne, prawda? Ale nie potrafię tego wyrazić... — świetnie potrafisz — zaproponowałem ochryplym głosem, patrząc już nie w okno, tylko na nią. Była tak blisko. Czulem jej oddech, zapach jej włosów i bijące od niej ciepło. Piekło i szatani! Cóż za cudowna dziewczyna.

Pochwyciła mój wzrok. Uśmiech zniknął z jej twarzy jak zdmuchnięty. Spąsowiała i odskoczyła na środek pokoju. Odwróciłem się, żeby pozwolić jej ochłonąć. W rzeczywistości sam potrzebowałem tego o wiele bardziej niż ona. Kiedy wreszcie mogłem już przestać udawać, że obserwuję oblany purpurą zachodu las na horyzoncie, odszedłem od okna i zająłem się barkiem. Miał dwie półki z butelkami. Wszystkie były pełne i zamknięte firmowymi kapslami. Na kwadratowej tacy ustawiono kilka szklaneczek.

— Napijesz się czegoś? — wszedłem w rolę gospodarza.

— Uhm.

— Szampana nie mamy — otworzyłem największą butelkę. Na palce z sykiem wykipiała mi zimna rosa. Powąchałem. Woda mineralna. Odwróciłem szklaneczkę, nalałem do pełna i wypilem duszkiem. Nalałem drugą i podałem Helenie. — Przydałoby się parę kostek lodu — powiedziałem. — Niestety, jako pan domu jestem do niczego. Nawet stara chłopska chata w górach byłaby dla mnie za dobra. Ale woda nie jest aż tak strasznie ciepła. Spróbuj.

Po krótkim wahaniu podeszła do oparcia fotela, przechyliła się przez nie, wzięła ode mnie szklaneczkę i podniosła do ust. Wypiła łyczek, którym nie zaspokoiłby pragnienia wróbel, po czym odstawiła szklaneczkę i powiedziała zmienionym głosem:

— Chciał pan się wykąpać i odpocząć. Naprawdę powinnam pójść...

— Nigdzie nie pójdziesz — uciałem. — Usiądź. Czekał, a czy ty nie miałabyś ochoty się wykąpać? Spałaś przecież na tym łóżeczku w ubraniu, a potem tak długo chodziliśmy po słońcu?

— Uhm.

Oczywiście, że miała ochotę na kąpiel. Jej twarz zdradzała to tak wyraźnie, że znowu musiałem się roześmiać. Usłyszałem swój śmiech i dopiero w tym momencie zdałem sobie sprawę jak kretyńsko brzmiało to moje świergotanie o lodzie i tak dalej. Przestałem się śmiać. Okrążyłem fotel i przyjacielskim gestem obiema dłońmi wziąłem ją za ręce.

— Posłuchaj — patrzyłem jej prosto w oczy. — Powiem coś paskudnego, ale muszę to powiedzieć. Możesz się tu czuć zupełnie bezpieczna i swobodna. Od kiedy cię zobaczyłem, marzę o tym, żeby pójść z tobą do łóżka i stanę na głowie, by tego dopiąć, ale... zaraz! — potrząsnąłem jej dłońmi, widząc że się marszczy i otwiera usta — ale dopiąć tego w najzwyczajniejszy sposób. W drodze porozumienia stron, rozumiesz? Natomiast dopóki stroną jestem wyłącznie ja, będę cię czarować jak tylko potrafię, będę ci gadać różne stosowne w takich razach rzeczy, może nawet będę cię trochę namawiać, jednakże nie będę rzucać się na

ciebie, próbować cię dotykać ani podglądać cię w wannie czy pod prysznicem. Nie w każdej sytuacji mógłbym za siebie ręczyć, ale tego bądź absolutnie pewna. Po prostu, pod tym względem jestem stuprocentowo normalny — dla podkreślenia, że mówię prawdę, puściłem jej rękę i odstałem o krok.

Dłuższą chwilę stała jak zaklęta, po czym nagle odbiegła oczami w bok, porwała swoją szklaneczkę, wypila jej zawartość do ostatniej kropli, podeszła do barku, postawiła szklaneczkę i znowu spojrzała na mnie,

— Zdaje się, że jest pan przede wszystkim stuprocentowo bezpośredni... pod tym

względem — teraz ona miała głos lekko zachrypnięty. — Po tym, co usłyszałam, chyba rzeczywiście pójde się wykapać... — powoli ruszyła w stronę drzwi w płaskiej ścianie.

Wiedziała, gdzie u mnie jest łazienka. Otworzyła te drzwi i weszła, zostawiając je otwarte.

Odczekałem minutę, po czym poszedłem za nią. Łazienka była dopiero za następnymi drzwiami, zamkniętymi na cztery spusty. Dobiegł stamtąd szum wody. A ja stałem na progu sypialni. Niezbyt wielki pokój z jednym oknem, do połowy zakrytym zielonkawą zasłoną.

Jedno niskie, szerokie łóżko, z dwiema płaskimi poduszkami, nakryte lekkim kocem. Jeden stolik z lampą, jedna trójkątna szafa w rogu i znowu te jakieś schowki jak dla jamnika.

Wróciłem do dużego pokoju, wypilem jeszcze szklanek wody mineralnej, uwalilem się w fotelu i zamknąłem oczy. Czułem się tak, jakby ktoś mówił mi coś niesłychanie ważnego, ale zaczął po chińsku, rozwinął myśl w języku suahili, dopełnił ją urywkiem Salomona w oryginale, po czym mnie poprosił o logiczną pointę. Albo jakbym dostał do rozwiązania zadania w postaci układanki na opak, której każdy klocek z osobna przedstawiał prościutki rysunek, natomiast poprawnie zebrana całość dawała obraz co najmniej równie mętny i niezrozumiały, jak ten bohomaż nad regałem. Wrażenie nie należało do nachalnych, ani, tym bardziej, drażniących, ale nie powinienem się tak czuć. Zresztą, powinienem, nie

powiniennem. Bo co? Bo ktoś mi zakazał? Sam nie chcę się tak czuć. Jeszcze trochę, a zacznę podejrzewać, że to wielojęzyczne zdanie bez pointy i ta zwariowana układanka przyszły mi do głowy, ponieważ gdzieś w zakamarkach mojego mózgu wylęła się myśl o p r a w d z i w y m domu. Może nawet nie wyłącznie moim własnym. Może również innych ludzi.

Spojrzałem tęsknie w stronę otwartych drzwi, uśmiechnąłem się jak to ja, zrzuciłem lekkie buciki, wstałem i poszurałem bosymi stopami po grubej, puszystej wykładzinie. Jej włoski prostowały się błyskawicznie. Tak szybko, że nie sposób było pochwycić wzrokiem śladów, zostających za piętami. Oto właściwe rozwiązanie i właściwy stosunek do sprawy.

Idąc do sypialni rozpinąłem bluzę. Już miałem ją beztrąsko rzucić na łóżko, kiedy przypadkiem poczułem pod palcami dziwne zgrubienie. Ledwie wyczuwalne, ale w miejscu, gdzie żadna maszyna w żadnym zakładzie odzieżowym nie zrobiłaby żadnego zgrubienia. W pobliżu najniższego guziczka, tuż nad dolną zakładką. Podniosłem ten skrawek materiału do oczu, położyłem na otwartej dłoni i przejechałem pod nim drugą dłonią. Wszyli tam coś płaskiego i okrągłego wielkości monety. Oczywiście, projektor. Przypuszczenie, że sam swoim ciałem wyświetlam przed sobą te zielone strzałki, mogło mi przyjść do głowy tylko dlatego, że ani przez moment serio się nad tym nie zastanawiałem. Musieliby mi jakoś tego rodzaju krążek wpakować pod czaszkę. O to ich mimo wszystko nie podejrzewałem. Mogłem, rzecz jasna, zasilać ten projektorek swoim biopolem, mogłem nawet w pewnym sensie sterować nim zagrzebanymi w podświadomości informacjami, ale nic więcej. Powiedzieli, że nie uciekali się do chirurgii. Nie mieli powodu kłamać. O nic przecież nie pytałem.

Wystarczyło milczeć.

Wciąż jeszcze stałem, nagi do pasa, gładząc dłońmi ukryty w jedwabistej materii plasterek, kiedy z łazienki wyszła Helena. Ujrawszy mnie przy łóżku z bluzką w rękach zatrzymała się.

Niewzłocznie podzieliłem się z nią dokonany właśnie odkryciem.

— Należałoby to wypruć i wyrzucić — powiedziałem. — Brzydka zabawka. Czy uwierzysz, że uparcie wyświeślała zieloną strzałkę wycelowaną o, tam? — wskazałem drzwi, przez które tylko co przeszła.

Uspokoła się. Sukienkę zostawiła w łazience. Pewnie uznała, że należy ją odświeżyć. Była owinięta po pachy kąpielowym prześcieradłem. Z jej pięknej szyi spływały dwa srebrne łańcuszki.

— Na pewno nie — odrzekła, potrząsając głową. Końce włosów miała jeszcze mokre.

Lśniły jak miedź. Zrobiła dwa kroki w moją stronę, stanęła i dodała: — Niech pan tego nie wyrzuca. Bardzo proszę. Pan musi iść tą samą drogą, co... — zawiesiła głos.

— Wiem, wiem, pamiętam — rzuciłem swobodnie. — Nie bój się. Nie pójde żadną inną drogą niż ta, która prowadzi obok ciebie, a w końcu może doprowadzi mnie i do ciebie, jako że dwa ciała poruszające się równolegle w zakrzywionej przestrzeni... ale o ciałach wiesz pewnie więcej niż ja. Jesteś naukowcem. Mnie słowo „ciało” — mlasnąłem smakowicie — kojarzy się jedynie z...

— Och! — przerwał mi zniecierpliwiony okrzyk. Rozpromieniłem się w duchu. Wcale nie była aż tak trusiowata, żebym już zawsze musiał na nią chuchać niczym na statuetkę z sewskiej porcelany. — Proszę pana! — zawołała. — Doktor Iwo na rację! Pan sobie nieustannie kpi! Tak nie można! — prześcieradło jej się rozchyliło i zsunęło. Poprawiła je gwałtownym ruchem, nie zważając, że znowu zbyt szczerze darzy mnie widokiem zapierającej dech w piersi golizny.

— Ja prawie nic nie wiem. Pracuję od niedawna, do zespołu trafiłam właściwie przypadkiem, a teraz doktor Iwo wybrał mnie chyba tylko dlatego, że podobno jestem ładna. Miało to posiadać pewne znaczenie. Nie traktują mnie zbyt poważnie, bo niby z jakiej racji?

Daleko mi do wiedzy... Zresztą, niniejsza o mnie. Ja się nie liczę. Pewnie nigdy nie będę prawdziwym naukowcem. Liczy się pan. Nie zostałam wtajemniczona w szczegóły, lecz wierzę moim przełożonym, którzy wiążą z panem tak duże nadzieje na poprawę naszego życia. A pan się ze wszystkiego śmieje. Przepraszam — zaczęła ostro, jednak skończyła znowu prosząco i ustępliwie. — Nie powinnam była... — spuściła oczy.

— Nie przepraszaj — powiedziałem. — Ale ja też nie będę przepraszać. Na pewno nie śmieję się z ciebie. Jednakże kto ci wbił do twojej ślicznej główki, że nasze życie trzeba tak na gwałt poprawiać?

Zapomniała, że ma do czynienia z nieodpowiedzialnym wesółkiem.

— Jak to?! — wykrzyknęła. — Więc pan uważa, że wszystko jest w porządku?! Że ta broń na orbitach, dewastacja przyrody, te dziury w jonosferze, to tempo, ta ciasnota, ta ogłupiająca, mordercza pogoń za...

Podniosłem ręce na znak, że się poddaję.

— Nie uważam, nie uważam, nie uważam — doprawdy byłbym już ostatnim idiotą, zwierzając jej się teraz, że wymienione przez nią, a także nie wymienione okropności obchodzą mnie akurat tyle, co krokodyla widok lizki, pożerającej liść lotosu. — Biedna ludzkość — przyznałem. — W przeciwieństwie do ciebie nie wierzę jednak, że Jałowiec i Kobra, czy jak tam ty ich nazywasz, znaleźli cudowną receptę na uzdrowienie świata. Nie dlatego, że nie są dość uczeni, a dlatego, że takich recept nie ma... lub jest ich za dużo, co wychodzi na jedno.

— Nie chodzi o receptę, tylko o szansę — zaprzeczyła. Gdzieś to już słyszałem.

Wiedziałem nawet gdzie. — Ludzie tak rozmaicie próbowali walczyć ze złem — mówiła jak do dziecka. Za wszelką cenę chciała mnie przeciągnąć na swoją stronę. — Przemocą, nauką, religią, filozofią, propagandą, sztuką... — kontynuowała. — Nikt nie twierdzi, że niczego nie

wskórali. Nie byłoby nas dzisiaj, gdyby nie oni. A jednak wciąż grozi nam, że przestaniemy być. Więc może trzeba szukać metod mniej konwencjonalnych? Ja nie wiem. Sądzę tylko, że nie wolno mi lekceważyć prób ani wyborów dokonanych przez ludzi, którym na czymś zależy. I mądrzejszych ode mnie.

Skapitulowałem.

— A czy wolno lekceważyć wybory głupców? — spytałem.

— Proszę?

— Właśnie dokonałem pewnego wyboru — w końcu rzuciłem tę bluzkę na łóżko. — Idę się wykapać.

— Och! — posłała za mną.

Łazienka była niemal tak duża jak sypialnia. Natryski, robot–masażysta, kilka ładnie zaprojektowanych aparatów kosmetycznych, wpuszczona w podłogę wanna, dwie umywalki, na podłodze zielonkawe dywaniki. Ale mnie zainteresowało przede wszystkim lustro.

Podszedłem do niego ostrożnie. Jak dla mnie umieszczono je odrobinę za nisko. Musiałem się pochylić i dlatego najpierw zwróciłem uwagę na włosy. Ciemnoblond, raczej ciemne niż blond, gęste, niegdyś krótko przystrzyżone, w tej chwili spadające skręconymi odrostami na kark, uszy i skronie. Trochę rozczochrane. Pod włosami szerokie czoło, opalone i bez zmarszczek. Niedobrze. Powinienem zobaczyć przynajmniej takie dwie charakterystyczne bruzdy, świadczące o w miarę częstym zatrudnianiu mózgu. Trudno. Policzki z regularnym rysunkiem kości, czerstwe, podługowate. Między nimi nos z ledwie zauważalnym garbem. Mógłby być odrobinę krótszy. Gorzej z wargami. Całkiem podobne miał Złoty. Jak z żurnala. Rozciągnąłem je, wykrzywiłem w jedną stronę, potem w drugą, zrobiłem ryjek. Na nic. Kiedy wracały do swojej naturalnej postaci, stawały się zgoła babskie. Broda. Ni to zaokrąglona, ni kanciasta, z dziurką. Na cholere mi ta dziurka? Co mam w niej nosić? Zderzak?

Rozdziawiłem gębę. Mnóstwo oślepiająco białych zębów, jak u podstarzałej primadonny.

Postukałem w nie palcami. Własne. Takie mi wyrosły. Niech będzie. W końcu ja nie umiem odżywiać się za pomocą fotosyntezy.

Zdjąłem spodnie, slipy i oddaliłem się od lustra na tyle, by móc obejrzeć całą resztę.

Hm.

Postałem jeszcze parę sekund, po czym mruknąłem pod nosem: *ecce homo*, machnąłem ręką i przystąpiłem do wykonania czynności, dla wykonania których urządza się łazienki.

Kiedy wróciłem, wykąpany, ogolony, świeżutki jak rybka, w sypialni panował już niemal zupełny mrok. Zapaliłem lampę przy łóżku, po czym skierowałem się do dużego pokoju. Tu było nieco jaśniej. Spod zielonego abażuru wypływało łagodne światło. Stół, fotele i barek rzucały długie, dziwaczne cienie. Gdyby nie ta przeklęta zieleń, stosowana powszechnie jako antidotum na roztrzęsione nerwy i rozkojarzone umysły, oświetlenie można by nazwać intymnym.

Helena siedziała w fotelu. Posłała mi spojrzenie spod półprzymkniętych powiek.

Pochyliłem się nad nią i spytałem:

— Podobam ci się?

Uśmiechnęła się z przymusem.

— Chodzi panu o to, czy myślę, że jest pan przystojny? Owszem.

Pochyliłem się jeszcze odrobinę niżej.

— Dziwne — mruknąłem. — Obejrzałem się właśnie w lustrze. Ja bym się w sobie nie zakochał.

— Nie powiedziałam, że się w panu zakochałam.

— A lubisz mnie?

Uniosła powieki. W tym idiotycznym kolorycie wnętrza jej chabrowe oczy załśniły jak

dwa fioletowe księżyce.

— Nie wiem... — wyszemrała. — Za mało pana znam.

— Wiesz o mnie więcej niż ja sam. Ale, naturalnie, możesz poznać mnie lepiej. Chcesz?

— Uhm...

Pocałowałem ją we włosy. Podskoczyła, gubiąc frotowe prześcieradło. Kiedy je łapała, objąłem ją i przytuliłem. Nie za mocno. Mogła się bez trudu wyrwać. Mogła powiedzieć mi coś przykrego. Nie zrobiła tego. Położyła mi tylko na piersi otwarte dłonie. Nie odpychała mnie. Czy był to opór, czy oczekiwanie? Ja w każdym razie czekałem. Piekielnie długo. Mijały wieki, ludzie wymyślali genialne recepty, gubili je, mieszały, wybierali fałszywe, a jeśli dobre, to porzucali je po pierwszych krokach, mieszkańcy złotych planet buntowali się, zaprowadzali nowe porządki i znowu się buntowali. Powstawał wszechświat, by ustąpić miejsca następnym. Ja wciąż czekałem. Wreszcie ciepłe, wąskie dłonie, leżące na mojej piersi przesunęły się kawałeczek wyżej. Usłyszałem cichuteńki dźwięk, podobny do zdławionego jęku. Rozspiewał się we mnie najświetniejszą uwerturą. Ale nadal czekałem. Dłonie znowu wspięły się o jedno drgnienie, na moment zastygły, po czym raptownie zwały na moim karku z siłą, o jaką nigdy bym ich nie podejrzewał. Teraz czas zaczął płynąć w przeciwnym kierunku. Całowałem ją dłużej niż przedtem czekałem. Włosy, czoło, brwi. Gdy dotarłem do ust, trafiłem na wargi wilgotne, rozchylone, lecz znieruchomiałe. Cofnąłem się, muskałem je zaledwie, lekko chwytałem swoimi wargami i puszczałem, dopóki nie oddały mi pocałunku. Wtedy wziąłem Helenę na ręce i zaniósłem do sypialni. Usiadłem na łóżku trzymając ją na kolanach. Prześcieradło kąpielowe zostało w dużym pokoju. Ale miała na sobie jeszcze coś, co mi przeszkadzało. Na chwilę rozplotłem jej ramiona, zdjąłem łańcuszek z przyczepioną do niego perforowaną folią i cisnąłem daleko na podłogę. Znaczek tożsamości zostawiłem. Brązowe cacuszko ślicznie harmonizowało z jej jasnozłotą opalenizną.

Nie przejęła się losem swojej ściągaczki. Tylko kiedy znowu ją objąłem, natychmiast przywarła do mnie ciasno, żebym jej nie widział. Jakby bez tego kartonika na długim łańcuszku była bardziej naga.

— Zgaś lampę — szepnęła.

Zrobiłem to.

Z wysokiego okna sączyło się światło świtu. Był początek lata i dni zaczynały się wcześnie. Helena oddychała przez sen tak powoli i cicho, jakby znajdowała się w tej swojej wymarzonej dolince, w której zasypia spokój. Zrzuciła koc i poduszkę. Spała na boku, z policzkiem wtulonym w zgięcie łokcia. Tchnęła żywym ciepłem, ale wyglądała jak rzeźba. Żadna galeria nie przyjęłaby takiej rzeźby. W najlepszym razie powiedzieliby, że jest przesadnie wyidealizowana. W najgorszym, że to po prostu kicz. I mieliby rację. To jest, gdyby chodziło o rzeźbę.

Ja też leżałem odkryty. Klimatyzacja w tym domku była chyba zaprogramowana dla bakterii żyjących w potokach płynnej lawy. Ponoć są i takie.

Ostrożnie, żeby nie obudzić dziewczyny, podniosłem się i odszedłem od łóżka, by spojrzeć na nią z lepszej perspektywy.

Moja noc miłości. Pierwsza? Na pewno nie. Istnieją co najmniej dwa rodzaje pamięci. Pamięć faktów i pamięć sprawności. Co do faktów, znam ich mnóstwo. Wszystkie jak z fotografii robionych przez kogoś innego. Ale moje ciało zachowało tę drugą pamięć. Niezbyt przesadziłem, mówiąc Jałowcowi, że czuję się zdrowy i silny jak młode zwierzę. A w tych sprawach posiadałem nadto, by tak rzec, wprawę.

Chociaż, może ta noc jednak była wyjątkowa? Może prowadziła mnie jakaś intuicja, przebudzona po latach milczenia. Przebudzona dlatego, że Helena aż tak bardzo mi się podobała?

Nagle uśmiechnąłem się do siebie z politowaniem, po czym odszukałem na podłodze łańcuszek z perforowaną folią. Podniosłem go i przyjrzałem się śliskiemu kartonikowi. Dziewczyna była szczerą zapewniając mnie, że nie wie prawie nic o poczynaniach swoich uczonych kolegów. To nie ulega wątpliwości. Zatem, co jej mogli dać, gdy wyruszała ze mną z pierwszego pawilonu? Oczywiście, mapę. Moją trasę. Na wypadek, gdyby coś stało się z projektorem. Na przykład, gdybyśmy z jakiegoś powodu musieli raptem opuścić właściwą ścieżkę i potem nie mogli sobie przypomnieć, w którym miejscu to nastąpiło. Mapę mojego złotego zielonego śladu, wybranego ze wszystkich słusznych dróg w nieskończonym zbiorze. Mam nim iść z pokorą, wierny do końca. A idąc, mimochodem przekształcać mijane zło i dobro. Przecież ja to potrafię. Nie potrafiłby najgenialniejszy mędrzec, bo nie znalazłby posłuchu u innych mędrców. Nie potrafiłby prorok, bo zaszczyliłby go wyznawcy innych proroków. Nie potrafiłby sprawiedliwy i światły dyktator Ziemi, bo sprzątnęłaby go demokratyczna opozycja. Nie potrafił Bóg, bo jeśli wierzyć świętym księgom, już raz próbował i co? Ponoć nawet nie raz. Ale ja to co innego. Ja potrafię. Ja jestem szansą. Można zdechnąć ze śmiechu.

Tak, ale ta śliczna dziewczyna wcale się nie śmieje. Wierzy Jałowcowi i Kobre, ufa ludzkiemu rozumowi i ma mi za złe, że kpię sobie ze wszystkich i ze wszystkiego. Mnie nie wolno, ponieważ jest we mnie to coś. Coś, co musi się zogniskować i wybuchnąć jak supernowa. Wypalić zgniliznę po najdalsze planety, tylko, proszę pana, tak, żeby nikt się nie oparzył. A potem dać energię nowemu, wspaniałemu światu. Nie ma racji. Właśnie, że będę kpić. Jest mi wesoło i nie muszę się o nic kłopotać. Istnieje ta mapa i istnieją strzałki. Same narzucają mi kierunek, jak znaki drogowe w nie znanym mieście. A ja idę przez nieznanne. Nieznane myśli, nieznanne zjawiska. Pal sześć myśli. Ale żeby badać nieznanne zjawiska, należy je wpierw rozgraniczyć. A po to, by można je rozgraniczyć, trzeba je znać. Klasyczny

dylemat. Czego ona się po mnie spodziewa? Że będę sobie zaprzętać głowę dylematami? Po co? Ja mam strzałki.

Rzuciłem folię tam, gdzie leżała i przeszedłem do dużego pokoju. Stałem koło barku i rozejrzałem się. Jestem u siebie. Może nie? Tam, w mojej sypialni, mam dziewczynę. Coś znika i coś się pojawia, ale to nie ma najmniejszego znaczenia. Ja także znikam i wracam. Idę jakąś wstążką, która się pode mną skręca, a potem prostuje. Jest taka wstążka, która udaje model nieskończoności, wieczności, czy czegoś w tym rodzaju. No więc skręca się pode mną. Już wiem, co znika i wraca. To pytanie, które nie mogło przebić się do mojej świadomości, kiedy stałem pod drzewem, czekając na Helenę. Czekałem na Helenę, a doczekałem się Złotego. Tylko, że to nie było pytanie. W uszach zadźwięczał mi nagle drwiący głos. Mówił: rozejrzyj się. Rozejrzyj się dobrze. Tak samo jesteś u siebie tutaj, jak tam gdzieś na dole, jak na zielonkawej leżance, na wysypanych żwirem ścieżkach i jak na Alfie. Lecz nie przejmuj się. Przecież jesteś u siebie. I tu, i w pawilonach, i w parku i na obcej planecie. Wszędzie. Nigdzie. Zawsze. Nigdy. Ten kpiący głos rozbrzmiewa jedynie we mnie i nie przedostaje się na zewnątrz. Cieszę mnie drzewa, ptaki, kwiaty, pieszczoty dziewczyny, śmieszają bajdurzenia Jałowca i Kobry, bawię się buntami Złotych, wielbicieli harmonii. Ale to złudzenie. Naprawdę jest cicho. Przerażliwie cicho. I pusto.

Odwróciłem się na pięcie i szybko poszedłem z powrotem w stronę sypialni. Mijając drzwi wyrznąłem we framugę. Nie mam pojęcia, dlaczego to zrobiłem. Idiotyczny odruch.

Oczywiście, obudziłem Helenę. Podniosła się i spojrzała na mnie.

— Co się stało? — spytała, zaspana.

— Nic, nic — powiedziałem. — Potknąłem się w ciemnościach.

— Przecież już jasno... — wymruczała.

— Toteż nic mi się nie stało. Śpij. Jest jeszcze bardzo wcześnie.

Przeciągnęła się leniwie i szerzej otworzyła oczy. Jej twarz raptownie zmieniła wyraz.

Jakby zaskoczyło ją, że widzi mnie tu obok siebie nagiego. Doskonale. Całe pięć minut byłem poważny jak Savonarola na stosie. Może nawet sześć.

— Czemu mi się tak przyglądasz? — spytałem. — Sprawdzasz, czy nie spędziłaś nocy w objęciach potwora? Podobno samce jakichś jaszczurek, czy gadów mają po dwa prącia. Ale niech ci nic nie przychodzi do głowy, bo i tak używają tylko jednego. Drugie to jedynie dekoracja. Co do mnie, nie przepadam za zbędnymi wisiorkami. Ani na srebrnych łańcuszkach, ani...

— Och! — krzyknęła głucho i wtuliła twarz w prześcieradło. Może rzeczywiście troszkę przeholowałem.

— Już po wszystkim — podszedłem bliżej łóżka. — Przepraszam. Uśmiechnij się. Bardzo panią proszę — przybrałem ton, jakim zwracała się do mnie w parku, nalegając, bym nie wygadywał głupstw i słuchał zaleceń doktora Iwo. Nie pokazała mi twarzy, jednak po nieznacznym ruchu głowy i ramion poznałem, że naprawdę się uśmiechnęła. Prędko powiedziałem:

— Nauka zna sto osiemdziesiąt rodzajów uśmiechu. Ten jest sto osiemdziesiąty pierwszy. Ale przenigdy nie opisze go ani nie sklasyfikuje żaden jajogłowy filar akademii. Uśmiech jak oko, patrzące na astronoma z czarnej dziury. Dla mnie po prostu prześliczny. Jest rzeczywiście wcześniej. Śpij.

— Wcale nie chce mi się spać — szepnęła.

— To najmiłsza rzecz, jaką kiedykolwiek usłyszałem — oświadczyłem, porzucając mądrzenie się i dowcipkowanie.

Miałem sen. Szedłem przez stare, zwietrzałe góry, piarżyste, wypalone do cna, bardziej obce niż najdalsze światy. Grunt osuwał się pode mną, musiałem po dziesięć razy pokonywać

te same krótkie stromizny. Na przełęczach wiatr bił we mnie kłującymi okruchami skał, w dolinach nogi grzęzły mi w pyłe po kolana. Szedłem tak już wiele dni i nocy, bez picia, bez jedzenia, z gołą głową, w przepoconej i poszarpanej błękitnej bluzce. Ogromne słońce cały czas wisiało wprost nade mną i prażyło mnie żywym ogniem. Dusilem się, omdlewałem, upadałem, lecz wstawałem i szedłem dalej. Nie pamiętam, dokąd idę i po co. Wiedziałem tylko, że muszę iść. Stale prosto. Wreszcie góry rozstały się. Ujrzałem w dole pustynną równinę. Brnąłem przez nią, pokonując zwały suchego piachu. Dopadła mnie burza z huraganem, bez kropli deszczu. Wygrzebałem się i ruszyłem w tym samym kierunku co przedtem. Nagle na horyzoncie dostrzegłem coś jakby kwiat na jednej smukłej łodydze. Kiedy znalazłem się bliżej, zobaczyłem, że to, co wziąłem za kwiat, było otwartym kolorowym parasolem. Stał wbity w białozłocisty grunt. Pod parasolem, w cieniu, przy małym stoliku siedział pomarszczony staruszek. Podeszedłem i zatrzymałem się. Wówczas staruszek bez słowa podniósł się i przypiął mi do piersi gwiazdzisty medal. Ja też się nie odezwałem. Zawróciłem i odszedłem. Miałem wracać tą samą drogą, którą przybyłem. Ale oszczędzono mi jej. Jakimś cudem raptem ujrzałem wokół siebie zabudowania Miasta. Byłem wypoczęty i porządnie ubrany. Na chodnikach panował ożywiony ruch. Ludzie wyprzedzali mnie i mijali. Wszyscy się śpieszyli. Nie obchodziło mnie to. Byli mi obojętni. Nagle kątem oka pochwyciłem złocisty błysk. Stałem i zobaczyłem, że jeden z przechodniów ma taki sam medal jak ja. Zacząłem rozglądać się w tłumie. O, ten mężczyzna także. I ten. I ta kobieta. Wszyscy przebyli kiedyś samotnie tę piekielną drogę? Na pewno. Było w tej blaszce coś, co sprawiało, że różniła się od wszelkich możliwych ozdób czy odznaczeń, jakie można zdobyć lub choćby wyobrazić sobie w Mieście. Właśnie wprost na mnie idzie jeszcze jeden człowiek, który dotarł tam gdzie ja. Zatrzymałem go i uśmiechnąłem się. Zmarszczył brwi. Niecierpliwie rzucił głową, zły, że marnuje bezcenne chwile. Podniosłem rękę, żeby pokazać

powód, dla którego zastąpiłem mu drogę, ale moja ręka opadła jak u szmacianej kukły.

Nieznajomy nie miał już medalu. Odruchowo spojrzął po sobie. Ja też go nie miałem. Na mojej bluzie nie pozostawał nawet ślad ukłucia złotej szpilki, którą był przypięty.

Powiedziałem: przepraszam — i obudziłem się.

Chwilę leżałem gapiąc się bezmyślnie w sufit. Wreszcie oprzytomniałem. Sen to sen.

Trochę dziwny jak na mnie, ale kto powiedział, że we śnie też muszę stale tylko chichotać, jak zidiociały pastuch, podsuwający pięty kozie, żeby je lizała. Lepiej popatrzę na Helenę.

Tak ślicznie wygląda, kiedy śpi.

Jednak Helena również nie spała. Leżała na wznak i spoglądała w górę, jak ja jeszcze przed chwilą. W kącikach jej oczu wezbrały łzy.

Wyglądała ślicznie, lecz nie był to widok, jakiego oczekiwałem.

Wstałem, obszedłem łóżko dokoła, podniosłem z podłogi cienki koc i narzuciłem go na nią tak, żeby sięgał jej powyżej piersi. Następnie usiadłem obok niej.

— Czy coś się stało? — spytałem. — Czy ta noc zostawi bliznę na czymś delikatnym i ważnym... co nigdy nie powinno było zostać drażnione? Może ja wczoraj wieczór...

— Nie, nie — nie pozwoliła mi skończyć. Odwróciła twarz. Jej głowa znalazła się tam, gdzie dopiero co leżała moja, pełna samotnych marszów, trudów, gwiazdzistych medali i rozczarowań. — Ja także tego chciałam...

— W takim razie, skąd te łzy?

— Nie wiem — wyszeptała. — Dobrze mi teraz. Może dlatego przyszło mi na myśl, że właśnie nie mam niczego, co powinno pozostać niezadrażnione. Tak dla siebie, wiesz.

Niczego, ani nikogo... — dodała jeszcze ciszej. — Och! — wykrzyknęła pełnym głosem.

Usiadła, wyprostowała się i szybko otarła oczy. — Nie zwracaj na mnie uwagi. Po prostu jestem głupia. Nagle, ni w pięć ni w dziewięć zaczęłam się nad sobą rozczulać. Idiotka.

Chciałem się roześmiać, a potem z udaną powagą przyznać jej rację, ale zamiast tego spytałem:

— Jak to możliwe, żeby taka dziewczyna nie miała kogoś dla siebie? Kogoś, kogo wybrałaby sobie z tysiąca najlepszych?

Przesunęła się na drugą stronę łóżka, wstała i owinęła się kocem.

— Co to znaczy: taka? Dziewczyna i tyle. Każda albo kogoś ma, albo nie. Mnie na studiach coś się zdarzyło... ale nie trwało długo. Pewnie to była moja wina. A odkąd zaczęłam pracować w instytucie... — wzruszyła ramionami. Zrozumiałem, że praca nie zostawia jej czasu na życie osobiste, miłość, dom i inne nienaukowe banialuki. Niemniej chałupę w górach mimo wszystko sobie kupiła. Cóż, lepsze to, niż jeszcze jeden robot z kukułką i fontanną. Najpewniej jednak w grę wchodziło coś całkiem innego. Jeśli stale przebywała jedynie w towarzystwie Jałowca, Kobry i im podobnych...?

Teraz bez udawania mógłbym jej powiedzieć, że istotnie jest głupia, choć nie z powodu, jaki wymieniła. Ale nie zrobiłem tego i tym razem. Zresztą, nie dała mi okazji. Nie oglądając się na mnie poszła do łazienki, podnosząc po drodze swoją ściągaczkę na srebrnym łańcuszku i zamknęła za sobą drzwi.

Przeszedłem się do sypialni, zajrzałem do dużego pokoju, wróciłem, włożyłem slipy, spodnie, usiadłem na łóżku, oparłem łokcie na kolanach, brodę i nos umieściłem w złożonych dłoniach i wbiłem wzrok w drzwi, zza których dochodził szum wody. Jak wczoraj. Jednak dziś Helena zabawiła w łazience o wiele krócej. Chociaż nie jestem pewny, czy gdyby przebywała w niej okrągłą godzinę, nie zastałaby mnie w nie zmienionej pozie, wpatrującego się w te zamknięte drzwi, jakbym spodziewał się ujrzeć w nich za chwilę samego siebie, tego siebie, którego nie znałem. Nie miałem ochoty się ruszać. Nie myślałem o niczym.

Wyszła wyświeżona, w swojej białej, idealnie odprasowanej sukience, uczesana i trochę

sztynna. Powiedziałem sobie: dosyć tych głupstw, zerwałem się i pobiegłem z kolei sam dokonać porannej toalety. Po powrocie nie zastałem jej w sypialni. Wziąłem bluzę i nie wkładając jej na razie, przeszedłem do reprezentacyjnego pomieszczenia. Nie było jej także tutaj. Spojrzałem w stronę drzwi po prawej stronie pustego regału. Mogły prowadzić jedynie do kuchni. Zajrzałem tam. Tak, kuchnia. Mała, kawalerska, bez tysiąca i jednego robotów, za to świetnie przystosowana do korzystania z gotowych wyrobów. W sterylnych szafkach było ich tu na sto śniadań, pożywnych, zdrowych i obrzydliwych. Ale Heleny nie zastałem również w kuchni. Zawróciłem, przemierzyłem zielonkawą przestrzeń dużego pokoju i wyszedłem na zewnątrz domu. Siedziała na niższym z dwóch stopni, jak wtedy, kiedy upierała się, że zaczeka na mnie przed wejściem. Nie była już sztywna. Ukryła twarz w kolanach, a dłonie splotła sobie na karku. Rysunek jej pleców przypominał łabędzia.

— Co tu robisz? — spytałem inteligentnie.

Wyprostowała się, ale nie popatrzyła na mnie.

— Nic.

— To najlepsze zajęcie, jakie znam — stwierdziłem. — Ale dlaczego miałabyś nie robić nic tam w środku, razem ze mną, po małym śniadanku? Będę najznakomitszym kompanem.

Wobec ciebie mogę przyjmować jedynie dwie postawy. Pierwsza polega na najrozkoszniejszym nieróbstwie. Druga, stokroć bardziej rozkoszna, wymaga jednak...

— Właśnie — przerwała mi gorzkawym tonem, jakby przytakiwała swoim myślom, które akurat chodziły jej po głowie. — Właśnie...

— Co właśnie?

— Niewiele cię to obejdzie — uprzedziła. — Ale jeśli chcesz wiedzieć... Wyszłam tutaj, bo bałam się, że będziesz żartować.

Stałem chwilę w milczeniu, po czym zszedłem niżej i pogładziłem ją po włosach.

Spojrzała na mnie skosem, jakoś dziwnie. Wyciągnąłem do niej rękę. Od razu ją chwyciła, podniosła się i wróciła ze mną do domu.

X. ZIEMIA DWA. JEDEN

Skończyliśmy superdietetyczne śniadanie i siedzieliśmy naprzeciw siebie przy niskim stole. Helena już parokrotnie spoglądała w stronę wyjścia. Cóż to za nieznośny tyran, poczucie obowiązku. Udawałem, że niczego nie widzę i bawiłem się szklaneczką. Na jej dnie pozostał mały łyżeczek wody, którą splukiwałem smak koncentratów. Mogłem pić ten łyżeczek do wieczora. Niestety, dziewczyna po raz któryś posłała tęskne spojrzenie ku drzwiom i nagle znieruchomiała z szeroko otwartymi oczami. Niezbyt spieszenie podążyłem za jej wzrokiem. Popatrzyłem, kiwnąłem głową i mruknąłem z wyrzutem:

— Widzisz? Nie wywołuj wilka z lasu. Jak człowiek ciągle popatruje w jednym kierunku, to w końcu zawsze wypatrzy coś, czego wolałby nie oglądać. Taki już jest ten nasz świat, a mam powody twierdzić, że nie tylko nasz.

W łukowatym przejściu stał obcy wysoki mężczyzna, w bluzie i spodniach przypominających moje, ale skrojonych w jakiś szczególny sposób. Od pierwszego rzutu oka kojarzyły się z mundurem.

— Czołem — cisnął we mnie jak piłką. — Dzień dobry pani — krótko skinął głową Helenie. — Pilot porucznik Aron — przedstawił się. — Przepraszam, jest pół do dziesiątej — to również było przeznaczone dla mojego gościa. — Punkt o dziesiątej zaczyna się rozprawa — dopiero teraz znowu spojrzał na mnie. — Przyleciałem po ciebie. Gotowy?

W pokoju powiało duchem regulaminu, jak z wyglancowanej lufy niemieckiej haubicy na początku Drugiej Wojny Światowej.

Ktoś, kogo znam. Rozprawa, o której wiem. Pilot porucznik. Wojsko? Policja? Służby kosmiczne? Wszystko jedno. Tak czy owak nikt, z kim dzisiaj chciałbym być po imieniu.

„Gotowy”?

— No... — mruknąłem, ponieważ tego rodzaju odpowiedzi na pewno nie przewiduje

żaden z możliwych regulaminów. Ale nie udało mi się go zrazić.

— Czekam na polanie — oświadczył dziarsko. — Do widzenia pani — zrobił w tył zwrot i wyszedł.

— Kto to był? — spytała Helena. — Dokąd masz z nim lecieć?

Czułem, że przyglądam jej się badawczo, niby uprzejmy oficer kontrwywiadu, który nie ma jeszcze stuprocentowej pewności, czy rzeczywiście siedzi przed nim agent numer jeden. Jednak nie patrzyłem w ten sposób dłużej niż przez pięć sekund. Nie. Ona naprawdę nie wiedziała.

— Ts... — podniosłem się i położyłem palec na ustach. — Tajemnica służbowa. Ale zastanowię się. Może wyjawię ci wszystko, kiedy wrócę. Pod warunkiem, że tu na mnie poczekaasz? Poczekaasz?

Potrząsnęła głową, że nie i powiedziała:

— Tak. Pod warunkiem, że nie będziesz mi niczego wyjawiać... po swoimu.

Zatkało mnie. Zbaraniałem. Stałem dłuższą chwilę spoglądając na nią wytrzeszczonymi oczami, po czym mruknąłem coś i wyszedłem. Dopiero na dróżce między wajgeliami złapałem świeży oddech i nagle zaśmiałem się na głos. — No! — zawołałem z zachwytem. — Musiałeś mieć minę! Brawo — klasnąłem w dłonie. Pośmiałem się jeszcze trochę, po czym wyszedłem z brzozowego lasku na odkrytą przestrzeń i umilkłem.

Na środku polany, przez którą jakoby zwykłem chadzać do siebie, stała jedna z tych specjalnych małych szybkich maszyn, mogących latać zarówno w atmosferze jak i, z parą dodatkowych silników, poza polem grawitacyjnym Ziemi. Dodatkowych silników nie spostrzegłem. Czyli, podróż będzie krótka. W gruncie rzeczy niezbyt mnie to obeszło. Skoro wysłali po mnie pilota, to ten sam pilot potem mnie odwiezie. Nie umiemy wprawdzie zniknąć na całe doby, by następnie wracać dokładnie w momencie odlotu, ale ta jakaś rozprawa nie

będzie przecież trwać do jutra. Chyba, że to ja mam być osądzony i skazany. Wyobraziłem sobie siebie, dokonującego zbrodni stulecia i wzruszyłem ramionami. Nie chciałoby mi się. Co najwyżej mógłbym sprofanować jakiś pomnik. To tak. Aż mi się oczy zaświeciły do tej myśli. Ale wówczas załatwiliby sprawę na miejscu. Z drugiej strony nigdy nie wiadomo. W epoce sieci komputerowej i automatycznej identyfikacji władze nader rzadko wzywają obywateli do swoich biur. A kiedy już to czynią, zawsze wysyłają po nich pojazdy. Przynajmniej tego się nauczyły. Nawet gdy chodzi o zupełne drobiazgi, wymagające jednak osobistej obecności w urzędzie. Zobaczymy. Kabina była otwarta. Porucznik Aron siedział w fotelu i patrzył na mnie z dezaprobatą. Jasne. Ktoś, kto otrzymał zaproszenie na rozprawę, powinien do rządowej maszyny biec co najmniej klusem. Ale byłaby heca, gdyby przyleciał do parku, kiedy ja akurat dałem nura na dół. Dopiero by sobie poczekał. Swoją drogą ciekawe skąd wiedzieli, gdzie mnie szukać. Jak to skąd — prychnąłem w duchu. Skontaktowali się z instytutem i usłyszeli, że jestem w domu. U siebie. Adres: kopałka za brzożami. Cóż łatwiejszego.

Zająłem miejsce w kabinie obok pilota i uśmiechnąłem się przeprasząco.

— Skleroza — pokiwałem głową. — Zdawało mi się, że rozprawa ma się odbyć dopiero jutro.

— Termin wyznaczono od razu po twoim raporcie — odrzekł, jakby to automatycznie wykluczało ewentualność, że mogłem zapomnieć. Następnie zatrzasnął drzwi i zerwał maszynę od razu na wysokość pięćdziesięciu metrów. Żołądek zjechał mi do siedzenia, odbił się, na moment zatkał mi krtań,

Po czym niechętnie wrócił na dawne miejsce, pozostawiając w gardle piekący osad, a w ustach smak rozgryzionego pluskwiaka. Złoci mogli sobie być skazani, zbuntowani, sterroryzowani, jacy tylko chcieli, ale latało się z nimi bez porównania przyjemniej. Nawet

nie mogłem dobrze przyjrzeć się pawilonom i w ogóle parkowi, gdy zataczaliśmy nad nim koło. Kiedy skończyłem chrząkać i pokaszliwać, byliśmy już nad Miastem. Teraz znowu wzbijaliśmy się w górę, na szczęście równym skosem. Za moimi plecami silnik grał na jedną wysoką nutę, jak nieustępliwy świerszcz.

Skoro mój raport przyczynił się do tego, że będzie rozprawa, to chyba jednak nie ja wystąpię w roli głównego oskarżonego. No, mogło mnie jeszcze ruszyć sumienie. Usiadłem i sam się obsmarowałem. W takim razie zapiszą mi to na plus. Okoliczność łagodząca. Ale z tym sumieniem to raczej niemożliwe. Chociaż...

Moja niepamięć ma podwójne dno? Dlaczego akurat podwójne? Nie oszukujmy się. Jeden czarny szyb, lecz zamknięty nieskończoną ilością przegródek, albo nie zamknięty wcale. Nie ma żadnego dna pomiędzy przedwczoraj, wczoraj, a dzisiaj. Gdyby istniało... Ba! Jak teraz wyglądałyby podręczniki historii?!

Świetnie zrobiła mi ta noc z Heleną. Tak dobrze nie czułem się nawet bezpośrednio po opuszczeniu drugiego pawilonu.

Wyprostowałem nogi i wyciągnąłem się. Fotel w kabinie był wygodny. Nie miałbym nic przeciwko temu, żeby ta rozprawa zakończyła się, dajmy na to, godzinę przed zachodem słońca. Przylatuję, Helena czeka, za wcześnie jeszcze do łóżka, więc najpierw idziemy na mały romantyczny spacer wśród brzózek i kwiatów. Bo z kolei za późno, by wracać do ostrokrzewu, gdzie znowu pojawią się strzałki. Musimy to odłożyć do jutra. Pech. Mimo woli zaśmiałem się.

— Za dziesięć minut lądujemy — powiedział pilot. Może pomyślał, że śmieję się z niego, bo tak wolno leci. Niech sobie myśli. Niech się obrazi i wyskoczy. Umiem prowadzić te maszyny.

Od pewnego czasu lecieliśmy nad morzem. Nie patrzyłem w dół, bo raził mnie ostry,

ręciovoy blask, bijący z roziskrzonej płaszczyzny. Teraz znowu znaleźliśmy się nad lądem.

Ciemniejące zatoki wcinały się w górzysty teren całymi kilometrami. Wyglądały jak złączone głowami węże.

Pewnie, że mógłbym go sprytnie pociągnąć za język. Wiedziałbym w przybliżeniu, czego się spodziewać. I co bym na tym zyskał? Nie zjedzą mnie tam, dokąd lecimy, a jeśli mają mnie zjeść, to o czym tu gadać? Źle mi tak jak jest?

Następne morze. Inne, o głębszej barwie, za to z białym żebrowaniem długich grzywaczy.

Nie morze, a ocean. Znam ten rejon. Wyspy jak kamienne pięści, wystające z poszarpanych rękawów piany. Północny Atlantyk. Odgadłem już, dokąd zmierzamy. Zgadza się. Ciasny łuk i zawracamy w kierunku lądu. Schodzimy. Wysoki, skalisty brzeg. Wklęsłe misy anten. Pięć prostokątnych budynków. Gładki plac, przypominający granitową ślizgawkę. Jeszcze jedna budowla, nieco większa, stojąca samotnie na uboczu.

Sztab.

Pilot porucznik Aron był człowiekiem niezłomnych zasad. Zawisł pięćdziesiąt metrów nad owym pustym placem, po czym jak ołowiana kula zjechał pionowo w dół, wytracając pęd na trzy palce nad ziemią. Kto go tego, do cholery, nauczył? Jego własny sześciolatek synek?

Wysiadłem. W drzwiach samotnego budynku pojawił się szczupły, szpakowaty mężczyzna, ubrany dokładnie tak, jak towarzysząca mi żywa bomba z opóźnionym spadochronem. Ruszyliśmy w jego stronę.

— Czołem — rzekł z powagą Aron.

— Czołem — odpowiedział z jeszcze większą powagą szpakowaty, po czym przeniósł wzrok na mnie i przyjrzał mi się z dosyć kwaśną miną. W ogóle był jakiś zwarzony. Niby wszystko w porządku, sprężysta sylwetka, pociągła twarz, przepisowe czoło, nos kaliber dziewięć z dwiema pustymi łuskami, usta wąskie, oczy myślące. Ale myślał o czymś

kwaśnym. — Czołem — skrzywił się z kolei osobno do mnie. — Prokurator Gustman — zrozumiałem, że to właśnie on. — Przejąłem sprawę od prokuratora Fillingera, który, jak panu wiadomo, został wiceprzewodniczącym Rady. Pan Halny, prawda?

— Tak. Czołem, panie prokuratorze — odrzekłem na wszelki wypadek kwaśno, po czym też na wszelki wypadek obdarzyłem go uśmiechem słodkim jak rachatlukum. Zlekceważył jedno i drugie.

— Proszę wejść. Za pięć minut zaczynamy — rzucił cierpko, zawrócił z powrotem do budynku i zniknął za drzwiami.

Chyba to jednak mnie przypadnie w udziale rola czołowego podsądnego — pomyślałem idąc chłodnym korytarzem, o ścianach grubo wysmarowanych ciemnobrązową farbą. — Prokurator wie już co i jak, ale przed rozprawą postanowił obejrzeć mnie na własne oczy, żeby potem celować palcem we właściwą osobę. Pomyłka byłaby zbyt dotkliwa dla obu stron.

Aron wprowadził mnie do niewielkiej salki, pustej i przytulnej jak wczesnogotycka krypta.

Przez dwa okratowane okna wpadało trochę słońca, natychmiast pochłanianego przez ostre światło lampy, umieszczonej pod sufitem. Powietrze pachniało suchym kurzem. Pośrodku ustawiono trzy podwójne rzędy prostych ławek. Jedną, pojedynczą, z boku pod ścianą. Na podwyższeniu między oknami znajdował się długi stół z emblematem ONZ oraz miniaturą sztandaru. U jego lewego końca widniał komputer z ekranem i bogatym oprzyrządowaniem.

Trzy środkowe krzesła za stołem miały wyższe oparcia niż pozostałe.

Porucznik pilot ulokował mnie na ławce w drugim rzędzie, a sam wspiął się do prezydium i zajął miejsce przy komputerze. Zaledwie usiadł, otworzyły się boczne drzwi i wyszli z nich dwaj mężczyźni. Jednym był prokurator Gustman. Drugim tęgawy blondyn z miną najedzonego kocura, zdążającego na drzemkę. Obaj usadowili się w pierwszym rzędzie, na dwóch przeciwnych końcach ławek. W tej samej chwili zza owych bocznych drzwi dobiegło

charakterystyczne chrząknięcie. Aron zerwał się, wyprężył i oznajmił:

— Proszę wstać. Sąd idzie.

Wstaliśmy i sąd mógł wejść, co też uczynił. Trzech panów w średnim wieku, ubranych jak wszyscy tutaj, wyjąwszy mnie, z twarzami, stosownie do okoliczności, zwróconymi w próżnię. Równie dobrze mogli w ogóle nie posiadać twarzy. Zajęli wspomniane trzy wysokie krzesła za stołem. Następnie ten, który usiadł w środku, powiedział:

— Otwieram wyjazdową sesję Sądu Wojskowego Komisji Równowagi Sił Zbrojnych przy Radzie Bezpieczeństwa Organizacji Narodów Zjednoczonych. Prokurator?

— Obecny! — zgłosił się kwaśny.

— obrońca?

— Obecny — rzekł przymilnie kocur.

— Świadkowie?

— Obecni! — wykrzyknął z satysfakcją porucznik pilot, po czym uruchomił komputer.

Pewnie, żeby dokładnie policzyć świadków.

— Wprowadzić oskarżonych — zażądał sąd.

Także i ta misja przypadła Aronowi. Nie gasząc komputera, który cichutko wystukiwał jakąś matematyczną melodyjkę ruszył ku wciąż tym samym bocznym drzwiom.

Przeprowadzałem go wzrokiem z niekłamaną sympatią. Wprowadzi oskarżonych. Dopiero teraz. To znaczy, że dotąd w sali ich nie ma.

Aron stanął przed drzwiami, zawołał coś, czego nie dosłyszałem i wrócił na swoje miejsce.

Oskarżeni wprowadzili się sami. Było ich siedmiu. Siedmiu tryskających zdrowiem, wysportowanych chłopów o młodych, męskich w najlepszym znaczeniu tego słowa twarzach, zgaszonych, lecz spokojnych. O, ci mieli twarze. Przyjemnie było na nich popatrzeć. Ale mieli coś jeszcze. W przeciwieństwie do wszystkich tu obecnych nosili prawdziwe mundury.

Lekkie, niemniej jak najbardziej regulaminowe, z patkami, dystynkcjami i odznakami. Tyle, że każdy mundur był inny. Inne były barwy, krój, naszywki i odznaki.

Siedmiu oficerów siedmiu różnych sztabów, dowodzących siłami orbitalnymi i kosmicznymi siedmiu nuklearnych potęg. Tyle ich było w roku dwa tysiące osiemdziesiątym dziewiątym na Ziemi oraz w przestworzach, podzielonych na siedem sektorów.

Siedem części Narodów Zjednoczonych. Decydujących części. Jak wiadomo, Narody Zjednoczone dzielą się na części i cząsteczki. Tych ostatnich jest mnóstwo, lecz one nie posiadają głowic w kosmosie.

Oskarżeni zostali widać zawczasu pouczeni, jak mają się zachować. Rzędem podeszli do ławki ustawionej pod boczną ścianą, równocześnie odwrócili się frontem do środka sali i równocześnie usiedli.

— Odbędzie się rozprawa przeciwko... — sędzia odczytał siedem nazwisk. Wszystkie brzmiały mi znajomo. Wiedziałem, kim są oskarżeni i co robią. Nie miałem naturalnie pojęcia, skąd o tym wiem, ale wiedziałem. Co więcej, ja też nie byłem im obcy. Nie, żeby któryś z nich mrugnął do mnie porozumiewawczo, zrobił jakiś gest, czy choćby musnął mnie spojrzeniem. Przeciwnie. Byli nieco apatyczni, ale na pewno nie sparaliżowani strachem. Przyglądali się sędziom, adwokatowi, prokuratorowi, nawet Aronowi. Tylko mnie jednego omijali wzrokiem, tak zgodnie i w taki sposób, że nie mógł to być przypadek. Z jakiegoś powodu nie istniałem dla nich, podobnie jak dla samego siebie. Zachodziła jednak mała różnica. Dla siebie nie istniałem teraz. Dla nich przedtem. Kiedy? Na dole? Nie. Wówczas ta rozprawa również odbywałaby się na dole i nic bym o niej nie wiedział. Jej termin wyznaczono zaraz po złożeniu przeze mnie raportu. Dwa tygodnie temu? Najwyżej trzy. Sądy wojskowe działają szybko. Hm. Co takiego napisałem w tym raporcie, tuż przed utratą wspomnień? I jeszcze jeden drobiazg. Gdzie leży granica, przed którą dla współczesnych

jestem współczesny, a za którą muszę zniknąć? Pewnie to rzecz nie do ustalenia. Pewnie ta granica nie przebiega tak po prostu w poprzek czasu, jak zawór w rurze. A zresztą, co mi do tego. Wracam i bawię się dalej. O dniach pamięci niech sobie medytuje Jałowiec.

— Czy oskarżeni znają treść wysuniętych przeciwko nim zarzutów? — zakończył wstępną część swojego wystąpienia środkowy sędzia.

Siedem głosów spokojnie odpowiedziało: tak.

— Czy przyznają się do winy?

Znowu siedem obojętnych: tak. Nic nie było w stanie zmącić mojego dobrego samopoczucia, ale nagle pomyślałem, jak miło musi być teraz w parku. Nawet, gdybym przed wieczorem jednak miał trochę pochodzić za strzałkami.

— W tej sytuacji moglibyśmy odstąpić od przewidzianego kodeksem postępowania — skwitował przyznanie się oskarżonych sędzia — lecz nie pozwalają na to charakter i waga sprawy. Zastosujemy procedurę skróconą. Głos ma kolega prokurator.

— Najmocniej przepraszam, wysoki sędzie — miękkiem ruchem uniósł się z ławki obrońca.

Nie tylko wyglądał jak kocur. Potrafił także miauczeć. — Czy mógłbym zadać pytanie natury formalnej?

— Jeśli formalnej... słuchamy.

— Dziękuję. Chciałbym mianowicie zwrócić uwagę na fakt, że każdy z moich obecnych tutaj siedmiu klientów podlega innemu dowództwu, a co za tym idzie, odmiennej regionalnej jurysdykcji. W tej sytuacji powstaje zagadnienie, czy do rozstrzygnięcia o ich winie jest powołany sąd agendy Organizacji Narodów Zjednoczonych. Zaznaczam, że nie kwestionuję kompetencji szanownego Zespołu Orzekającego, przed którym mam zaszczyt stawać — łaszący się głos mówiącego zawibrował tłumionym śmiechem. Obrońcę serdecznie ubawiła myśl, że ktoś mógłby podawać w wątpliwość pełnomocnictwa sędziów, patrzących teraz na

niego zza Wysokiego Stołu. Chwilę walczył ze sobą, ale w końcu udało mu się pohamować tę uzasadnioną wesołość. — Pozwoliłem sobie jedynie postawić to pytanie, ponieważ uważam, że powinno być zostało postawione — zakończył i opadł na ławkę z wdziękiem tresowanej foki.

— Pytanie zostało zaprotokołowane — z tonu środkowego arbitra wywnioskowałem, że wystąpienie kocura stanowiło część zaplanowanego rytuału. — Odpowiedź na nie brzmi: Sąd Wojskowy Komisji Równowagi Sił Zbrojnych przy Radzie Bezpieczeństwa ONZ jest kompetentny do orzekania w tej sprawie. Istotnie stanowi to precedens, lecz i sprawa ma charakter precedensowy. Gdyby obwinieni nie reprezentowali w s z y s t k i c h siedmiu sztabów, dysponujących bronią orbitalną, wówczas procesy odbyłyby się przez trybunałami lokalnymi. Jednak w zaistniałej sytuacji wymienione trybunały same wystąpiły o przejęcie ich uprawnień przez Radę Bezpieczeństwa. Zagrożony został bowiem nie interes poszczególnych regionów, lecz cała ludzkość. Zatem niech i karę wymierzy cała ludzkość, poprzez, jak się wyraził kolega obrońca, agendę Organizacji, posiadającej Jej mandat powierniczy. Dlatego, choć każdy z siedmiu obwinionych zawiódł zaufanie swojego sztabu, ponieważ wszyscy razem zdradzili Ziemię, wyrok zapadnie tu! — ostatnia sylaba nie została wypowiedziana głośniejsz niż poprzednie, ale w taki sposób, że huknęła jak wystrzał. Pocisk zrykoszetował, świsnął mi koło ucha i ugrzązł w drewnianej podłodze. Niewiele brakowało.

Wstał prokurator. Obrzucił kwaśnym spojrzeniem trójkę sędziów, kiwnął im głową, tak energicznie, jakby chciał brodą wbić gwóźdź w zakurzone powietrze, po czym zaczął mówić. — Oficerowie, których dziś widzimy na ławie oskarżonych należeli do elity siedmiu najpotężniejszych armii. Zostali wybrani spośród wybranych. Wykształcenie i przygotowanie każdego z nich kosztowało niemal tyle, ile jedna najnowocześniejsza głowica wraz z zespołem przenoszenia. Skończyli z odznaczeniami akademie wojskowe i kursy

specjalistyczne. Natura obdarzyła ich znakomitym zdrowiem, ale sztabowi lekarze dali im więcej niż natura. Uczynili z ich organizmów idealnie sprawne i niezawodne instrumenty, na usługach najdoskonalej rozwiniętych umysłów. Życie psychiczne każdego z podsądnych charakteryzuje się absolutną równowagą. Indywidualne treningi na Ziemi i w całym zagospodarowanym kosmosie, który stanął przez nimi otworem. Indywidualne pobudzanie i kształtowanie inteligencji. Indywidualne sterowanie upodobaniami i relaksem. Nie istnieje broń, której nie umieliby użyć, najwydajniej jak to możliwe. Nie ma tajemnic sztabowych, których by nie znali. Nie ma zapisanego w nauce zadania, którego nie rozwiązaliby szybciej niż uczeni, za pomocą sprzętu informatycznego, jakim dysponowali. Takich jak ta siódemka było wielu. Mijał czas, przychodziły nowe etapy szkolenia, ćwiczeń, sprawdzianów. Grono wybrańców topniało. Aż wreszcie — o, teraz prokurator nie był już kwaśny. Ani jego głos nie brzmiał kwaśno. Nie mówił, a uderzał. Jego oczy eksplodowały jak dwa zamaskowane zapalniki. Zrobił się wyższy. Buchnęło z niego gorąco niczym z hutniczego pieca. Wyssał tlen z całej zakurzonej salki. Pałaca duchota powoli zaczynała mi utracać pęcherzyki płucne jak zeszłoroczne torebki lnu na zmarnowanej plantacji. Ptak—Żar, nazwiskiem Gustman. A może to nie tylko on sam pozbawił mnie powietrza? Mimo woli zerknąłem na ławę oskarżonych. Przedostatni w rzędzie, wspaniały facet o ciemnooliwkowej cerze i czarnych kręconych włosach, w popielatej bluzie z dystynkcjami pułkownika przeniósł właśnie obojętne spojrzenie z prokuratora na obrońcę. Po drodze zahaczył o mnie. Nasze oczy spotkały się na jedno króciutkie mgnienie. Ujrzałem pustkę.

E, bzdury. Pomyślałem o Helenie i wróciłem wzrokiem do rozognionego oskarżyciela.

Dobrze mówi. Niech sobie nie żałuje. Do wieczora jeszcze daleko.

— ...aż wreszcie — powtórzył Gustman — każdy z siedmiu sztabów wyłonił jednego, najlepszego z najlepszych, najpewniejszego z pewnych, najdoskonalszego z doskonałych. Po

czym powierzył mu największy skarb. Los Regionu i cywilizacji. Oddał mu w ręce klucz do księżycowej bazy, klucz, który umożliwia odpalenie w kierunku Ziemi wycelowanych w Nią z orbitalnych instalacji głowic. Każdy z nich, siedzących tu przed nami na haniebnej ławie, zamieszkał w osobnym, luksusowo urządzonej bunkrze, u podnóża malowniczych Apeninów, w pobliżu krateru Autolikosa. Widzicie ten obraz, panowie sędziowie? Znaćcie go, ale czy teraz go widzicie? Siedem bliźniaczych kopuł zgrupowanych obok siebie tworzy centrum dowodzenia, i jest ostoją osiągniętej z takim trudem Równowagi Sił Zbrojnych. Przed siedmiu ekranami, w siedmiu komfortowych fotelach spoczywa siedmiu ludzi. W zasięgu ręki mają najsmaczniejszą żywność, najwybredniejsze napoje, mogą słuchać muzyki i oglądać programy nadawane przez stacje na obu półkulach. Również w zasięgu ręki spoczywają ich klucze od drzwi wejściowych. Te same klucze, gdy zabrmi sygnał, uruchomią zapłony pocisków o niewyobrażalnej sile rażenia. Każdy klucz jest inny, nie do podrobienia przy użyciu najwymyślniejszych narzędzi. Kiedy wychodzą, noszą je w niezniszczalnych schowkach skafandrów. Aby im je wydrzeć, trzeba by ich wpierw zabić, co, naturalnie, automatycznie spowodowałoby alarm i natychmiastową blokadę całego centrum. A wychodzą wcale nierzadko. Spotykają się ze sobą, jak ich mniej szczęśliwi koledzy w kasynach czy ogrodach otaczających naziemne sztaby. Robią to z czystym sumieniem i bez obaw. Przecież aby w którymkolwiek z ich pancernych pałacyków mógł zostać wciśnięty czerwony guzik, potrzeba zawsze wszystkich siedmiu kluczy. W tym tkwi istota naszej najświętszej równowagi, istota bezpieczeństwa świata. Kto zliczy, ile trzeba było spotkań na najwyższych szczeblach, ile znojących negocjacji, ile kompromisów i wyrzeczeń ze strony armii, by po wieku wiszącej nad nami zagłady, wieku strachu, psychoz i niepewności jutra, nastał wiek spokoju.

Przecież to rzecz fizycznie niemożliwa, by tych siedmiu tam, na Księżycu, porozumiało się

ze sobą i wspólnie użyło powierzonych im kluczy do równoczesnego odpalenia arsenałów. Najpierw musieliby się zawsze spotkać w jakimś wybranym bunkrze, a kto zgodziłby się wydać na pastwę nuklearnych płomieni w pierwszej kolejności swój macierzysty Region? Oblęd? Nie, wysoki sędzie. Jest matematycznym absurdem, by jednego dnia, o jednej godzinie, zwariowało siedmiu zwykłych, przeciętnych ludzi, przebywających w tych samych, znakomitych warunkach. Jest absurdem do siódmej potęgi, by naraz oszaleli akurat oni, najzdrowsi z najzdrowszych, w dodatku codziennie zdalnie poddawani kontrolnym badaniom. Zatem nie istnieje możliwość, że kiedyś wszystkie klucze znajdą się w rękach jednego człowieka. Nie istnieje, prawda? Niestety, panowie sędziowie! Nie, nie. Żaden nie zachorował. Żadnemu nie zepsuł się komputer. Był zwykły dzień służby. Piękny, księżycowy dzień. Pod kraterem Autolikosa wylądował pojazd z Ziemi. Wsiadł z niego samotny inspektor. Zaczął odwiedzać bunkry jeden po drugim i opuszczał je każdorazowo w towarzystwie jego mieszkańca. W końcu zgromadził ich wokół siebie wszystkich, za ostatnim posterunkiem. Inspektorze Marku Halny! — to znowu był wystrzał. Tym razem w salce wypaliła armata. Dopiero kiedy umilkł łoskot, uprzytomniłem sobie, że prosto we mnie. Jednak cholernie tu duszno. Poza tym ten typ za długo gada. To dobrze, że rozprawa się przeciąga, ale niechby już dopuścili do głosu obrońcę. Adwokaci i tak zawsze mają więcej do powiedzenia niż prokuratorzy. — Inspektorze Halny! — zagrział po raz drugi Gustman. — Co im pan wtedy mówił?! Niech pan nie wstaje! — huknął na mnie życzliwie, ponieważ wyrwany tak raptownie, odruchowo poruszyłem się na ławce. — My to wiemy! Wiemy, z pańskiego własnego raportu, który oni potwierdzili! — rozstrzelał wskazującym palcem całą obwinioną siódmkę.

— Że utrzymywanie arsenałów w kosmosie jest bezsensowne, skoro i tak nie mogą być użyte przeciw jednemu, zakreślonemu obszarowi Ziemi. Że siedząc tam z tymi swoimi

kluczami robią z siebie błaznów, bo nigdy nie zaistnieje sytuacja, w której byliby w stanie pociągnąć za spust. I co oni wówczas uczynili? Oddali panu klucze! Wszyscy! Matematyczny i fizyczny absurd stał się faktem! Rozstrzygnięcie, czy Ziemia ma istnieć dalej, czy spłonąć jak wiązka siana, zawisło od woli jednego człowieka. Udowodnił pan światu, że za wcześnie cieszył się poczuciem bezpieczeństwa. A nam, wojskowym, że zbyt pochopnie przystaliśmy na system równowagi, który niczego nie gwarantuje. Nie pomyśleliśmy o tym, że nawet najzdrowsi ludzie mogą wyciągnąć ręce do mrzonki — i pan nam to wypomniął, inspektorze Halny! Wywołał pan widmo, którego nie dostrzegaliśmy. Widmo zmowy! Podłej, zdradzieckiej zmowy ze strony tych wybranych spośród wybranych. Dosyć, panowie sędziowie — w mgnieniu oka na powrót stał się spokojny, chłodny i kwaśny. — Dosyć. Oskarżam obecnych tu siedmiu oficerów o zdradę główną, uważam ich winę za udowodnioną i żądam dla nich najwyższego wymiaru kary. Dziękuję.

O mało nie powiedziałem: proszę, tak byłem zadowolony, że skończył. Halny i Halny. Inspektor, cholera. Złoty mówił prawdę. Kolega po fachu. Tyle, że ja się nie buntowałem. Przeciwnie. Ja wypełniłem swój obowiązek. Polecałem, poniuchałem, pogadałem sobie, a potem rąbnąłem raport. Inna sprawa, że jeśli to wszystko prawda, co powiedział Gustman, to ten jakiś ja, nie wiedzieć kiedy, był nielichym spryciarzem. Co to za równowaga, polegająca na tym, że siedem kluczy do siedmiu arsenałów może być użytych albo równocześnie, albo wcale. To po diabła ta broń, na której nieustanną modernizację i konserwację idą miliardy? Po kiego czorta wysyłać na Księżyc najlepszych ludzi, żeby siedzieli w pancernych pigułach lub spacerowali w zębatym cieniu grani Apeninów? Naturalnie, że błazenada. Sam bym się na to złapał, gdybym był na ich miejscu i gdyby przyleciał jakiś złotousty inspektor.

— Czy w związku z wystąpieniem kolegi prokuratora ktoś chce zabrać głos? — spytał srodkowy sędzia tonem nie wróżącym niczego dobrego, komuś, kto by zechciał.

Odpowiedziało milczenie. Arbiter westchnął z aprobatą i rzekł:

— Proszę kolegę obrońcę.

Kocur wstając zafalował jak kępa wodorostów. W górze porwał go prąd. Wyciągnął głowę w stronę stołu sędziowskiego, ale całą resztą ciała skłonił się ku mnie.

— Mój szanowny przedmówca — zaczął cicho i miękko — był łaskaw zwrócić już uwagę wysokiego sądu na rolę, jaką w tej nieszczęsnej sprawie odegrał pan inspektor Halny — masz sobie. On także. — Niech mi jednak będzie wolno stwierdzić — ciągnął adwokat — że w przemówieniu kolegi prokuratora ta rola została przedstawiona w sposób wysoce niepełny, proszę mi darować: tendencyjnie niepełny. Gdy tymczasem — warknął, odwracając się i wpijając wzrok we mnie — kot, ale z tych większych. Co najmniej puma. — Gdy tymczasem — zaryczał ponownie — nie można sprawiedliwie osądzić moich klientów, jeśli nie ustali się przedtem, co naprawdę robił u nich na Księżycu i co im opowiadał onże inspektor Halny. Chodzi o motywy, jakimi się kierowali, ryzykując czyn, W wyniku którego zasiedli dzisiaj na ławie oskarżonych. Mówimy, że intencje sądzi Bóg, a ludzie konkretne postęпки, ale nieumyślne zabójstwo jednak traktujemy inaczej niż morderstwo z premedytacją — obrońca wciągnął ze świstem powietrze, po czym wypuścił je powoli, prosto w moją twarz. — Cóż bowiem zaszło owego feralnego dnia w okolicy krateru Autolikosa? — zadał pytanie po krótkiej pauzie. Jego modulowany głos przeskoczył w pobliże basów i przycichł. Miauczał teraz w tonacji molowej. — Owszem, pan Halny złożył zaraz po powrocie wiadomy raport. Owszem, żaden z oskarżonych nie zaprzeczył, że podstawowe fakty, przytoczone w owym, hm, dokumencie, są prawdziwe. Ale protokoły przesłuchań wszystkich obwinionych zgodnie uzupełniają ten raport o wysoce interesujące szczegóły, które kolega prokurator uznał za stosowne pominąć. Ja również — na moment zwrócił się w stronę stołu i sztywno wyprostowaną dłońią zatoczył dwa płaskie, pionowe koła, jakby wyczarowywał niewidzialny

pejzaż — pozwolę sobie teraz zaapelować do wyobraźni wysokiego sądu. Zaczniemy od momentu, który tak plastycznie odmalował oskarżyciel. Jest czarno-biały księżycowy dzień. Obok siedmiu bunkrów centrum dowodzenia ląduje mały moduł patrolowy. Wysiada z niego jeden człowiek. Podchodzi do pierwszej dyspozytorni. Znika w niej, by po chwili wrócić na otwartą przestrzeń w towarzystwie oficera. Obaj idą ku drugiemu bunkrowi. Oficer czeka na zewnątrz, przybysz wchodzi i wyprowadza funkcjonariusza innego sztabu. Nie trwa to dłużej niż gwizdnięcie na psa, by przybiegł do nogi. Trzeci pancerny budynek. Historia się powtarza. Czwarty. Piąty, szósty i siódmy. Za każdym razem najsprawniejsi, najinteligentniejsi, najlepiej wyszkoleni oficerowie, jakimi dysponują sztaby świata, pozwalają się po kilku słowach wywabić ze swoich baz potulnie niby owieczki. Oczywiście, każdy z nich, wychodząc, zamyka bunkier i zabiera klucz ze sobą. Teraz są już w komplecie. Przybysz prowadzi ich kawałek dalej, ustawia w cieniu i zaczyna mówić. Śledzicie tę scenę? Słyszycie ten jeden przemawiający głos?

Nie rozbrzmiewa długo. Parę zdań, jeśli wierzyć koledze prokuratorowi. „Panowie, pilnowanie broni, w sytuacji gdy każdy każdego trzyma w szachu jest głupotą, wasza służba nonsensem, a wy robicie z siebie błaznów”. Tyle. Więcej nie trzeba. Siedmiu ludzi jeden po drugim podchodzi do pana Halnego i wręcza mu siedem kluczy, z którymi pan Halny może teraz zrobić, co mu się żywnie podoba. Iść kolejno od bazy do bazy i odpalać głowice.

Zniszczyć Ziemię lub skierować wyrzutnie w stronę Marsa czy Wenus. Proszę? — nadstawił ucha, choć nikt się nie odezwał. — Że to brzmi nedorzecznie? Ja też tak uważam. Ale to przecież nie ja przedstawiłem w ten sposób rolę, jaką wówczas odegrał pan Halny, oraz zachowanie podsądnych. Jednak zakończmy opis tego jedyne w swoim rodzaju spektaklu. Oto inspektor Halny stoi, trzymając siedem kluczy. Stoi i patrzy. Panuje absolutna cisza. Mijają minuty. Jedna. Dwie. Pięć. Dziesięć. Nic się nie dzieje. Upływa piętnaście minut.

Nagle ktoś się poruszył. To ten samotny przybysz. Co robi? Podchodzi do wpatrzonych w niego siedmiu ludzi, którzy obdarzyli go tak niewiarygodnym zaufaniem i w milczeniu oddaje im bezcenne klucze. Zwraca im je bez słowa, bez słowa odwraca się, idzie do swojego pojazdu, wsiada i odlatuje, by jeszcze tego samego dnia sporządzić służbowy raport. Czy to tak właśnie było, inspektorze Halny?! — raptem znowu zaryczał i zawisł nade mną jak krzywa wieża nad sprzedawcą fałszywych ludowych pamiątek z Toskanii. — Czy tak to było?! Nie!!! — zawył zwycięsko ku sędziom, po czym ponownie ukazał się nad moją głową. — Kolega prokurator w jednym miał niezaprzeczalną słuszość. Nie musi pan odpowiadać, panie Halny! My rzeczywiście wiemy, co pan wtedy robił i mówił. Proszę wysokiego sądu, przemilczane przez oskarżyciela zeznania obwinionych są absolutnie zgodne i ukazują ich czyn w zupełnie odmiennym świetle niż mógłby mniemać ktoś, kto zna fakty jedynie z wystąpienia kolegi Gustmana. Inspektor Halny istotnie wylądował pewnego dnia koło księżycowego centrum dowodzenia i wyprowadził na neutralne pole oficerów, dyżurujących w siedmiu bazach. Ale dlaczego ci oficerowie poszli za nim od razu, o nic nie pytając? Tacy ludzie jak oni? — skłonił się nisko oskarżonym. — Ponieważ zostali oszukani! Ponieważ pan Halny posłużył się kłamstwem! Usłyszeli od niego, że przybywa do nich z ważną i delikatną misją, zleconą mu przez Narody Zjednoczone i najuprzejmiej prosi, by zechcieli wysłuchać, co ma im do przekazania. Pogratulować przebiegłości, panie Halny! Nie przyleciał pan z rozkazem, o nie! Wiedział pan dobrze, że nie przyjęliby żadnego rozkazu od człowieka, który przybył nie zapowiedziany i nie wyposażony w pełnomocnictwa poszczególnych sztabów. Pan nie rozkazywał, pan p r o s i ł ! „Mam dla was poufną informację. Wysłuchajcie jej, ponieważ międzynarodowej społeczności z niesłychanie doniosłych powodów ogromnie na tym zależy”. Któż z nas odmówiłby takiej prośbie? Lisia przewrotność, inspektorze Halny! Naturalnie poszli z panem i zgromadzili się w wybranym przez pana miejscu, żeby nie musiał

pan siedem razy powtarzać tej samej „poufnej informacji”. Ale pan nie miał dla nich żadnej informacji. Pan wygłosił przemówienie. Była w nim również wzmianka o bezsensie ich służby, jednak nie to stanowiło główny wątek pańskiej oracji. A poza tym, przemawiał pan długo. O wiele dłużej, niżby to wynikało z relacji kolegi prokuratora. Z fenomenalną siłą ekspresji odmalował pan okoliczności, w jakich najbardziej śmiertelna broń wymyślona i sporządzona przez ludzi została z Ziemi przeniesiona w kosmos, oraz konflikty, spory, negocjacje i ustępstwa, które ten akt poprzedziły. Był pan porywający. Stwierdził pan i przekonująco uzasadnił, że znana nam równowaga jest tragicznym nieporozumieniem, ponieważ równowaga śmierci nikomu nie zapewnia bezpieczeństwa. Że sam fakt istnienia broni, wycelowanej z kosmosu w Ziemię, stanowi hańbę rzekomego wieku pokoju. Powiedział im pan, inspektorze, że choć oni nie zawiodą ani swoich sztabów, ani ludzkości, to przecież w każdej chwili może się zdarzyć katastrofa, spowodowana, dla przykładu, trafieniem meteoru w jakiś węzeł informatyczny lub bezpośrednio w wyrzutnię. Że nie trzeba nawet uderzenia, wystarczy błędna interpretacja przez komputer samego pojawienia się owego meteoru. Że istnieje jeszcze dziesięć powodów, wymienił je pan — był pan znakomicie przygotowany — dla których mimo wszelkich pozornie niezawodnych zabezpieczeń, jednak pewnego dnia, o pewnej godzinie potop nuklearnego ognia może zalać Ziemię, i wtedy, o tej godzinie, przypomną sobie wasze dzisiejsze spotkanie. Wszystkich nas od wielu pokoleń wychowywano w przeświadczeniu, że mało znaczymy i mało od nas zależy — tak pan mówił, czyż nie? Nieszczęsna plaga: nieistotność rzeczywistości w ludzkich umysłach — to przecież pańskie słowa! Aż nagle zebrało się siedem osób, od których zależy wszystko. Jeden mały krok, a broń zniknie ze świata, jak kiedyś zniknęły z niego płonące stosy inkwizycji, dżuma, fanatyczni ludobójcy, głód, wojny i terroryzm. Malutki krok — tu wyciągnął pan do nich rękę, panie Halny. Och, mógłbym pana cytować znacznie dłużej, ale

myślę, że aż nadto wystarczą zdania, które przytoczyłem. Założmy więc, że po słowach „malutki krok” wyciągnął pan do nich ręce. A oni podeszli i oddali panu klucze. I co dalej? Mieliście przecież kolejno we wszystkich bazach zmieniać programy komputerów i nakierowywać broń na nowe cele. Te cele znajdowałyby się w najdalszym kosmosie lub na tarczy Słońca. W obu wypadkach broń nie wyrządziłaby żadnej szkody ani naturze, ani istotom żywym. Ale pan stał i milczał. Po kwadransie, bez słowa wyjaśnienia oddał im pan klucze i odleciał. Wieczorem, na Ziemi, powiadomił pan oficjalnie swoich przełożonych, że wybrańcy siedmiu sztabów dopuścili się zdrady, wydając klucze w ręce jednego, obcego człowieka. Z tego mogłoby wynikać — obrońca ponownie omiótł wzrokiem sędziów, a następnie znowu skłonił się oskarżonym — że oficerowie, których dzisiaj sędzimy, padli ofiarami doskonale zaplanowanej prowokacji. Cóż, prowokacja nie jest zalecana w żadnym regulaminie, jednakże w wypadku inspekcji w tak szczególnym miejscu i w sprawie o tak kapitalnym znaczeniu, metoda zastosowana przez agenta niech już pozostanie kwestią jego własnego wyboru i jego własnego sumienia. Nie będziemy wnikać ani w ten wybór, ani w to, hm, sumienie — skrzywił się, jakby połknął robaka. Cóż to w ogóle za adwokat? Kazali mu bronić oskarżonych, a nie napadać na niewinnego świadka. Wszystko oparł na ataku, wymierzonym we mnie. We mnie, nie we mnie, ale innego Halnego tu nie ma. A nawet jeśli jest, to on o tym nie wie. Głupia, miauczająca świnią.

Słowo: świnią, przyszło mi na myśl jakby nie w porę. Popatrzyłem w okno, stwierdziłem z zadowoleniem, że słońce przekroczyło już zenit i zaczęło drogę ku zachodowi, po czym po raz któryś poprawiłem się na twardej ławce. Oparłem łokcie na kolanach, brodę podparłem pięściami i łypnąłem w górę, czekając, co mi z niej jeszcze kapnie.

Nie doznałem zawodu.

— Po raz drugi stawiam panu pytanie, panie Halny, czy to tak właśnie było?! — ponieważ

po raz drugi najwyraźniej nie oczekiwał odpowiedzi, siedziałem cicho. — Nie, wysoki sędzie! — adwokat znowu wygiął się w stronę stołu i znowu zaryczał. — Nie!!! Wspomnieliśmy tu o prowokacji. Ale z przebiegu wydarzeń na Księżycu, owego fatalnego dnia, wynika niezbicie, że o żadnej prowokacji nie może być mowy! Inspektorze Halny, pan wybrał się do centrum dowodzenia z zamiarem ujawnienia możliwości zdradzieckiej zmywy, zanim ta zmywa wylęgła się w umysłach oskarżonych. Czy tak? O, nie, panie Halny! — zamachał mi nad głową pazurzystą łapą jak oślepy drapieżnik. — Spójrzcie na tych ludzi, panowie sędziowie — jeszcze jeden ukłon w kierunku obwinionych. — Ileż tu już zostało powiedziane o ich wykszoleniu, wykształceniu, a przede wszystkim o ich inteligencji. Pytam, czy tacy ludzie pozwoliliby się wodzić za nos nawet najsprytniejszemu prowokatorowi? Czy poszliby na lep paru banałów? Absurd! Oddali Halnemu klucze, bo uznali słusność jego argumentów. Doskonale wiedzieli, na co się decydują. Wiedzieli, co im za to grozi. A jednak się zdecydowali. Dlaczego? Dlatego, wysoki sędzie, że w głosie i zachowaniu pana Halnego wyczuli p r a w d ę !!! Nie zwiódłby ich, kłamiąc. Co daje człowiekowi najskuteczniejszą siłę przekonywania? Szczerowość!!! — wrzasnął obrońca. — Najgłębsza wiara w słusność tego, co się mówi!

Inspektorze Halny! Pan nie poleciał na Księżyc dokonać demaskatorskiej prowokacji! Pan tam poleciał gnany romantycznymi rojeniami! Kiedy pan tym swoim siedmiu ofiarom, tak, tak, ofiarom, dowodził, co powinni zrobić, mówił pan wprost z serca, z pasją, ogniem, uniesieniem! Pan naprawdę chciał zniszczyć zgromadzone na orbitach arsenały. Inaczej niczego by pan u tych ludzi nie wskórał! Wysłuchaliby, wzruszyli ramionami, wrócili do siebie i zameldowali o pańskiej wizycie. Panowie sędziowie, tego, co teraz powiedziałem nie jestem w stanie udowodnić, ale proszę, zastanówcie się, czy mogło być inaczej?! Nie! Wykluczone! Jeśli ktoś tu zdradził, to w pierwszym rzędzie Halny! On wybrał się na Księżyc

nie po to, by uczynić zadość swoim inspektorskim powinnościom, lecz by skompromitować i zniszczyć równowagę sił zbrojnych! Celowo, z premedytacją! No i udało się, panie Halny! Zadowolony pan z siebie? Po dzisiejszym procesie, co mówię, od momentu złożenia przez pana raportu, prawie wszystkie agendy ONZ pracują nad nowym systemem bezpieczeństwa, a do czasu jego powstania poszczególne sztaby zachowują pełną samodzielność decyzji w kwestii użycia orbitalnych broni. Udowodnił pan przecież, że dotychczasowa równowaga była złudą. A teraz, panowie sędziowie, najciekawsza odsłona tej tragifarsy. Inspektorze Halny, czemuż to ostatecznie postąpił pan wbrew swoim przestępczym zamiarom, wbrew własnym, skrzętnie skrywanym ideałom, wbrew samemu sobie?! Bo pan nie tylko chciał zniszczyć wycelowane w Ziemię głowice. Pan dopiął tego, że mógł pan to uczynić! Oto stoi pan z siedmioma kluczami w rękach i patrzy na ludzi, którzy strzegli tych kluczy jak największej świętości, ale przekazali je panu, bo uwierzyli, że robią to w imię jeszcze większej świętości. Stoi pan i milczy. Piętnaście minut trwa ta niesamowita scena! Co się stało, panie Halny? Nagle poczuł się pan zmęczony? Chory? Był pan dostatecznie rażny, by wrócić na Ziemię i sporządzić raport. A tam wystarczyło przecież ruszyć z tymi kluczami do pierwszej bazy, otworzyć ją, zmienić kierunek wyrzutni i wcisnąć czerwony guzik! A potem przejść do następnej, do trzeciej, czwartej, siódmej! Byłoby po wszystkim! Kto wie, czy armie świata, postawione wobec faktu dokonanego, nie zaakceptowałyby tej przymusowej sytuacji i raz na zawsze nie zrezygnowały z umieszczania na orbitach jakichkolwiek broni. Jest to nawet zupełnie prawdopodobne. Więc czemu pan się cofnął, panie Halny? Zląkł się pan, kiedy był pan już u celu? Czego? Tego jednego decydującego ruchu? Zwątpił pan w siebie? Czy też w ludzkość? Wahanie trwało za długo i, jak zawsze w takich wypadkach, zakrzepło w postaci oportunisty? Nie wiem tego, panie Halny. Nie wiem, panowie sędziowie. Wiem jedno. Albo inspektor Marek Halny zasiądzie tutaj na ławie oskarżonych

jako pierwszy z o ś m i u , albo, wydając wyrok na siedmiu, musicie pamiętać o motywach, którymi się kierowali i o tym, że choć zdradzili, najpierw sami padli ofiarą zdrady. Dziękuję — mruknął jeszcze obrażonym tonem i usiadł.

Przez chwilę w salce było zupełnie cicho. Ni stąd ni zowąd owładnęło mną dziwne uczucie. Miałem wrażenie, że patrzę na mnie nie tylko ci trzej zza stołu, oraz Aron, Gustman i obrońca, a nie patrzy siedem par spokojnych oczu z bocznej ławki. Wydało mi się, że ściany sztabowego budynku są przezroczyste. Że stoję wewnątrz unoszącego się w powietrzu szklanego dzwonu, wystawiony na widok całego Miasta. I że część Jego mieszkańców przygląda mi się bez szczególnego zainteresowania, natomiast druga część, znacznie mniej liczna, odwraca ode mnie głowy. Wśród tych, którzy patrzyli, znajdowała się Helena.

Wyglądała, jakby przed chwilą oznajmiła komuś, że sowa była córką piekarza, a teraz miała zacząć mówić o rozmarynie, koprze, rucie i stokrotce, żałując, że nie może ofiarować fiołków, bo jej zwiędły. Muszę ją poprosić, by przed zaśnięciem pożegnała mnie słowami: dobranoc, słodki książę. Żebym nie zapomniał. W każdym razie zabronię jej powtarzać cokolwiek z piątej sceny czwartego aktu. „Słodki książę” będzie w sam raz.

Z powietrza na ziemię ściągnął mnie głos sędziego, środkowy arbiter w niczym nie przypominał Ofelii, ale po pierwsze, tylko tego brakowało, żeby przypominał, po drugie, to nie Ofelia kładzie spać słodkiego księcia, i po trzecie, niby dlaczego Helena miałaby się zachowywać jak lamentująca dziewczica w starym zamczysku, w którym człowiek co krok wpada na jeszcze głośniejszego lamentującego ducha? Że ktoś tu na mnie namiauczał? Sędzia nie przemówił głosem dziewczicy, lecz to, co powiedział, zabrzmiało wystarczająco słodko.

— Nie przerywałem koledze mecenasowi — rzekł — by nie przedłużać rozprawy. Teraz jednak czuję się zmuszony zauważyć, że treścią jego wystąpienia miała być obrona oskarżonych, a nie powiększanie ich liczby — o, właśnie. Brawo. — Nie potwierdzone

żadnymi faktami próby oczerniania inspektora Marka Halnego mogę rozumieć tylko w jeden sposób. Ten mianowicie, że obrońca, mimo usilnych starań, nie znalazł w materiale dowodowym niczego, co mogłoby świadczyć na korzyść obwinionych. Sąd weźmie to pod uwagę. Świadek Halny wypełnił swój obowiązek i każdy, kto dziś wysuwa przeciwko niemu gołosłowne zarzuty naraża się na proces cywilny o łatwym do przewidzenia wyniku. — No, pozwu mu nie poślę. Chciałoby mi się. — Ogłaszam przerwę — zakończył środkowy arbiter, wstając. — Sąd udaje się na naradę.

Dwaj jego koledzy podnieśli się także, ale tylko oni, bo sąd udał się na naradę nie dalej niż do końca stołu, po przeciwnej stronie niż ta, gdzie przed porucznikiem pilotem cicho stukał komputer. Tu trzech członkowie trybunału zaczęli szeptać. Widać tak było trzeba. Szeptali jakieś dwie minuty, po czym wrócili do swoich krzeseł z wysokimi oparciami. Teraz musieli wstać również oskarżeni, żeby wysłuchać wyroku.

— ... W imieniu... degradację... skreślenia z ewidencji... dożywotni zakaz pracy w armii... opuszczania Ziemi... inne kary wymierzą poszczególne sztaby, którym niniejszym... przekazani...

Zapatrzyłem się w okratowane okno, jednolicie zamglone brudem. Wstałem, kiedy sąd opuszczał salkę, bo wstali również Gustman i kocur. Wyszedłem, gdy przyszedł po mnie Aron. Jeszcze lecąc nad oceanem, lądem i morzem miałem przed oczami to okno, przez które nic nie było widać.

Co t a m t e n Halny mógł myśleć wtedy, przez tych piętnaście minut? Krater Autolikosa. Apeniny. Nie ma mnie w tym krajobrazie, ale znam go dobrze. Światła w szczelinach gór jak ciecica brzytwą przez pokrowiec na zapalonym reflektorze. Krawędzie cieni niczym brzegi przepaści. Dlaczego, do cholery, nie wziąłem tych kluczy i nie urządziłem strzelaniny w najdalszą próżnię lub w Słońce? Zaraz, zaraz. Ja? Co znowu. Ja nigdy bym tam nie poleciał.

Znalazłbym sobie przyjemniejsze zajęcie. Na przykład czytałbym stare powieści historyczne, których akcja rozgrywałaby się od upadku Troi gdzieś tak do połowy Cesarstwa Rzymskiego. Potem dzieje stają się zbyt bliskie i ponure. Zimą mógłbym jeszcze karmić sikorki.

Co on tam myślał?

Odnajduję się powoli. Śmieszne, że jak dotąd, zawsze poza Ziemią. Raz wśród Złotych, raz wśród ludzi. I stale wychodzi na to samo. Ale to przecież nieistotne. Istotne, co robię teraz. Idę czyimś tropem. To nic, że ten ktoś nigdzie nie doszedł. Zostawił urwany ślad, jak spłoszony gawron na świeżym śniegu. Ale dopóki jest ten ślad...

Do diabła, co się ze mną dzieje, kiedy tracę przytomność i znikam? Co robię na dole?

— Jesteśmy na miejscu — usłyszałem głos porucznika Arona. Brzmiało w nim lekkie zdziwienie. Spojrzałem na niego. Przechylił się przeze mnie i otworzył drzwi kabiny z mojej strony. Silnik umilkł. Poczulem zapach trawy i kwiatów. Staliśmy na środku polany.

Poweselałem. Zerknąłem na słońce. Dotykało już koron drzew. Znakomicie. Za późno, by ruszać w drogę do następnego pawilonu, za wcześnie na dobranoc. Dokładnie jak sobie tego życzyłem.

— Czółem — rzuciłem pilotowi i uśmiechnąłem się do niego. Uśmiechu mi poskąpił, ale „czółem” powiedział. Odczekał, aż odejdę, po czym poderwał maszynę pionową świecą.

Zabawne. Przegapiłem nawet moment lądowania.

Prychnąłem na siebie ironicznie, zawołałem: Heleno! — po czym szybkim krokiem poszedłem przez niepokalaną trawę w kierunku małej kopuły, zwanej moim domem.

XI. BETA JEDEN

Siedziała na łóżku, oparta o wezglowie, w niewygodnej pozycji, z nogami spuszczone na podłogę. W rękach trzymała otwartą książkę, jedną z tych czterech, które składały się na moją domową bibliotekę. Kiedy wszedłem, powoli opuściła książkę i spojrzała na mnie uważnie, trzeźwo, nie po swojemu. Nie uśmiechnęła się. Nie odwzajemniła mi pocałunku. Zostawiłem ją, umyłem się i wróciłem do sypialni. Nie było jej tam. Znalazłem ją w kuchni. Zabierała właśnie dużą, zastawioną naczyńiami tacę, żeby zanieść ją do pokoju. Usiedliśmy przy stoliku. Z bogatego zestawu kostek prasowanego siana, torfu, mydła, proszku do zębów i sierści wielbłąda oraz paru podobnych zbawiennych dla organizmu koncentratów, wyczarowała prawdziwy obiad. Smakował jak na kameralnym przyjęciu u Armanda Jeana du Plessisa, w historii sztuki kulinarnej znanego również jako kardynał książę de Richelieu. Obracałem akurat językiem kolejny kawałek nieba, gdy usłyszałem:

— Skazali ich?

Niebo zmieniło mi się w gębie w gutaperkę. Przełknąłem i popatrzyłem na nią z wyrzutem.

Ujrzałem pociemniałe, chabrowe oczy, pełne smutku.

— Proszę, proszę — pokiwałem głową. — A przecież nie wiedziałaś, dokąd jadę.

— Telefonowałam do instytutu — spuściła powieki.

Oczywiście. Musiała uprzedzić Jałowca, żeby na nas nie czekał. A ten rzecz jasna, znał na wylot moje inspektorskie sprawy. Pewnie nie powiedział jej wszystkiego, ale wystarczyło to, co powiedział.

— Aha — mruknąłem. — Prześlicznie wyglądasz — zauważyłem. Rzeczywiście wyglądała prześlicznie. — Uczta godna bogów — pokazałem stół. To również była prawda.

Przez chwilę panowała cisza. Nabiłem na widelec następny kęs.

— Czy ty naprawdę...

— Co? — przerwałem z pełnymi ustami. Skończyłem jeść, odsunąłem talerz, wstałem i z błogim uśmiechem poklepałem się po brzuchu. Obserwowała mnie nieufnie.

— Czy musiałeś coś mówić...? — Pytali cię o coś?

— Tam nie. Tutaj pytają — poinformowałem ją. — Chodź, pójdziemy się przejść. Jeszcze rano wymarzyłem sobie taki idealny spacer. „Wejdę na palmę. Za jej gałązki pochwycę; Twe piersi będą gronami. A woń twego oddechu Wonnością będzie jabłoni; Z ust twoich słodycz pić będę — Jak Wino!”

Westchnęła i uniosła oczy. Chabrowe gwiazdy pozostały zaćmione, ale w ich źrenicach zapaliły się przekorne iskierki. Szepnęła:

— „Ach, słodkie wino! kochanka mego z wolna zmogło...” Do licha. Co rusz niespodzianka. A ta to już szczyt wszystkiego. Znała Pieśń nad Pieśniami i to w tym samym przekładzie, starym jak świat i niezbyt wiernym, ale jakżeż wzruszająco ostrożnym i subtelnym. Jakim cudem trafiła do tego zasmolonego instytutu? Tyle miała wspólnego z Jałowcem i Kobrą, co ja z mrówką robotnicą.

— Ho, ho — zamruczałem z podziwem. — Ho, ho. A teraz chodź. Pośpiesz się. Jeszcze jedno słowo, a zostaniemy w domu, bo natychmiast będę cię musiał przekonać, że nic mnie nie zmogło.

Wałęsaliśmy się dosyć długo. Trawa spurpurowiała, cienie pojedynczych drzew zlewały się na niej jak mroczne wody wokół wysp, nad którymi rano leciałem. Helena cały czas milczała. W pewnym momencie wprost nad nami rozćwierkał się jakiś spóźniony ptak. Nie był to słowik. Nagadał swoje i odfrunął. Mimo to zatrzymałem się wpatrzony w koronę drzewa. Nie spodziewałem się, że wróci. Nie czekałem na niego, ani na jego głos. Nie czekałem na nic.

Nagle coś dotknęło moich włosów. Coś lżejszego niż piórko śpiewającego ptaka. Przez

mgnienie zawisło mi nad ciemieniem, po czym delikatnie przyłgnęło i spłynęło ku karkowi. Zazezowałem i dostrzegłem skrawek białej sukienki oraz fragment pięknego, dziewczęcego ramienia, zadartego w górę. Ramię się poruszyło i równocześnie powtórzył się subtelny ruch na moich włosach.

Głaskała mnie po głowie. Ona mnie. Darowano mi winy nie popełnione. Albo, jak to się ładnie mówi: brano mnie takim, jakim byłem.

Mężczyzna. Kobieta.

Przez moment zapragnąłem udawać, że niczego nie czuję, aby nie spłoszyć tego szczególnego ptaka, który, choć sam tajemniczy, wszystkie inne tajemnice wchłaniał w siebie, tu pozostawiając dobroczynną ciszę. Ale przecież nie mogłem tego zrobić. Skądinąd nie mogłem jej też powiedzieć, że się pomyliła. Psiakrew, gdybym nie był na żadnej idiotycznej rozprawie, tylko chodził z nią cały dzień po parku, nie czułbym się teraz ani odrobinę lepiej.

Cóż ona sobie myśli?

A może to ja się mylę?

Chwyciłem jej uniesione ramię i założyłem je sobie na szyję. Do pierwszego dołączyłem drugie. Splotłem jej długie, smukłe palce na swoim karku i przytrzymałem je jedną ręką.

Drugą sięgnąłem do jej twarzy. Opuszką środkowego palca obwiodłem jej brwi. Następnie w ten sam sposób zjechałem przez nos, usta i brodę do źródlanego zakłębnięcia nad obojczykiem. Teraz, sunąc wciąż niżej, równocześnie kciukiem i wskazującym palcem zacząłem rozpinąć jej sukienkę. W pewnej chwili drgnęła i zastygła w czujnym oczekiwaniu. Oddychała coraz krócej. Wziąłem ją na ręce i zaniósłem do domu.

— Kochasz mnie? — spytała rano.

Wiedziałem, co należy odpowiedzieć.

— Ani okruszynkę mniej niż ty mnie — zapewniłem ją gorąco i ruszyłem do łazienki.

Kiedy z niej wyszedłem ogolony, wyświeżony, wesoły jak pies na śniegu, dalej siedziała na łóżku. Wygięła plecy w kabłąk, była to, zdaje się, jej ulubiona pozycja, i przywarła twarzą do kolan.

— Kochasz mnie — powtórzyła półgłosem. Nie postawiła już znaku zapytania. Ale nie było to również zdanie twierdzące.

Nie mogła mnie kochać. Nonsens. Faceta pozbawionego pamięci, i kto wie, czy nie na całe szczęście. Po prostu nikogo. Z kolei taki facet nie mógł jej kochać ani okruszynki mniej niż ona jego. Powiedziałem prawdę. Jednak raz wystarczy. Zresztą, najwyższa pora zjeść śniadanie i z pieśnią na ustach wrócić na zwirowaną ścieżkę, do samotnego ostrokrzewu. Strzałki czekają już zbyt długo.

Niespełna dziesięć metrów za owym tylekroć wspomnianym ostrokrzewem, który odtąd będzie mnie chyba prześladować po nocach jak nachalne widmo bez krzty zawodowych ambicji, pociemniało mi w oczach i zniknąłem. Dzień zaczął się normalnie.

XII. ZIEMIA MINUS IKS. TRZY

XIII. BETA JEDEN (C.D.)

Wróciłem w fatalnej formie. Pewnie leciałem jak głupi z Maratonu do Aten, nie wiedzieć po co, bo nic by im się nie stało, gdyby sobie trochę na dobrą wiadomość poczekali. Co innego po klęsce, ostrzec, że Datys i Artafernes stoją już niemal pod murami. Później nikt jakoś nie ruszył biegiem spod Termopil, choć wtedy istniały bez porównania bardziej uzasadnione powody do pośpiechu. Albo walczyłem pod Dien Bien Fu, obojętnie, po której stronie. Lub też budowałem Kanał Sueski. Pot zalewał mi oczy i ściekał z nosa, bluza i spodnie lepiły mi się do ciała, kolana mi drżały, z trudem łapałem powietrze, charcząc i poświsując przy każdym oddechu niczym pompa ze sparciałą uszczelką. Zatoczyłem się na trawnik i usiadłem. Nigdy więcej nie pójdę na dół.

Ba, łatwo powiedzieć.

Powoli przychodziłem do siebie. Właściwie, wcale nie powoli. Przeciwnie, nienormalnie szybko. Widać uzyskano mnie w tym pierwszym pawilonie krzyżując młodego goryla z Feniksem, a w drugim dodano po kilka genów pobranych od Prometeusza, Liczyrzepy i doktora Fausta. Serce przestało mi się wyrywać przez gardło. Pulsowanie w skroniach przeszło w daleki, gasnący dźwięk dzwonów. Płuca odzyskały swoją pojemność. Wierzchem dłoni otarłem oczy i zobaczyłem Helenę. Naturalnie, spała, ale nie na łóżeczku. Tym razem nikt o nią nie zadbał. Sama musiała sobie przytaszczyć fotel z dużego pokoju w moim domu i koc z sypialni. Odniosę ten fotel na miejsce, i to zaraz. Wyszliśmy rano, ale teraz znowu zbliża się wieczór. Jeszcze jeden dzień bez strzałek. Jeszcze jedna noc u mnie. W porządku. Wstałem, odkleiłem bluzkę od pleców, uśmiechnąłem się i zacząłem iść w jej stronę. W tym momencie pochwyciłem jakiś ruch za sobą. Obejrzałem się i ujrzałem obcego mężczyznę, wychodzącego, a jakże, zza tego przeklętego ostrokrzewu. Skinął na mnie.

Położyłem palec na ustach i zawróciłem. Nie chciałem budzić dziewczyny w obecności jakiegoś przybłądy. W dodatku przybłądy nie stąd. Nie z tej Ziemi.

Odgadłbym to nawet, gdybym dotąd nie miał żadnego towarzyskiego doświadczenia w wyższych kosmicznych sferach. Jechało od niego obcością jak chłodem z gradowej chmury. Ten nie był złoty. Był szary. No, szary, z nieznaczną domieszką fioletu. Powiedzmy stalowy. Tak jest, stalowy. Nie miał szarawarów, tylko proste, sztywnawe spodnie. Jego bluzka też przypominała krojem raczej rynnę, aniżeli kloszowe domina mieszkańców Alfy. I była stalowa. Wszystko miał stalowe. Absolutnie wszystko, nie wyłączając barwy oczu, cery i strzyżonych najeża włosów. Pewnie tam, skąd przybywał, świeciło stalowe słońce i rosła stalowa trawa. Poza tym był kwadratowy. Miał kwadratową głowę z kwadratową fryzurą, jeśli przycięte w sześćcian liście jukki można nazwać fryzurą. Kwadratowe ramiona i korpus. Nóg nie mógł mieć kwadratowych, ale wyglądały jak kwadratowe. Gdyby ktoś chciał go toczyć przed sobą po ziemi, musiałby go przewracać z boku na bok niby blaszany kufer. Kiedy do niego szedłem, cofał się powoli coraz dalej, najpierw za ostrokrzew, a następnie, przez trawnik, do najbliższej kępy krzaków. Dopiero tam stanął i przybrał pozycję świadcząca, że gotów jest mnie powitać. Ubiegłem go. Przypomniałem sobie pierwsze słowa, jakie usłyszałem od mojego poprzedniego kosmicznego interesanta i powiedziałem:

— Dobro zwycięża.

W kwadratowej twarzy odbiło się zdziwienie. Sprawiało to wrażenie, jakby ją nagle nagwintowano. Nie odrzekł: dziękuję — ale był tego bliski. Spytał:

— Gdzie byłeś? Co ci się stało? — mówił jak Złoty. Automatyczni tłumacze wszędzie mają taki sam głos. Z tym, że on nie nosił kolczyków. Jego tłumacz tkwił wpięty w klapę bluzy.

Uśmiechnąłem się niedbale.

— Bawiłem chwilę na dole — zwierzyłem mu się. — Nic mi się nie stało. Nie masz czegoś do picia? — skoro i z nim byłem w zażyłych stosunkach, mogłem go prosić o drobną przysługę. Spodziewałem się małego wykładu na temat fotosyntezy, zakończonego przeprosinami. Ku mojemu zdziwieniu kiwnął skrzynekowatą głową i powiedział:

— Woda i jedzenie są w pojeździe — pokazał miejsce nieco powyżej nas. Niczego tam nie dostrzegłem. — Pójdziemy od razu?

Aż tak strasznie nie chciało mi się pić. Ostatecznie do domu też miałem niedaleko.

— Momencik — zatrzymałem go. — Lecimy do ciebie, tak?

— A tu, do tego parku, wrócimy dokładnie w chwili, w której go opuścimy?

— Oczywiście. U was ludzie nie potrafią sobie jeszcze wyobrazić siebie w więcej niż trzech wymiarach. Rzadko czterech. Ale ty przecież wiesz, że struktura przestrzeni jest n-wymiarowa...

— ...i że to — wpadłem mu w słowo — dotyczy również czasu. Wiem. Ja umiem sobie wyobrazić siebie w nieskończonej ilości wymiarów, a także bez wymiarów. Naturalnie, jesteś Inspektorem?

Znowu trochę się zdziwił.

— Tak.

Czułem się już zupełnie dobrze. Ubranie mi przeszło i przestałem się pocić. Nadchodzący wieczór niósł powietrzem orzeźwiająjące tchnienie.

— Znasz Złotego? — spytałem. Zawahał się.

— Chyba domyślam się, o kim mówisz — rzekł z ociąganiem. — Zetknęliśmy się tutaj... przypadkiem — w jego mechanicznym głosie zabrzmiał ton przymusu. — Pomagaliśmy trochę paru miejscowym naukowcom...

— Dwóm — uściśliłem.

— Dwóm — przyznał. — W pewnych zabiegach, dotyczących...

— Wiem, czego — przerwałem. — A raczej kogo. Jemu już dziękowałem. Teraz dziękuję tobie. Gdyby nie ty, nie mógłbym wsiąkać w przeszłość jak samotna łza dziecka w suchą piaskownicę. Ile razy jeszcze będę dziękować? To znaczy, ile światów pomagało Jałowcowi i Kobre?

— Jałowcowi i...

— No, tym dwóm miejscowym luminarzom nauki?

— Tylko on i ja. O ile mi wiadomo, w ogóle nikt, poza nami, z jakiegokolwiek gwiazdnej cywilizacji, nie odwiedził dotąd tej Ziemi. Ale tego, naturalnie, nie mogę być pewny.

Natomiast ja, i, jak go nazywasz, Złoty, spotkaliśmy się kiedyś w tym właśnie instytucie, gdzie wówczas...

— Mniej więcej dwadzieścia lat temu — wtrąciłem. — Odebrałeś impuls, zwiastujący pojawienie się nadziei.

Przytaknął i ciągnął:

— ...gdzie wówczas pewien stosunkowo młody psychofizyk, z takim czarnym zarostem...

— Dzisiaj jest siwy — poinformowałem go z żalem. — Wygląda jak sucha gałąź srebrnego jałowca.

— Wiem. A więc to stąd Jałowiec — rzekł obojętnie. — Otóż nawiązaliśmy z nim kontakt i...

— Nie musisz kończyć — przerwałem znowu. — Wyobrażam sobie, że był zachwycony.

Nagle, najzupełniej nieoczekiwanie, po raz drugi zmądrzał o ileś tam tysiącleci rozwoju. Więc powiadasz, że ty i Złoty wyczerpujecie listę moich kosmicznych znajomości?

— Tak. Przylatujemy od czasu do czasu, zawsze w to samo miejsce, do tych samych ludzi, i zawsze po...

— Po mnie.

— Tak.

— Przysługa za przysługę. Wy pomogliście im, a oni przymykają oko na fakt, że mnie sobie pożyczacie. Muszę ci jednak coś wyznać. Przybywacie tu w zbożnym zamiarze wykorzystania mojej skromnej eksperymentalnej osoby w nie mniej zbożnym celu uczynienia czegoś dla waszych społeczności, czy tak?

— Tak. — Może w jego języku w ogóle nie istniało słowo: nie? U nas też tacy byli. Dawni Celtowie. Jedni jedyni. Musiało być przyjemnie mieć do czynienia z ich dziewczynami. Dużo im z tego przyszło. To znaczy Celtom w ogóle, nie ich dziewczynom.

— Ale nie mam robić nic konkretnego, tylko o d d z i a ł y w a ć ? — kontynuowałem.

— Tak.

— Właśnie. Otóż czuję się w moralnym obowiązku ostrzec cię, że nie zauważyłem, abym na kimś wywarł piorunujące wrażenie. Ani tu, ani na Alfie... to jest, w ojczyźnie Złotego, gdzie miałem już przyjemność przebywać i skąd miałem jeszcze większą przyjemność wrócić... w ostatnim momencie. Czeka cię rozczarowanie.

Stalowe oczy wpatrywały się we mnie przez dłuższą chwilę. Wreszcie usłyszałem zgoła ludzkie westchnienie.

— Od samego początku wynik eksperymentu wydawał się niepewny, a nawet wątpliwy. Jednak nie mogliśmy przeoczyć bodaj najniklejszej szansy. Zawiedliśmy się... Jednak obecnie szansa zaistniała znowu...

Zamachałem ręką. Tylko nie to. Tych bajdurzeń o rzekomej szansie miałem już więcej niż dosyć. Żeby złagodzić nieuprzejmy gest uśmiechnąłem się do niego najładniej jak umiałem.

W dodatku całkiem szczerze. Witaj, kolego. Jesteśmy w domu. Że też od razu nie przyszło mi to do głowy.

— Zbuntowany inspektor z... będę nazywać twoją Ziemię Beta — powiedziałem. — Z Bety. Nie reprezentujesz zorganizowanej grupy, ale jest was garstka szlachetnych zapaleńców, gotowych na wszystko. Agent o dwóch obliczach. Usiłujesz ratować swoją cywilizację gwałcąc obowiązujące u was prawa i narażasz się władzy. Robisz to jednak z czystym sumieniem, bo jesteś przeświadczony, że jeśli nie dojdzie do przewrotu, twój świat czeka nieuchronna zagłada.

Cofnął się o krok.

— Ty pamiętasz? — mruknął. — Mówiono mi...

— Nie wierz im — wydałem wargi. — Każdego wystawią do wiatru. A szczególnie cię i są na inspektorów. Ale pociesz się, nie pamiętam. Po prostu gdzieś kiedyś słyszałem, że choć wszechświat z jego wszystkimi krzywiznami i całą enwymirową strukturą jest nieciągły, nieliniowy i co tam jeszcze, to przecież życie rozwija się wszędzie podobnie, czego najlepszy dowód stoi właśnie przede mną, bo widzę u ciebie nie macki, tylko nogi i ręce liczące po pięć palców każda, głowę, twarz, brzuch... nie wnikajmy w szczegóły. A już życie rozumne! No więc skoro tak, wystarczy raz spotkać jednego zbuntowanego inspektora, żeby potem w każdym następnym, z każdej innej planety, bezbłędnie odnaleźć to samo gwałtowne zapotrzebowanie na szansę. Dobrze. Sam pozbędziesz się złudzeń. Ja jestem za miękki, żeby odmówić. Chodźmy do tej twojej wody. Rzeczywiście chce mi się pić.

Zaprowadził mnie trzy metry dalej. Tam podał mi rękę i pociągnął, świat zamknął się wokół mnie, jakbym wpadł do jaskini. Ale nie zobaczyłem żadnych kryształów. Niczego nie musiałem oglądać od spodu.

Ciemność trwała krótko. Nagle oblało mnie słońce. W porównaniu z naszym słabe, szarawofioletowe, ale bądź co bądź świeciło.

Rozejrzałem się. Dachy. Ma się rozumieć, stalowe i kwadratowe. Wąskie prześwity,

ukazujące szarą perspektywę szarych budowli, przetykanych małymi szarymi skwerkami, na których rosły płaskie drzewa. Te ostatnie przypominały... szczerze mówiąc, nic mi nie przypominały. Ale ponieważ w obcym świecie nigdy nie ma niczego, co nie musiałyby przypominać czegoś innego, więc przypominały mi równo odcięte i pionowo wbite w ziemię rybie ogony. Nie jestem ichtiologiem, ani nawet wędkarzem. Czemu nie miałyby być ryb z takimi ogonami? A jeśli nie dziś, to kiedyś, kiedy morza i oceany zamieszkiwały miliony najrozmaitszych stworzeń?

Po lewej ręce też były dachy, tylko jakby ustawione na długiej szachownicy. Placyk, dom, placyk, dom, szare pola stykające się po przekątnych. Na prawo jakiś kwadratowy park. Głębiej wzgórze. Wzgórza były normalne, ale niskie i zajmowały bardzo niewielki obszar. Dalej na prawo zaczynały się zakłady przemysłowe. Jeden bezkresny ołowiowy step, poprzecinany jedynie równo rozmieszczonymi pęknięciami, zbiegającymi się w odległej perspektywie w nitkowatą gwiazdę. Oczywiście, szarą. Tam był już horyzont. Ciągnęły się te zakłady w nieskończoność. Jeśli już, to wolałbym oglądać tutejsze widoki z lecącego przezroczystego dzwonu. Ale u Stalowych panowały inne zwyczaje. Staliśmy obaj na płaskim dachu, górującym nad całą okolicą. Prócz nas nie było tu nikogo i niczego. Mroczny pojazd, bryła ciemności, w której wnętrzu przybyłem z Ziemi, zniknęła. Lub też włożyła czapkę niewidkę, jak w parku, za krzakami.

Nie podobała mi się Beta, ale w końcu nie mój świat, nie dla moich wesołych oczu i w ogóle nie mój interes. Skoro im się podoba...

Zaraz. Zupełnie zapomniałem, że nie wszystkim...

— Co się u was właściwie dzieje? — zagadnąłem. — Widzę przecież, że macie przemysł, macie trochę, hm, monotonne, lecz znakomicie rozwinięte budownictwo i na pewno nie wstydzicie się swoich inżynierów. A zatem nie kładzicie tamy twórczej pomysłowości

badaczy i uczonych. Więc czemu uganasz się za jakąś efemeryczną szansą, tak daleko stąd? Położył sobie dłoń na głowie. Dłoń musiał mieć już naprawdę stalową, jeśli te jego włosy nie przebiły mu jej na wylot, jak igły jeżowca z Morza Czerwonego.

— Twórcza pomysłowość — powtórzył z goryczą. — Twórcza pomysłowość. Jesteś w królestwie geometrii i matematyki stosowanej... nie matematyki. Arytmetyki. Jedynym prawem jest tutaj absolutna racjonalizacja, służąca wykorzystaniu natury dla konkretnych potrzeb. Takich, które można zważyć, zmierzyć i opisać przy użyciu ustalonych wzorów. Rzecz tylko w tym, że te lawinowo rosące potrzeby, precyzyjnie wmontowane w strukturę społeczną, same nie są naturalne. A już tragicznie nienaturalny jest psychologiczny przymus ich zaspokajania. Wszystko postawiliśmy na technikę i ekonomię. Rozumiesz? My istotnie nie wstydzimy się inżynierów. Wstydzimy się kapryśnych zachcianek i chaotycznej fantazji naszych przodków. Tolerujemy nauczycieli, zapoznających dzieci z alfabetem, ale nie mamy literatury, poza fachową i popularyzatorską, która propaguje treści wybrane, wyselekcjonowane i przesiane przez sito Głównej Komisji Rozwoju. Nie znamy historii, ponieważ historia zawiera wiadomości o katastrofach, nieszczęściach i zagrożeniach. Pamięć przeszkadza w budowie świata n i e z a w o d n e g o .

— Pamięć przeszkadza — mimo woli mruknąłem pod nosem. — No pewnie — powiedziałem głośniej. — W pamięci nawarstwiają się najrozmaitsze niepotrzebne rzeczy. Nie samo złoto, piękno i radość. A z niepotrzebnych rzeczy łatwo wysnuwać niepotrzebne wnioski. Chyba rozumiem wasz punkt widzenia. Świat n i e z a w o d n y . Wcale nieźle. Ale w takim razie przeciw czemu ty się buntujesz?

— Przeciw śmierci — każdy to samo. Daję słowo, jakaś kosmiczna epidemia. Wprawdzie m n i e rzeczywiście Beta przypomina trochę stary i smutny cmentarz, ale za to ja na pewno nie żyję w niezawodnym świecie.

— Hm — wyraziłem wątpliwość.

— Słuchaj dalej — rzekł. — Nie mamy filozofów, ani filozofii. Nie mamy idei. Zamiast niej narzuciliśmy sobie obowiązującą ideologię, której podporządkowaliśmy wychowanie, stosunki społeczne, obyczaje i prawo. Mówisz: twórcza pomysłowość. Bez nauk humanistycznych, poezji i marzeń, bez życia duchowego. Bez sztuki i artystów. Owszem, istnieje plastyka użytkowa, muzyka arytmetyczna i geometria zdobnicza, jednak są one legalne tylko wówczas, gdy nie pozostawiają pola dla subiektywnych uczuć, gdy afirmują i ilustrują zastany porządek, nie wnosząc indywidualnych poszukiwań, choćby w jak najbardziej praworzędnych intencjach. Kiedy musi upaść cywilizacja techników i ekonomistów, z których żaden, nigdy, nie zazna chwili szaleństwa? Po ilu wiekach? My trwamy w złudnym ładzie już dwa stulecia. I ginimy bez ratunku. Niemożliwe, żebyś tego nie rozumiał!

— Rozumiem, że trochę tu u ciebie nudno — powiedziałem pojednawczo — ale rozumiem też, że malujesz swój świat w przesadnie ciemnych barwach. Bo gdyby rzeczywiście nie było ratunku, to nie buntowałbyś się. Po co? Ostatni akt protestu, rzucony w otchłań pozbawioną uszu, przed śmiertelnym skokiem z kwadratowego dachu? Mimo twoich tęsknot do filozofii i poezji nie wyglądasz mi na osobnika przywiązującego wagę do symbolicznych, bohaterskich, lecz absurdalnych gestów.

— Nie wiem, czy nie jest za późno, ale nie roztrząsam tego. Szukam ocalenia — odparł. — Szukam...

— Szansy, tak, tak — przerwałem, bo wyglądało na to, że zaraz znowu zacznie mówić o Jałowcu i o mnie. — Masz nadzieję uprzedzić los i przeprowadzić zamach stanu, w wyniku którego nastąpi totalna humanizacja życia. Powinieneś przy okazji zajrzeć na Alfę. Dwa na słońcach swych przeciwne bogi, a religia w gruncie rzeczy ta sama. Gra jedną kartą. Jednak

gdybym teraz zaczął coś przebąkiwać o banałach, to ani chybi dowiedziałbym się, że nie wszystkie nekrologi są jednakowo banalne. Niech i tak będzie — uśmiechnąłem się przyjacielsko. — No, co miałem zobaczyć, to, zdaje się, już zobaczyłem i usłyszałem, co miałem usłyszeć. Kiedy odchodzi najbliższa ciemność na Ziemię?

— Kiedy zechcesz — rzekł ponuro. — Lecz nie zobaczyłeś ludzi. I, co ważniejsze, oni nie zobaczyli ciebie.

Ludzi. No tak. Właściwie, co mi zależy. Potem będę myślał, że to przeze mnie uciekła mu ostatnia szansa. Mogę mu ofiarować godzinę złudzeń, temu zbołałemu racjaliście, marzącemu o marzeniach. Przecież do Heleny nie wrócę przez to ani sekundę później. Tam, koło mojego domu, dzień wciąż ma się ku rozkoszemu końcowi. Do licha, całkiem nie najgorzej mi się żyje. Spojrzałem na Stalowego jak kochająca babcia na nieco natarczywego wnuka.

— No to do roboty! — zawołałem. — Idziemy szukać człowieka. Zapalaj latarnię!

— Chodź za mną — ruszył ku przeciwległej krawędzi dachu. Od jednolicie szarej powierzchni odcinał się tam niewielki ciemniejszy kwadrat. Wszedł na niego i pokazał mi miejsce obok siebie. Kiedy je zająłem, kwadrat umknął mi spod nóg. Było to coś bardzo zbliżonego do lądowania z porucznikiem pilotem Aronem. Jakaś winda, ale raczej nie osobowa.

Zamiast wewnątrz budynku, na najniższej kondygnacji, znaleźliśmy się od razu przed nim. Wąskie, proste ulice, z przecznicami w jednakowych odstępach. Szerokie chodniki. Pomędzy nimi a ścianami domów pasy stalowej trawy. Szare okna patrzyły z szarych murów jak oczy ślepców. Na Alfie nawet najgłębsze cienie były odmianami złotego światła. Tu najjaśniejsze miejsca wyróżniały się jedynie tonacją cienia.

Nad jezdnią, na wysokości metra, spokojnie przeleciał pojazd, zbudowany z dwóch

zlepionych podstawami ostrosłupów. Chodnikami, zawsze gęsiego, posuwali się w tym samym tempie tacy sami Stalowi. Zachęcony przez mojego towarzysza włączyłem się wraz z nim w jeden z tych reumatycznych korowodów. Przedtem otrzymałem od niego płaskie pudełeczko, które, podobnie jak on, wpiąłem w klapę bluzki. Gdyby otaczający nas teraz przechodnie rozmawiali, mógłbym ich odtąd rozumieć. Ale nie rozmawiali. Nikt też nie zwrócił uwagi na mój kolorowy strój, chorobliwie nieszarą cerę, oraz wadliwą konstrukcję mojego ciała. A co się tyczy zbawiennego oddziaływania, to z całą pewnością nie oddziaływałem na nich bardziej niż oni na mnie.

Dwie przecznice dalej skręciliśmy w boczną uliczkę. Był to właściwie odkryty tunel, przypominający trochę przedwieczny rów strzelecki o pełnym profilu, a trochę główną nitkę znacznie bardziej przedwiecznego kanału Tarkwiniusza Pysznego, z bezsensownie ociosanymi ścianami. Jak kosmos kosmosem tajniacy lubują się w zaułkach.

Zanim zapuściliśmy się w tę uliczkę, mój przewodnik stanął i gestem dał mi znak, żebym zrobił to samo. Przez chwilę wpatrywał się badawczo w mroczną perspektywę, jakby sprawdzał, czy nie nadciąga fala ścieków, która nas porwie i poniesie do Tybru. Widać to, co zobaczył, czy raczej czego nie zobaczył, ponieważ przecinkowaty zaułek był pusty jak droga do nieba w czasach powszechnej koniunktury, nie przekonało go w dostatecznym stopniu, bo powiedział:

— Poczekaj tu na mnie. Muszę zajrzeć w jedno miejsce. To zaledwie parę kroków. Zaraz wrócę.

Gdy zniknął mi z oczu, rozejrzałem się wokół siebie. Wzdłuż domów stojących przy głównej ulicy ciągnął się skwerek, miarowo poprzerzynany drózkami prowadzącymi do jednakowych bram. Rosła na nim trawa i nic więcej. Ale miejscowi esteci zadbali o to, by brak płetwowatych drzew wynagrodzić mieszkańcom cieszącą oczy parkową architekturą. Na

przykład, na prostokątnym trawniku znajdującym się najbliżej mnie, umieszczono kilkanaście ślicznych, identycznych sześcianów. Chyba były to niewielkie, oszlifowane gązdy. W równych odstępach sterczały spomiędzy nich smukłe prostopadłościanny wysokie mniej więcej na dwa metry. Wodziłem wzrokiem po tym osobliwym ogródku, aż dotarłem do sześciennej bryły spoczywającej niemal u moich stóp.

Wtedy nagle poczułem nieprzepartą potrzebę przesunięcia tej kostki, żeby powstał przynajmniej jeden wyłom w zbyt regularnym szeregu. Schyliłem się, złapałem obiema rękami krawędź kamienia i przewróciłem go na prawy bok. Nie zdążyłem się jeszcze wyprostować, kiedy kątem oka zobaczyłem, że coś wystrzeliło w moim kierunku. Powietrze przeciął szary wąż, zakończony rozchyłoną obręczą. Ułamek sekundy później ta obręcz zamknęła się na mojej szyi. Znieruchomiałem w półprzysiadzie, nie wiedząc, czy czeka mnie powolne duszenie, czy też szybka i elegancka dekapitacja. Lecz obroża ani drgnęła. Zdołałem sobie jednak uprzytomnić, że nie ściska mnie zbyt mocno. Właściwie wcale mnie nie ściskała. Ale o tym, bym mógł przez nią przesunąć głowę, nie było co marzyć.

Lekko zezując widziałem idących chodnikami Stalowych. Nie mogli nie zauważyć, co mi się przytrafiło. Nikt jednak nawet na mnie nie spojrział. Pewnie. Dlaczego mieliby się interesować obcym wandalą, którego dosięgła karząca dłoń sprawiedliwości. A może zbyt śpieszyło im się do fabryki, gdzie musieli jeszcze jeden drucik połączyć z jeszcze innym drucikiem, lub do sklepu, by kupić coś, w czym druciki już zostały połączone inaczej. Gdybym zawołał, uznaliby to pewnie za nowe, bezprzykładne pogwałcenie dobrych manier. W całym tym ołowianym mieście panowała ołowiana cisza.

Obróciłem się ostrożnie wokół własnej osi, jeśli półrozwarty zygzak posiada coś takiego jak oś i spojrziałem w stronę, z której przyszedł atak. Zobaczyłem, że najbliższy z wysokich prostopadłościanów otworzył klapę, umieszczoną w jego boku i że to właśnie stamtąd

wychynęło długie jak żuraw ramię, zakończone sztywną obręczą. Automat. Robot. Wreszcie coś wprost z życia. Na obcej planecie powinny na człowieka napadać potwory, a jeśli ktoś trafi trochę gorzej, to w ostateczności roboty. Wszystko się zgadza. Alfa po prostu stanowiła wyjątek. Tam atakowali mnie ludzie, a kochały roboty. No, ale one były zbuntowane.

Wewnątrz tego robota wysięgnik z pętlą miał co najmniej jednego towarzysza. Znajdował się niżej i był zakończony zgrabną kwadratową łopatką, zgiętą w pół. Właśnie ustawiła zbezczeszczony przeze mnie kamień na poprzednim miejscu i precyzyjnym popchnięciem poprawiła jego pozycję. Na trawniku znowu zapanował porządek.

Zaczęły mi drżeć kolana i uda. Pomyślałem, kto zjawi się najpierw, mój Stalowy, czy policja. Bo skoro ten robot złapał mnie na gorącym uczynku, lecz nic nie robi, tylko trzyma i czeka, to z pewnością wysłał alarmujący sygnał do jakiegoś tutejszego Centrum.

Miałem szczęście.

Z bocznej uliczki dobiegł okrzyk, a następnie tupot kwadratowych butów. Były to pierwsze normalne, zdrowe dźwięki, jakie tu usłyszałem. Zaraz potem usłyszałem dźwięki nieco mniej zdrowe. Brzmiały jak krakanie zachrypniętej papugi:

— Dhwa! Dhwa! Dhwa!

Obręcz znikła. Wąż, z szybkością szarej błyskawicy, wrócił do wnętrza prostopadłościanu i zamknął za sobą klapę. Wyprostowałem się, odetchnąłem głęboko, po czym spojrzałem na mojego wybawcę. Stał z otwartymi ustami. Dziwna rzecz, jego wargi wcale nie były kwadratowe. Po prawdzie nigdy dotąd uważniej mu się nie przyjrzałem. Co nie znaczy, bym teraz nie mógł oprzeć się jego urokowi. Zaciekał mnie raczej kwadracik, który wyjął spod bluzy, wraz z łańcuszkiem, przewleczonym przez kwadratowe uszko. Widać zwyczaj noszenia na szyi ważnych przedmiotów jest w kosmosie zjawiskiem równie powszechnym jak zbuntowani inspektorzy.

— „Błysnął mu w oczy specjalną broszką” — zacytowałem, mimo wszystko trochę piskliwie, odruchowo pocierając sobie kark i grdykę. — Co to jest?

— Najmocniej cię przepraszam — wydyszał. Chyba w ogóle nie dotarło do niego, że o coś pytałem. — Nie mam pojęcia, jak do tego doszło. To zwykły robot porządkowy. One nie atakują ludzi. Po prostu nie mogą...

— Nie przejmuj się — mruknąłem łagodząco. — Dobrze mnie obejrzał i uznał, że obiekt, który ma przed sobą, żadną miarą nie może być człowiekiem. Zdarza się, nie tylko robotom, i nie tylko na obcych planetach. Co to jest? — powtórzyłem, wskazując kwadracik na łańcuszku.

— To? — rzekł z roztargnieniem. — Znaczek tożsamości. W moim wypadku również odznaka inspektora. A przede wszystkim komunikator. Słuchaj...

— Czekaj — przerwałem mu znowu — bo potem zapomnę.

— Pokazałeś znaczek, więc natychmiast wykonał twój rozkaz, czyli przestał mnie wieszać. Ale ty mu jeszcze coś powiedziałaś?

— Hasło porządkowe — odparł niechętnie. — Dwa, dwa, dwa. Symbol sześcianu. Słuchaj, to zupełny absurd, żeby taki robot...

— Wcale nie absurd — i tym razem nie dałem mu skończyć. Chciałem co prędzej opuścić to miejsce i ten świat, a przecież czekała mnie jeszcze wędrówka po pobliskich zaułkach.

— To moja wina — opisałem mu zbrodnię, której się dopuściłem. Potrząsnął głową.

— Powinien był poprzestać na umieszczeniu tego kamienia tam, gdzie był przedtem. Od tego jest. Gdybyś powtórnie coś zmienił, wezwałby pogotowie. To ma zakodowane w swoim programie. Człowiek, który umyślnie burzy porządek nie może być człowiekiem normalnym i trzeba mu pomóc...

— W sanatorium? — podsunąłem.

— W ośrodku rehabilitacyjnym. Ale w żadnym wypadku sam nie próbowałby interweniować... nie mówiąc już o fizycznej napaści. Musi być zepsu... — urwał. Coś przyszło mu na myśl. — Zaraz — mruknął. Kiedy się zastanawiał, wyglądał jak karykatura przydrożnej wierzby z kwadratową dziuplą, zajęta przez zatroskanego, wiejskiego diabła. — Smog informatyczny — podniósł głos. — Tu wokół roi się od urzędów, wysyłających nieprzeliczoną ilość sygnałów. Każdy robot umie je selekcjonować i pomijać te, które nie powinny rezonować z jego programem. Lecz ty podszedłeś blisko i twój mózg wysłał fale nie znane tutaj automatom. Był to błędny impuls, rozumiesz? Jedno z dwojga, albo niedozwolona dominanta, tłumiąca właściwe pola, albo przypadkowa interferencja, również stanowiąca zagrożenie dla wyodrębnionych sprzężeń. To nie była agresja. On się bronił. Po prostu nieszczęśliwy przypadek. Ale i tak przepraszam. Moim obowiązkiem było przewidzieć, że coś podobnego może się zdarzyć.

— Nie przepraszaj — powiedziałem rozanielonym tonem. — Wlewasz we mnie niebiański balsam optymizmu. Okazuje się, że mimo wszystko oddziałuję. Wprawdzie wyłącznie na roboty, lecz dobre i to. Podniesiony na duchu mogę teraz iść z tobą oddziaływać w bocznych uliczkach. No — wskazałem zachęcająco wylot zaułka.

W ścianach po obu stronach ciągnęły się szaroprzeźroczyste okna sklepów. Na wystawach nie było jednak towarów, tylko większe i mniejsze kostki, ułożone w kuszące, geometryczne wzory. Panowała tu wręcz rozbuchana różnorodność. Obok sześciąt widniały prostopadłości, piramidy, romby, ba, nawet trapezy. W dodatku różniły się pomiędzy sobą odcieniami szarości. Istne szaleństwo. Okazuje się, że kupcom wolno. Nie posunęli się jednak do tego, by przemycić gdzieś jakieś zaokrąglenie. Plastyczne wyuzdanie dekoratorów znajdowało wystarczające ujście w liniach prostych.

Między wystawami otwarte drzwi prowadziły w głąb domów. Mroczne sienie wyglądały

jak okopcone, kwadratowe lufy.

— Czy ty też mieszkasz w takim budynku? — spytałem, przystając przed jednym z wejść.

— Nie — przez moment miałem wrażenie, że przez jego twarz przemknął rdzawy ślad uśmiechu. — Inspektorzy są u nas nie najgorzej sytuowani — rzekł. — Dla ludzi lepiej sytuowanych mamy bardziej przestronne osiedla. Przeważają jednak dzielnice fabryczne, jak ta, w której jesteśmy. Zresztą, mieszkania i tu są dosyć wygodne, a pod względem funkcjonalności podstawowa domowa aparatura jest wszędzie identyczna.

— To ładnie — powiedziałem uprzejmie. — Bardzo sprawiedliwy świat.

Skrzywił się i pokazał mi następne drzwi.

— Tu wejdziemy — mruknął. Pomyślałem, że chce mi pokazać, jak wygodne są te mieszkania i jak świetnie działa zainstalowana w nich aparatura, a potem logicznie i przekonująco wywieść, dlaczego i tak koniecznie trzeba się buntować. Myliłem się jednak. Wprowadził mnie nie do domu, lecz do sklepu.

W porównaniu z przepychem wystawowej witryny wewnątrz przypominało pusty basen przeciwpożarowy. W jednym kącie jeden robot, w drugim drugi. W szarych ścianach szare otwory, zamknięte szarymi klapami. Odgadłem, że pertraktacje prowadzi się z robotami, które następnie uruchamiają inne roboty, aby przez te dziury w ścianach podały żądany towar. Jak na cywilizację zajętą głównie zaspokajaniem materialnych potrzeb, organizacja handlu co nieco siermiężna. Ale może mieli akurat nawis inflacyjny.

Mój Stalowy nawet nie spojrzał na roboty. Skierował się wprost ku małym, ledwie widocznym drzwiczkom, przy końcu lewej bocznej ściany. Te były zamknięte. Wystarczyło jednak pokazać im ów kwadracik, który wyzwolił mnie z uścisku pomyłonego stróża trawnika, by się otworzyły. Za nimi znajdował się korytarz, wąski jak przewód centralnego ogrzewania w krzyżackim zamku, z niezliczoną ilością prostych zakrętów. Panowały tu chłód

i mrok. W pewnym momencie mój przewodnik stanął i uważnie wpatrzył się w ścianę.

Znowu poszedł w ruch znaczek na łańcuszku. Tym razem Stalowy podniósł go do warg i coś wyszeptał. Kawałek ściany z cichym poskrzypywaniem usunął nam się z drogi. Oślepiło mnie światło. W pierwszej chwili wydało mi się, że spojrzałem prosto w słońce. Ale był to jedynie chwilowy szok, spowodowany zaskoczeniem. Zbyt raptownie przeskoczyłem z pochmurnej nocy w blask pogodnego dnia. Światło sączyły dyskretnie ukryte pod sufitem lampy, przesłonięte k r e m o w y m i abażurami. Wcale nie było ostre ani rażące. Przeciwnie, miękkie i ciepłe.

Stanałem na progu jak wmurowany. Sklep. Nie ulegało wątpliwości, że sklep, tylko jakże inny od szarego basenu, do którego wchodziło się z ulicy.

— Dalej, dalej — usłyszałem nagłący szept mojego towarzysza. Odruchowo zrobiłem dwa kroki do przodu. Z tyłu dobiegł znajomy szelest. Zerknąłem przez ramię i zobaczyłem, że ściana znowu tworzy jednolitą płaszczyznę. Zamaskowane drzwi zamknęły się same. Szybko odwróciłem się ponownie i zacząłem rozglądać.

Zapaliły mi się oczy. Widać u siebie, przedtem, musiałem lubić starocie. Teraz natychmiast zrozumiałem, że jestem w antykwariacie. Nieokiełznana różnorodność kształtów i barw. Tkaniny. Duże, małe i całkiem malutkie sprzęty. Meble, lekkie jak powietrze, dzięki swoim niezrównanym liniom. Ozdobne tworzywa, złote, tak, tak, złote, srebrne, błękitne, granatowe, malachitowe, czerwone jakby z miedzi, szmaragdowe w nieskończonej gamie odcieni. Niby sprawiające radość ludzkim oczom, niby czekające na subtelny dotyk dłoni człowieka, ale nie stworzone przez ludzi ani dla ludzi. To znaczy, ludzi z mojej Ziemi. Były inne. Te zgromadzone tutaj w oszałamiającym nadmiarze rzeczy wreszcie naprawdę były zupełnie inne. A jednak olśniły i mnie. Widać piękno też może być uniwersalne, jak życie. Gdzież się podziała jego intymna, subiektywna specyfika? Gdzie oddech wieków, przepojony

wonią pradawnych ognisk i gniazd własnych protoplastów? Oczywiście, nie miałem bladego pojęcia, co jest czym, z jakiej epoki pochodzi i do czego mogło służyć. Ale wraz z zachwytem ogarnęło mnie na moment ogromne zdumienie. Przecież wszystkie te przedmioty wykonali przodkowie kwadratowych mieszkańców ołowianych dzielnic. I sądząc z tego, co mi mój Stalowy pokazał, a także z tego, co mówił, nie pozostało po nich nic. Absolutnie nic.

Niewiarygodne. Co się stało z tym światem? Czy taką cenę zapłacił tylko i po prostu za nienasyconą żądzę wyrobienia i posiadania dóbr, oraz za jakąś maniacką ideę społeczno—matematycznej niezawodności? Niemożliwe. Chociaż...

Uśmiechnąłem się. Robię postępy. Poważnieję. Wpadam w zachwyt, a potem się dziwię. Jałowiec byłby ze mnie zadowolony. Do diabła z Jałowcem. Helena byłaby zadowolona. Mój uśmiech zrobił się szerszy i chyba nieco figlarny. Ale został tu źle zrozumiany.

W sklepie było... raz, dwa, trzy... ośmiu klientów. Choć nie wiem, czy można ich nazwać klientami, ponieważ niczego nie kupowali. Stali i gapili się na zgromadzone tu cudowności takim wzrokiem, jakim pijacy gapią się na rzędy lśniących butelek w jeszcze nieczynnym barze. Klienci, nie klienci, poza tym, że się gapili, w niczym nie odbiegali od normy. Byli zwykłymi, kwadratowymi Stalowymi. Ale oprócz tych ośmiu oniemiałych z zachwytu szaraczków, znajdował się tu ktoś jeszcze. Sprzedawca. Stał dotąd w łukowatym, a jakże, przejściu, łączącym dwa sąsiadujące ze sobą pomieszczenia, bo antykwariat zajmował dwie salki. Ten, na tle pozostałych, wyglądał jak zjawisko. Miał policzki wysmarowane różowym pudrem i nosił moją błękitną odzież. Z jeżowatymi włosami nic nie mógł zrobić, więc ukrył je pod pomarańczowym toczkiem z frędzlem u boku, spadającym na ucho. Wpatrywał się we mnie, jakby czekał na jakiś znak z mojej strony. I za taki właśnie znak uznał ów uśmieszek, który rozciągnął mi twarz, kiedy pomyślałem o Helenie. Uśmiechnął się również, choć nieco inaczej, i ruszył w moją stronę.

— To wspaniale, że jest pan znowu wśród nas — zatrzymał się z szacunkiem trzy kroki przede mną i mówił cichym głosem, w którym nawet automatyczny tłumacz nie zdołał zabić nutki wzruszenia. — Nie ma pan pojęcia, ile takich składów jak ten mój powstało już na Ziemi. To był znakomity pomysł. Po prostu znakomity. Propaganda piękna, historii, nieśmiertelnych tęsknot, od zarania dziejów przydających skrzydeł ludzkiemu duchowi. A zarazem odtrutka i nadzieja dla umęczonych ofiar naszej rzeczywistości. Korzenie zaczynają puszczać nowe pędy — mimo wszystko wyraźnie brakowało mu tego humanistycznego wykształcenia. Przemawiał niczym podwórkowy agitator z epoki pary i elektryczności. Spojrzałem na niego ze zrozumieniem i poważnie skinąłem głową. — Rośnie liczba zbieraczy i archeologów — ciągnął. — Nielegalne wykopaliska pracują nawet pod zabudowaniami, choć wiadomo, czym to grozi. A codziennie dziesiątki naszych klientów zgłaszają się do biura emigracyjnego.

— Do... Gdzie?! — nie wytrzymałem.

— Och, niech się pan nie boi — pośpieszył mnie uspokoić. — Wszyscy podają fałszywe motywy. Mówią, że pragną badać kosmos, szukać nowych technologii, odkrywać użyteczne właściwości minerałów...

I, oczywiście, trafiają wprost do sanato... przepraszam, do ośrodków rehabilitacyjnych — tę konkluzję zachowałem dla siebie. Znowu poruszyłem tylko głowę, co mogło oznaczać, że jestem bezgranicznie oczarowany pomyslnym rozwojem interesów. W tym momencie przy moim uchu zabrzmiał metaliczny szept:

— To był t w ó j p o m y s ł ...

Wolno zwróciłem oczy na mojego Stalowego. Napotkałem jego wzrok. O coś mnie pytał.

Nie liczył na cud, ale czegoś się spodziewał. Może nowego pomysłu...

Z tej wymiany spojrzeń między mną a moim towarzyszem sprzedawca piękna, tęsknot i

złudzeń wywnioskował, że jego dalsza obecność jest zbyteczna. Na pożegnanie obdarzył mnie jeszcze jednym uśmiechem, przepojonym czcią, lecz i nie pozbawionym szczypty poufałości. Tak wiele przecież nas łączyło. Zapachniało mi egzaminem. Już za chwilę miało się okazać, że był to zapach proroczy.

— Ci ludzie są skazani, choć o tym nie wiedzą, co? — spytałem półgłosem. — Podobnie jak ich odważniejsi duchowi pobratymcy, kandydaci na emigrantów. Nie wstydzisz się oprowadzać mnie po melinach?

— Ci drudzy tak — odrzekł równie cicho mój towarzysz. — Ci tutaj... — zrobił nieokreślony gest. — Takich, jak mówisz, melin jest już rzeczywiście dużo. Nie tylko antykwariatów. Są również nielegalne biblioteki. Nie wszystkie udaje się inspektorom wytropić i zniszczyć.

W tym konkretnym wypadku inspektorzy stanęli jednak na wysokości zadania. Nigdy nie udało mi się zajrzeć do następnej salki, za łukowatym przejściem. Musiały się tam znajdować drugie zamaskowane drzwi. Lecz albo gorzej zamaskowane, albo łatwiejsze do sforsowania od tych, do których nas przywiódł połamany korytarzyk. Właśnie w tej drugiej salce, niemal równocześnie zabrzmiał zjadliwy syk, odgłos upadku czegoś ciężkiego, urwany krzyk i mocne, męskie kroki. Sekundę później z przejścia wysypali się superstalowi, szybcy w ruchach, bardzo zdecydowani i trzymający w rękach małe puszkę z kwadratowymi otworami. Najpierw zajęli się sprzedawcą. Kiedy upudrowany zniknął mi z oczu, wyprowadzony przez jednego z funkcjonariuszy, inny inspektor ruszył wprost ku mnie. Spojrzałem w bok, chcąc zaznaczyć, kto mnie tu przyprowadził i kto teraz powinien wyjaśnić nieporozumienie, ale mój wzrok padł w próżnię. Mój Stalowy dołączył do swoich kolegów po fachu. Stał przed jakimś osobnikiem, wyróżniającym się wśród pozostałych, jak pancerna stal Hadfielda wyróżnia się wśród stalowego spóółstwa z archaicznych gruszek Bessemera. Nawet nie zerknął w moją

stronę.

Ten, który podszedł do mnie, rzucił rozkazującym tonem słowo, które zabrzmiało jak „kwad-rat!”, i zrobił wymowny gest w stronę drzwi. Tych samych, przez które wszedłem. W zamieszaniu nie zauważyłem, że uporali się już także z nimi.

Na ulicy zostałem wsadzony do jednego z kilku pojazdów, zaparkowanych na chodniku.

Naturalnie, po zamknięciu kabiny, wewnątrz zrobiło się zupełnie ciemno.

Wsiadłem na ulicy, ale wysiadłem w ogromnej sali, prawie całkiem pustej, jeśli nie liczyć paru robotów, ustawionych w szeregu pod przeciwległą ścianą. Odwróciłem się. W kwadratowym tunelu mignął mi tył znikającej maszyny. Spojrzałem ponownie na tyralierę robotów i ujrzałem stojących przed nią trzech Stalowych. Jakby wyskoczyli spod podłogi.

Uśmiechnąłem się, bo co mi to szkodziło i powiedziałem:

— *Crescit sub pondere virtus*. Ale chyba do tego nie dopuścicie. Po cóż mielibyście wspomagać prześladowaniami moją cnotę, skoro nie ma mnie za co prześladować? Obawiam się zresztą, że stalowo cnotliwym i tak mnie nie zrobicie.

Zadali mi kilka kwadratowych pytań, które skwitowałem bezradnym kółeczkiem. Wreszcie środkowy z trójki warknął:

— Skąd jesteś?

— Z Ziemi. Układ słoneczny...

— Każdy jest z układu słonecznego — stwierdził nie bez pewnej racji. — Proszę określić bliżej.

Ramiona mi opadły.

— No... z Ziemi — powtórzyłem jak głupek.

— Aha. Z Ziemi. A teraz gdzie się znajdujesz?

— Na Becie.

Oburzyli się. Może w ich języku „beta” oznaczało coś paskudnego? Gdzie, u licha, podziwia się mój dwulicowy szpicel? Pora zmienić lokal, planetę i świat.

Doszli do wniosku, że nie zasługuję na to, by poważni przedstawiciele władzy mieli się mną zajmować osobiście. Uruchomili robota. Przedtem wszyscy trzej równocześnie unieśli prawe ręce i skierowali je w stronę bocznych drzwi. Pomaszerowałem tam czym prędzej z nieodłącznym uśmiezkiem. Wolałem nie czekać, aż ten robot założy mi obrozę na szyję i szarpnie smyczą. Co będzie tam obok? Od razu ośrodek rehabilitacyjny? Czy najpierw kąpiel w szarym mydle i egzamin? Albo raczej izba tortur, żebym szybko wszystko powiedział. Spotkało mnie miłe zaskoczenie. Znalazłem się w zupełnej ciemności. Robot, który wszedł ze mną, lekko położył mi kwadratowe packi na barkach, złamał je w pół, to znaczy packi, nie barki, i powiódł przez mrok. Dotknąłem czegoś kolanami i nie wiedząc kiedy spocząłem w najwygodniejszym fotelu, jaki można sobie wymarzyć. Robot wycofał się w noc. Rozległy się dwa pojedyncze stuknięcia metalu o metal. Te stuknięcia przeniosły mnie do zaczarowanego pałacu baśni.

Usłyszałem muzykę. Potężną, majestatyczną, a przy tym lejącą się jak dojrzałe zboże, pełną i melodyjną. Coś zarazem z Bacha i Wagnera, Szopena i Haydna, Beethovena i Debussy’ego, Strawińskiego i Mozarta. Harmonia przeciwieństw. A przez wszystkie tematy, frazy, kadencje, niósł się roziskrzonym kontrapunktem griegowski taniec chochlików.

Niemożliwe, ale porywające do utraty tchu. W miarę jak to niesamowite granie opanowało przestrzeń, dzieląc ją i łącząc niby rzeźbiarską materię głosu wszechświata, z mroku zaczęły się wyłaniać obrazy. Z sekundy na sekundę wyraźniejsze, większe i bardziej kolorowe. One też nawiązywały do czegoś, co nie było mi całkiem obce, lecz wspaniałością barw, bogactwem kształtów, oraz żywiołową płynnością form, zmieniających się, zanim zdążyłem je sobie z czymś skojarzyć, o niebo przerastały wszystko, co dotąd oglądałem. Gdyby ktoś

miał mnie potem spytać, co właściwie widziałem, odpowiedziałbym, że nieustanne przenikanie się nawzajem najcudowniejszych, kolorowych snów. Byłaby to odpowiedź godna debila. Odrobinę mniej głupia brzmiałaby: piękno życia. Też nikt nic by z tego nie wiedział, ale przynajmniej mógłby sam próbować wyobrazić sobie własne treści.

Nagle na tym bajkowym tle zarysowała się kanciasta postać Stalowego. Muzyka przygasła.

Przygasły obrazy. Przed Stalowym wyrósł w powietrzu fortepian. Duży, koncertowy fortepian. Niech będzie, że życie jest wszędzie podobne, ale nikt mi nie wmówi, że w całym kosmosie robią takie same fortepiany. Czyżby to, co tu słyszę i na co patrzę stanowiło jedynie odbicie majaków, kłębiących się w moim mózgu, na skutek naukowej działalności jakiegoś miejscowego Jałowca?

Przy klawiaturze siedział młody człowiek. Miał żółte włosy, pomarańczową twarz i powiewną białą bluzę. Dopiero teraz dobiegły mnie tony, które wydobywał spod subtelnych, szczupłych palców.

Okazało się, że fortepiany jednak bywają różne, na różnych planetach. Stalowy wykonał jakiś ruch i zamknięte dotąd wieko instrumentu stanęło otworem. Wnętrze skrzyni o jedynym, niepowtarzalnym kształcie, było puste. Żadnej metalowej płyty, żadnego mechanizmu młoteczkowego, ani jednej struny. Raptem, jak nożem uciął, skończyły się perliste dźwięki.

Pianista nadal walił w klawisze, ale wydawał jedynie beładny, drewniany klekot.

I w tym momencie wszystko się skończyło. Wszystkie odgłosy i obrazy. A także ciemność.

Zapłonęło szare światło. Zobaczyłem, że siedzę pośrodku niewielkiego pomieszczenia, pustego jak ten rzekomy fortepian. W drzwiach zamajaczyła kwadratowa postać.

— Proszę wejść — padł rozkaz, wypowiedziany dziwnie łagodnym głosem. Wstałem i udałem się do dużej sali, gdzie przedtem wypytywano mnie skąd przybywam. Czekał tam na mnie mój Stalowy. Ujrzawszy mnie kiwnął porozumiewawczo głową.

— Czemu nam pan nie powiedział, że był pan w towarzystwie naszego kolegi? — spytał ten, który przed chwilą przyszedł po mnie do salonu baśni.

— Jakoś się nie złożyło — odrzekłem z uśmiechem. — Chyba za prędko wyszedłem.

Pominał to milczeniem. Z wylotu tunelu wysunął się pojazd z otwartą kabiną.

— Do widzenia.

Przełknąłem ślinę. Doprawdy niewiele brakowało, bym przestał się uśmiechać. Ale nie przestałem. Odpowiedziałem grzecznie: do widzenia, dodając w duchu, że jemu wyrosną dwie okrągłe głowy, a mnie kwadratowy... no, nieważne, zanim mnie tu znowu zobaczą.

Zresztą wizja kwadratowego tego oświała mnie chwilowo bez reszty i sprawiła, że uśmiechałem się już bez wewnętrznego przymusu. Cholera, ależ oni muszą się przy tym namęczyć. Postanowiłem, że tym razem opowiem Helenie nieco więcej o mojej pozaziemskiej wyprawie. Promienny jak majowy poranek wlałem wraz z moim zaprzyjaźnionym kapusiem do pojazdu. Jednak gdy znowu znalazłem się w ciemności, przypomniałem sobie, co widziałem i słyszałem, kiedy ostatnio otaczał mnie mrok.

— Myślałem, że idę do izby tortur — powiedziałem — a tymczasem trafiłem do pałacu czarów.

— Na pewno bliższym prawdy jest określenie izba tortur, aniżeli pałac czarów — odrzekł, już ponownie w świetle, bo kabina właśnie się otworzyła. Poznałem natychmiast miejsce, do którego mnie przywiózł. Szara dróżka wiodła przez szary trawnik do szarego domu z szarą windą, sięgającą szarego dachu. A na tym dachu czekał inny pojazd, niewidzialny, gotowy do odbycia bezpośredniego kursu Beta — Ziemia. — To miała być wstępna terapia — mówił dalej mój Stalowy.

— A przy okazji próba. Każdy zatrzymany przechodzi te same zabiegi, zanim zapadnie decyzja o umieszczeniu go w ośrodku rehabilitacyjnym. Zaczyna się zawsze od oczyszczenia

umysłu z trujących oparów wyobraźni. Polega to na wykazaniu delikwentowi, jak ohydną rzeczą jest nieokiełznana fantazja.

— Wcale nie czuję się oczyszczony — zauważyłem. — Poza tym chyba popełniono jakiś błąd. To, czego doświadczyłem, raczej podkreślało wartość i urodę fantazji, aniżeli ją zohydzało.

— Nie popełniono błędu — szliśmy już powoli w stronę windy. — Po pierwsze, jesteś jednak inaczej wychowany i ukształtowany niż my, nawet niż ci z nas, którzy świadomie nie akceptują moralnych i rozumowych podstaw swojego wychowania. Pamiętaj, to już dwa wieki. Po drugie, automaty lecznicze sprzęgają się z twoim mózgiem i tylko z niego czerpią wzory, które następnie jedynie wyolbrzymiają i wynaturzają. Może twoja wyobraźnia jest zbyt... — zabrakło mu słowa, albo nie chciał użyć tego, które mu się nasunęło. — Zbyt jasna — znalazł wreszcie, chyba nie najszcześliwiej. — I po trzecie, nie zapominaj, że przerwałem seans zaraz po pierwszej minucie. Nie mogłem wcześniej — westchnął.

— Było bardzo przyjemnie — zapewniłem go. — Dziwię się tylko, że tak łatwo mnie puścili — dodałem, by go pocieszyć. Pewnie powie, że jest jakimś szalenie ważnym inspektorem. Mój Złoty też był ważny.

— Poinformowałem ich, że przyleciałeś tutaj nie sam, a w patrolu, którego pozostali członkowie rozproszyli się po całej planecie — rzekł. — Zdobyłem sobie podstępem twoje zaufanie, niby to pokazując ci naszą Ziemię, a naprawdę czekam, żebyś mnie naprowadził na trop twoich towarzyszy. Należy przecież ująć wszystkich. Nic złego mnie nie spotka, jeśli mi się nie uda. Po prostu, odlecieliście zanim zdążyliśmy was zgarnąć. Byłem z tobą do końca, widziałem jak startujecie, a przedtem słyszałem, że wasz zwiad nie dał spodziewanych wyników, w związku z czym nie należy się obawiać, byście kiedykolwiek znowu mieli nas niepokoić. Zatem, zagrożenie minęło.

— Jak w starym, zacnym kryminale — mruknąłem. — Swoją drogą wychodzi na to, że zawsze trzeba się załgać na śmierć, ilekroć tylko chce się coś zrobić dla swojego świata. Chwilę milczał, ale nawet gdyby odpowiedział, nie usłyszałbym słowa. Nie zauważyłem, kiedy weszliśmy na ten wyróżniający się głębszą szarością kwadrat, który niezwłocznie wystrzelił wraz z nami w górę, jak bezzałogowa rakietka. Złapałem się za żołądek. My, mieszkańcy najprymitywniejszej z Ziemi i do tego nie piloci, jednak najlepiej czujemy się w hamaku, rozpiętym między dwiema cicho szemrzącymi lipami. Na dachu szybko opuściłem złowrogą windę i dopiero wtedy usłyszałem przytłumiony, smutny głos:

— Moją prawdą jest życie. Nie kłamią umarli. Jeśli gdzieś pojawi się... zresztą, ty wiesz. Oczywiście, że wiedziałem. Szansa, rąbek szansy, ślad szansy i tak dalej. Nagle, bez żadnego powodu, poczułem, że nie tylko się nie uśmiecham, ale że również nie mam najmniejszej ochoty się uśmiechać. Zdarzyło mi się to pierwszy raz, niemniej się zdarzyło. Przyszło, minęło, nie ma o czym mówić. Zdążyłem jednak warknąć tonem, jakiego dotąd u siebie nie słyszałem:

— Ty i tobie podobni przełamaliście szlabany, co? Wykluliście się jak rajskie ptaki. Opuściliście skorupki myślenia oświeceniowego, spojrzeliście na wasz świat, potem zlustrowaliście kosmos, przewędrowaliście szlakami nowoczesności od początku do końca i z powrotem, wróciliście pełni bezsilnych refleksji i teraz, tu, spętani jakąś usankcjonowaną prowizorką, rozpaczliwie szukacie ratunku u innych. Dlaczego, u diabła, uważasz, że powinniście istnieć? Dlatego, że boisz się o siebie? Możesz uciec na każdą zamieszkaną planetę... nie wiem, ile ich jest, ale na pewno wybrałbyś sobie coś odpowiedniego. Ostatecznie wy sami wpędziliście się w ten gnój. Nikt wam nie narzucał takiego kwadratowego porządku.

— Gdybym chciał uciec, zrobiłbym to już dawno — odrzekł spokojnie. Jak ręką odjął

opadło ze mnie całe to jakieś bezsensowne poirytowanie. Dalej słuchałem go już znowu z uśmiechem. — Może zresztą zrobiłem? — ciągnął. — A może unikałem czegoś przypadkowym zbiegiem okoliczności? Kiedyś, podczas jednej z naszych wcześniejszych rozmów, opowiadałeś mi o książce, przedstawiającej dzieje astronauty, który po kilkusetletniej podróży wrócił i zastał Ziemię martwą, zniszczoną przez wojnę nuklearną. On był w tej sytuacji bezradny. Dla mnie, kto wie, czy i w takim wypadku nadal nie istniałby cień szansy. Strzała czasu nie jest jednokierunkowa, a jego struktura... — urwał. — Naturalnie, mojej cywilizacji wojna nie groziła... to znaczy, nie grozi. Ale to sprawa całkowicie drugorzędna. Pytasz, dlaczego uważam, że powinniśmy istnieć. Otóż dlatego, że w ludziach tkwi szczerą, autentyczną i niezniszczalną potrzebą przełamywania tych, jak się wyraziłeś, szlabanów. To jest uzasadnienie. Dzięki temu zasługują na to, by żyć. A co robią? Nieważne. Ważne, co ja muszę zrobić.

— Oczywiście — rzuciłem wesoło. — Każdy coś robi, jednak gdy go odrobinę poskrobać, od razu wychodzi na jaw, że tak naprawdę tkwi w nim coś najzupełniej innego, niż to, co robi. Jednakże to inne nie może nie tkwić tam, gdzie tkwi, skoro on robi to, co robi. Wszechświat jest fascynujący, a ludzie dawno przerośli mitycznych bogów, którzy miewali szkaradne słabostki. A propos słabostek, zostało ci jeszcze trochę wody?

Bez słowa wziął mnie za rękę i delikatnie pociągnął za sobą. W ciemności, która otwarła się przede mną i za mną zamknęła, podał mi kubek. Zwykły, mały kubek. Okrągły. No, ale tę wodę woził przecież nie dla siebie. On jej nie potrzebował. Fotosynteza.

Wysiadłem i chciwie wdychając zapach parku ruszyłem przed siebie. Rozstałem się z nim inaczej niż ze Złotym. Nie powiedziałem mu „do widzenia”. Zresztą on mnie także.

Zerknąłem na słońce. Było tam, gdzie wtedy, kiedy odlatywałem. Wszystko w porządku.

Nawet na ten przeklęty ostrokrzew popatrzyłem z sympatią, jakbym sam go tu niegdyś

posadził. Nie obejrzałem się ani razu. Zszedłem z trawnika na ścieżkę i powitałem zieloną strzałkę, która zarysowała się w powietrzu, pokazując drogę do Heleny. — Nie wysilaj się — powiedziałem pobłaźliwie. — I tak nie pójde nigdzie indziej.

XIV. ZIEMIA JEDEN. CZTERY

Kucnąłem przy fotelu i pocałowałem Helenę w czubek nosa. Odruchowo potarła sobie nos, westchnęła, przeciągnęła się z zamkniętymi oczami, leniwie odgarnęła włosy z czoła, po czym nagle drgnęła i uniosła powieki. Przez chwilę spoglądała półprzytomnie, jakby mnie nie poznawała. Następnie jej oczy rozbliły się, a potem zaraz zwężyły się i pociemniały. Wstała, strzepnęła koc, zwinęła go i przerzuciła sobie przez ramię. Przyglądałem jej się w milczeniu. Raptem o czymś sobie przypomniała. Szybko zerknęła na zachodzące słońce, przeniosła wzrok na mnie, znowu na słońce i ponownie na mnie.

— Czy mam je cofnąć na wschód? — spytałem. — Podobno mogę wszystko. Absolutnie wszystko. Jeśli tak ci żal tego straconego dnia?

— Żal mi każdego dnia — zamruczała. — Ale już się przyzwyczyłam...

Czułem w kościach wypad na Betę, o którym ona nie wiedziała, a jeszcze bardziej w tutejszą przeszłość, co dla niej stanowiło jedyny powód mojej nieobecności. Jednak nie chcąc, by sobie pomyślała, że wczoraj, czy przedwczoraj, czy kiedy to wreszcie było, zachowałem się tak po rycersku wyłącznie w celach doraźnie utylitarnych, posadziłem ją z powrotem w fotelu i wraz z nim poniosłem na północ. Nie na wschód, ani na zachód. Polana zamknięta brzozowym laskiem, za którym stał mój dom, znajdowała się na północ od ścieżki. Bardzo stosownie. Słońce nie zasypia na zachodzie, tylko na północy.

Następnego dnia rano, jakieś pięćdziesiąt metrów przed trzecim pawilonem straciłem przytomność i zniknąłem. Co to dla mnie, wziąć i zniknąć.

XV ZIEMIA MINUS IKS. CZTERY

XVI. ZIEMIA JEDEN. CZTERY (C.D.)

Wróciłem także rano. Ani zmęczony, ani wypoczęty, lecz jakby mniej zadowolony ze świata i światów. A przede wszystkim totalnie zniechęcony. Niczego dla siebie nie oczekiwałem i nic mi się nie chciało. Nie istniała rzecz, która mogłaby mi się udać. Miałem gdzieś park, drzewa, ptaki, niebo i ziemię. Nie cieszyła mnie wizja przemądrzałych rozmówek z Jałowcem, romantycznego wieczoru, ani zmysłowej nocy.

Nie ma sensu. Nie warto.

Heleny nie było. Mruknałem coś pod nosem i samotnie ruszyłem w stronę drzwi, nad którymi, gdy podszedłem bliżej, zaświeciła się seledynowa strzałka.

Trzeci pawilon instytutu wyglądał z zewnątrz tak samo jak dwa pierwsze, a jego wnętrze różniło się od nich jedynie znowu nieco większą ilością zainstalowanej aparatury. No i z boku, pod oknem, umieszczono zielonkawy stolik otoczony fotelami. Ale centralne miejsce wciąż zajmowała ambulatoryjna leżanka.

— Długo pana nie było — przywitał mnie Kobra.

— Zabłądziłem. Poszedłem za fałszywym śladem — oświadczyłem. — No, to bierzmy się do nadrabiania zaległości — wyciągnąłem się na leżance.

— Niech pan stamtąd zejdzie.

Wyprostowałem się.

— Co to znaczy? — spytałem, zawiedziony. — Nie będzie drzemki? Żadnej hipnozy, żadnego kasku z pajęczyną drucików? Marzyłem, że wyjdę stąd znowu trochę bardziej cudotwórczy, a przy okazji młodszy.

— Zatem marzył pan o sobie samym — doktor Iwo pokiwał głową. Broda mu zachrzęściła, jakby ktoś usiadł na wiązce chrustu. — Ja także marzyłem... w swoim czasie —

wyznał niespodziewanie... — Byłem zapalczywym smarkaczem, pełnym wewnętrznego ognia... — chrząknął i umilkł. Proszę, jak się rozkleił. Zaraz. On się rozkleił? Chwileczkę. Nie ma hipnozy, nikt nie włącza aparatury, ale ten trzeci pawilon nie jest przystankiem na pustkowiu. Ktoś tu z kogoś chce zrobić durnia.

— Moje marzenia — podjął z zadumą Jałowiec — dotyczyły jednak społeczności. Nie jednostki.

— Ach, ta odwieczna przepychanka! — zawołałem z uczuciem. — Niby człowiek nigdy nie był istotą samotną, a jednak konflikt między jednostką a społecznością wlecze się przez wszystkie wieki, jak treści tragedii Ajschylosa, Sofoklesa i Eurypidesa. Jakiś mędrzek nazwał go konfliktem człowieka prawdziwego z człowiekiem rzeczywistym — mówiłem dalej tym samym tonem. — Ta definicja odnosiła się wprawdzie do ściśle określonych warunków historycznych, ale czyż one potem uległy aż tak radykalnej zmianie? — zeskoczyłem z leżanki i zaśmiałem się. — Ja — stuknąłem się palcem w pierś — miałem być prawdziwy, a oddziaływać na rzeczywistych. Tymczasem kłapa. Marzenia się potłukły. Trzeba zaczynać od nowa.

— Toteż zaczynamy. Właściwie, już zaczęliśmy — powiedział Jałowiec, wreszcie swoim normalnym, oschłym głosem.

— I nie masz się z czego śmiać — o, jeszcze jedna nowość.

— Tak, mówiliśmy sobie po imieniu — wyjaśnił z przekąsem.

— Zgodziłeś się kiedyś na ten eksperyment, który teraz trzeba powtarzać. Sam tego chciałeś. Uczyniliśmy wszystko, co jest w stanie zrobić nauka... nie tylko nasza, by uaktywnić twój mózg. Jak najwięcej jego uspiętego potencjału. W porównaniu z innymi ludźmi jesteś geniuszem... Powinieneś być geniuszem.

— Po co? — spytałem ciekawie. Geniusz musi być ciekawy. Przynajmniej dopóki się

czymś nie wykaże. Potem może sobie darować.

— Mózg człowieka oddziałuje na otoczenie. Dzisiaj wiemy, że to oddziaływanie obejmuje całą Ziemię i sięga w kosmos. Gdybym to powiedział sto lat temu, rzeczywiście okrzyknięto by mnie... no, w najlepszym razie zwariowanym parapsychologiem.

— Gdy tymczasem jest pan... przepraszam, gdy tymczasem ty jesteś po prostu psychofizykiem — stwierdziłem niewinnie.

— Czy nie lepiej było zrobić coś ze swoim własnym mózgiem?

— Nie słyszałem o chirurgu, który by potrafił sam sobie wyciąć woreczek żółciowy — wtrącił ironicznie Kobra.

— To chyba oczywiste — doktor Iwo prześliznął się nad kwestią własnego mózgu — że geniusz oddziałuje silniej niż człowiek przeciętnie inteligentny. A ty, poprzez pewne specjalistyczne zabiegi, otrzymałeś jeszcze system wzmocnień... czysto biofizycznych — podkreślił z naciskiem.

Spojrzałem na Helenę, ale chabrowe oczy znowu patrzyły w podłogę.

— Jasne — oświadczyłem z przekonaniem. — No dobrze. Więc chodzę sobie to tu, to tam, obnoszę po świecie swój genialny mózg i zarażam innych. Tylko, czym mianowicie zarażam? Co ja propaguję?

— Powrót od idei mrowiska do idei gniazda — rzekł Jałowiec. — Indywidualną tożsamość jednostek włączonych w światową sieć komputerową. Wartości w miejsce zjawisk.

Zrobiliśmy przecież z Ziemi dom obłąkanych. Giniemy — zupełnie jakbym mieszkał nad knajpą i codziennie musiał wysłuchiwać tego samego refrenu tej samej pijackiej piosenki.

— Ale jesteś ty. Dysponujesz możliwościami, których nawet my, współautorzy eksperymentu, nie ogarniamy myślą, ani wyobraźnią. Stanowisz szansę — o, właśnie.

Cholera. — Skąd wiesz, skąd ktokolwiek wie — nagle zaczął się zapalać — że akurat teraz, w

mijającym dniu, tygodniu, roku, nie dojrzewa w ludziach synteza wartości etycznych? Czy nie kiełkuje gotowość koniecznego podporządkowania się rozsądkowi? A jeśliby przypadkiem tak było, to ty, z twoimi predyspozycjami, możesz odegrać rolę decydującą. Radykalnie skrócić drogę od stadium kiełkowania do stadium rozkwitu. Miałeś przejść przez piekło, żeby je zniszczyć — chyba się zagalopował. Nie pierwszy raz. Nie szkodzi. Jak na geniusza, jestem beznadziejnie niedomyślny. Tak mi wygodniej.

— I co? — mruknąłem. — Nie przeszedłem?

— I tak i nie — znowu ta jego enigmatyczna dialektyka.

— To znaczy, przeszedłem, tylko niczego nie zniszczyłem — podsumowałem.

— Dajmy na to.

— Spartaczyliście robotę — stwierdziłem. — Spostrzegłem, że Helena gwałtownym ruchem prostuje głowę i spogląda na mnie z niemą wymówką. Uśmiechnąłem się do niej i mówiłem dalej: — Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że siedzi we mnie nielichy geniusz. Czystej wody brylant, zaraźliwy, aż miło pomyśleć. Gdyby tak zabłysnął... Ba! — uniosłem rękę. — Niestety, umieściliście go za głęboko. Nie dotrze do niego najdrobniejszy odprysk światła, żeby mógł ożyć. A tymczasem geniusz także potrzebuje światła. Rzekłbym nawet, że bardziej niż ktokolwiek inny i niż cokolwiek innego. Czyli, fiasko.

— Jeszcze nie — Jałowiec ponownie zachrząścił brodą.

— Jeszcze nie. To prawda, co powiedziałeś o tym brylancie, chociaż porównanie... — wzruszył ramionami. — Ale niech będzie. Tylko, że on nie potrzebuje światła stąd — pokazał okno — a z wewnątrz — wycelował palec we mnie. — Ty sam musisz mu go dostarczyć.

Może coś przeoczyliśmy. Może nie otworzyliśmy wszystkich torów i wyjść... znasz przecież podstawy informatyki nie gorzej od nas. Jednak my nie rezygnujemy, więc i tobie nie wolno rezygnować. — Nie wolno? Za kogo on się uważa? Za nadinspektora? — Pewnie się dziwisz,

dlatego ci to wszystko mówię. Otóż po zastanowieniu doszliśmy do wniosku, że poprzednio powiedzieliśmy ci za mało. Że, być może, nieco więcej wiedzy, czy też samowiedzy, wspomogę twoją podświadomość. Mam na myśli znajomość problemów, nie wspomnienia. Niewykluczone, że ta znajomość dostarczy ci brakujących impulsów, albo wzmocni istniejące. Wszak nasze cele są wspólne. Spróbuj się zmobilizować, przynajmniej w obszarze zależnym od twojej woli. Pamiętaj, posiadasz niewiarygodne możliwości. Od dziecka byłeś poddawany ciągłej stymulacji, nieprzerwanemu działaniu na przedmózgowie — okropność, ten ich język. Cóż, skoro biedak inaczej nie umiał. — Potem przyszła kolej na twoje geny mozaikowe... przypominam, bez skalpeli. Dalej na system nerwowy i cały mózg. Na tych trzydzieści bilionów neuronów w korze i na ilość synapsów, równą ilości gwiazd. Wiesz o topologii bioprzestrzeni wszystko, lub prawie wszystko, co wiedzą nasi najwybitniejsi specjaliści. Jednak my tu na Ziemi nie orientowaliśmy się dotąd, jak zmienia się przestrzeń w obrębie pola biologicznego i co należy uczynić, aby zmiany były pożądane, znaczące, oraz trwałe.

— A teraz się orientujecie — zakpiłem. — Nauczyli was dwaj samotni wędrowcy.

Przyjął to spokojnie.

— Teoretycznie — rzekł. — W praktyce coś zawodzi. Ale jesteśmy pozytywistami. Bądź nim także... nie tracąc pogody ducha. Chwilowo masz wmontowany utrwalacz uczuć przyjemnych... a przede wszystkim, i to już nie chwilowo, system wzmacniaczy, o których wspominałem. Oraz blokad. Te ostatnie są niezbędne z uwagi na specjalizację lewej i prawej półkuli. Posiadasz wszelkie przesłanki, by oddziaływać na otoczenie, bliskie i najdalsze, jak Słońce na układ planetarny, od Merkurego po aphelia komet. Lepiej, bo celowo. W psychice człowieka jest zakodowany ślad ewolucji poczynając do Big-Bangu. To, u takiego osobnika jak ty...

— ...powoduje, że może wpływać na tę ewolucję, jeśli się pamięta o zaczerpniętej z innych światów umiejętności przekształcania struktury czasoprzestrzeni — wpadłem mu w słowo. — Rozumiem teraz, dlaczego znikam na dole.

— Tak. To znaczy, tak było za pierwszym razem — rzekł Jałowiec. Znowu powiedział więcej, niż zamierzał, a ja znowu postanowiłem udawać, że nie dosłyszałem. — Teraz twoja rola jest inna. Na razie. Potem, jeśli sprawy ułożą się pomyślnie... nie uprzedzajmy faktów — ocknął się. — Pamiętaj o swoim mózgu, o swoim poczuciu moralności i mocy oddziaływania. To na dzisiaj wystarczy. Wykorzystaj te wiadomości. Pomóż.

Przeszedłem się po zielonkawej wykładzinie od leżanki do okna i z powrotem. Następnie powoli zbliżyłem się do stolika i oparłem na nim obiema rękami. Utkwiłem wzrok w miejscu, gdzie pod chmurą brwi doktor Iwo powinien mieć oczy.

— Przykro mi — powiedziałem. — Nie uważam, bym cokolwiek od was otrzymał. Ja d z i s i e j s z y . Daliście mi furę wiadomości, lecz ani krzty wiedzy, nie wspominając już o samowiedzy. Posłuchaj z kolei ty mnie. Nie zamierzam płacić długów, bo ich nie zaciągałem. Nie pamiętam. Kto jak kto, ale wy nie możecie mieć o to do mnie pretensji. Całkiem inna rzecz, że nie życzę sobie wspomnień. Tu poszliście mi na rękę. Zabroniliście mi rozpamiętywać, by wysiłek umysłowy nie odbił się ujemnie na moim samopoczuciu. Poza tym przecież pamięć przeszkadza. Teraz obudziliście się i apelujecie do mojej świadomości. Iście naukowa niekonsekwencja. Nieważne. Wbrew temu, co przed chwilą powiedziałem, coś jednak wam się ode mnie należy. Niechący, bo niechący, ofiarowaliście mi bardzo wiele. Cieszę mnie chwile. Każda chwila, a to podobno rzadkość. Dobrze mi z tym, co we mnie drzemie i się nie ujawnia... dopóki się nie ujawnia. Niech to sobie będzie jakiś tajemniczy utrwalacz, wzmacniacz, blokady, pal sześć. Nic mnie nie obchodzi, czy noszę w sobie skrzydlatego demona, czy czarodziejski brylant, jak długo demon trzyma skrzydła zamknięte,

a brylant nie błyszczy. Jeśli to się zmieni... ale masz rację. Nie wybiegajmy w przyszłość, która zapewne nigdy nie nadejdzie. Bawię się i chcę się bawić. To udało wam się nad podziw. No i jeszcze coś. Jestem dobry. Nie mam na przykład nic przeciwko temu, żeby inni bawili się tak samo jak ja. Oczywiście, gdzie indziej. Posunąłbym się nawet do tego, by im w tym dopomóc... gdyby mnie to nic nie kosztowało. Pójdę dalej za tymi zielonymi strzałkami, żeby nie robić wam przykrości, bo nie lubię robić przykrości nikomu. Więcej, mogę świadomie pragnąć pomyślnego zakończenia mojej misji, dokładnie, jak tego pragniecie. Ale nie spodziewajcie się, że uczynię coś ponad to. Pomijając wszelkie inne niezliczone przyczyny, człowiek, z pamięcią, albo bez pamięci, jest zawsze tworem historii. Pozdrowienia z dołu, kolego doktorze.

— Znowu żartujesz — zauważył cierpko Jałowiec. Helena wygięła wargi, jakby zaraz miała się rozplakać.

— Przeszanę żartować... nie obiecuję, że na długo, ale przynajmniej dopóki stąd nie wyjdę

— rzuciłem lekko — jeśli mi powiesz prawdę. Dlaczego wciągałeś mnie w tę rozmowę?

Przecież sam nie wierzysz, że jakaś aptekarska dawka rzekomej samowiedzy przeobrazi mnie w archanioła z ognistym mieczem w dłoni?

— Podjąłem jeszcze jedną próbę — burknął. — A poza tym mylisz się. Gdybym nie wierzył... zresztą, dajmy temu spokój. Zapamiętaj o co cię prosiłem i co mówiłem, bo mówiłem szczerze. Natomiast masz słuszość, że istniał jeszcze pewien uboczny powód, dla którego zacząłem tę rozmowę akurat dzisiaj i tutaj. Mianowicie, i tak nie moglibyśmy kontynuować eksperymentu zgodnie z planem. Spodziewamy się kogoś. Ten ktoś przybędzie do ciebie i musisz się z nim zobaczyć. Po prostu wykorzystaliśmy czas oczekiwania. Jednak wróćmy do tego, co przed chwilą ode mnie usłyszałeś. Twierdzisz, że przekazując ci dodatkową porcję wiadomości trudiłem się na próżno? Albo kłamiesz, albo jest to z twojej

strony bezwiedny odruch samoobrony... jeśli istotnie chcesz się tylko bawić, w co na razie wolę powątpiewać. Spójrz na siebie. Nie zauważyłeś, że się zmieniasz? Że już się zmieniłeś? — I ty powiadasz, że jesteś pozytywistą! — zaśmiałem się, odrobinę za głośno. —

Bierzesz swoje życzenia za rzeczywistość! — niech to szlag trafi, miał rację. Zmieniałem się. I do tej chwili o tym nie wiedziałem. Że akurat on musiał mi otworzyć oczy. A, tam. W porządku. Złote wahadełko przesunęło się w jedną stronę, przesunie się z powrotem. Minęło południe. Wkrótce słońce znowu zajdzie za drzewa. Niech tylko jak najprędzej pojawi się ten ktoś, na kogo czekamy.

— Kto tu ma przyjść? — spytałem.

— Przedstawiciel Rady. Z miejscowej agentury — zaznaczył, żebym się zbytnio nie puszył. Przecież mógłby się do mnie pofatygować sekretarz generalny we własnej osobie. Umilkłem. Na dworze zerwał się niezbyt silny wiatr. Tu nic nie było słyhać, ale zobaczyłem, że za oknami korony drzew kładą się łagodnie na bok, prostują i znowu kładą, jakby chciały sobie coś w sekrecie powiedzieć. Ale kiedy jedno drzewo pochylało się ku drugiemu, to drugie właśnie szukało powiernika po przeciwnej stronie. Lubiłem wiatr, jednak jak dotąd, przeżyłem go jedynie we śnie. W tych dzikich górach, za którymi urzędował staruszek z medalami. Śmieszne, że zapamiętałem ten sen. Potem usiłowałem rozmawiać z ludźmi, a oni zachowywali się niczym teraz te drzewa.

Oderwałem oczy od okna. Bzdury. Bzdury, bzdury, bzdury.

Od tego momentu nie czekaliśmy już dłużej niż pięć minut. Drzwi się otworzyły i wszedł postawny mężczyzna w lekkim, błękitnym ubraniu, skrojonym na wzór mundurowych kompletów porucznika Arona oraz sędziów ze sztabu nad oceanem. Był w średnim wieku, przystojny, opalony i sprawiał wrażenie bardzo męskiego.

— Czołem! — rzucił w powietrze. Ani myślał pozdrawiać każdego z osobna, jakby to

zrobił byle cywil. Zignorował nawet Helenę. Z satysfakcją stwierdziłem, że ona go także. Chociaż z jej strony mógł to być jedynie objaw onieśmienia. Miała osobliwą jak na dzisiejsze czasy inklinację do usuwania się z pierwszego planu. A przecież potrafiła delikatnie wyszemrać coś takiego, że człowiek otwierał gębę jak karp na widok opłątka. Tym lepiej. Jeszcze godzinka, dwie, i znowu postaram się ją sprowokować, żeby potem ze skruchą zanieść ją do łóżka. Dziewczyna jak marzenie. Oczywiście, nie marzenie Jałowca, Kobry, czy kogoś w tym rodzaju. Oni nie mają bladego pojęcia, o czym warto marzyć. I niech sobie gadają, co im ślina na język przyniesie. Ja swoje powiedziałem: może światu żyje się nienadzwyczajnie, ale mnie dobrze. Reszta jest chodzeniem po parku, wytyczonymi ścieżkami. I śpiewem ptaków przez cztery pory roku.

— Kolega Halny? — przybysz zainteresował się wyłącznie mną. Skinąłem głową.

Podszedł bliżej, stanął przede mną i przybrał oficjalną pozę.

— Z upoważnienia Rady wręczam panu nominację na inspektora drugiego stopnia.

Gratuluje — wyprostował dłoń i podał mi znaczek tożsamości, na pierwszy rzut oka taki sam jak ten, który już nosiłem pod bluzą. Czymś jednak musiały się różnić. Naturalnie, wiedziałem czym. Przecież inspektorskie znaczki istniały niezależnie od tego, czy wiązały mnie z nimi osobiste wspomnienia, czy nie. Specjalna łączność, specjalne udogodnienia komunikacyjne, klucz do części tajnych akt i niektórych zastrzeżonych komputerów z ich bębnami pamięciowymi, ciężkimi od powszednich sekretów Miasta. Słowem, świetlisty rąbek władzy, niby srebrna powieka księżycy, unosząca się po zaćmieniu. Upajające. Tylko że spośród rzeczy, przed którymi wszystko się we mnie cofało, myśl o władzy była mi bodaj najmniej sympatyczna. To znaczy władzy, jaką ja ewentualnie miałbym posiadać i sprawować. Trzeba nieustannie budować góry pozorów. I nie wolno się śmiać, gdy ktoś udaje, że jest tobą zachwycony. Pewnie, że przyjmę ten znaczek. Widzę po minach

wysłannika Rady, a także Jałowca i Kobry, że chwila jest uroczysta. Gdy jako inspektor okaże się śmierzącym leniem, sami mnie wyrzucą i zostawią w spokoju.

Wziąłem znaczek i teraz z kolei ja trzymałem go przed sobą na płasko otwartej dłoni. Był wyposażony w uszko, lecz łańcuszek należało sobie kupić za własne pieniądze. Władza jest oszczędna.

— Przypominam hasło — odezwał się urzędowy gość. — Brzmi ono: dobro zwycięża.

Zachowałem powagę. Był to najtrudniejszy moment w ciągu całego dnia, pełnego ziemskich i kosmicznych wrażeń.

— Moje zadanie? — rzuciłem obojętnie. Nawet jeśli powinienem je znać, mogę się przecież upewnić, w chwili gdy otrzymuję zasłużony awans, najprawdopodobniej w nagrodę za mój wyczyn w sąsiedztwie krateru Autolikosa.

— Na razie tutaj — przedstawiciel Rady rozejrzał się z niesmakiem po zielonkawym wnętrzu. Mocny dialog. Taki więcej inspektorski. Postanowiłem zachować styl.

— Oddelegowany? — wskazałem podbródkiem Jałowca.

— Tak. Czołem — odwrócił się na pięcie i wymaszerował.

Kiedy zniknął za drzwiami, zdjąłem z szyi łańcuszek, rozpiąłem go, zamieniłem znaczki, po czym nowy umieściłem na piersi pod bluzką, a stary wsunąłem do kieszeni. Miałem nadzieję, że jeszcze się przyda. Następnie łypnąłem srogo na Helenę.

— Za mną! — zakomenderowałem. Na progu odwróciłem się.

— Jeśli jeszcze raz powiesz, że się zmieniłem, od razu cię zamknę — zagroziłem Jałowcowi.

— Jest to proces trudny, powolny i przebiegający ze stałymi nawrotami — wyręczył starszego współpracownika Kobra. — Ale się zmieniasz.

— Ciebie nie zamknę — machnąłem ręką. — Inspektorzy drugiego stopnia zaczynają od

doktorów wzwyż.

— Widzę, że dobrze się czujesz w nowej roli — rzekł dopiero teraz Jałowiec. Trochę mi popsuł zabawę.

— Odnoszę niejasne wrażenie, że ta rola nie jest dla mnie zupełnie nowa — odpowiedziałem. — Ale w ogóle czuję się znakomicie. Bywajcie. Czołem.

W rzeczywistości czułem się dziwnie. Coś jak prawoskrętny DNA na angielskiej autostradzie.

Niestety dzisiaj słońce stało jeszcze za wysoko, bym mógł, nie narażając się na protesty Heleny natychmiast zejść ze ścieżki i ruszyć w stronę bliskiej memu sercu polany, przez którą, jak tak dalej pójdzie, w końcu jednak wydepczę własną dróżkę. Ale na razie polana musiała poczekać.

Przeszliśmy jakieś trzydzieści metrów, gdy nagle dziewczyna stanęła i zwróciła ku mnie zaczerwienioną twarz.

— To nieprawda, że pan chce się tylko bawić! — zawołała cicho, lecz głosem tak przejmującym, że mnie dreszcz przebiegł po skórze.

Pan.

Chciałem się roześmiać. Chciałem ją pogłaskać po włosach, przytulić i pocałować.

Chciałem wzruszyć ramionami i pójść dalej, nie oglądając się na nią. Chciałem powiedzieć coś niesłychanie dowcipnego. Sam nie wiem, co chciałem. Kiedy się wreszcie odezwałem, mój głos zabrzmiał tak, jakbym uczył się mówić, po ciężkiej operacji krtani.

— Są różne rodzaje zabawy — wymamrotałem. Zaczerpnąłem powietrza i dodałem: —

Czytałem o ludziach, którzy najlepiej się bawią, dobrze spełniając swoje obowiązki — nie po raz pierwszy zauważyłem, że nie lubię kłamać. Nie z powodu jakichś tam zasad. Po prostu kłamstwo wymaga wysiłku. Kłóci się z dobrym samopoczuciem. Należy do smutków, lęków i

trosk. Nie do hasania myślą i ciałem po arkadyjskich rezerwatach. Co innego przemilczeć to czy tamto. To tak. To z niczym się nie kłóci i bywa wygodne jak puchowy śpiwór w namiocie, osłoniętym od wiatru. Ale teraz nie mogłem się w nim zaszyć. Oby pękł ten cały Jałowiec, z jego społecznikowską pasją, jego zafajdanymi eksperymentami i z jego gadaniem. Do diabła z Kobrami, ginącymi światami, zbuntowanymi zbawcami i sędziami, ilu ich jest od centrum wszechświata do najodleglejszych kwazarów. Do diabła z tym facetem, który ponoć wylądował kiedyś u stóp księżycowych Apeninów. Do diabła ze słońcem, ciągle stojącym wysoko nad horyzontem, jakby ten dzień nigdy nie miał się skończyć. Bezwiednie przejechałem dłońmi po policzkach i powiodłem nieprzyjaznym wzrokiem po koronach drzew. Po raz pierwszy nie wiedziałem, co zrobić.

Ale wyjście się znalazło. Inspektor Halny zawsze znajdzie wyjście. Tym razem samo czekało na niego, trzy kroki dalej.

Nie patrząc w stronę Heleny przeszedłem te trzy kroki i zniknąłem.

XVII. ZIEMIA MINUS IKS. PIĘĆ

XVIII. ZIEMIA JEDEN. CZTERY (C.D.)

Dziewczyna stała na ścieżce, tam gdzie ją zostawiłem. Bez łóżeczka i koca, za to w towarzystwie Kobry.

— No — powiedział okularnik, kiedy się pojawiłem. Zupełnie, jakby mnie posłał na róg po gazetę, a ja zawieruszyłem się na tydzień. Tylko tego mi brakowało. Tego „no”. Wróciłem w jakimś szczególnym nastroju. I widziałem już ten park i nie widziałem. Znałem patrzącego na mnie z przyganą chudego mężczyznę i nie. Stoi tu śliczna dziewczyna. Śliczna i pełna ujmującego wdzięku, co nie jest pospolitym połączeniem. Każdy szczegół jej ciała pod białą sukienką powinien być bliski moim nerwom i zmysłom jak własna skóra. Ale to nieodzowne napięcie między mną a nią przestało istnieć. Czy naprawdę były kiedyś trzy kolejne noce,

gorące i słodkie, jak naszym prababkom wyśpiewywali jedwabistymi głosami modni refreniści?

— No! — warknąłem. Helena spuściła oczy. Za często to robi. Niech idzie do klasztoru.

— Musisz wrócić do pawilonu — rzekł Kobra. — Przyszło wezwanie. Za godzinę masz rozprawę. Dostaniesz helikopter instytutu.

Rozprawę? Doskonale. Już bardzo długo nie miałem żadnej rozprawy. Znowu się czegoś dowiem. Jednak na razie dowiem się czegoś tutaj. Zaraz.

— Gdzie byłem? — spytałem szorstko. W tym momencie zauważyłem, że mam na sobie inną bluzkę niż przedtem. Przyjrzałem się rękawom. Błękitne. Barwa się nie zmieniła.

Zmienił się krój. Nosilem mundur. Postanowiłem coś sprawdzić. Tak. W tej bluzie nie było wszytego projektorka. Żegnajcie, strzałki. Żegnajcie? O, nie. Upomnę się o nie.

— Jak to gdzie — burknął Kobra. — W przeszłości.

— Kiedy?

— Nie wiem. Nikt nie wie. Chodź. Spóźnisz się.

— Nigdzie nie pójdę. Gdzie ląduję, kiedy wpadam w te kretańskie studnie? I co tam robię?

Zachnął się.

— Nie wiem, to nie wiem! — powtórzył ze złością. — Mieliśmy pewien plan... ale obliczenia są nie do sprawdzenia.

— Również tam chodzę śladami człowieka — stwierdziłem.

— I ty jesteś człowiekiem.

— Podobno. A więc, co tam robię?

— Ciągłe się zarzekasz, że o nic nie pytasz.

— Teraz pytam. No?

— Nie wiem, nie wiem, nie wiem!!! — wysyczał z furią. — Chociaż właściwie wiem —

zniżył głos, lecz wykrzywił twarz w złośliwym grymasie. — Zacząłeś stawiać pytania, to zdobądź się na odwagę i spytaj sam siebie. Co c z ł o w i e k zawsze robił na Ziemi?!

Umilkłem. Wykonałem w tył zwrot i ruszyłem z powrotem do trzeciego pawilonu. Na miejscu od razu zażądałem od Jałowca, żeby wyposażył moją nową bluzę w taki sam krążek, jaki nosiłem do tej pory. Załatwił się z tym błyskawicznie, za pomocą jakiegoś miniaturowego urządzenia.

Wszedł drobny, szczupły mężczyzna z ciemnymi włosami i znużoną twarzą. Oznajmił, że kazano mu tu przylecieć i zabrać kogoś do okręgowego sądu w Mieście. Powiedziałem, że chodzi o mnie. Skinął mi głową i bez słowa opuścił pawilon. Jego maszyna stała na środku ścieżki zaraz przed drzwiami. Podczas lotu nie odezwał się do mnie ani razu. Dopiero kiedy wylądował na płaskim dachu dużego budynku, gdzie spoczywało już kilkanaście innych helikopterów, mruknął, że tu na mnie poczeka.

XIX ZIEMIA DWA. DWA

Na najwyższym podeście schodów ze ściany wystawała stylizowana gęba automatu w kształcie litery „i”. Powiedziałem, że nazywam się Halny i mam wezwanie.

— Sala numer dwieście jeden, trzecie piętro na prawo — usłyszałem natychmiast.

Szedłem ponurym korytarzem, czytając cyfry, umieszczone na drzwiach. Sto

dziewięćdziesiąt siedem, sto dziewięćdziesiąt dziewięć... Zagapiony, przypadkiem trąciłem nogą kolano kobiety, siedzącej na drewnianej ławce. Była w towarzystwie mężczyzny, który narzucił sobie na ramiona adwokacką togę. Mężczyzna popatrzył na mnie i zmarszczył brwi.

W jego wzroku odbiło się zaskoczenie, a następnie wrogość.

— Najmocniej przepraszam — uśmiechnąłem się do kobiety. Musiała mieć około czterdziestki, ale wyglądała młodo. Była ładna. Miała kasztanowe włosy, subtelne, wyraziste rysy i duże szare oczy z błękitnymi cętkami. Nosiła prostą, bordową sukienkę z małym, owalnym wycięciem pod szyją, ukazującym jakiś rubinowy drobiazg na cieniutkim, złotym łańcuszku. Jej splecione dłonie spoczywały na kolanach. Spojrzała jakoś bezradnie.

— Nie szkodzi — powiedziała cicho. — Dzień dobry, Marku. Mój uśmiech zgasł jak czerwona latarnia ekspresu. Przeniknął mnie chłód.

— Dzień dobry... — czułem, że też powinienem wymienić imię. Jakie? — Dzień dobry — powtórzyłem machinalnie.

— Czy coś się zmieniło? — spytał ostro mężczyzna z togą. — Odnoszę wrażenie, że masz o coś pretensje. Chodzi ci o pozew? Przeczytałeś go? Przecież napisałem dokładnie tak, jak wspólnie ustaliliśmy?

Zrozumiałem, że jemu także należało powiedzieć „dzień dobry”.

W tym momencie otworzyły się drzwi i na korytarz wyjrzała głowa anemicznej blondynki z twarzą, która pozwoliłaby jej bez charakteryzacji zagrać rolę ofiary wampira w epoce

niemego kina. Ale nie była niema. Obrzuciła nas beznamiętnym spojrzeniem i cisnęła w stronę przeciwległej ściany:

— Anna Halna i Marek Halny!

Anna.

Kobieta w bordowej sukni wstała. W drzwiach zawahała się, lecz natychmiast wsparło ją ramię, które wysunęło się spod luźno zwisającej togi. Mężczyzna wprowadził ją do sali ostrożnie i troskliwie, jakby każdy odrobinę szybszy ruch miał dla niej stanowić śmiertelne zagrożenie. Przepuściłem ich i podążyłem za nimi.

Sala była nieduża. Stały w niej ciemne ławki, w przeciwieństwie do sztabowych posiadające masywne oparcia. Jednak na wprost wejścia i tutaj znajdowało się podwyższenie, na podwyższeniu stół, a za nim kilka foteli. W środkowym siedziała już kobieta w czerni.

Sędzina. Z boku stołu, przed komputerem, usadowiła się blondynka bez kropli krwi w żyłach.

Wysoki sąd był na miejscu, więc nie mógł wejść, by zostać powitany na stojąco, jak nakazuje rytuał. Rozprawa zaczęła się bez żadnych wstępów. Taka a taka, urodzona wtedy a wtedy, przeciwko Markowi Halnemu, urodzonemu — gdybym uważniej słuchał, dowiedziałbym się, ile naprawdę mam lat. Ale nie słuchałem. Zorientowałem się od razu, że sędzina traktuje obecne posiedzenie jako formalność, która musi zostać dopełniona, lecz której wynik jest z góry wiadomy.

Była to rozprawa rozwodowa.

Patrzyłem na moją żonę. Miła twarz. Miła, z wewnętrznym ciepłem, spokojna i łagodna.

Te jej szare oczy z błękitnymi punkcikami były szeroko rozstawione, piękne i mądre. W tej chwili także smutne.

Sędzina cały czas mówiła. Jej słowa docierały do mnie jak z sąsiedniej sali, zza zamkniętych drzwi. Rozprawa pojednawcza nie dała rezultatu. Czy od tamtego dnia strony

nie zmieniły zdania. Moja żona — jak to brzmi! — powiedziała cicho że nie, więc powtórzyłem za nią to samo. Wobec tego przyszła kolej na czytanie pozwu. Trwały rozpad. Niezgodność charakterów. Powódka czuła się samotna. Aha, teraz będzie o mnie. Ciągła nieobecność. Nie należy tego rozumieć zbyt dosłownie. Byłem obcy. Niezależnie od tego, czy mi się gdzieś śpieszyło, czy nie, odtrącałem każdą bieżącą chwilę, jakbym się bał zatrzymać przy niej, by w następnej chwili nie doznać zawodu. Czy w domu nie rozmawiałem z żoną? Owszem, odzywałem się, ale nawiązanie ze mną kontaktu było niemożliwe. Oto niektóre moje stwierdzenia. Przygodę świata przeżywa się samemu lub nie przeżywa się wcale. — Przygoda świata? Gdzie ja to słyszałem? — Ktoś bliski zaledwie bywa potrzebny. Ludziom nie dane jest cieszyć się szczęściem dłużej niż przez jedno uderzenie serca, a serca nie biją w jednakowym rytmie — to jedno uderzenie serca również pamiętam. Nie ja byłem autorem tego zdania, ale co to ma za znaczenie. Tylko jak pogodzić owego dawnego Halnego w domu, z Halnym — inspektorem? Z jego energią, pasją, z jaką współdziałał z Jałowcem, z jego służbowymi podróżami i raportami? — Oddziaływanie zależnych od siebie indywidualności zawsze tworzy pole nietrwałe, zwichrowane, ponieważ jeśli człowiek nie wie, kim jest i co robi na ziemi, to jakim cudem mógłby zbudować rzetelny związek? — Zaraz. A ten przekłety kwadrans milczenia koło krateru Autolikosa? Nie, nie. Coś jednak łączy Halnego — męża, z Halnym — inspektorem. To może być ta sama osoba. — Jeżeli człowiek posiada minimum uczciwości, pozostaje mu tylko szczerść, a ta nieuchronnie prowadzi do wzajemnego zadawania sobie bólu. Naturalnie, pod warunkiem, że istnieje uczucie, ale czy uczucie da się pogodzić z uczciwością? Tu sąd musi postawić dodatkowe pytanie. Czy w życiu powódki jest ktoś inny? Inny mężczyzna? Moja żona odrzekła, że nie. Spojrzałem na adwokata. Dał mi znak ledwie zauważalnym ruchem głowy. Wszystko było uzgodnione, ale na wszelki wypadek przypominał, co mam mówić. Lub też uznał, że za długo zwlekam z odpowiedzią.

— Tak — rzuciłem głośno. Przez mgnienie stanęła mi w oczach postać Heleny. — Czy to poważny związek? — Nie. — Jednak zdrada pozostaje zdradą — wysoki sąd był przecież kobietą. Blondynka z kredową twarzą popatrzyła na mnie jak na Drakulę.

— Pozwany przyznał się do niewierności. Sąd chce wiedzieć, czy był zły dla powódki. Nie w pospolitym sensie tego słowa — to powiedział mężczyzna z togą. — Gdyby bywał zły, świadczyłoby to przynajmniej, że jest zdolny do przeżywania emocji. Ale, proszę wysokiego sądu, zaprzeczenie zła nie stanowi dobra. — Sąd przytaknął w milczeniu. — Jak rozumieć zdanie męża — teraz mówił już tylko adwokat — uczucie, że ktoś mi towarzyszy jest okropne, ale uczucie, że ja muszę towarzyszyć komuś, równa się zamknięciu mojej osobowości w pancernej kasie, bez światła i powietrza.

Banały, banały, banały. Jakieś wyrwane z kontekstów półpointy, jakieś pseudoprzemyslenia z doczepionym na siłę podtekstem, natłok cudzych naskórkowych mądrości, poszatkowanych przez maszynkę stuleci. Jedyne, co z tego wszystkiego wynika, to to, że byłem głupi jak podogonie, by wreszcie zacytować kogoś, kto rzeczywiście na to zasługuje. Prawdziwy powód został wymieniony raz, na samym początku, i brzmiał: obcy. Wszystko inne to wypełnianie czasu i wzbogacanie sądowej dokumentacji.

Moja żona. Jak długo żyliśmy ze sobą pod jednym dachem, jak najbliżsi sobie spośród obcych? Patrzyłem na nią i nie czułem nic. Kochałem ją? Czy dałem się ponieść zmysłom, dorabiając treści, których nie było? Dzisiaj nie poszedłbym z nią do łóżka, ale to o niczym nie świadczy. Dzisiaj mnie nie ma. Na tej sali siedzi ktoś inny. Tylko pod jednym względem nic się nie zmieniło. Ten inny ktoś też jest obcy. Bardziej niż Złoty i Stalowy. Im na czymś zależy. Obcy jak mgławice równoległych wszechświatów, przeczuwanych przez paru śmielszych astrofizyków. Obcy rozstaje się oto z obcym i próbuje dociec, nie co ich rozdzieliło, lecz co spowodowało, że kiedyś z otwartymi oczami powiedzieli sobie nawzajem:

na dobre i złe, śmieszne, co? Śmieszne, szalone i normalne jak ruch uliczny w poniedziałek.

Właśnie dlatego szalone, że takie normalne. Nie, to nie była po prostu namiętność.

Wykluczone. Nie w tym wypadku. Nie w wypadku kobiety o takiej twarzy.

Zatem posiadałem dom. Oczywiście, nawet nie jeden. Dokądś wracałem ze szkoły. Gdzieś zaczynałem poznawać świat, czyli zaczynałem się śpieszyć. Potem miałem swój dom.

Urządzałem go, przyjmowałem znajomych obcych z innych domów. Nareszcie, kochani, cium, cium, ślicznie wyglądasz, kochanie, zeszczipłałeś, Piotrze, Filipie, Jasiu, Pawle i Gawle, siadajcie, siadajcie, czego się napijecie? A widzieliście, a słyszeliście, a czytaliście, a kupiliście? Nie? No to koniecznie, zaraz, natychmiast, bo świat potrwa tylko do północy.

Potem będzie następny, ale nie ma pewności, czy nie rozchwytają go na pniu bogaci androidzi z tych pozagalaktycznych dzielnic, wiecie, tych, co same wybierają sobie czas i które dzięki temu uniknęły kryzysu.

Może do grona stałych bywalców u mnie należał ten adwokat? Poprosiliśmy go, by jako przyjaciel domu poprowadził naszą sprawę? Musieliśmy to przecież zrobić wspólnie z żoną, skoro na wszystko się zgodziłem.

Popatrzyłem na niego. Dalej mówił o mnie. Dość dziwnie, jak na reprezentanta strony przeciwnej. Właściwie dopiero teraz mógłbym się poczuć dotknięty i upokorzony. Ale nie czułem się upokorzony. Nic nie czułem. Zdrewniałem jak dębowy kłoc.

Okazało się, że nie miałem nawet tego pierwszego domu, do którego wracałbym ze szkoły.

Moi rodzice nie zdali egzaminu, któremu muszą się poddać wszystkie pary, pragnące wychowywać własne dzieci. Do jedenastego roku życia przebywałem w osiedlowym zakładzie opiekuńczym. Następnie, ponieważ wykazywałem nieprzeciętne zdolności, zainteresowali się mną naukowcy z instytutu psychologii, sprawującego coś w rodzaju nadzoru nad okolicznymi szkołami. Jeszcze przed ukończeniem studiów zacząłem pracować

jako inżynier. Niemniej brak atmosfery rodzicielskiego domu z pewnością wycisnął na mnie trwałe piętno. Poza tym nigdy nie byłem brutalny, ani gwałtowny. Toteż, choć wyłącznie ja ponoszę odpowiedzialność za rozkład małżeństwa, on ośmiela się prosić wysoki sąd o zamknięcie sprawy rozwodem bez orzekania o winie którejkolwiek ze stron.

To pewnie także było wcześniej ustalone. Wina! Cóż za ironia! Zupełnie jakby ktoś walił drągiem po niezapominajkach za to, że nie są orchideami. Cóż to mogło mieć za znaczenie, czy chowałem się pod skrzydłami rodziców, czy w zakładzie opiekuńczym. Te zakłady są znakomite. Ludzie, którzy w nich pracują śpieszą się do swoich wychowanków, a nie od nich, jak wszyscy inni, zarabiający pieniądze poza domem. Nieprzeciętnie zdolny? W każdej szkole jest takich na pęczki. Studia? Znam historię, filozofię, literaturę, sztukę. W aż nadto wystarczającym stopniu również matematykę i fizykę. Inspektor...? Głupstwo.

To fakt, że mógłbym bawić się lepiej. Ale przecież wkrótce stąd wyjdę. O, już będzie wyrok.

Wstałem. Orzeka się rozwód...

Wyszedłem pierwszy. W korytarzu poczekałem na moją byłą żonę, Annę, żeby ją za to przeprosić. Z rozpędu przeprosiłem także adwokata.

Anna podała mi rękę. Uścisnąłem jej szczupłe palce. Były lodowate. Przesunęła się i spokojnie pocałowała mnie w policzek. Odchyliła głowę do tyłu i spojrzała mi w oczy.

— Do widzenia, Marku — powiedziała cicho.

— Do widzenia, Anno — uśmiechnąłem się. Nie odwzajemniła mi uśmiechu.

— Nawet się ze mną nie przywitałaś — przypomniała.

Rozłożyłem ręce i powiedziałem prawdę. Nic gorszego nie mogłem powiedzieć.

— Nie poznałem cię.

— Och! — wykrzyknęła, odwróciła się i odeszła. Adwokat posłał mi jedno żarłoczne

spojrzenie, po czym poleciał za nią jak niańka za dzieckiem, biegnącym w stronę wodospadu.

Właściwie wcale się tu nie bawiłem.

Wróciłem schodami na dach, odszukałem helikopter instytutu, wlałem do pustej kabiny, wyciągnąłem się w fotelu i włączyłem klimatyzację. Dzień był upalny, nawet supernowoczesne włókno, z którego zbudowano powłokę maszyny, rozpało się jak zwykła blacha. Po chwili powietrze stało się znośne.

Przyszedł pilot. Poinformował mnie, że był w bufecie, i że kawą, którą tam podają, można by bez szkody poić noworodki, po czym wystartował. Pomyślałem, że kawa dobrze by mi zrobiła i że pewnie nie mam jej w domu, ponieważ ktoś, kto kontrolował spis moich zapasów, wykreślił wszystko, co nie było stuprocentowo zdrowym paskudztwem.

Przed pawilonem wysiadłem, spojrzałem na zieloną strzałkę nad drzwiami, wykrzywiłem się do niej jak małpa, i ruszyłem na przełaj przez trawnik w stronę, gdzie, jak sądziłem, powinienem odnaleźć polanę i brzozowy lasek, a za nim, przed wejściem do półkolistego domku, kwitnące wajgelie. Znowu odniosłem to trochę nierealne wrażenie, że poza wytyczonym na mój użytek szlakiem, gdy nie poprzedzają mnie znaki, powietrze jest odporne, gęstsze i muszę torować w nim sobie drogę niczym w niewidzialnej dżungli.

Jak było do przewidzenia, zablądziłem. Trafiłem do jakiejś płytkiej dolinki, ze wszystkich stron obrośniętej ciernistymi krzakami. Kiedy się z niej wydostałem, kompletnie nie miałem już pojęcia, gdzie jestem i w którą stronę się obrócić. Park był niebywale rozległy, nawet jak na rezerwat. Na szczęście zaświtał mi pionierski pomysł. Wydrapałem się na drzewo i z góry wreszcie odnalazłem właściwy kierunek. Moja mała kopuła była zaskakująco blisko. Chwilę jeszcze spędziłem na gałęzi, spoglądając w stronę zielonych grzbietów na widnokręgu.

Dostrzegłem rysujący się na ich tle szczyt drewnianej wieżyczki starego kościoła. Droga do ukochanej dolinki Heleny. Niech tam idzie i nie wraca. Albo wraca i wyjdzie za mąż za

Kobrę. Razem uratują ginący świat. Ona co rano będzie go pytać, czy ją kocha, a on potakująco zasyczy. Śliczna dziewczyna, ale na długie zimowe wieczory znajdę sobie do łóżka inną. A jeszcze lepiej kilka innych.

Zlażłem z drzewa i choć doskonale pamiętałem, w którą stronę iść, zabłądziłem ponownie. Przynajmniej pół godziny kołowałem po jakichś zaroślach, zanim w końcu wyszedłem na swojską polanę. Bardzo trudno znaleźć ten jedyny, własny dom, kiedy nic człowieka nie prowadzi. Żadne złote, zielone ślady ani cudowne strzałki.

Wypiłem butelkę wody mineralnej, cisnąłem ją na podłogę, poszedłem do sypialni i rzuciłem się w ubraniu na łóżko. Zamknąłem oczy.

Byłem jak najdalszy od tego, by o czymkolwiek rozmyślać, ale moje myśli nagle się usamodzielniały i w powietrzu nade mną utworzyły odrębny, niezależny świat. No, nie całkiem. Znajdowały się tam, a równocześnie pozostały we mnie. Jakby moje ciało przybierało kształty, w które one się oblekały. Nie miałem wpływu na to, jakie to będą kształty, a zarazem nic nie działo się bez mojej zgody. Teraz już ja sam też byłem myślą i mogłem obserwować się z góry. Zamiast łóżka rozciągała się pode mną rozpalona, jasnozłocista plaża, dopiero na horyzoncie wsiąkająca w nieskończoną przestrzeń wody. Tam właśnie zmierzała wspaniale zbudowana dziewczyna, zupełnie naga. Raptem odwróciła się i uśmiechnęła. Natychmiast poznałem Annę, choć przecież nigdy nie widziałem jej nagiej ani uśmiechniętej. Chciałem spytać, czy przyszedłszy tutaj razem, ale w tym momencie spostrzegłem inną myśl. Prócz mnie i Anny jak okiem sięgnąć nie było nikogo, więc musiała to być jej myśl. Minęła się z moją, jakby obie nawzajem pozostawały dla siebie niewidzialne. Otworzyłem usta, lecz zanim wymówiłem pierwsze słowo, przybrałem kształt ryby. W następnej chwili poleciałem w górę. Wystarczyło leniwie, od niechcienia, falować płetwami i ogonem. Przeniknąłem przez dach, przez powietrze i znalazłem się wśród gwiazd. Wtedy

ogarnęło mnie potworne przerażenie. Jeśli jestem rybą, dusiłem się jeszcze tam, na piasku, a co dopiero potem, kiedy leciałem ponad atmosferą. Teraz jest już na pewno za późno.

Przekoziółkowałem głową w dół i jak ciemny meteoryt spadłem z powrotem na plażę.

Kurczowo wydymałem pierś, spalając się powoli na wióry. Anna wracała właśnie po kąpieli.

Na jej skórze perliły się kropelki wody. Widziałem ją doskonale, choć była daleko i zasłaniał ją rozkrzyczany tłum. Ni stąd ni zowąd plaża zarojła się od ludzi. — Anno! — wycharczałem.

Nie usłyszała. Zdobyłem się na ostatni wysiłek i odzyskałem kształt człowieka. Zaczerpnąłem powietrza i jęknąłem: — Anno! Skąd ja się tutaj wziąłem?! Nagle znalazła się zupełnie blisko i od razu zrozumiała, że nie chodzi mi o tę plażę ani o jej okolicę, ani w ogóle o dzisiaj.

Spojrzała na mnie pustymi, szarymi oczami. Nie mogła mi pomóc. — A n n o ! —

p o w t ó r z y ł e m z r o z p a c z ą . — S k ą d j a s i ę t u t a j w z i ą ł e m ... ? !

Usłyszałem swój głos i zdałem sobie sprawę, że już nie śpię. Że już nie spałem, wyrzucając z siebie to gorączkowe, nieprzytomne pytanie.

Zwlokłem się z łóżka, poszedłem do łazienki i wziąłem zimny prysznic. Sny, psiakrew.

Paradoksalne, jak je nazywają fachowcy. Najcenniejsze dla organizmu. Ponoć są w mózgu specjalne cząsteczki, które nimi rządzą. Skoro Jałowiec tak się napracował nad moim mózgiem, mógł coś zrobić, żeby sny miał równie przyjemne jak życie. Nie nauczyli się modelowania snów? To powinni wziąć parę lekcji u Stalowych i Złotych. Sny, cholera.

Jeszcze kilka takich nocy i będę się bał kłaść wieczorami do łóżka. Co wtedy stanie się z moim boskim samopoczuciem?

Zasnąłem ponownie i obudziłem się dopiero rano. Nic mi się już nie przyśniło.

Przed domem siedziała Helena. Przycupnęła swoim dawnym zwyczajem na niższym stopniu i wtuliła twarz w dłonie, oparte na kolanach. Wyglądała jak łuk Erosa. Przystanąłem i patrzyłem na nią przez kilkanaście sekund. Nie poruszyła się. Nie usłyszała mnie. Spała.

Dlaczego nie weszła do domu? Czy przypadkiem nie miało to czegoś wspólnego z rozmową, której była świadkiem w trzecim pawilonie. Tak czy owak dobrze zrobiła.

Na palcach, żeby jej nie zbudzić, zszedłem ze stopni i odetchnąłem swobodniej dopiero za brzózkami. Omiotłem wzrokiem otwartą polanę. Nie, nie wydepczę tej dróżki. A zresztą, może i wydepczę. Jak tylko znajdę się w czwartym pawilonie, od razu poproszę Jałowca, żeby mi przydzielił nową stażystkę. Nie musi być aż tak śliczna jak Helena, za to trochę bardziej sprytna, lekkomyślna i odrobinę zepsuta. Może być ruda.

Z lekkim sercem przemierzyłem polanę i wróciłem na szlak. Zielone strzałki zaprowadziły mnie do trzeciego pawilonu, ale tym razem nad wejściem nic się nie zapaliło. Tu przecież już byłem. Musiałem się cofnąć i skręcić w pierwszą zwirowaną alejkę, odbiegającą w prawo. Strasznie zawiły ten ślad człowieka. Lub, jak kto woli, droga od testu do testu. Nie szkodzi. Jeszcze trochę i będzie meta. Jałowiec usiądzie pod parasolem i obsypie mnie medalami. A potem, w nagrodę, przyśni mi się, że jestem Odyseuszem u Kalipso. No, niechby w ostateczności u Kirke, pod warunkiem, że zostawi moich kompanów w chlewie, żeby mi nie zawracali głowy. Albo Edwardem Ósmym. Właśnie wypiąłem się na pałac Buckingham, wziąłem pod pachę tę Simpson i ruszam do Nassau na Bahamach, gdzie po kilku dniach w kantorze pod palmą ananasową zamienię ją kolejno na urodziwą Murzynkę, Mulatkę, Metyskę i Chinkę. Ewentualnie przez parę sekund nocy mógłbym jeszcze być umiejętnie wybraną postacią z Boccaccia, Scarrona, Lesage'a, Rabelais'go i Costera, oraz paru im podobnych, którzy wiedzieli, po co żyją i o czym piszą. Byle nie Cervantesa.

Kiedy ja czytałem te wszystkie starocie? Na studiach? Potem chyba nie. Tak wcześnie zostałem inspektorem. Czy to są lektury inspektorskie?

Zajęty dobieraniem sobie snów zauważyłem czwarty pawilon dopiero gdy wyrósł przede mną nie dalej niż o pięćdziesiąt metrów. Zdziwią się, że przychodzę sam. Ciekawe, czy

Helena ciągle jeszcze śpi? Nawet jeśli nie, wciąż siedzi na tym niskim stopniu. Przecież nie wie, że cichaczem opuściłem dom. W końcu wejdzie do środka i także się zdziwi. Na zdrowie. „Kochasz mnie?”

Zrobiłem jeszcze krok i przestałem istnieć.

XX. ZIEMIA MINUS IKS. SZEŚĆ

XXI. ALFA DWA. OMEGA JEDEN. ALFA TRZY

Wróciłem zły. Co tam zły, wściekły. Kipiałem jak wulkan przed eksplozją. Czułem, że mam napęczniały kark, przekrwione, zwężone oczy, zimne policzki i zaciśnięte wargi. Na wysokości piersi trzymałem pięści z pobielającymi nadgarstkami. Byłem spięty i patrzyłem nienawistnie na pawilon, do którego drogę zagradzała mi smukła postać Heleny. Coś na dole dobrze musiało dać mi się we znaki.

Pewnie wreszcie trafiłem na właściwy ślad.

Ochłonałem błyskawicznie, ale echo wewnętrznego drżenia jeszcze przez dłuższą chwilę wibrowało we mnie, jakbym cały był żywym kamertonem. Oczywiście Helena zdążyła się obudzić, sprawdzić że wyszedłem i że nie ma mnie również w pawilonie. Domyśliła się, co zaszło i teraz czekała na ścieżce. Ciekawe, co by było, gdyby stanęła dokładnie w tym punkcie, w którym zniknąłem. Czy wracając wyrzuciłbym ją w górę jak pocisk wystrzelony spod ziemi?

Nie uśmiechnąłem się do niej. Odwróciłem głowę i spojrzałem za siebie. Parę metrów od drogi rosły tam drzewiaste hortensje, uginające się pod ogromnymi kwiatostanami. Musiałem je mijać, ale nie zwróciłem na nie uwagi. Za to teraz zauważyłem za nimi coś złotego, co świeciło jakby słońce odbijało się we fryzjerskim szyldzie na zabytkowej, staromiejskiej kamieniczce. Na moment skryło się za gałęzią hortensji. Ale to nie gałąź się poruszyła.

Powietrze leżało cicho jak zastygłe jezioro. Liście na drzewach z powodzeniem mogły być

wykonane z zielonego szkła. Wydawało się niepodobieństwem, że istnieje coś takiego jak wiatr.

Ruszyłem w kierunku tych hortensji. Zaraz za pierwszą z nich zobaczyłem Złotego. Stał i patrzył na mnie wyczekująco. Z tyłu dobiegł przytłumiony głos Heleny. Zawołała raz, krótko, i na tym poprzestała. Wzruszyłem ramionami. Złoty był już blisko. Jakiś dziwny, nikły uśmieшек rozjaśnił na mgnienie tę jego twarz, jakby rzeźbioną przez Fidiasza w religijnym transie na szczycie Olimpu, gdzie nigdy nie był, bo bogowie przychodzili do niego, nie on do nich. Chyba nie myśleli, że dam się znowu namówić na potajemne podróże, konszachty z podstarzałym lwem i pływanie po Zatoce Kadyksu, by zaraz potem otrzymać skierowanie na egzamin.

Nie, nie myślał. Jednakże miał swoje sposoby. Przeszedłem jeszcze dwa kroki i w tej samej chwili on dał susa w moją stronę. Poczulem charakterystyczne mrowienie i w następnym ułamku sekundy już otaczały mnie baśniowe kryształy, wykonane z wieczności. Czy nieskończoności. W każdym razie mogłem sobie przypomnieć, jak wygląda wszechświat od spodu.

Ustawił swój niewidzialny pojazd na drodze, którą musiałem przebyć, idąc do niego od ścieżki. Sam czekał jakieś dwa metry za nim. Taki mały, koleżeński podstęp, jak to między inspektorami. Nazywając rzecz po imieniu, pułapka. Nic mnie nie upoważnia do robienia mu wyrzutów. Dobrowolnie poleciałem w tę pułapkę z wyciągniętymi rękami, jak tylko zobaczyłem kawałek złota. No to mam, czego chciałem.

Skończyły się kryształy i kończyła się podróż. Szybowałem wewnątrz szklanego dzwonu spokojnie i wygodnie jak na czarodziejskim dywanie. Pode mną przesuwały się bezkonturowe wzgórza z domkami podobnymi do abażurów.

— Przepraszam — odezwał się Złoty. Odpowiedziałem prychnięciem. Na co jeszcze

liczył, porywając mnie i przywożąc tutaj, żebym ponownie przyjrzał się mieszkańcom jego świata, oraz, co miało być ważniejsze, żeby ci mieszkańcy przyjrżeli się mnie? Czyżby wciąż widział we mnie rąbek szansy? Nie mógł być aż tak głupi. Zresztą, diabli go wiedzą. Strach sprawia, że głupieje nawet pierwszy radca ministerstwa inteligencji, kiedy go wygryzą ze stołka. A on się bał. Wyczuwałem w nim ten lęk, jak wyczuwa się ciśnienie wewnątrz zamkniętego kotła. Poprzednio nie wyglądał na przerażonego. Wyglądał smutnie. Ale ten smutek już wtedy mieścił w sobie strach, który przekroczył granice nadziei.

Coś mi się roi. Gdyby tak było, znajdowałbym się teraz gdzie indziej.

A może nie.

Po lewej stronie, tuż pod widnokregiem, dostrzegłem skrawek płaskiego pola i maleńką z tej odległości rotundę. Centrum. Na szczęście dzisiaj lecieliśmy w przeciwnym kierunku. Wzgórza w dole rozstąpiły się. Ujrzałem rozległy obszar porośnięty drzewami, z ukrytymi wśród nich pojedynczymi budynkami. Międzygwiazdny dzwon zaczął się zniżać.

— Sanatorium — wyjaśnił mój towarzysz. Spojrzałem na niego. Nie patrzył w dół, tylko przed siebie. W następnej chwili raptem złapał mnie za ucho. Nie zareagowałem. Nic już nie było w stanie mnie zdziwić. Jednak on przypiął mi jedynie złoty klips, ten sam, który nosiłem tu uprzednio. Albo taki sam. Znowu będę mógł sobie pogadać. Akurat w sanatorium?

Chociaż, czy to nie wszystko jedno.

Wylądowaliśmy na trawniku, pod ostowatym drzewem, posiadającym aż siedem pni. Po złotych ścieżkach tu i ówdzie snuli się nieliczni Złoci. Samotni, zamyśleni. Widocznie mamy właśnie porę przechadzki.

Dzwon zniknął natychmiast po dotknięciu ziemi. Jego pilot skinął na mnie.

— Chodź.

Zeszliśmy z trawnika na dróżkę, której nawierzchnia ugięła się pod stopami jak mech. Po

chwili minęliśmy pierwszego spacerowicza. Na mój widok przystanął. Jakiś czas przyglądał mi się z nieodgadnionym wyrazem młodej, pięknej twarzy. Następnie powolutku pokręcił głową i niespiesznie ruszył w dalszą drogę ku swemu przeznaczeniu.

— Czy to był więzień? — spytałem, kiedy oddaliliśmy się od niego na wystarczającą odległość. — Przepraszam, chciałem powiedzieć: kuracjusz?

— Owszem. Tam pójdziemy — mój towarzysz wskazał kępę drzew na uboczu. Nie prowadziła do nich żadna z poduszkowatych ścieżek. Trzeba było iść na przełaj przez trawnik.

— Co tam jest?

— Sanatoria są pod specjalnym nadzorem — powiedział. — Nie tylko medycznym. Wy mawiacie, że najciemniej bywa pod latarnią. Wykorzystaliśmy to. Pod nosem władzy urządziliśmy nielegalną szkołę techniczną. Jest tutaj zupełnie bezpieczna. Zresztą, sam nam to doradziłeś.

Nie dotarliśmy do tej szkoły. Ani teraz, ani nigdy. Stało się coś potwornego.

Jakby Ziemia wraz z atmosferą pękła na dwoje. Było to uczucie najzupełniej inne niż to, którego doznawałem znikając na dole. Traciłem przytomność stopniowo, przeskakując z jednego obszaru ciemności w drugi, coraz mroczniejszy, targany coraz okropniejszym strachem i bólem. Trzaskało już wszystko, nie tylko ten jeden świat i nie tylko na dwoje.

Kruszyły się i waliły struktury czasoprzestrzeni. Trwało to nieznośnie długo. Ból przeszywał całe moje ciało, w czaszce wybuchały mi czarne gwiazdy. Ostatnim przeblyskiem świadomości dostrzegłem, że z moim Złotym dzieje się coś podobnego. Nagle zapanował spokój. Wszechświat, świat i Ziemia znowu stanowiły jedność.

— Zostanie pan poddany egzaminowi — usłyszałem słowa, wypowiedziane oficjalnym tonem. Otworzyłem oczy i zobaczyłem, że znajduję się w okrągłej sali z okrągłymi oknami i z

okrągłym otworem w podłodze, przez który spiralne schody prowadziły gdzieś niżej. Za okrągłym stołem naprzeciw mnie siedziało pięciu Złotych. Ten, który zajmował środkowe miejsce, mówił: — Musimy sprawdzić, czy istnieje między nami dostateczna duchowa bliskość, byśmy mogli zawierzyć pańskim słowom. Jeśli wynik wypadnie pozytywnie odbierzemy od pana przyrzeczenie, że pan tu więcej nie przyleci. Wtedy będzie pan mógł wrócić do siebie.

Przypomniałem sobie tę scenę i te słowa w ułamku sekundy. Odbyłem daleką drogę w czasie. Ale nie tak jak wtedy, gdy za wcześnie wylądowałem w zacisznym parku instytutu. Tym razem dla mnie czas, który upłynął od mojej bytności w tej sali istniał nadal. Przeżyłem go i nosiłem w sobie. Coś stało się nie ze mną, lecz z nami.

Wiedziałem doskonale, co zaraz nastąpi. Za moimi plecami odezwie się mój Złoty. Uratuje mnie i odwiezie na Ziemię.

Jednak za moimi plecami nikt się nie odezwał. Środkowy rzucił: — Wyprowadzić.

Rozkaz padł w próżnię. Sam przemierzyłem salę i zszedłem schodkami w dół, do małego przedsionka z drzwiami, otwartymi na słoneczną przestrzeń. Na lewo rozciągał się ten jakiś ogród, zasłonięty ścianą wysokich krzaków. Na prawo pole, zamknięte złotym ogrodzeniem. Powinienem pójść przez to pole do znajomego wąwozu... ale jak mam to zrobić? Wtedy nigdzie nie poszedłem. Latający kielich przybył potajemnie tutaj, żeby nas zabrać. Teraz jest w sanatorium, może na drugiej półkuli? Zresztą, czy teraz? Licho wie.

— Prędko, prędko! — zabrzmiał raptem głos mojego Złotego. Z powietrza wychyliła się ku mnie pozbawiona ramienia dłoń. Skoczyłem w jej stronę, złapałem ją, a kiedy mnie pociągnęła, poddałem się jej ruchowi. Zrozumiałem, że latający dzwon mimo wszystko znowu pojawił się w porę, znowu z tym jednym jedynym człowiekiem, który na tej Ziemi mógł mi przyjść z pomocą. W nagłym przeblysku olśnienia pojąłem również, jak śmieszne

były moje obawy sprzed paru sekund. Przecież od chwili, gdy pierwszy raz zostałem skierowany na egzamin, tu, dla nich, nic się nie zmieniło. Nie mogło się zmienić, w nie istniejącym czasie.

No tak, nie mogło, ale się zmieniło. Tamtego dnia nie opuszczałem okrągłej sali samotnie. A mój przyjaciel inspektor nie ukrywał się wewnątrz niewidzialnego kielicha. Z tego by wynikało, że czas przemknął do tyłu jedynie nad głowami przedstawicieli miejscowego Centrum. Albo wszystkich mieszkańców Alfy, poza jednym, tym, który w tej chwili trzyma mnie za rękę. A z tego znowu wynikało niezbitcie, że nadal nic nie rozumiem. Jak to właściwie jest z tymi powrotami, nie w czasie, lecz czasu? Na razie nie mogłem o to spytać mojego towarzysza. Musiałem patrzeć na kryształy, i przelatujące i nieruchome, i realne i bardziej ułudne niż fatamorgana oglądana we śnie. Dopiero kiedy zniknęły i kiedy obok mnie zaczęła się rysować złota postać, zawołałem:

— Co to było?

— Nie jestem pewny — odrzekł zdławionym głosem. — Chyba wyczerpują się kombinacje zmian w strukturze przestrzeni. Istnieją granice... — urwał. — Powiedzmy, że nastąpiła awaria... sędzę, że to właściwe określenie. Awaria... A skąd w ogóle wiesz, że to b y ł o ? — spytał nagle. Powoli smutek ponownie zaczynał brać w nim górę nad strachem.

Ogromny, bezdenny smutek, spokojny jak Pacyfik sto metrów nad dnem Rowu Mariańskiego.

— Skąd wiesz, czy relatywnie, słowa relatywnie używam w rozumieniu twoich współziomków, właśnie w tym momencie wasza planeta nie wyłania się z płomieni? Może nic nie było... od tysięcy wieków? Od milionów lat, poprzedzających dzień, w którym ty, jak ci się zdawało, pierwszy raz stanąłeś na tym lądzie? A może niczego nie było od tak dawna, ale mimo to jest — i da się na nowo powołać do istnienia?

— Bardzo interesujące — mruknąłem. — Zdaje się, że już kiedyś przebąkiwałeś coś w

tym sensie. Osobiście wolałbym jednak, by to, czego nie ma, nie rozłupywało mi głowy i nie rozdzierało mnie na sztuki, jak niegdyś ci, którzy byli, postępowali z tymi, którzy też byli, lecz nie przypadli im do gustu. A to co znowu?! — wrzasnąłem, zerknąwszy wreszcie na panoramę pod przezroczystym dnem pojazdu. — Tego naprawdę nie ma! Kysz? Kysz!

Zabierz to natychmiast!

Szklany kielich leciał, jak zwykle przed lądowaniem, powoli i bez wstrząsów nad najzupełniej mi nie znanym globem. To znaczy, z tak niewielkiej wysokości nie był to już glob, po prostu krajobraz. Ale obcy. Całkiem obcy, choć dla przybysza z mojej Ziemi mniej inny niż Alfa czy Beta.

— Uspokój się — usłyszałem smutny głos. — Nie mogliśmy udać się bezpośrednio do ciebie. Przesunięcie z miejsca lądowania było zbyt duże. Wróciłbyś całe lata wcześniej lub później. Należałoby przeprogramować aparaturę pojazdu. Nie zdążyłem. Zostałem zaskoczony.

— Uspokoileś mnie jak Kalchas Ifigenię w Aulidzie — warknąłem. — Gorzej, że widzę Agamemnona, ale nie widzę Artemidy. Przecież jeśli już na Alfie to przesunięcie było za duże, to gdy wystartujemy stąd, wyląduję nie tyle w Taurydzie, co w jaskini wśród zacnej bandy neandertalczyków. Albo przeciwnie, na minutkę przez wybuchem Słońca. Jeżeli jeszcze raz zobaczę w krzakah coś złotego...

— Zostaw — powiedział takim tonem, że natychmiast umilkłem. — Zostaw... — powtórzył. Poczułem skurcz w gardle. Co jest, u licha. Odetchnąłem głęboko. Powietrze było czyste, świeże i ładnie pachniało. — Zanim odlecimy z powrotem do ciebie, wrócimy tam, gdzie zatrzymaliśmy się na mojej Ziemi — ciągnął. — Nie możemy zrobić tego od razu. Szczelina w strukturze... — zawiesił głos i też głęboko wciągnął powietrze, ale jemu jego zapach najwyraźniej nie sprawił przyjemności. — Krótko mówiąc — podjął — musimy

przeczekać kryzys w neutralnym miejscu — nieznaczącym gestem dotknął swojego inspektorskiego komunikatora. — Na pewno wkrótce odbiorę sygnał, świadczący, że wszystko... — robił coraz częstsze przerwy. — No, że pęknięcie zniknęło i nie ma już niebezpieczeństwa — zakończył.

— Ta planeta — ochłonął i zaczął mówić normalnym tonem — świetnie się do tego nadaje. Jest stosunkowo blisko, a przybyszą z kosmosu absolutnie nic tutaj nie grozi. Przyjrzałem mu się. Nie okłamywał mnie. Ochłonąłem i ja.

— Co to za planeta? — spytałem. Wykonał nieokreślony ruch głową.

— Nasi astronauty odwiedzali ją... kiedyś. Dla mnie jest ona punktem orientacyjnym, a bywa i hotelem — dodał zagadkowo. — Po prostu, planeta.

— Gamma — mruknąłem. Od momentu tej przedziwnej awarii na trawniku w sanatorium przeszedłem jakieś nieuchwytnie przeobrażenie. Jeszcze nie wiedziałem, że na trwałe. Na razie odzyskałem dobry humor i spojrzałem na widok pod moimi stopami oczami turysty, zwiedzającego nie znaną mi dotąd dzielnicę Miasta.

— Proszę? — nie dosłyszał. Wyjaśniłem mu, dlaczego jego Ziemię nazywam Alfą, Ziemię Stalowego Beta, a teraz, znalazłszy się na trzeciej, powiedziałem: Gamma.

— A na czym kończy się ten alfabet? — zagadnął.

— Ostatnia litera brzmi: omega.

— Ostatnia — powtórzył szczególnym tonem. — Wiesz, sądzę, że nie zobaczysz już więcej światów, na których rozwinęła się cywilizacja. Proponowałbym zatem, żebyś ten tutaj nazywał raczej Omegą. Istnieje jeszcze inny powód. Mniej... subiektywny.

Mniej subiektywne powody absolutnie mnie nie obchodziły. Ostatnia? Proszę bardzo.

— Niech będzie Omega — zgodziłem się. Następnie, już zupełnie pojednany z rzeczywistością, zacząłem rozglądać się po rozpostartym w dole pejzażu.

Był to pejzaż pędzla dwudziestowiecznego malarza realisty, ale nie realisty krytycznego, stworzony w szczęśliwym dla niego dniu. Wszystko zdawało mu się czyste, proste i łatwe. Rano dostał order, wieczorem wraz z młodą żoną miał wyjechać do leśniczówki nad jeziorem, a przed obiadem rozstawił jeszcze sztalugi w najwyższym punkcie powstającego nowego osiedla. Przepęłniała go niezachwiana wiara w świetlistą przyszłość człowieka, wykuwaną przez niego samego, poprzez pracowite i sensowne ociosywanie bezsensownej bryły natury. Nie żałował farb. Używał głównie pastelowych, lecz gdzie należało, stosował również te mocne, jak atrament lub krew. Ponieważ był realistą, nie tylko jako artysta, musiał się bardzo zdziwić, kiedy przyszedł siwobrody duch, chuchnął, i nagle dwuwymiarowy świat na płótnie zyskał najpierw trzeci wymiar, a następnie czwarty, czyli ożył. Ruszyły maszyny, mrowie ludzi o krzepkich ramionach i pogodnych twarzach rzuciło się do roboty, ramy obrazu zniknęły za widnokretem, błękitnym niebem popłynęły jasne obłoki, kojące cienie na przemian zakrywały i odkrywały fragmenty powstających konstrukcji. Na tym kończyło się podobieństwo. Dwudziestowieczny realista nie namalowałby ani superfunkcjonalnych pojazdów, poruszających się nad ziemią w idealnym porządku, jakby po niewidzialnych torach, ani kolorowych automatów i centrali informatycznych, obsługiwanych przez schludnych, zadowolonych fachowców. Nawet gdyby miał wystarczająco płodną fantazję, nie starczyłoby mu odwagi.

Jak okiem sięgnąć, planeta była jednym nie kończącym się placem budowy. Spomiędzy istniejących gmachów i domów wylaniały się wyższe, jeszcze nie gotowe, oplecione spiralnymi rusztowaniami, podobnymi do delikatnych sprężyn. Na wolnych parcelach przygotowywano fundamenty. Budowle stały luźno o tyle, że nie łączyły się pod wspólnym dachem, jak na Becie. Ale nie pozostawiały więcej otwartej przestrzeni niż tego wymagały względy natury technicznej oraz wymogi proporcji. Pod ukończonymi gmachami, na

małutkich skwerach, bawiły się dzieci. Widziałem również kobiety. Uliczkami chodzili ludzie. Jednak przytłaczająca większość z nich była w taki czy inny sposób zajęta przy pracach budowlanych.

Lecieliśmy i lecieliśmy, spod horyzontu wyłaniały się kolejne obszary, a obraz pozostawał nie zmieniony. Architekturę mieli piękną, ale nade wszystko osobliwą. Pokrywali swój glob katedrami. Mniejszymi, większymi i ogromnymi, umieszczanymi na różnych planach geometrycznych, różnie sklepionymi, z różnymi frontonami i niejednakowo rozmieszczonymi strzelistymi wieżami. Niemniej zawsze były to katedry. Nawet w wypadku zupełnie małych willi, których zresztą znajdowało się tu bardzo niewiele, i które wyglądały na starsze od sąsiadujących z nimi olbrzymów. Katedry mają w sobie coś nieuchwytnie wzniosłego, co wyróżnia je spośród wszystkich budowli, nie wyłączając świątyń.

Pod nami wolno przesunęło się duże jezioro albo niewielkie, śródlądowe morze. Na jego szmaragdowobłękitną powierzchnię wybiegały z brzegów długie i szerokie pomosty, także pełne rusztowań, maszyn i obsługujących je ludzi. Po przeciwnej stronie znowu płaska równina, stanowiąca dalszy ciąg miasta. Nie było gór. Nie było bodaj najłagodniejszych wzniesień, podobnych do alfiańskich. Ani lasów, ani nawet pojedynczych drzew.

Zabudowali każdy skrawek swojej Ziemi.

Wreszcie Złoty wylądował. Osadził dzwon na skraju parceli, na którą bezszelestne ciężarówki dopiero zwoziły prefabrykaty i części konstrukcji. Na prawo, w luce między czterema gmachami, przypominającymi oglądaną z czterech różnych stron katolicką katedrę w Casablance, lub inne dzieło Niemayera, gromadka dzieci wesoło bawiła się piłką. Za nami znajdowało się wzorowo uporządkowane składowisko materiałów. Na wprost jedna, druga, trzecia budowa. Wszystkie dopiero rozpoczęte. Na lewo sąsiednia wolna parcela, a dalej już wieże, wieże, wieże.

Kiedy wyszliśmy z niewidzialnego pojazdu, ukazując się oczom ludzi, pracujących w najbliższej okolicy, kilka osób natychmiast ruszyło w naszą stronę.

— Na pewno nie będzie awantury? — spytałem mojego towarzysza.

— Ależ skąd — odpowiedział. — To życzliwa cywilizacja. I bardzo wysoko rozwinięta.

Dla przykładu: tu nie potrzebujesz tłumacza. Jeśli tylko dźwięki posiadają cząsteczki znaczeniowe, oni je rozumieją. Rozumieli nawet swoje zwierzęta... dopóki te tutaj istniały.

— Nie mają zwierząt? — mruknąłem mimo woli. Śmieszne pytanie. Gdzież miałyby żyć.

Ci, którzy się nami zainteresowali podeszli i przystanęli w odległości mniej więcej czterech metrów. Gdybym ich spotkał w instytucie, nigdy nie wpadłoby mi do głowy, że oglądam istoty z gwiazd. Najnormalniejsi ludzie. No, może jak na najnormalniejszych ludzi patrzyli na nas nieco zbyt przyjacielsko. Ale poza tym w niczym się od nas nie różnili. Od nas, to znaczy od mieszkańców mojej Ziemi. Nie Złotego.

Nosili coś w rodzaju lekkich kombinezonów o rozmaitych barwach. Mieli owalne lub pociągłe miłe, męskie twarze i włosy od jasnoblond po kruczoczarne. Jedno było u nich wspólne. Wszyscy się uśmiechali.

Odwzajemniłem ten uśmiech, obiegnąłem ich wzrokiem i powiedziałem: dzień dobry.

Miałem kolosalną wprawę w mówieniu „dzień dobry” mieszkańcom planet pod różnokolorowymi słońcami. Choć akurat tutejsze słońce było całkiem zwyczajne. Może jedynie nieco jaśniejsze niż nasze.

Jeden z tubylców, sympatycznie wyglądający szatyn, o pół głowy wyższy od pozostałych, powiedział coś, czego nie rozumiałem. W jego oczach odmalowało się pytanie. Spojrzałem z głupią miną na Złotego. Zrobił uspokajający gest i rzekł, wskazując mnie podbródkiem:

— On jest tutaj pierwszy raz — używał tłumacza, ale nie zmienił jego programu. Mówił moim językiem.

— Przepraszam — powiedział natychmiast szatyn, także w języku, którym posługiwałem się do dziecka. — Przepraszam — powtórzył. — Dzień dobry. — Teraz na moment włączyli się również pozostali. — Dzień dobry, dzień dobry — pozdrowiło nas parę głosów. — Dzień dobry, dzień dobry — to byłem ja. — Do widzenia, do widzenia — znowu oni.

Przylecieliśmy skądś z kosmosu? To dobrze. Wypadało nas przywitać, co uczynili. Teraz obchodziliśmy ich już tyle, co zeszłoroczny śnieg. — Przepraszamy, życzymy miłego pobytu — wszyscy jak jeden obdarzyli mnie i Złotego przychylnymi, szczerymi uśmiechami, po czym odeszli na powrót do swoich zajęć. Na placu pozostał jedynie ten, który odezwał się pierwszy. — Czy przybyliście do nas w jakimś określonym celu? — spytał.

— Nie, nie — odparłem co prędzej. — Przypadkiem byliśmy w pobliżu i nie mogliśmy oprzeć się pokusie, żeby nie rzucić okiem na waszą piękną planetę — planeta rzeczywiście mi się podobała. To dziwnie jasne, a zarazem nie rażące jasnością niebo. Idealnie przezroczyste powietrze. Porządek, jakże inny od tego, który narzucono mieszkańcom Bety. Pasjonująca architektura. Kliniczna czystość, pomimo że otaczały nas przecież maszyny budowlane i wszędzie wokół kipiała praca. Fantastyczna organizacja. Nie omieszkałem podzielić się tymi spostrzeżeniami z uprzejmym tubylcem.

— To kwestia konsekwencji — rzekł z zadowoleniem.

— Wie pan, po prostu precyzyjnie zinwentaryzowaliśmy naszą cywilizację. Nie wszyskim w kosmosie to się udało. Ale bez tego trudno wytyczyć sobie najkrótszą drogę do celu.

— Do celu? — uniosłem brwi.

— Do szczęścia — chyba był trochę zdziwiony, że musi to wyjaśniać. Tak, jakby mógł istnieć jakikolwiek inny cel. Zawstydzilem się. To znaczy, zrobiłem zawstydzoną minę.

— Do osiągnięcia doskonałego związku jednostek i społeczności ze w s z y s t k i m .

— Ma pan na myśli wszechświat — westchnąłem zazdrośnie. — Pewnie przemierzyliscie

go od granic do granic.

— Nigdy w życiu! — zawołał rozpromieniony. — Zbieramy, rzecz jasna, wiadomości, ale czerpiemy je wyłącznie z naturalnych źródeł. Nie trzeba stale jeździć po salach koncertowych, by poznać całą muzyczną literaturę. Wystarczy mieć dobre odbiorniki. A przecież każda cywilizacja i każdy człowiek to nic innego jak odbiorniki, które są zarazem nadajnikami. Jeśli do naturalnych predyspozycji dodamy osiągnięcia nauki... Przepraszam, ile pan zna oddziaływań? — słowo „oddziaływanie” odbiło się w moim umyśle zgrzytliwym echem, choć było oczywiste, że nie chodzi mu o takie oddziaływania, jakie marzyły się Jałowcowi.

— Podstawowych? — mruknąłem. — Cztery. No, pięć — poprawiłem się — jeśli wliczyć antygravitację. Ale tej nie potrafimy jeszcze wykorzystywać w technice.

— Widzi pan. A my dwanaście. Niech pana to nie przeraża. Umiemy je wyselekcjonować i korzystamy z nich tak, jak z energii słońca. Wszechświat przychodzi do nas... w każdym ułamku sekundy. My mu to tylko ułatwiamy. Proszę spojrzeć na te gmachy — potoczył dłonią. — Zwrócił pan uwagę na ich kształty?

— Owszem — przytaknąłem. — Są bardzo piękne.

— Miło mi to słyszeć — rzekł. — Ale najważniejsze, że ich architektura została podporządkowana naukowej idei. Spełnia wszelkie warunki, jakie pod względem tworzyw, proporcji i form musi spełniać pomost, wiążący ludzkiego ducha z duchem kosmosu. Te budynki to ogniska syntezy, w najgłębszym i najbardziej uniwersalnym znaczeniu tego słowa. Ich kształty wkomponowują się w najpowszechniejszą budowlę, to jest we wszechświat tak, że powstaje jedność. Nie artystyczna, umowna, wizjonerska, czy magiczna, lecz absolutnie realna. Duchowa, co zawiera w sobie również więź materialną. Wie pan, my szukamy Boga, a to oznacza wiarę w jedno, niepodzielne w s z y s t k o .

Hm. Wiadomość odrobinę zaskakująca. W jakiegoś trochę podobnego Boga wierzył, zdaje się, Einstein. Nie darmo przyszły mi na myśl katedry.

Wyprostowałem się i obiegłem wzrokiem całą widoczną panoramę.

— Czy to są gmachy... — chwilę szukałem słowa — święte? — znalazłem wreszcie. —

Pomniki kultu?

Jego uśmiech stał się nieco wyrozumiały.

— Mieszkamy w nich i pracujemy — powiedział. — Po prostu żyjemy. Widzi pan przecież, ile ich wznosimy. Trzeba każdej jednostce zapewnić miejsce w takim domu. Nikt nie może pozostać poza sferą tworzenia Boga.

— Hm — tym razem mruknąłem głośno. Natychmiast uprzytomniłem sobie, że moment jest jak najmniej odpowiedni do pomrukiwania i chciałem szybko naprawić gafę, a przynajmniej zrehabilitować się wygłaszając pochwalny hymn na cześć świeżo tworzonych wszystkiego, ale niespodziewanie usłyszałem cichy, serdeczny śmiech.

— Pan sobie pomyślał — mieszkaniec Omegi był autentycznie rozbawiony — że jesteśmy mistykami. W pewnym sensie to prawda. Niemniej mistycyzm... najmocniej przepraszam, czy pan wierzy w Boga? — przestał się śmiać, lecz wciąż patrzył na mnie wesoło, jak dobroduszny nauczyciel, który usłyszał od ucznia, że pratchawiec był greckim bóstwem wiatrów.

Zmieszałem się. Czy można marznąć w płonącym lesie? Czy można nie wierzyć stojąc na placu Świętego Piotra, przed brokatową zasłoną Kaaby, pod Ścianą Płaczu lub, na przykład, u stóp Gopury w Rameszwaram? Jeśli cały świat dokoła jest jedną, widzialną i dotykalaną modlitwą?

— No... — uśmiechnąłem się niepewnie.

— Bo nie chciałbym pana urazić — rzekł. — Z wiadomości, jakie napływają do nas z

różnych okolic kosmosu wynika, że ludzie bywają niekiedy niezwykle drażliwi na punkcie swoich religii. Uważają, że ingerowanie w samodzielny byt odwiecznego i wszechwładnego Stwórcy stanowiłoby świętokradztwo. A my wiemy — oczy miał wciąż rozradowane, ale w jego głosie zabrzmiała niezachwiana pewność — że Bóg powstał sam z siebie, wtedy, kiedy czynił świat i od razu był z nim zespolony całą swoją sprawczą istotą. Stanowił i stanowi składnik jego substancji. Szczytem naiwności jest prosić Go o cokolwiek i oczekiwać, że spełni tę prośbę, jak uczynny sąsiad. Przyroda nie ma dostępu do czasu. Jest nieobojętna, ale bezradna. Spory na temat, czy Bóg stworzył wszechświat, czy wszechświat Boga, zdarzają się i u nas, tylko że to przecież nie ma najmniejszego praktycznego znaczenia. Tak czy owak na pewnym etapie rozwoju człowiek musi odnaleźć nowego Stworzyciela, wiedząc, że od poprzedniego nie może żądać autopoprawek. To właśnie robimy.

Nie, w takiego Boga Einstein nie wierzył z całą pewnością. Odniosłem mgliste wrażenie, że chyba coś się tu z czymś nie zgadza, ale byłem jak najdalszy od zgłębiania kwestii wyższej natury. Wywnioskowałem jedynie, że te zdumiewające budowle, którymi pokrywają całą powierzchnię planety jednak mają charakter, by tak rzec, liturgiczny. No, powiedzmy, antropozoficzny. Coś w rodzaju Goetheanum Rudolfa Steinera w Dormach pod Bazyleą. Goetheanum nie posiadało wieży, ale to nieistotne. Sto lat temu dla wielu ludzi stanowiło materialną kwintesencję mądrości człowieka, polegającej na scaleniu w jedną, nierozzerwalną wartość, nauki, sztuki i religii. Musiałem tam kiedyś być.

Łagodnym łukiem przesybował nad placem szereg ciężarówek. Z boku wciąż dobiegał dyskretny śmiech dzieci. W wylocie uliczki jakaś kobieta podbiegła do chłopczyka, który zbyt daleko zapędził się za piłką. Nad strzelistymi gmachami słońce nadal przeświecało przez jasne obłoki.

— Ale częściowo ma pan rację — odezwał się ponownie mieszkaniec Omegi. — W

pewnym sensie nasze budowle są również pomnikami. Z tą różnicą — ciągnął — że pomnikami nieśmiertelnia się umarłych, a te zapewniają nieśmiertelność żywym. Dlatego mówiłem o Bogu. Jedyna droga do Niego prowadzi przez najściślejsze zespolenie się ludzi z wszechświatem. Kres tej drogi oznacza wieczność. Choć, naturalnie, słowo „kres” jest tu absolutnie nie na miejscu. Boga i wszechświat trzeba tworzyć wciąż na nowo, tkwiąc w jednym i w drugim, wspólnie z nimi, nie z pozycji outsiderów. Chcemy przecież rozwijać się dalej. Dlatego będziemy budować wciąż więcej i lepiej. Po tych obiektach, które widzi pan u nas dzisiaj, przyjdą inne, doskonalsze.

Wreszcie jakaś Ziemia, gdzie nikt nie uważa, że ginie i zginąć musi. Wreszcie ktoś, kto nie szarpie mnie za rękaw, zebrząc o pół grosika szansy. W ogóle niczego ode mnie nie chce.

Wreszcie cywilizacja bez kompleksów. Oni z pewnością nie popsują mi dobrego samopoczucia. Nie wezmą mi za złe, jeśli nie dam się nawrócić na jedynie prawdziwą wiarę w przedwieczne wszystko. Ciepły prąd optymizmu uniósł mnie i ukoił.

— Jak to się dzieje — spytałem — że wznosząc konkretną budowlę, a potem zajmując ją z rodzinami bądź w charakterze pracowni, osiągacie więź z całym wszechświatem... i z Bogiem?

— Treść kształtów — odrzekł krótko, węzłowato i jasno jak ceniony krytyk. Najwyraźniej był rad, że go o to zagadnąłem. — Kształt jest przecież elementem struktury. Czy promienie nie mają kształtu? Fale? Nadajniki? Anteny? Czy czułość anten nie zależy również od ich kształtu? Nam potrzebne były uniwersalne. Nasi architekci są astrofizykami, a ideowe szkice sporządzają im najświetlejsi matematycy. Poznaliśmy topologię boskiej przestrzeni. Zespolić się z nią strukturalnie można w niejeden sposób, ale najprościej jest posłużyć się kształtami.

Czy pańscy ziomkowie znają teorię wszystkiego?

Teoria wszystkiego, czyli teoria strun. Oczywiście, że ją znamy. Dziś nikt jej nie

kwestionuje, a przynajmniej nie atakuje jej z taką pasją jak sto lat temu, kiedy powstawała.

Niemniej wciąż jest jedynie teorią. Zdaje się, że próbowali ją zastosować łącznościowcy, pracujący w kosmonautyce. O ile mi wiadomo, bez oszałamiających rezultatów.

— Trochę — mruknąłem z uśmiechem. Ten uśmiech określiłbym jako nieporadny.

Właśnie tak. — Fundamentalnym tworzywem wszechświata są struny, prawda? Wie pan — pokiwałem głową, ubolewając nad własnym umysłowym prostactwem — ja pochodzę z bardzo zielonej cywilizacji. Według moich miar owe struny są niewyobrażalnie małe. Trzeba by ich związać aż dziesięć do trzydziestej trzeciej potęgi, by otrzymać odcinek długości jednego centymetra.

— Tak, tak! — zawołał z radością. — Związać! Użył pan słowa: związać! My właśnie, poprzez nasze budowle, te struny wiążemy! Wszystkie ze wszystkimi. To jest tak realne, jak ziemia, na której stoję. A zarazem duchowe. Nasze wieże są igłami. Zszywamy wszechświat. Równocześnie, tymi samymi igłami, whaftowujemy w jego strukturę własną świadomość, świadomość jednostkową i zbiorową. To też jest bardzo ważne. I nie ma tu sprzeczności, jak dawniej sądzono. Dziś znajdujemy się już bowiem w stadium wspólnej podmiotowości. Miło tu i panuje klimat idealnie harmonizujący z moją realną, duchową niefrasobliwością. Mimo to nagle zapragnąłem znaleźć się jak najdalej stąd.

Patrzył na mnie z grzeczną gotowością. Nie mogę zachować się arogancko, ale dłużej nie wytrzymam. Muszę powiedzieć coś, co go zniechęci.

— Czy to prawda — zacząłem przesadnie ugrzecznionym tonem — że nie macie zwierząt? Ani roślin?

Był trochę zaskoczony łatwością, z jaką przeskoczyłem od spraw podstawowych do nieistotnych drobiazgów, lecz jeśli myślałem, że się stropi, to spotkał mnie zawód.

— Do niedawna istniały rezerwaty — rzekł. — Doszliśmy jednak do wniosku, że jest to

karygodne marnowanie gruntów, które mogą służyć najwyższemu celowi. Proszę tylko nie sądzić, że nie doceniamy form życia, wykształconych w toku ewolucji przez przyrodę, nawet jeśli w grę wchodzi jedynie ciąg osobliwych przypadków. Przecież fizycznie, w potocznym rozumieniu tego słowa, pozostaniemy na tej Ziemi i od niej też, przynajmniej do pewnego etapu uduchowienia, będziemy zależni. Nie zapominamy o roli biosfery. Likwidując rezerwy utworzyliśmy banki genów. O, tu — wskazał fundamenty na wprost mnie — powstaje kolejny, największy. Nie sądzę, by miało się to okazać niezbędne, gdyby jednak zaistniała potrzeba, możemy w każdej chwili ze zgromadzonych w tych bankach i zakonserwowanych genów odtworzyć miliony odmian zwierząt i roślin, które żyły na tym globie zanim my, rozumni, nie przekształciliśmy go w ogniwo wszechbytu. Nie jesteśmy samobójcami, proszę pana. Dopiero po wnikliwych, wszechstronnych studiach przystąpiliśmy do montowania wiecznej przyszłości. Przyszłość przecież zawsze się zaczyna i nigdy nie kończy, prawda? A zatem trzeba ją nieustannie budować. Budować, budować, budować — zabrzmiało to jak trzykrotne uderzenie spiżowego dzwonu. Jednak dzwon natychmiast ustąpił miejsca sygnaturce.

— Bardzo żałuję — rzekł zakłopotany. — Muszę wrócić do pracy. Z tego, co na początku naszej rozmowy powiedział pana przyjaciel — spojrzał prosząco na Złotego — wynika, że on już u nas bywał. W takim razie może zechciałby panu obszerniej wyjaśnić zagadnienia, o których ja zaledwie wspomniałem... zapewne nader nieudolnie. Nie mamy — znowu przeniósł wzrok na mnie — żadnych sekretów. Zmierzamy najprostszą drogą ku wszystkiemu — skinął nam głową i z uśmiechem odszedł. Nie wiedziałem, jak powinien wyglądać człowiek idący ku wszystkiemu, ale usiłowałem sobie wyobrazić, że właśnie tak. Z przykrością stwierdziłem, że wyobraźnia mi nie dopisała.

— Omega... — usłyszałem obok siebie złowróżbny pomruk.

— Omega...

Spojrzałem z ukosa na swojego towarzysza. Na szczęście nie próbuje mi niczego obszerniej wyjaśniać. Za to pomrukuje, jak zakneblowana Cassandra.

— Głupi świat, nie? — rzuciłem. — Oni chyba w ogóle nie mają inspektorów. I nikt się nie buntuje. Kompletna degrengolada.

— Nie latają — zauważył.

— No to co — wzruszyłem ramionami. — Ty latasz, Stalowy lata, ja, chcąc nie chcąc, latam z wami, i dużo z tego latania wynika. Wszędzie zawczasu układają nekrologi.

— Stalowy? — zainteresował się. Prawda, jeszcze mu nie mówiłem.

— Tak go sobie nazwałem — powiedziałem. Wpadłem do niego na chwilę. Wzięli mnie na smycz, a potem pokazywali bajki. Jednak nie posunęli się do tego, by rozłupywać mi głowę.

— Więc poznałeś już... — wzmiankę o rozłupywaniu głowy wolał pominąć.

— Owszem — uciałem. — Czy opuścimy to miejsce, zanim zwali się tu cały wszechświat?

— Tak, naturalnie — rzekł drewnianym głosem. Przyjrzałem mu się nieco baczniej i ponownie odkryłem w jego oczach lęk. Ten sam co przedtem. Nagle zdałem sobie sprawę, że i we mnie drzemie nie do końca uciszony strach. Nie. U mnie to coś innego. Wciąż jeszcze zmętniały, poruszony osad. Pozostałość wstrząsu doznanego na Alfie. Przerażenia i bólu tak łatwo się nie zapomina. Zwłaszcza pierwszego przerażenia i pierwszego bólu. Dotąd ich przecież nie znałem. Zresztą, pamięć nie ma tu nic do rzeczy. One po prostu zostają. Różnica między moim lękiem a lękiem Złotego polega na tym, że mnie nic nie obchodzą tutejsze budowle, banki genów, religia wszystkiego, oraz to czy latają, czy nie. Natomiast jego tak. Ale i jego zjawiska zachodzące na Omedze obchodziłyby znacznie mniej, gdyby sam się nie

bał. Zachowuje się jak na pogrzebie przyjaciela, zmarłego na tę samą chorobę, która dręczy i jego.

— Jeszcze minutkę — powiedział. — Zrób to, o co cię poproszę. Spróbuj sobie wyobrazić, że stoisz w jakimś punkcie wszechświata, którego fundamentalne struny już są z sobą powiązane jak nici jednej osnowy. Gdzieś, za horyzontem zdarzeń, zuchwały rozum właśnie zasiada przy instrumencie. Nie zna nut, ba, nie zna samego siebie. Musi dokonać wyboru, które struny potrącić, a którym kazać milczeć. Wsłuchaj się przez chwilę w powietrze.

Słyszysz?

Znowu przesunął się przed nami rząd ciężarówek. Transport był bezgłośny, jednak maszyny wydawały mieszające się ze sobą dźwięki. Niższe, wyższe, czasami wibrujące, ale w żadnym wypadku nie hałaśliwe. To jasne, że w powietrzu unosi się ich pomruk. Mimo woli wsłuchałem się uważniej w ten ton, dziwnie harmonizujący z głosami ludzi, nawet z powściągliwym śmiechem dzieci. Nagle coś mnie uderzyło. Pod subtelnym, rozfalowanym akordem rozbrzmiewała jakby podskórna nuta, ledwie uchwytna, lecz ostrzegająca i pełna napięcia. Coś jak brzęczenie prądów w stacji przesyłowej potężnej baterii słonecznej.

Zerknąłem na Złotego.

— Słyszysz? — powtórzył. Wzruszyłem ramionami.

— Ktoś w którymś z domów ma włączone radio — powiedziałem.

— Oni rozwinęli wspaniałą sztukę — potrząsnął głową. — Sferochromia, sferorama...

— To ci się, naturalnie, nie podoba. Walczysz ze sztuką, bo walczysz ze swoją władzą, która nie pozwala wam zajmować się niczym innym. Oni mają sferoramę, a ty sferofobię.

— Nie — miłosiernie przeszedł do porządku nad moim dowcipem. — To nie jest radio.

— Nie — przytaknąłem. — To jęk Ziemi, włączający się do jęku wszechświata. Czy w końcu odlecimy stąd na inną Ziemię, ponoć także jęczącą, lecz przynajmniej po cichu?

Westchnął i utkwiał wzrok w swoim komunikatorze. Nie zauważyłem, że trzymał go przed sobą, w zamkniętej dłoni. Teraz wyprostował dłoń i coś powiedział. Odczekał chwilę i znowu wyrzekł dwa niezrozumiałe dla mnie słowa. Następnie schował aparat i oświadczył:

— Moglibyśmy wracać do ciebie bezpośrednio stąd. Została wprowadzona korekta. Nie mam jednak absolutnej pewności. Nie wiem... — zawahał się.

— Wracajmy jak Odyseusz, ale raz wreszcie zacznijmy wracać — burknąłem. — Gdzie jest ten nasz dzwon? — obiegiem oczami otoczenie. — A, właśnie. Jak ty do niego trafiasz? Masz jakiś specjalny wzrok? Widzisz go? — mógł widzieć. Skoro posiadał taki nadzwyczajny słuch. Muzyka sfer. Nawet mnie zaraził. Podskórna nuta, a jakże. Finał prasyfonii, *allegro mortale sine ira et studio*. Z godnością. Gdyby się ktoś pytał, osobiście wolę ptaki.

Ponownie westchnął, wziął mnie za rękę i delikatnie pociągnął.

Jeśli w s z y s t k o jest zbudowane ze strun, to dlaczego latając ze Złotym zawsze widzę nie struny, tylko te przekłete kryształy? Piekło i szatani, dosyć już tego nieustannego podróžowania.

Piekło zaczęło się jednak dopiero w momencie, gdy kryształy zniknęły. Przez mgnienie zamajaczyły mi przed oczami złotawe ścieżki, trawniki i melancholijni spacerowicze. Ułamek sekundy później usłyszałem krzyk. Właściwie nie usłyszałem, zarejestrowałem go jedynie, jak świst bata przed uderzeniem. Krzyczał mój Złoty. On, zawsze cichy i opanowany. Ale zdziwić już się nie zdążyłem. Poraził mnie strach i przeszył znajomy ból. Wewnątrz mojej czaszki z potwornym traskiem pękło naraz co najmniej miliard strun i rozpadło się tyleż wysokopiennych katedr. Pokryła mnie czarna masa gruzu.

Przez zaciśnięte powieki ujrzałem złotawe światło. Otworzyłem oczy. W głowie kłębił mi się rój rozdrażnionych pszczoł. Bartnik próbował je uwolnić, przewiercając mi świdrem

skronie. Mimo to zdołałem jakoś dostrzec pięciu Złotych za okrągłym stołem. Właśnie padł rozkaz: — Wyprowadzić!

Pozbierałem się i wyszedłem. Zstępując po spiralnych schodkach zorientowałem się, że ktoś za mną idzie. W głowie wciąż mi huczało, ale ból dość szybko ustępował. Obejrzałem się. Robot. Nie ma kolegi inspektora. Nie oznacza to jednak, że puścili mnie samego. Nie tym razem.

Za drzwiami zatrzymałem się i jakiś czas mrugałem oczami, oślepiiony blaskiem złotego, słonecznego dnia. Następnie znowu spojrzałem za siebie. Robot stał bez ruchu i czekał. Był zupełnie inny niż te, z którymi zawarłem znajomość podczas pierwszej wizyty na Alfie.

Wyglądał jak manekin z najdroższego domu mody. Jasne. Tamte, zbuntowane, miały siedzieć w kosmosie i nie pokazywać się porządnym ludziom na oczy. Ten był ziemski. Ziemski i praworządny jak dyrektor departamentu w godzinę po nominacji.

Cisza. Mógłbym się rozedrzyć jak wrona na dachu, w styczniowy mróz. Dużo bym wskórał. Robot natychmiast zamknąłby mi gębę, a ten jeden jedyny osobnik, którego chciałbym zobaczyć i tak albo wie, gdzie jestem, tylko na razie nie może tu przylecieć, albo nie wie już nic i niczego nie może.

Awaria. Ta sama, czy inna? Jałowiec powiedziałby, że i taka i taka, a ja wyjątkowo musiałbym przyklasnąć tej jego swoistej dialektyce. Przed wizytą na Omedze mój Złoty jednak się pojawił. No i nie pilnował mnie robot.

Temu ostatniemu właśnie znudziło się czekanie. Poczulem na plecach dotyk żelaznych dłoni i usłyszałem metaliczny głos:

— Proszę.

Skierował mnie w stronę ogrodu. To znaczy, zbitej ściany zarośli, za którą miał być ogród.

Z daleka ta złota zieleń jest niewidoczna, bo osłania ją jakieś pole, podobnie jak fabryki i inne

miejsca, psujące niebiańską harmonię. Ale dlaczego ogród miałby się kłócić z pięknem i harmonią?

Robot sterował mną jak pojazdem gaśnicowym, dotykając na przemian to mojego lewego, to prawego barku. W ten sposób zaprowadził mnie do przecinki wystrzyżonej w gęstwinie krzaków. Była tak wąska, że zauważyłem ją dopiero z odległości pięciu kroków. Nie spodobała mi się. Nie miałem najmniejszej ochoty w nią włączyć. W dodatku te krzewy z bliska okazały się tak samo kolczaste, jak tutejsze drzewa. Wszystko miłe, łagodne, zaokrąglone, a roślinność niczym zardzewiałe zasieki nad Mozą, w okolicy Verdun. Sta nałem. Postanowiłem, że nie wejdę w tę dziurę i już. Wytrzymałem w tym postanowieniu pełną sekundę. Żelazna złota łapa niedbałym gestem, posiadającym siłę perswazji dryfującego kontynentu, pchnęła mnie od przodu. Poleciałem jak fachowo wyprztyknięta pestka. Potknąłem się, przeszorowałem ramieniem po czymś przypominającym gruboziarnisty pilnik, odbiłem się po przeciwnej stronie od drugiego pilnika i wylądowałem na ziemi, dobre dziesięć metrów dalej. Wstałem, syknąłem i obejrzałem się. Robot znowu stał bez ruchu, zagradzając wejście do przecinki. Wypełniał sobą absolutnie całą szerokość przejścia. — Proszę iść dalej — rzekł.

Spoglądałem na niego jeszcze przez chwilę, ale niezbyt długo, bo wolałem go nie irytować. W końcu nie wiedziałem, na jaką odległość potrafi wysuwać te swoje łapska. W porządku. Pójdę. On nie chce, to pójdę ja. Ktoś zawsze musi być mądrzejszy.

Odwróciłem się ponownie i powoli ruszyłem przed siebie. Z obu stron ściany, wysokości mniej więcej trzech i pół metra, proste jak płaskie sita do przesiewania fundamentalnych cząstek przestrzeni. Może te struny, o których tyle nasłuchiwałem się na Omedze, zdołałyby przez nie przeniknąć bez trudu. Dla zwykłych promieni słonecznych były za gęste.

Przeszedłem kilkanaście metrów. To nie był żaden ogród. Znajdowałem się w tunelu bez

dachu. Miał akurat tyle szerokości, by mógł nim iść jeden, nie nazbyt gruby mężczyzna. Przy najmniejszym nieuważnym ruchu dotykałem i tak już piekącymi ramionami ostrych końców skośnie ściętych gałązek. Korytarz biegł prosto jak szyna. Nad głową niebo, beznadziejnie wysoko. Z tyłu wiadomo co. W przodzie, daleko, zbiegająca się w ciemny wykrzyknik perspektywa.

Jednakże głębokość tej perspektywy okazała się złudzeniem, spowodowanym przez leżący między ścianami cień. Po kilkunastu następnych krokach ujrzałem przed sobą koniec tunelu. Zamykał go taki sam roślinny mur, jak te, pomiędzy którymi szedłem do tej pory. Równie wysoki i nieprzebyty. Dopiero kiedy niemal dotknąłem go nosem, zobaczyłem, że to wcale nie koniec drogi. Korytarz po prostu dzielił się w tym miejscu na dwa, odbiegające od siebie pod prostymi kątami. Oba były identyczne i krótkie. Jakies dwadzieścia metrów dalej i prawa i lewa odnoga znowu się rozwidlały, znowu równo jak pod sznurek i znowu prowadziły w nieznaną, wzdłuż prostopadłych ścian.

Stałem. Nie dlatego, że nie wiedziałem, czy zwrócić się w prawo, czy w lewo. To znaczy dlatego także, ale myśl, że któryś kierunek jednak muszę wybrać, pojawiła się nieco później. Na razie zatrzymało mnie coś innego. Teraz, właśnie teraz, ani minutę wcześniej, uprzytomniłem sobie, co tutaj robię. Zaćmienie. Skutek drugiego szoku, bólu, strachu i utraty przytomności, przed drugim, niedoszłym lądowaniem na skraju sanatoryjnego parku. Gdyby mój umysł funkcjonował normalnie, dawno odgadłbym już, że wreszcie muszę poddać się wyrokowi, wydanemu na mnie przez alfiąskich sędziów.

Zdaję egzamin. Raz wyprowadził mnie Złoty przyjaciel. Minęło sporo czasu, po czym ten czas został skasowany, bo uderzyłem w jakąś granicę, z której cofnięto mnie z powrotem do okrągłej sali. Drugi raz wyszedłem z niej sam, ale sprzed budynku zabrał mnie zbawczy kielich. Jednak potem znowu dotarłem do tej zakłętej bariery i znowu stanąłem przed

miejscowymi prominentami. Lecz teraz nie znalazł się już nikt, kto by mi pomógł. Widać czas, nawet gdy się powtarza, nie powtarza się dokładnie tak samo. Kto wie, czy nie mają trochę racji ci, którzy twierdzą, że los jest jedynie wyzwaniem.

Od wyniku tego egzaminu zależy, czy Złoci zza okrągłego stołu — pozwolą mi wrócić na Ziemię, czy też... no tak. Zaraz. Czym właściwie miałem się wykazać? Jak brzmiało to zdanie, tak fatalnie sformułowane, że mogło paść jedynie z ust kosmicznego urzędnika najwyższej rangi? „Musimy sprawdzić, czy istnieje między nami dostateczna duchowa bliskość, byśmy mogli zawierzyć pańskim słowom”. Potem zaraz: „wyprowadzić”. Dokąd? Oczywiście, do sali egzaminacyjnej. Tylko, że to nie miała być sala.

Nie darmo uczynili ten rzekomy ogród niewidzialnym dla swoich ziomków, spoglądających w tę stronę z łagodnych wzgórz. Lepiej, żeby nie wiedzieli. Dlatego to puste pole wokół płaskiej rotundy jest takie wielkie. Bo nie jest puste. Widać placyk z paroma stanowiskami startowymi, konstrukcjami i antenami. Dużo ciekawsze są jednak urządzenia, których nie widać. Na przykład labirynt. Właśnie ten, do którego wprowadził, czy raczej wrzucił mnie robot. Ten, w którym teraz stoję na rozdrożu tunelowatych, więziennych korytarzy.

To było drugie odkrycie. Oba przyszły równocześnie i związały się ze sobą jak dwie sylaby w słowie: amen. Amen znaczy: tak jest. Raz, dwa. Egzamin i labirynt. Egzamin w labiryncie. Labirynt jako egzamin. Samo życie. Wrzucić kogoś kopniakiem w płataninę ślepych uliczek, zostawić go i czekać, czy znajdzie wyjście. Jeśli znajdzie, uznamy go za swego. Jeśli nie, żegnaj. Pochowamy cię tak, żeby nie było widać. Amen.

No i gdzie iść? W lewo czy w prawo?

Człowiek bliski duchowo innym ludziom, to człowiek obdarzony intuicją. Czy właśnie ona powinna mi podsunąć odpowiedź? O to chodzi? Mam dowieść, że odzywa się we mnie słodki

głos wewnętrzny, który podszeptuje mi właściwy kierunek? I że umiem go słuchać?

Na moment zamknąłem oczy i próbowałem zachęcić mój głos wewnętrzny do wyrażenia swojej opinii. Nic nie powiedział. Otworzyłem oczy. Popatrzyłem w jedną stronę, popatrzyłem w drugą. Eh, strzałki! Kochane, śliczne, bezbłędnie prowadzące wytyczonymi ścieżkami! Oddałbym wszystko za jeden znak. Jedno zielone światelko na tym kretyńskim skrzyżowaniu.

Niestety. Tu nie ma strzałek. Tu mogę sobie wybrać. W lewo? W prawo?

Samo życie.

Kręcąc głową jak kibic na meczu tenisowym nagle zauważyłem coś, co powinienem był zauważyć od razu i co zauważyłbym z pewnością, gdybym nie był tak zajęty najpierw swoimi odkryciami, potem próbami nawiązywania dialogu z głosem wewnętrznym, a wreszcie nostalgicznym wspomnianiem strzałek.

Po obu stronach rozwidlenia, nie w tej ścianie żywopłotu, która zamykała perspektywę pierwszego korytarza tylko w przeciwnych, mniej więcej metr za narożnikami, znajdowały się półkoliste wnęki. Umieszczono w nich jakieś niewspółmiernie wydłużone jaja, postawione sztorcem. Przyjrzałem im się kolejno. Chyba to były rzeźby. Jaja, niewiele niższe ode mnie, smukłe i nie całkiem gładkie. Tu i ówdzie miały wklęsłości lub wypukłości, które nic mi nie mówiły i z niczym się nie kojarzyły. Kilkakrotnie odbyłem drogę od jednego do drugiego i z powrotem, wpierw zagładając poza nie, z nadzieją, że w wystrzyżonych zagłębieniach żywopłot okaże się cieńszy i możliwy do sforsowania, a następnie, gdy ta nadzieja pierzchła, ponieważ ściany również tam były nie do przebycia, aby zgłębić tajemnicę artystycznego zamysłu twórcy czy twórców jajowatych arcydzieł. Niczego, rzecz jasna, nie zgłębiłem i pięć minut później dalej stałem na środku skrzyżowania niczym pogański bożek o dwóch twarzach patrzących w dwie strony świata. I świat na lewo wciąż wyglądał identycznie jak świat na

prawo.

Stałem, stałem, aż wreszcie dokonałem jeszcze jednego odkrycia. Właściwie nie było to odkrycie, a olśnienie. Przypomniałem sobie mianowicie, kim miałem być i czym miałem być. Ja na rozdrożu? Ja strapiony i bezradny wobec konieczności dokonania wyboru? Ja i rozterki? Uśmiechnąłem się, machnąłem ręką i ruszyłem przed siebie. Szedłem lekko, swobodnie, falując podrapanymi ramionami, niby wesoły marynarz w gościnnym porcie. W pewnym momencie zacząłem sobie pogwizdywać pod nosem, jak to zwykli czynić prawdziwi mężczyźni w chwilach, gdy świat do nich należy. Daję słowo, po kilku pierwszych krokach nie pamiętałem, czy w końcu poszedłem w prawo, czy w lewo.

Dotarłem do następnego skrzyżowania. Również tu, w tylnych ścianach obu bocznych korytarzy, znajdowały się pół okrągłe wnęki z rzeźbami. Tym razem były to po dwa jaja nasadzone na siebie. Nawet nie próbowałem im się bliżej przyglądać. Skręciłem i pomaszerowałem dalej. „Dalej! — Jeśli przed skwarem na ziemi są cienie, Dla mężnego przed hańbą znajdzie się schronienie. I nie będzie mu ciasno, jeśli przy rozumie Gonić rozkosz, a zgubie wymykać się umie”. Co to takiego? Szanfara. Oczywiście, że Szanfara. No, trochę i Mickiewicz. Tego drugiego nie za wiele, bo wyjątkowo osobiście konfrontował poetycki przekład francuski ze staroarabskim oryginałem. Zresztą, nieważne. Grunt, że słowa świetnie się podkładają pod tę melodyjkę, którą sobie pogwizduję. A melodyjka bierze mi się znikąd lub jak kto woli zewsząd, bo dotąd nikt takiej nie skomponował. Fiu–fiu, fiu–fiu.

Na kolejnym rozwidleniu labiryntu zamiast zrobić zwrot w lewo bądź w prawo, zacząłem prosto przed sobą łamać gałązki w ścianie żywopłotu. Okazało się, że są bardzo twarde, ale kruche. Jednakże niemiłosiernie kłuły w palce. Wobec tego zdjąłem bluzkę, złożyłem ją we dwoje i kontynuowałem dzieło zniszczenia używając jej jako rękawiczek.

Minęło pół godziny. Właściwie naprawdę ostre były jedynie młode pędy i szpiczasto

wykrojone listki. Ale one też najłatwiej dawały się kruszyć. Po godzinie cały tkwiłem już wewnątrz żywego muru, niby jakaś nieudana rzeźba, wstydliwie ukryta w gęstwinie. Przez pozostałą mi do pokonania grubość ściany przeświecało słońce. Powiedziałem sobie w duchu, że okazałem dość cierpliwości. Złapałem w dłonie rękawy bluzy, przyłożyłem pięści do oczu i pod osłoną podwójnie złożonej błękitnej materii głową naprzód runąłem przed siebie jak szarżujący nosorożec. Poszło mi nadspodziewanie gładko. Wewnątrz żywopłotu gałązki nie były przecież obcięte i nie ustawiały się jak widły w stronę zbuntowanego intruza.

Wyskoczyłem z zarośli niczym pocisk i zaryłem nosem dobre dziesięć metrów od nich.

Gdybym w ten sposób wypadł na jakąś następną, równoległą alejkę labiryntu, nadziałbym się na przeciwległą ścianę jak jeden z tych tak chętnie opiewanych ptaków ciernistych krzewów.

Ale wypadłem nie na alejkę, tylko na otwartą przestrzeń. Przedarłem się przez boczny, zewnętrzny mur. Musiało się tak stać. Czy człowieka, który pogwizduje sobie dziarską melodyjkę do kasydy Szanfary, może spotkać coś złego?

Wstałem, cisnąłem bluzę i rozejrzałem się po panoramie pustego pola, obwiedzonego złotym ogrodzeniem. Za nim ciągnęło się rozlane po horyzont morze zaokrąglonych wzgórz. Niczego więcej nie pragnąłem zobaczyć. Przeczekam tu do zapadnięcia zmroku, a potem...
mniejsza o to.

Zrzuciłem potargane spodnie, kucnąłem i poczynając od nóg zająłem się wyciąganiem tkwiących w mojej skórze koniuszków połamanych liści i pędów. Załatwiłem się już z nogami, brzuchem, torsem i właśnie przeszedłem do obojczyka, gdy usłyszałem zdyszany głos:

— Jesteś tutaj? Przepraszam. Bardzo przepraszam.

Zawsze tylko przeprasza. I zawsze poniewczasie.

— Przestań gadać i pomóż mi — mruknąłem, nie podnosząc głowy. — Niezbyt ci się

śpieszyło — dodałem mimochodem, na próżno usiłując dostrzec jakąś drzazgę, która utkwiała mi pod podbródkiem. Czoło, oczy i nos miałem w porządku. Pięści oraz stosunkowo gruba warstwa materiału uchroniły je przed podrapaniem. Ale poniżej ust i pod skroniami, a także w okolicy uszu czułem dotkliwie pieczenie. Nie mówiąc już o całej reszcie ciała, poza fragmentem, dodatkowo osłoniętym slipami. Niech się tym zajmie, skoro wreszcie raczył ponownie zaszczyścić mnie swoim towarzystwem. Pewnie był przekonany, że na jego widok zacznę skakać z radości. Akurat. Żyje, to przyszedł. Normalne.

Pomógł mi rzeczywiście. Delikatnie, jak najtroskliwsza pielęgniarka. Skończył i zaczął mnie oglądać, sprawdzając, czy coś nie zostało. Podniosłem się i naciągnąłem spodnie, czy raczej to, co z nich ocalało. Zrobiłem to nedorzecznie szybko. Był zdecydowanie za ładny. Ni stąd ni zowąd odniosłem idiotyczne wrażenie, że spodobałem się jakiemuś pedałowi na plaży nudystów. Bo kobietą też przecież nie był. Co to to nie. A szkoda. Z innej planety i do tego złota. Uśmiechnąłem się. Najniespodziewaniej odpowiedział mi uśmiechem. Nikłym, bladziutkim jak świt za chmurą, ale uśmiechem.

— Co ci jest? — spytałem.

— Nic — lekko potrząsnął głową. — Nic. Wiesz, jeszcze nikt w historii tego labiryntu nie opuścił go w taki sposób. Żadnemu z nas nie przyszłoby na myśl, że to w ogóle jest możliwe.

— Zdarza się — mruknąłem. — Przed Aleksandrem Macedońskim też nikomu nie wpadło do głowy, że słynny węzeł, złośliwie spleciony ponoć jeszcze przez mitycznego Gordiosa Pierwszego, można po prostu przeciąć mieczem. Ale porzućmy ten temat, bo rani on moją wrodzoną skromność. Powiedz mi lepiej, czy zachowując się tak nietypowo zdałem, czy nie zdałem?

— Raczej nie — rzekł, wciąż z tym wątlym, przylepionym uśmieszkiem.

— A co musiałbym zrobić, żeby usatysfakcjonować egzaminatorów i przekonać ich, że ja i

oni jesteśmy jak syjamscy bracia?

— Pójść właściwymi korytarzami i znaleźć wyjście. Drogę powinny ci wskazać rzeźby. Są one uszeregowane w taki sposób, że obrazują ideowy rozwój spojrzenia na harmonię oraz na funkcję sztuki. Ustawiali je artyści, zachowując pewną logiczną ciągłość. Miałeś ją odczytać i tym samym udowodnić swoją wrażliwość, a także obeznanie z percepcją piękna.

— Ty byś ją, naturalnie, odczytał — burknąłem z przekąsem — wykazał się wrażliwością eolskiej harfy i od razu trafił pod łuk tryumfalny, wieńczący wyjście dla prymusów.

— Kiedyś istotnie zdałbym ten egzamin bez trudu — odrzekł spokojnie. — Dzisiaj już nie. Ale dzisiaj należę do tych, którzy egzaminują innych. Posiadam komunikator, który zawsze wskaże mi właściwą drogę.

Chyba, że zdarzy się mała awaria — zauważyłem w duchu. Na głos powiedziałem:

— No to na co czekasz? Nie muszę ci przecież mówić, dokąd teraz wiedzie właściwa droga?

Skinął głową.

Dziwne. Gdy dolatuję na obcą planetę, zawsze przed lądowaniem długo szybuję łagodnie nisko nad ziemią, obserwując przepływające dołem krajobrazy. Natomiast kiedy wracam do siebie, od razu jestem w punkcie startu.

Rzeczywiście udało mu się wprowadzić do programu aparatury napędzającej pojazd korektę, która zniwelowała skutki dwukrotnego przesunięcia w przestrzeni. Wystarczył mi jeden rzut oka na niebo, cienie i koloryt kwitnących hortensji, by się przekonać, że nie przybyłem ani za wcześnie, ani za późno. Osobliwe.

Pożegnał mnie też osobliwie.

— Czy mógłbym ustawić mój pojazd koło twojego domu? — spytał.

Szedłem już w stronę ścieżki, ale usłyszawszy to, natychmiast się zatrzymałem.

— Na mojej drodze? — zmrużyłem oczy.

— Nie. Jeszcze raz przepraszam cię za tamtą sztuczkę... to się już nie powtórzy.

— Nie odlatujesz na Alfę?

Rozłożył ręce.

— Nie wiem, czy mam dokąd — rzekł. — Podejmowanie w tej sytuacji kolejnej próby... bez ciebie, byłoby nonsensowne.

— Co innego, gdybym ci towarzyszył — podchwyciłem.

— Spójrz — pokazałem mu mój cień na trawie. Najzwyklejszy ziemski cień, skrócony, bo słońce stało wysoko, o niezbyt ostrych konturach. — Czy po wszystkich twoich własnych i naszych wspólnych doświadczeniach nadal uważasz, że właśnie tak wygląda cień szansy?

— Nie wiem — powtórzył.

Uśmiechnąłem się.

— Jeśli nie masz zamiaru urządzać nowych pułapek, to choć nie zostałem przekonany, że istnieje między nami dostateczna duchowa bliskość, bym mógł wierzyć twojemu słowu, stawiaj sobie swój latający dzwon, gdzie ci się żywnie podoba. A sam idź potem do mnie i czuj się tam jak u siebie — zaproponowałem. — Weź kąpiel, prześpij się. Przyjdę, to sobie pogadamy.

— Dziękuję.

Dziwny dzień. Dziwny nawet na tle wszystkich dziwnych dni, jakie zostawiłem za sobą.

Chyba, że jeszcze bardziej niezwykle przeżyłem tutaj, na dole. To jest, w przeszłości.

Dobrze zrobiłem, że go zaprosiłem. Wykazałem wrażliwość nie tylko na piękno. Również na ludzką samotność i niedolę.

A on przecież i tak nie skorzysta z tego zaproszenia.

XXII ZIEMIA JEDEN. PIĘĆ

Zaledwie wyszedłem na ścieżkę i zwróciłem się w stronę pawilonu, w powietrzu zaświeciła zielona strzałka.

— Buzi! — zawołałem czule. — Moje ty cudo!

— Och! — usłyszałem w odpowiedzi.

Z najwyższym trudem powstrzymałem się przed burknięciem: to nie do ciebie. Trochę jednak spochmurniałem.

Strzałka mijala właśnie Helenę, wciąż stojącą w tym samym miejscu, w którym wyczekiwała na mój powrót z dołu. Dla niej przecież przybywałem stamtąd, tylko stamtąd i prosto stamtąd. No, poza małym wypadem do krzaka hortensji. Pół minutki w jedną stronę, drugie pół w drugą. Pewnie chciałem powąchać jeden z tych wielkich kwiatów. Hortensje jak na złość nie pachną, ale ona nie musiała o tym wiedzieć. W końcu jest dopiero praktykantką.

Kiedy przechodziłem obok niej, jęknęła i załamała ręce. Prawda, na śmierć zapomniałem.

Potargane ubranie, podrapana gęba, włosy jak u Gorgony po zemście Ateny. Musiała pomyśleć, że tym razem gdzieś w przeszłości sprawowałem się wyjątkowo fatalnie, nawet jak na mnie. Niech sobie myśli.

Obcy, cholera.

Obcy.

W tym pawilonie Jałowiec i Kobra także mieli fotele, tylko stolik był znacznie mniejszy od tego, przy którym otrzymałem awans. Poza tym wewnątrz nie różniło się od poprzedniego. Te same aparaty. Na honorowym miejscu leżanka.

Od progu zażądałem, by natychmiast uszyli mi nowy mundur, a ja tymczasem skoczę do łazienki. Okazało się, że łazienkę mieli tu naprawdę. Znajdowała się na pierwszej kondygnacji pod poziomem gruntu. Kiedy wróciłem na górę, ubranie już na mnie czekało. Oczywiście, nikt go nie uszył. Tu były moje szafy z garderobą. Nie w tak zwanym domu.

Może nie akurat w tym pawilonie, ale od czego jest wewnętrzna poczta instytutu. Otrzymałem świeżutki luźno skrojony komplet, jak ten, który nosiłem na początku. Nie mundur, w jakim pewnego razu wróciłem z dołu. Ubrałem się i sprawdziłem, czy czarodziejski projektorek jest na swoim miejscu. Owszem, był. Wobec tego o nic nie pytając natychmiast wyciągnąłem się na leżance.

Zbudziłem się młody, zdrowy, wypoczęty, silny i niezadowolony. Wstałem, przemierzyłem salę od okna do okna, stwierdziłem, że słońce ma się ku zachodowi, co dzisiaj wcale mnie nie ucieszyło, po czym usiadłem w fotelu i zażądałem od Jałowca, żeby mi przyniósł coś do picia. Mruknął: dobrze — i posłał, naturalnie, Helenę. Gdy stawiała przede mną szklankę, nagle zadźwięczało mi w uszach znajome zdanie. Nie ja byłem jego autorem, ale mogłem je wygłaszać już wielokrotnie. Czy istotnie wygłaszałem? Kiedy? Do kogo? A może tylko ktoś trzeci wygłosił je w mojej obecności, a mnie, nie wiedzieć czemu, tak wryło się w pamięć, że przetrwało nawet oczyszczające misteria Jałowca i Kobry. Zdanie to brzmiało: każdy zasługuje na miłość, nie każdy na to, żeby kochać. Myśl jak myśl, słowa jak słowa. Człowiek nie odpowiada za to, że raptem mu się coś ni w pięć ni w dziewięć przypomni. Zirykowało mnie natomiast pochwycone w przelocie spojrzenie chabrowych oczu. Ten seans w czwartym pawilonie stanowczo im się nie udał. Wypiłem wodę, odstawiłem szklankę i warknąłem:

— Co dalej?! Zbliża się wieczór. Mam iść prosto do domu, czy przed snem pobiegać jeszcze dla zdrowia po labiryncie?

— Po czym? — wysyczał Kobra.

— La-bi-rynt — przesylabizowałem. — Poczytaj sobie przy okazji o grobowcach Amenemhata Trzeciego i Porsenny, oraz o Dedalu, Minotaurze, Tezeuszu i Ariadnie. Potem ewentualnie sięgnij do historii ogrodnictwa. Chociaż dla ciebie z pewnych względów

ciekawszy byłby pewnie...

— Znowu się wygłupiasz — zauważył Jałowiec.

— Ani trochę — zapewniłem, wyjątkowo najzupełniej szczerze. — Tak się składa, że całkiem niedawno na nieprawdziwej Ziemi zawarłem bliższą znajomość z najprawdziwszym labiryntem, który stanowił nader zgrabne połączenie idei egipskich, kreteńskich i etruskich architektów oraz ambicji angielskich ogrodników, hołdujących modzie na chińszczyznę. Jednakże, o czym właśnie zacząłem mówić, kiedy mi tak uprzejmię przerwałeś — utkwilem wzrok w brwiach doktora Iwo — wy wzorowaliście się raczej na budowniczych gotyckich katedr z Chartres, Amiens i paru innych. Wiesz, te zawile szlaczki na posadzce — i tylko na posadzce. Niby wszystko otwarte, żadnych ścian, stropów, ślepych zaułków. Trzeba jedynie patrzeć pod nogi. Ba, od siebie dodaliście nawet strzałki. A jednak, mimo pozorów, krążę w najautentyczniejszym labiryncie, prawda? Wiernym modelu... urywam. Musiałbym tu poczynić parę uwag dotyczących naszego świata, co moglibyście wziąć za filozofowanie.

Przejdę więc od razu do konkretnego pytania. Czy kiedykolwiek trafię znowu do pierwszego pawilonu, i czy opuściwszy go będę mógł wyjść z parku główną drogą dojazdową, o której słyszałem? Czy też strzałki pokażą mi ponownie ten sam złoty zielony ślad? Tylko nie mówcie mi, że człowiek jest wolny w tym większym stopniu, im lepiej ogarnia myślą topologiczną strukturę labiryntu. Krótko: wyjdę kiedyś z tego parku?

— A chciałbyś? — rzekł podchwytliwie Jałowiec.

Rozsiadłem się wygodniej w fotelu i założyłem nogę na nogę.

— Żartujesz sobie — powiedziałem karcącym tonem. — Stanowczo powinieneś traktować naszą wspólną s p r a w ę trochę bardziej serio. Bo rzecz jest poważna. Przypuśćmy, że tu zostanę. Przypuśćmy, że zechcesz mnie znowu puścić zielonymi meandrami. Ale każdy żywy organizm został przez naturę wyposażony w instrumenty przewidywania. Zwierzęta potrafią

dzięki niemu unikać niebezpieczeństw. Żółw posiada pancerz, kameleon zmienia barwy i tak dalej. Człowiek posługuje się intuicją i rozumem, a poza tym ma jeszcze inne wyjście.

Przewidując niemiłe zdarzenia, jest w stanie omijać z daleka podejrzane miejsca i sytuacje.

Dlatego, wiedząc już wszystko lub w każdym razie dostatecznie dużo o roli zielonych strzałek w moim radosnym życiu, mogę teraz stosować uniki.

— Mógłbyś, gdyby nie chodziło o sytuacje i niebezpieczeństwa, które sam spowodowałeś — powiedział Jałowiec.

— Kiedyś, kiedy mnie nie było — skinąłem głową. — Zaraz zacznę sobie pogwizdywać.

A tak na marginesie, kto je spowodował? Ja? Czy raczej wy?

— To nieistotne. Musisz w określonych punktach zapadać się w przeszłość.

— Wcale nie. Mogę iść obok.

— W pewnym sensie o to nam właśnie chodziło. Tylko zaszły nieprzewidziane komplikacje.

— Nieprzewidziane skutki przewidywać — westchnąłem.

— Ach, jakie to niemiłe. Ale tak już bywa, kiedy przewiduje się zbyt wiele i zbyt pochopnie. Niekiedy tylko się przewiduje. Kiedy indziej próbuje czemuś zapobiegać. Złoci złotym snom, z których nie ma przebudzenia, Stalowi stalowemu racjonalizmowi świata bez ducha, zgubnego dla myślącej istoty. Gdzieś jeszcze dalej entuzjaści na wszelki wypadek wiążą wszechświat w jedną całość, żeby osiągnąć wszystko i tym samym zapobiec wszystkiemu. Zdaje się, że była już o tym mowa, ale wiecie, jak to jest z moją pamięcią.

Przypomnijcie mi. Który to raz idę za tymi strzałkami?

— Drugi! — szczechnął Kobra.

— Co zrobicie, jeśli dzisiaj, zaraz, wyniosę się w diabły z tego parku?

— Nic. Ale nie wyniesiesz się — stwierdził Jałowiec.

— Znowu ten dar przewidywania! — zaśmiałem się.

— Masz rację. Nie wyniosę się. Przynajmniej na razie. A wiesz dlaczego? Bo mi się nie chce. Jestem genialny, lecz leniwy.

— Podczas tej tury miałeś być leniwy — rzekł Kobra. — W jego oczach błysnął diabelski płomyczek. Coś mu się jednak udało. Płomyczek odbił się w szklach okularów, mignął i zgasł. Diabeł nigdy nie tryumfuje długo, chyba, że pomagają mu kompetentni śmiertelnicy. Zresztą ten płomyczek był raczej fanatyczny, aniżeli szatański. Prędzej mógł się pojawić u inkwizytora lub egzorcysty, niż w spojrzeniu uczciwego diabła. Zresztą, uczciwych diabłów od dawna już nie ma. Pozostali jedynie zakłamani pozoranci, którzy udają, że wciąż jeszcze mają tu coś do roboty.

Wyciągnąłem w górę ramiona i rozprostowałem się rozkosznie, aż mi w stawach zatrzeszczało.

— Lenistwo jest jak zbawienie — powiedziałem. — Człowiek nie rwie się po omacku ku szczęściu, a więc nie unieszczęśliwia po drodze ani siebie, ani innych. Nie próbuje czynić dobra, zatem nie czyni zła. Błogosławione lenistwo! Płyn ze zwiniętymi żaglami po morzach, łądach i przestrzeni, sławiąc imię Marka Halnego. Nikt jeszcze nie był tak wspaniale leniwy jak ja. Nawet bawić już mi się nie chce. No to na razie — wstałem i ruszyłem w stronę drzwi.

— Czołem.

— Dokąd idziesz? — rzekł zdziwiony Jałowiec. Znowu się roześmiałem.

— Cóż za pytanie! — Oczywiście, do pracy. Kazaliście mi tropić człowieka, czyż nie? Nie wiedziałem kogo, ale teraz już wiem. Samego siebie, prawda? Tego domyśliłem się już dawno. Nie zdawałem sobie jednak sprawy, że dotyczy to również nieskończonej ilości warstw, składających się na przeszłość. A wśród nich tych najpłytszych. Przypadkiem spotkałem faceta, który poleciał na Księżyc, żeby coś zrobić. Spotkałem też drugiego faceta,

skończonego jołopa. Ten nie chciał nic robić, za to usiłował coś zrozumieć. Nie mógł, ponieważ był obcy. Napatoczyło mi się również dwóch innych, tyle, że nie tutaj. Wszyscy mieli sakramencko rozwinięte mózgi. Oddziaływali na otaczający ich świat jak pigułki przeczyszczające na grubą kiszkę. I byli nie gdzieś tam na dole w przepastnych głębinach, tylko tuż pod naskórką. Ich muszę wysledzić w pierwszej kolejności. Naturalnie, wyłącznie dla dobrej sprawy, bo osobiście nic mnie nie obchodzi. A ty pytasz dokąd idę! Do zobaczenia w piątym pawilonie. O, nie! — zatrzymałem Helenę, która chciała wyjść ze mną. — Inspektorowi na tropie przeszkadzałoby towarzystwo anioła. Poza tym jestem przecież człowiekiem wolnym i zdrowym. Ciebie, zwłaszcza ludzkich dusz i umysłów nie muszę pouczać, że samotność nie jest zjawiskiem patologicznym, lecz normalną reakcją biologiczną na nienormalny w naszym, wciąż nie zmienionym przez mnie świecie, brak stymulacji. Więcej, pragnienie samotności dowodzi, że mózg człowieka działa prawidłowo — gadałem, żeby gadać. Z całą pewnością nie cierpiałem z powodu braku stymulacji. Nie miałem też najmniejszego zamiaru grzebać się w przeszłości, a już na pewno nie tej, która dla siedmiu skazanych oficerów, Anny, sędziów i adwokatów, oraz dla Jałowca i Kobry stanowiła zaledwie nieco przesuniętą terażniejszość. Jednak tak się jakoś działo, że w miarę jak kłapałem szczęką, uśmiech zniknął z mojej twarzy. I w żaden sposób nie potrafiłem go zatrzymać. — Poczekaj — mówiłem do siebie, patrząc na Helenę. — Niech skończą obchód. Może w okolicy pierwszego pawilonu spotkam niejakiego Halnego, tkwiącego w środowisku, a nie w izolacji. Albo przynajmniej takiego, który pragnie umieścić się w tym środowisku. Z własnej woli, rozumiesz? Bez naukowych czarów — raptem stanęło mi przed oczami jej piękne, nagie ciało w mojej sypialni i ogarnął mnie żal. Prędko oderwałem się od tego obrazu. — Wtedy — ciągnąłem niezmiennym tonem — szepnę mu parę słów. Na razie jednak muszę być sam.

— Nawet jeśli wrócisz do Miasta — mruknął Jałowiec — znowu wybierzesz izolację. Już raz umieściłeś się w społeczności i...

— Raz? — przerwałem. — Tysiące razy. Miliony. Co z tego? — z tym pytaniem opuściłem czwarty pawilon. Helena została. Splotła dłonie i trzymała je przyciśnięte do ciała, poniżej piersi. Może odruchowo dotykała mapy mojej drogi, którą nosiła pod białą sukienką? Strzałka kazała mi skręcić w boczną dróżkę nie dalej niż dziesięć metrów od wyjścia. Ominąłem pień grubego drzewa, który wyrastał częściowo z trawnika, a częściowo już z samej ścieżki, i którego konary szczelnie zakrywały dwa zaokrąglone okna pawilonu. Zrobiłem jeszcze kilka kroków. Następnie zniknąłem. Nie spodziewałem się, że spotka mnie to tak szybko.

XXIII. ZIEMIA MINUS IKS.

XXIV. ZIEMIA JEDEN. PIĘĆ (C.D.)

Wróciłem. Rzut oka na niebo uświadomił mi, że jest nowy dzień, pora między porankiem a przedpołudniem. Niczego ponad to nie zdążyłem sobie uświadomić. Nie oprzytomniałem nawet na tyle, by stwierdzić, czy tym razem jestem zmęczony i zły, czy też rad z siebie i ze świata jak dżdżownica po deszczu. Usłyszałem krzyk trwogi i potężny trzask. Coś przesłoniło niebo nad moją głową. Jakby urwała się chmura i leciała wprost na mnie. Zerknąłem w górę i zobaczyłem błyskawicznie rosnącą w oczach koronę tego właśnie drzewa, które stało trochę na trawniku, a trochę już na ścieżce. Jeszcze ułamek sekundy...

Ktoś porwał mnie za rękę i szarpnął z taką siłą, że pofrunąłem w powietrzu jak latawiec. Mignęły mi szara postać i kwadratowa łapa, która ścisnęła przegub mojej dłoni. Przeleciałem dobre kilkanaście metrów. Za ledwie odzyskałem postawę z grubszą biorąc pionową, choć nadal chwiałem się i zataczałem górną połowę ciała kółeczka, niby rozhuśtana gruszka bokserska na miękkiej sprężynie, tuż za mną wstrząsnął ziemią ogłuszający łoskot, któremu towarzyszył odgłos pękających gałęzi. Korona drzewa runęła na trawnik, ale jego ogromny pień swoim najgrubszym, odciętym końcem leżał na wysypanej żwirem ścieżce dokładnie tam, gdzie przed chwilą stałem, po powrocie z przeszłości. Wędrowni w czasie kryją więcej niebezpieczeństw, niż to przewidział i opisał Wells.

Przez pień przeskoczył starszy, krępy mężczyzna, z kaskiem na głowie i w drelichowym kombinezonie, z którego kieszonki wypelzał cienki przewód, połączony z lekką, ręczną piłą.

— Nic się panu nie stało?! — zawołał przerażony. Zorientowałem się, że to właśnie on krzyknął również wtedy, kiedy jeszcze nie wiedziałem, co za chwilę nastąpi.

— Wszystko w porządku — wyprostowałem się, odetchnąłem i przestałem naśladować sprężynową antenę na wietrze.

Mężczyzna nieco się uspokoił. Dłuższy czas patrzył na mnie z dziwnym wyrazem twarzy.

Wreszcie rzekł:

— Ja i mój pomocnik dokładnie obserwowaliśmy miejsce, gdzie miało upaść drzewo. Jak okiem sięgnąć nikogo nie było... Skąd pan się wziął?

— Wyszedłem z pawilonu.

Pokręcił głową.

— Byliśmy tam. Uprzedzaliśmy. Proszę pana...

— Tak, tak — przerwałem spiesznie. — To byłaby wyłącznie moja wina. Przepraszam.

— Nie o to chodzi — powiedział. — Tylko naprawdę niewiele brakowało. Pracuję już sześćdziesiąt lat, ale, odpukać, jeszcze nigdy...

— Sześćdziesiąt lat? — podchwyciłem skwapliwie. — Tu, w instytucie?

— W rezerwacie — zdążył już ochłonąć. Powoli zapomniał o moim pojawieniu się, tam gdzie nikogo nie było i być nie mogło.

— Rozumiem — uśmiechnąłem się. Znowu potrafiłem się uśmiechać, jak zwykle trochę naiwnie, trochę nieporadnie, trochę jakby bezwiednie, ale lekko, życzliwie i zniewalająco szczerze. Powinienem dawać lekcje uśmiechów w szkole aktorskiej. Z całą pewnością byłbym tam bardziej pożyteczny niż w jakiegokolwiek instytucji zatrudniającej inspektorów. — A właściwie dlaczego ściął pan to drzewo? — ciągnąłem. — Było stare, lecz wyglądało zupełnie zdrowo?

Obejrzał się i przez dłuższą chwilę milczał, patrząc na powalonego olbrzyma. Wreszcie westchnął i ponownie odwrócił się do mnie.

— Podobno zasłaniało okna — wskazał brodą kopułę pawilonu. — Nie wiem tylko — dodał ciszej — czy teraz, kiedy go już nie ma, będzie jaśniej, czy ciemniej...

Drwal jest po to, żeby ścinać drzewa. Jaśniej czy ciemniej. Dziwny drwal.

— Bardzo przepraszam — powtórzyłem. — Muszę iść. Do widzenia.

— Do widzenia — odrzekł. — Na przyszłość niech pan uważa.

Na przyszłość, a zwłaszcza na przeszłość — uzupełniłem w duchu, podążając już za strzałkami, które dopiero co omal nie wpędziły mnie do grobu. Na terażniejszość nie mam co uważać, ponieważ jej nie ma.

Strzałki. Człowiek idzie nie dlatego, że to wynika z jego postawy, tylko dlatego, że tam ma być. Nie posiada właściwości rozumnego oddziaływania, lecz zachowuje się jakby je posiadał. Zachowuje? Co to znowu? Behawiorystyczna czkawka, po kolejnej lekcji? A niby czego się nauczyłem? Cholera, ileż to już nie było tych szkół i koncepcji. Nic z nich nie zostało. No, nie całkiem. Został głupi Jasio w labiryncie. I oni mi mówią, żebym nie filozofował! Tak jakby człowiek noszący w sobie brylant geniuszu rzeczywiście miał ochotę powiększać chaos informacyjny świata ludzi. Równie dobrze mogliby mnie przestrzegać, żebym dla zabawy nie siał w zbożu maków i kākoli.

Pogwizdałbym sobie, ale spierzchły mi wargi. Pamięć? Nie. Znajomość faktów? Tak.

Chyba nadszedł czas. Wiem albo za mało, albo za dużo. To mi przeszkadza. Mnie nic nie powinno przeszkadzać. Spojrzałem przez ramię za siebie. Przy zwałonym pniu nie było nikogo. Spoza niego dobiegał świergot ciągnika, który miał stąd zabrać zbyteczne drzewo, żeby stało się już całkiem jasno.

Zatrzymałem się.

— Stalowy! — zawołałem półgłosem. — Wyłaź!

— Tu jestem — padła skądś odpowiedź, wymówiona suchym, metalicznym głosem.

Rozejrzałem się. Pusto.

— Powtarzasz cudze pomysły — powiedziałem. — Warujesz przede mną na ścieżce w niewidzialnym kawałku ciemności z nadzieją, że w nią wdepnę. Nic z tego. Nie ruszę się,

dopóki cię nie zobaczą. Poza tym pragnę ci podziękować.

— Nie ma za co — mruknął, wylaniając się z powietrza. Rzeczywiście czekał na środku ścieżki, parę kroków dalej.

— Dobro zwycięża — powitałem go. — Co słyhać na twojej Ziemi? Panowie inspektorzy z Głównej Komisji Rozwoju ciągle jeszcze polują na moich kompanów?

— Już wiedzą, że ich nie ma.

— A ty mimo to chciałeś, żebym znowu się z tobą do nich wybrał — stwierdziłem. — Nie obchodzi cię, że tym razem by mnie nie wypuścili. Oczywiście, działasz w imię wyższych racji. No to posłuchaj. Przylatujesz tutaj od lat, mniejsza ilu, masz konszachty z naukowcami, którzy mnie wyhodowali, asystowałeś przy porodzie i wszystko o mnie wiesz. Otóż powstała pewna kwestia. Mianowicie dla zaspokojenia nierozumnego kaprysu chciałbym, żebyś mi coś wyjaśnił. Mianowicie na czym polega eksperyment, któremu mnie poddano. Jeśli mi odpowiesz, natychmiast pójdę z tobą w kwadratową noc i możesz mnie zabierać do czarnej lub szarej dziury. Jeśli nie, odwrócę się i więcej mnie nie zobaczysz. Nie pomogą ci najwymyślniejsze pułapki. Będę macać przed sobą kosturem. Jak tylko ujrzę, że jego koniec pogrąża się w mroku, zawrócę. A więc?

Zawahał się.

— Powinieneś się tego dowiedzieć od...

— Nie — uciałem. Może czułbym się lepiej, gdyby tu był Złoty. Ale mając w tej chwili do wyboru Stalowego albo ludzi, zdecydowanie wolałem Stalowego. Obcy z obcym to jak swój ze swoim. Do tego w sytuacji, gdy nie bardzo wiadomo, który z nas dwóch jest odrobinę mniej obcy. — Jeszcze jedno — ubiegłem go, widząc, że choć z oporami, to jednak otwiera usta. — Streszczaj się, dobrze? Sporo już wiem, sporo się domyślam, sporo mnie nie interesuje. Na przykład mówiono mi, że w jakiś nieoperacyjny sposób rzekomo ożywiono mi

znaczą część tych dziewięćdziesięciu procent mózgu, które u normalnego człowieka, ku obopólnemu zadowoleniu, przez całe życie pozostaje w uśpieniu. Że moim zadaniem miało być oddziaływanie. No i że zaistniałem po to, by zmieniać świat na lepsze. A teraz mów. Pomyślnym dla mnie zbiegiem okoliczności nie jesteś gadułą. Zatem krótko i węzłowato. Zamieniam się w słuch.

Wykonał ruch, przypominający balans prostokątnego obelisku podczas trzęsienia ziemi.

— Nie da się zupełnie krótko — mruknął. — Poczekaj... — odwrócił się i wykonał jakiś gest. Następnie skinął na mnie, żebym poszedł za nim kilka metrów przez trawnik, do najbliższych krzewów. Zrozumiałem, że usunął swój pojazd ze ścieżki i że nie chce, by ktoś nas zobaczył.

— Właściwie nie wiem, od czego zacząć — rzekł zakłopotany, kiedy znaleźliśmy się w ocienionym i osłoniętym miejscu.

— W podobnych sytuacjach zwykle proponuje się, by zaczynać od początku — powiedziałem. Traciłem cierpliwość. Naprawdę działo się ze mną coś dziwnego. — Ja będę mniej wymagający — ciągnąłem. — Po pierwsze, daruj sobie historię mojego życia, jeśli ją znasz. Myślę o moim, by tak rzecz, ubocznym, prywatnym życiu, którego nie pamiętam. Po drugie, pomogę ci zacząć. A więc: jestem chłopcem, wychowuję się w zakładzie opiekuńczym, nie u rodziców, chodzę do dobrej szkoły i przejawiam duże zdolności. Pojawia się Jałowiec. Doktor Iwo, jeśli wolisz. Bierze mnie do instytutu, który odtąd ma mi zastąpić rodzinny dom. Ale nie powodują nim instynkty macierzyńskie czy ojcowskie. Zaczyna radosną twórczość, dotyczącą mojego mózgu. Dalej ty.

— Nie — najwidoczniej uporządkował sobie w głowie fakty, które miał mi przedstawić.

— Musimy się trochę cofnąć — zawyrokował. — Poznałeś mój świat i wiesz, że jest to świat skazany. Poznałeś świat, jak go nazywałeś, Złotego i przekonałeś się, że on też ginie. A tu, u

ciebie, na twojej Ziemi... — zająknął się.

— Wal prosto z mostu — burknąłem. — Co na tej mojej Ziemi?

— Nie chciałbym się wypowiadać... Nie studiowałem tutejszej cywilizacji. Interesowało mnie co innego. Nie miej mi tego za złe...

Delikatny jak nie zbuntowany Złoty. Co to się nie wyrabia w tym kosmosie.

— Chodzi o to — wymamrotał — że i u was są ludzie, którzy wróżą upadek waszej cywilizacji. Nie wchodzę w to, jakie mają podstawy, by...

— Przystaniesz się wreszcie ciaćkać? — huknąłem.

— Nie denerwuj się — zacisnąłem zęby i dałem sobie słowo, że więcej się nie odezwę.

Mam czas. Mam więcej czasu niż Seneka Młodszy na Korsyce. Mogę być stoikiem. — Paru uczonych z tego instytutu, na terenie którego się znajdujemy — podjął z przymusem Stalowy — tak właśnie sądzi. Wśród nich doktor Iwo. Chyba jeszcze w młodości nabrał przekonania, że ludzkość, a może i w ogóle życie na tej planecie osiągnęły punkt krytyczny i że stało się tak na skutek nierozumnej, chaotycznej działalności człowieka. Potem doszedł do wniosku, że człowiek, będąc takim jakim jest, nie może działać inaczej. Istnieje zbyt dużo nawarstwień i uwarunkowań. Ale nie poprzestał na obserwacjach i wnioskach. Uznał, że choć jest już niemal za późno, to jednak owo „niemal” wystarczy, by poświęcić się bez reszty sprawie ratowania ludzi i Ziemi. Jediną drogą wiodącą do tego celu była, według niego, zmiana człowieka — „tworzymy nowy pierwiastek ludzki w społeczności” — odezwały się we mnie przytłumionym echem słowa Jałowca. Jak na razie Stalowy nie powiedział mi niczego nowego. — Badając historię — mówił dalej — stwierdził, że propaganda dobra i mądrości, choć zostawia po sobie trwałe ślady, nie jest w stanie zasadniczo odwrócić biegu wydarzeń. Określenie „propaganda” należy tu rozumieć jako wychowanie, nauczanie, szerzenie idei, czyli bardzo szeroko. Iwo jest psychofizykiem, toteż postanowił uciec się do swojej

dziedziny. Dokonać eksperymentu na globalną skalę. Pomysł przyszedł mu do głowy w okolicznościach, które nie są dla mnie jasne. Zaledwie raz czy dwa bąknął coś na ten temat, a raczej zahaczył o tę kwestię całkiem mimochodem, podczas rozmów dotyczących konkretnych problemów technicznych. Zdaje się, że chodziło o coś nadprzyrodzonego, jakiś mit lub wierzenie. Naprawdę nie wiem, zresztą to nie ma znaczenia. Jego zamiar opierał się przecież nie na mistyce, a na przesłankach ściśle racjonalnych. Zaświtała mu idea stworzenia biologicznej maszyny do zmieniania ludzi i tej idei podporządkował pracę swojego zespołu. W miarę upływu czasu ten zespół topniał... ale to również zbędna dygresja. Oczywiście, taka maszyna też musiałaby być człowiekiem. Nie żadnym człekokształtnym robotem czy cyborgiem, tylko człowiekiem z krwi i kości. Tyle, że innym. Pełnym szlachetnej pasji, pozbawionym cech negatywnych i wyposażonym w potężny instrument oddziaływania, który niejako automatycznie narzucałby dobro i mądrość bliźnim. Kiedy się to relacjonuje jak ja w tej chwili, rzecz wygląda naiwnie, a nawet śmiesznie. Jednak zapewniam cię, że osobnik, którego nazywasz Jałowcem, nie jest ani naiwny, ani głupi. Jego zamysł miał realne szansę powodzenia... zwłaszcza odkąd pojawili się tu dwaj przybysze... z daleka, i z myślą o własnych światach podsunęli mu pewne rozwiązania... To było nieco później. Najpierw przybyłeś ty, wybrany spośród uczniów zakładów opiekuńczych, które kolejno odwiedzał doktor Iwo, szukając odpowiedniego kandydata. Nie mógł przecież zabrać dziecka rodzicom, bo by się na to nie zgodzili. A wasze zakłady opiekuńcze ponoć chętnie odstępują na wychowanie chłopców, jeśli proszą o to naukowcy pracujący w instytutach psychologii, posiadający idealne warunki i gwarantujący prawidłowy rozwój młodego człowieka. Zwłaszcza chłopców wybitnie zdolnych, do jakich należałeś. Zresztą pod tym względem doktor Iwo wywiązał się z przyrzeczenia. Otrzymałeś znakomite wykształcenie i wyrastałeś w atmosferze najszczytniejszych zasad. Może brakowało ci ciepła...

— Nie o mnie — przerwałem, łamiąc dane sobie słowo. Ale nie mogłem milczeć. — Nie o mnie...

— Muszę o tobie... ponieważ właśnie ty jesteś tą maszyną, która ma zmienić ludzkość, życie i świat — rzekł smętnie. — Otóż uczyłeś się, a równocześnie dzień po dniu, rok po roku, Iwo prowadził swój eksperyment, poddając cię zaplanowanym zabiegom. Nie kłamał mówiąc, że te zabiegi nie miały nic wspólnego z chirurgią. Nie było najmniejszej ingerencji w twoje matryce genetyczne. Zacząłeś pracować. Ożeniłeś się... przepraszam. Więcej nie będę. Zatem... zaraz... a, właśnie. Wtedy ja i, jak powiadasz, Złoty, już od dawna składaliśmy wizyty w tym instytucie... nie wchodząc sobie nawzajem w drogę. Zawsze rozmawialiśmy tylko z jednym człowiekiem, naturalnie do momentu, gdy zaczęliśmy przylatywać również po ciebie. Jak tu trafiliśmy? Co, wiesz? — pochwycił moje spojrzenie i mój niecierpliwy gest. Skinąłem głową. Świetnie pamiętałem. Daleki sygnał, świadczący, że g d z i e s pojawiła się szansa. — To dobrze — odetchnął. — Przebywaliśmy, by posłużyć się popularnym określeniem, poza czasem, gorączkowo szukając ratunku. Odebrany przez nas impuls był jeszcze bardzo słaby. Ale zbiegiem okoliczności — zaznaczył skromnie — obaj ze Złotym wiemy nieco więcej o mózgu niż Iwo, czerpiący z osiągnięć waszej nauki. Podsunęliśmy mu parę wiadomości. Odtąd rozwijałeś się w sposób niedostępny dla innych ludzi. Jeszcze na studiach przewyższałeś inteligencją wykładowców. A przecież ten proces trwał, postępował i rozszerzał się. Równocześnie, co stanowiło zadanie nierównie trudniejsze, rosła siła twojego oddziaływania. Tego prostymi słowami, a w dodatku, jak zażądałeś, zwięźle, nie potrafię wyjaśnić. W grę wchodzi nie tylko topologia przestrzeni ożywionej, matematyczne teorie fal oraz najwyżej postawiona bioinformatyka. Również określone rozwiązania strukturalne — no oczywiście. Struktura. Jakże mogło by się bez niej obejść. — Mózg, jego ośrodki i system nerwowy człowieka, to potężna stacja nadawczo—odbiorcza — ku mojemu zadowoleniu

wrócił jednak do języka elementarza. — A twój mózg, w porównaniu z innymi, funkcjonuje jak słońce przy zabytkowej żarówce. Wbudowano ci bowiem, też jedynie poprzez zdalną stymulację, unikatowy system wzmocnień. Doktor Iwo, korzystając z naszych podszeptów, skonstruował specjalną aparaturę. Istnieje ona i działa do dzisiaj, w pawilonach, które oddano do jego dyspozycji. Oficjalnie pracuje w nich nad swoją koncepcją pobudzania uspionych komórek mózgu. Nikt nie wie, że dokonał konkretnego eksperymentu na człowieku. To jeszcze jedna uwaga na marginesie. Idźmy dalej. A właściwie możemy już sporządzić coś w rodzaju podsumowania. Opuszczasz instytut jako fenomenalne narzędzie, którego cechy tak szkicowo ci przedstawiłem. Zaczynasz nadawać. Oddziaływać. Przechodząc, zmieniasz świat, jak w opowiadaniu dla dzieci idąca polami wiosna. To znaczy zmieniasz ludzi, czy tego chcą, czy nie. Wyposażony w świadomość śniegowy bałwan nie życzyłby sobie wiosny, ale jego życzenie nie miałoby najmniejszego znaczenia. Zresztą ludzie nie wiedzą, że topnieją. Iwo, naturalnie, nie jest na tyle nierozsądny, by zakładać, że skutki twojego oddziaływania od razu będą powszechne i trwałe. Traktuje cię jak wzór. Znasz teorię rezonansu kształtotwórczego?

— No — wychrypiałem. Znowu zaschło mi w gardle. Odchrząknąłem i powtórzyłem: — No. Hipoteza Sheldraka. Sto lat temu poważni naukowcy nie chcieli nawet o niej słyszeć. Teraz uczą jej w szkołach.

Przytaknął.

— Kiedyś, w pierwotnym sformułowaniu, brzmiała mniej więcej tak: jeśli cokolwiek może przybierać różne kształty, cytuję za waszymi podręcznikami — zastrzegł się — jeśli jakaś struktura może występować w różnych formach, jeśli zachowanie żywej istoty może przebiegać w różny sposób, to wszystkie owe kształty, struktury i zachowania zawsze odwzorowują coś, co już kiedyś wystąpiło. W chemii pierwsza pożądana reakcja zachodzi wolniej i oporniej niż następne, choćby ludzie, którzy pracują w laboratoriach, nie mieli

pojęcia, że ta pierwsza została już uzyskana. Pole morfogenetyczne. Taak — odetchnął głęboko. — Doktor Iwo zna, oczywiście, rozwój tej teorii — podjął natychmiast — i jej nieliczne zastosowania. Nie zna jednak, bo nie zna ich jeszcze wasza nauka, wielu zagadnień dotyczących strukturalnych związków w czasie i przestrzeni. Podpowiedzieliśmy mu coś niecoś wraz ze Złotym. Miał pełne prawo wierzyć, że jako wzór nie tylko znakomicie zdasz egzamin, lecz także, że dzięki zapoczątkowanym w ten sposób procesom twoje oddziaływanie będzie się rozwijać w postępie geometrycznym. I to właśnie stanowiło drogę do upowszechnienia, a przede wszystkim utrwalenia zmian, jakich miałeś dokonać idąc między ludzi.

Wyprostowałem się i spojrzałem prosto w szare oczy, osadzone w kwadratowej twarzy. — Jałowiec przebąkiwał coś o jakiejś alotropicznej odmianie pierwiastka ludzkiego w społeczności — powiedziałem. — Nie potraktowałem go poważnie. Nie przypuszczałem, że za tą bajeczką może się kryć teoria naukowa z prawdziwego zdarzenia. No dobrze. Zatem, jak to się często zdarza, zawiodła nie teoria, lecz jej zastosowanie. Dla ludzi to różnica raczej bez znaczenia. Nie pomogłem światu. Przepraszam, trzem światom. To już wszystko? A moje znikanie na dole?

— Iwo kazał ci iść nie tylko przez współczesność. Przyszło mu na myśl, że gdybyś zdołał dokonać jakichś poprawek w przeszłości, to dzień dzisiejszy już wyglądałby zupełnie inaczej.

— I ty twierdzisz, że on jest racjonalistą? — wybuchnąłem nieco wymuszonym śmiechem.

— Toż to dziecinada! Dylemat wnuka, zabijającego własnego dziadka i tak dalej, i tak dalej.

Opowieści z tysiąca i jednego czasów, dla nieczynnych geniuszy!

— Nie wiem — rzekł ostrożnie. — Muszę przyznać, że mnie z pewnych względów ten pomysł bardzo zainteresował. Złotego również. Nasze oba światy wymagały korekty już w przesuniętej czasoprzestrzeni. Wymagały i wymagają. Dlatego nauczyliśmy doktora Iwo

także lokalnego przekształcania pozornie ciągłej struktury. Dziś, gdy zabieramy cię do siebie... — umilkł. Może chciał przeczekać poszum wiatru, który w tym momencie zaszeleścił w koronach drzew. Pociemniało. Słońce przesłoniła chmura. Miała kształt smoka, narysowanego przez dziecko. Bardzo fajna chmura. Ja sam jestem dzieckiem. Jak świeży pęd, który właśnie wychynął z ziemi obok pnia starego, świętego kolosa. Rośliny nie odczuwają bólu, kiedy cicho wysychają na próchno. Cierpią, gdy się je tnie. Ale może nowe pędy, odbijające od korzeni, choć trochę łagodzą ból zadany piłą? Trzeba by spytać drwala. Nie będzie deszczu. Chmury są jasne i płyną wysoko. Gdzieś w Mieście teraz pada. Gdzie indziej niebo jest białobłękitne, wypłowiałe, spalone. Nagle zobaczyłem to Miasto. Całe. Za pawilonami, za zielenią parku, za pasem zalesionych gór, które z taką radością pokazywała mi Helena.

Byłem zdolnym chłopcem. Jestem wszechstronnie wykształcony. Z pewnością mam jakieś dyplomy. Ale niezależnie od kierunku studiów na pewno zawsze musiał mnie fascynować antyk. Ciągłe nasuwają mi się jakieś skojarzenia, porównania, cytaty. Dotąd, na przykład, śmiało mogłem się uważać za inteligentnego i leniwego ucznia Epikura. Takiego, co umiał sobie wybierać myśli, które mu odpowiadały. Skąd zatem teraz raptem wiem, po prostu wiem, co czuł największy z zapomnianych, Zenon z Kition, gdy buntując się przeciwko Epikurowi zakładał własną szkołę w portyku Stoa Poikile? Nie powinienem ani tego wiedzieć, ani o tym myśleć. Cóż ja mogę mieć wspólnego z tym Grekiem? Na moim grobie nie napiszą, że całym swoim życiem, bezwzględnie zgodnym z głoszoną przez siebie nauką, dałem wzorzec innym. A jemu, na Kerameiku, tak właśnie napisali. Przy czym, w przeciwieństwie do ogromnej większości tekstów, umieszczanych na nagrobkach, ten zawiera najczystsza prawdę. Chmura przepłynęła. Słońce zalało park. Wiatr ucichł. Nagle, jak na dany znak, rozświergotały się ptaki.

Od tysięcy lat ludzie próbują zrobić lepszego człowieka. Ciekawe, skąd biorą się ci naprawiacze. Rodzą się jak inni, w tym samym świecie, chodzą do szkoły, widzą i słyszą to samo co reszta. Czyżby potrzeba zmieniania Ziemi na lepsze tkwiła w każdym z nas, jak potrzeba fantazji u Stalowych, lub eksploracji u Złotych?

Te ptaki tutaj nigdy jeszcze nie śpiewały tak głośno.

Ludzie chcą być lepsi, ale ludzkość składa się z osobników genetycznie unikatowych. Brzmi to jak fragment lekcji. Po niej będzie dzwonek, pauza, a po następnym dzwonku następna lekcja. Stereotypy, uniformizm, konformizm, od dzwonka do dzwonka.

— No?! — zachnąłem się niespodziewanie dla samego siebie. — Zatkano cię? Dobrnąłeś do momentu, gdy jako cudowny wzorzec poszedłem w świat. W niejeden świat, a także niejeden czas. Ustaliliśmy również, że niczego nie wskórałem. Co dalej? Na czym teraz polega moja misja, o której nie wolno mi rozmyślać, ale którą powinienem traktować piekielnie serio?

Westchnął.

— Rzeczywiście, albo w planie eksperymentu, albo w jego realizacji tkwił błąd — przyznał. — Zamiast oddziaływać organizowałeś i udzielałeś rad. Miałeś dużą siłę przekonywania. Słuchano cię. Niestety, skutki... wiesz, jeśli ci na tym specjalnie nie zależy, wolałbym nie rozwijać...

— Zależy mi specjalnie, żebyś nie rozwijał — powiedziałem. — Jednak sądząc z moich obecnych przygód, kolega Jałowiec mimo wszystko nie zrezygnował?

— Nie zrezygnował — ponownie przytaknął. — Ma zamiar wrócić do pierwotnego eksperymentu i pracuje nad wprowadzeniem poprawek. Na razie odwołał cię z powrotem do instytutu i, nazwijmy to tak, nałożył tłumik na twój fenomenalnie rozwinięty mózg. Niemniej uważa, że oddziałujesz nadal. Dlatego dokonał pewnej zmiany. Przypuśćmy, że w sensie

fizycznym przestawił w tobie znaki plus i minus.

— Nareszcie rozumiem, dlaczego mam śledzić samego siebie — mruknąłem. — Kasuję to, co przedtem zapisałem. Mnożenie przez zero. Wobec tego, rzecz jasna, muszę iść krok po kroku swoją poprzednią drogą, nie zbaczając ani o milimetr. Pytanie tylko, czy na pewno wpadam w przeszłość dokładnie tam, gdzie należy i czy zawsze trafiam na odpowiednią głębokość. Jak to jest z tym waszym opanowaniem struktury?

— Nie ma pewności — bąknął, lekko zażenowany. — Nie istnieje sposób, by się o tym przekonać. Sedno sprawy ująłeś jednak właściwie. Niwelujesz swoje poprzednie czyny. Kiedy koło się zamknie, doktor Iwo dokona ponownego zabiegu na twoim mózgu, w wyniku którego znowu zaczniesz działać i oddziaływać świadomie. W tej fazie był zdania, że pamięć mogłaby ci przeszkadzać. Człowiekowi niełatwo zerwać z przeszłością — zauważył sentencjonalnie, po czym poruszył kwadratowymi ramionami. — Prawdę mówiąc nie wiem ani dokąd wyruszasz w przeszłość, ani czym się tam zajmowałeś i zajmujesz. Zarówno ja, jak Złoty, nie interesowaliśmy się zbytnio tym, czego tutaj oczekują od ciebie twoi ziomkowie. Przylatujemy po ciebie, abyś także u nas mnożył, jak się wyraziłeś, przez zero. Tam, gdzie już kiedyś byłeś. Nieważne, czy wierzymy, czy nie wierzymy w powodzenie tej operacji.

Wykorzystujemy szansę, stworzoną na twojej Ziemi. Jeśli uważasz, że postąpiono z tobą nie całkiem etycznie, swoje pretensje musisz skierować do ludzi stąd. To chyba wszystko.

— Wszystko — przyznałem. — Chodzę i piorę własne brudy. Za dzień, dwa, gdy krąg się zamknie, to jest, kiedy już odwiedzę wszystkie miejsca, w których narobiłem głupstw, ponownie pójde poprawiać świat i światy z tkwiącym we mnie brylantem, znowu świecącym jak tysiące słońc. Skończą się zielone strzałki... choć nie skończy labirynt.

Nagle ogarnęło mnie poczucie absolutnej nierzeczywistości wszystkiego, co dzieje się wokół mnie. Wróciła myśl, że jestem w domu wariatów, i była to myśl nad wyraz przyjemna.

Z żalem się z nią rozstałem. Owszem, otacza mnie nieprzenikniony kokon, jak obłąkanego, ale nie oszukujmy się. To, że poddaje się moim ruchom i zachowuje jakby go nie było, nie ma znaczenia. Jest obiektywnym faktem, zaledwie w mikroskopijnej cząstce zależnym od mojej woli. Rzeczywistość bywa bardziej szalona niż zwidy, powstające w wyobraźni schizofrenika. Oczywiście, Jałowiec spudłował po raz drugi. Idę śladami nieudanego człowieka, by je zacierać. Cóż za absurd. Czyż teraz, choćby nie wiedzieć jak bezmyślny i beztroski, nie zostawiłbym nowych śladów?

Niemniej zachodzi tu coś niepokojącego. Dopóki spaceruję w owym miękkim, macierzyńskim kokonie, świat i światy należą do mnie. Tylko, że ten kokon stopniowo staje się coraz cieńszy i bardziej przezroczysty. A to już jest draństwo. Zaczynam widzieć. Równocześnie konstatuje, że z godziny na godzinę głupieję. Jałowiec, Kobra, Helena, Złoty i Stalowy pewnie tego dotąd nie zauważyli. Wobec nich od początku zachowywałem się jak półgłówki. Ale gdybym, na przykład, pisał pamiętniki, nawet najmniej przenikliwy czytelnik zorientowałby się od razu. Gdzież się podziały jego pajacowate refleksyjki, łatwość przepływania nad przeszkodami, naiwna zmysłowość, płytka lecz autentyczna radość życia, bijąca z kolejnych lekkich minut, rozświergotanych jak ptaki. Niby tyle już wie, a im więcej wie, tym mniej rozumie. Pan Marek Człowiek. O, nie. Prędeż mi kaktus wyrośnie na dłoni, niż dam się z powrotem ogłupić temu opętanemu Jałowcowi. Ogłupić, żebym zdumiał do reszty. Stalowy stoi, milczy i patrzy na mnie wyczekująco. Pewnie chce usłyszeć, że wyczerpał temat. W takim razie o coś go jeszcze zapytam. Muszę się tylko zastanowić. To, co robiłem i dalej robię na dole, niech pozostanie zakryte kotarą przestrzeni, w której strukturze nie dłuhał żaden mądrała z nadzwyczaj wysoko rozwiniętej cywilizacji. Ktoś mi już zresztą zdążył wyjaśnić tę kwestię więcej niż zadowalająco. Jałowiec? Kobra? Mniejsza o to. „Co zawsze robił człowiek na Ziemi?” Otóż właśnie. A, mam.

— No dobrze — odezwałem się właściwym sobie bagatelizującym tonem. — Poznałem życie i twórczość doktora Iwo. Ale ty i Złoty jesteście przecież od niego mądrzejsi.

Tymczasem wciąż opowiadacie mi o jakiejś szansie. Po co, u licha, nadal zabieracie mnie do siebie, skoro obaj musicie już doskonale wiedzieć, że jestem do niczego?

Rozłożył ramiona.

— Ani ja, ani Złoty nie mieliśmy warunków do skopiowania eksperymentu u siebie. Na człowieka oddziałuje cały wszechświat i jest to oddziaływanie wzajemne. Ma charakter nieograniczony. Po tak wielu innych, daremnych próbach... Cóż, wy zwykliście mówić: tonący brzytwy się chwyta — rzekł poważnie i ze smutkiem.

Głęboko zaczerpnąłem powietrza.

— Koniec — oznajmiłem. — Łap tę brzytwę — wyciągnąłem do niego rękę. — Jesteś Stalowy, to może dopłyniesz do brzegu ze wszystkimi palcami.

— Nie rozumiem...?

— Czego nie rozumiesz? Lecimy do ciebie. Chciałeś tego przecież. A ja przyrzekłem. No to w drogę.

XXV. BETA DWA. OMEGA DWA.

Wypląnąłem z ciemności — jak pisał, wprowadzie nie o mnie tylko o Nilu, rzekomo sam Amenhotep Czwarty — na znajomym płaskim dachu, w znajomym otoczeniu, pośród wszechobecnej szarzyzny. Zjechaliśmy szybkobieżną windą na poziom ulicy. Stalowy niezwłocznie wprowadził mnie w zaułek, równie ciasny i mroczny jak ten, w którym znajdował się nielegalny antykwariat. Także i tu nieprzerwanym szeregiem ciągnęły się sklepy z geometrycznymi pomocami naukowymi na wystawach.

— Dokąd idziemy? — spytałem pełnym głosem, ponieważ uliczka, jak okiem sięgnąć, była wymieciona z ludzi.

— Ts... — przestraszył się. — Do dzieci — szepnął.

Mimo woli stanąłem.

— Do dzieci? — powtórzyłem, niemile zaskoczony. — A cóż, do diabła, mogłem tu zrobić dzieciom?

— Bawiły się na placu obok szkoły — odrzekł. — Była ich cała gromada. Naturalnie, bawiły się po naszymu. Spokojnie, rozsądnie, z dokładnie przygotowanym planem. Każde miało maleńki komputer i wykonywało ruchy zgodne z instrukcją, załączoną do gry. A ty zacząłeś im opowiadać wasze bajki. Chyba nawet wymyślałeś nowe. Stopniowo wszystkie porzuciły zabawę i zgromadziły się wokół ciebie, żeby słuchać. Nauczyciele wezwali inspektorów. Dzisiaj te dzieci są w lecznicy. Coś jakby w zakładzie poprawczym. To niedaleko. Zobaczysz.

Nie zobaczyłem. Ani teraz, ani nigdy.

Tu nie było ciosu z szarego nieba, który rozpołowiłby mi czaszkę i sprawił ból. Nie było także przeskoku w przeszłość. Zresztą nie wiem. Dwa lub trzy razy, gdy tkwiłem już w najczarniejszej nocy, która ogarnęła mnie w ułamku sekundy, na środku tunelowej uliczki,

odniosłem wrażenie, że tę noc przecina słoneczne światło, jakby strzelała migawka w najczulszym aparacie. Działo się to jednak zbyt szybko, bym zdołał cokolwiek zauważyć. I nie mam pewności, czy działo się naprawdę. Złudzenie mogło wynikać z faktu, że podświadomie oczekiwałem powtórzenia historii, jaka wydarzyła się, i to dwukrotnie, na Alfie. W najkrótszych rozbłyskach niby dostrzegałem to pastelowe kolory antykwariatu, to znowu fantazyjne wizje, które miały mi obrzydzić folgowanie rozpasanej wyobraźni. W gruncie rzeczy nie widziałem nic. I nie słyszałem głosu Stalowego, choć w jakiś nieokreślony sposób odczuwałem jego obecność. Usłyszałem go dopiero, kiedy rzeczywiście zrobiło się jasno. Ale wtedy znajdowaliśmy się już na innej planecie. Tej, na której widać przeczekują krytyczne momenty inspektorzy z całego wszechświata, gdy zdarzy im się, hm, awaria. Oprzytomniałem, rozejrzałem się i stwierdziłem, że jeśli wraz z moim Stalowym i jego pojazdem przeskoczyliśmy ponad czasem, to tym razem musiał to być skok fenomenalnie daleki, i nie w przeszłość, a w przyszłość. To znaczy, tak wtedy pomyślałem.

Stałem na Omedze. Pomyłka była wykluczona. Jeśli nawet przedziwnym zrządzeniem natury istnieje gdzieś w najdalszych zakątkach kosmosu inna cywilizacja, owładnięta tą samą co mieszkańcy tej Ziemi manią wiązania wszystkiego ze wszystkim i jeśli w tym celu wznosi identyczne budowle, byłoby już doprawdy rzeczą zbyt absurdalną, żebyśmy teraz mieli zabłądzić akurat tam. A poza tym ja świetnie pamiętałem otoczenie małego placu, na którym się znalazłem. Te katedry różniły się przecież pomiędzy sobą. Zbyt mocno utkwiły mi w pamięci zarysy najbliższych budynków, które wówczas porównałem w duchu z oglądanym pod rozmaitymi kątami dziełem Niemeyera, zaprojektowanym dla grupki katolików w muzułmańskiej Casablance. Nie, o pomyłce nie mogło być mowy.

A jednak...

Przed chwilą pomyślałem: Jak mieszkańcy tej Ziemi..."

Mieszkańców nie było.

— Co się stało? — spytał Stalowy. Jeśli cokolwiek dało się wyczytać z jego twarzy, to jedynie to, że regularny kwadrat, wbrew wszystkiemu, co na ten temat mieliby do powiedzenia matematycy i krytycy sztuki, też może wyrażać skrajne osłupienie.

— Czy nie sądzisz — wykrztusiłem — że to raczej ja powinienem wystąpić z tego rodzaju pytaniem?

Przez chwilę milczał, wodząc nieprzytomnym wzrokiem po okolicy. Wreszcie rzekł:

— Nic nie rozumiem...

W tym momencie był mi bliższy niż Złoty. Ale, uwaga: Złoty zawsze wiedział, co się stało, gdzie jest i, co ważniejsze, gdzie jestem ja. Ten tutaj nie wie. Co będzie z nami dalej?

Co będzie ze mną?

Stalowy nie rozumie. No to jest nas dwóch.

— Prowadziłeś mnie jakąś uliczką... — zacząłem bez przekonania — i nagle...

— To wiem — przerwał. — Nie mam jednak pojęcia... — urwał i zamyślił się. Wyglądał jak zatroskany kontener. Odczekałem chwilę, odchrząknąłem i zagadnąłem:

— Wrócę do siebie?

— Co? — spojrzał na mnie, jakby zaskoczony faktem, że ktoś obok niego stoi. — Tak, oczywiście — powiedział tonem świadczącym, że myślami wciąż błądzi po nieodgadnionych drogach kosmosu, kryjących tyle niespodzianek, a niekiedy kończących się raptownie w ślepym zaułku. — Oczywiście — powtórzył machinalnie. — Przecież pojazd jest zaprogramowany. Słuchaj, nie zrobiłeś czegoś w tej uliczce, którą szliśmy do dzieci? Nie wyobraziłeś sobie chociaż jakiejś zmiany?

— Niczego nie zrobiłem i niczego sobie nie wyobrażałem. To była awaria — udzieliłem mu wspaniałomyślnie jedyne go możliwego wyjaśnienia. Zwrócił ku mnie twarz. Jego brwi

utworzyły dwa proste trójkąty.

— Jaka awaria?

— Granica. Palnąłeś w barierę, a ja razem z tobą. Naprawdę będziemy mogli udać się stąd prosto na Ziemię? Od razu?

— Ależ tak — rzekł z roztargnieniem. — Wrócimy jak zwykle, w tym samym momencie, w którym opuściliśmy twój instytut. Naturalnie, z punktu widzenia kogoś, kogo tam zostawiłeś.

Nie zostawiłem tam nikogo prócz siebie. Tym bardziej miałem do kogo wracać. No dobrze. Skoro jest taki pewny... Ostatecznie jego fruwającej ciemności rzeczywiście nic nie mogło się stać i faktycznie musi być fantastycznie zaprogramowana. Najpierw sama przyleciała po nas z dachu do tego zaułka, a następnie bezpiecznie, przez ileś tam lat świetlnych, przywiozła nas aż tutaj.

Przywiozła nas tutaj...

Ale dlaczego tu jest pusto?

Uspokojony co do własnej przyszłości rozejrzałem się ponownie. Doskonale pamiętałem twórczy rozmach miejscowych ludzi, ich optymizm, ich niezachwianą wiarę w ideę podjętego dzieła, na skalę wszystko ogarniającego bóstwa.

Nie zostało nic. To znaczy, owszem, zostały budowle. Wspaniałe, monumentalne, o nieskazitelnie pięknych liniach, wyciągające strzeliste dachy i wieże ku jasnemu niebu. Ale u ich podnóża zalegała cmentarna cisza. Gmach banku genów, wówczas wyłaniający się zaledwie z fundamentów, stał gotowy i zacieśniał panoramę, jaką wtedy miałem przed oczami. Inne wolne parcele także już nie istniały. Dzieło budowy zostało zakończone. I skończyła się ludzkość.

W powietrzu panował absolutny bezruch. Było kryształowo przejrzyste, ale najślabszy

wiatr zmieniłby to w jednej chwili. Wszystko wokół, ulice, miniaturowe skwery, załomy ścian i stropów, pokrywała gruba warstwa drobnutkiego pyłu.

W tamtej bocznej uliczce kiedyś bawiły się dzieci. Mimo woli wytrzymałem słuch, pragnąc wyłowić bodaj najslabszy dźwięk świadczący o obecności życia, choć doskonale wiedziałem, że niczego nie usłyszę. Ten glob był martwy jak grób kosmonauty na asteroidzie.

Wystarczyło zobaczyć jego jeden przypadkowo wybrany skrawek, by pozbyć się wszelkich złudzeń. Są rzeczy, co do których nie sposób się pomylić.

A jednak, gdy tak nasłuchiwałem, dobiegł mnie ledwie uchwytny dźwięk. Czy raczej przydźwięk. Brzęczenie basowych strun w ogromnym instrumencie, przy pustej widowni i pod nieobecność muzyka, który mógłby tych strun dotykać. Znałem ten głos. Zwrócił mi na niego uwagę Żłoty. Powtarzał: Omega, Omega.

Ostatnia.

Która byłaby moja Ziemia? Gamma? Delta? Epsilon?

Przedostatnia, Psi?

W ogóle poza kolejnością? Poza przestrzenią, czasem i ich prawami? To jest, ich prawem, ponieważ stanowią jedność?

Na pewno nie. Poza przestrzenią i czasem nie istnieje nic. Może jakiś Bóg, ale nie z własnego wyboru. Stracił kontakt z tym, co powołał do bytu. Rozsypały Mu się struny.

Tu, na wprost mnie, w odległości kilku kroków, stał energiczny, promieniejący pewnością siebie człowiek i roztaczał przed obcym przybyszem olśniewającą wizję realnej, wiecznej szczęśliwości, którą to wizję przekuwała w czyn jego wspaniale rozwinięta cywilizacja, i w czym on sam miał swój dokładnie określony udział. Ten udział stanowił sens jego życia.

Kiedy to było?

Teraz ja spytałem, co się stało, wskazując zabudowaną pomnikami pustynię.

— Z nimi? — wzruszył ramionami. Wyginęli. Kosmos kryje niejedną zagadkę. Trafiają się wśród nich naprawdę osobliwe i ciekawe. Natomiast to, że pewne cywilizacje się rodzą, a inne giną, należy do zjawisk dosyć powszechnych. Dla mnie ten glob oznacza po prostu dogodny punkt tranzytowy. Jest zakodowany w aparaturze naszego pojazdu. Dlatego wylądowaliśmy właśnie tutaj, choć wciąż nie rozumiem, czemu automatyczny pilot uznał za konieczne opuszczenie Ziemi... czyli, jak ty ją nazwałeś, Bety. Awaria nie wchodzi w rachubę. Musiało zaistnieć bezpośrednie zagrożenie. Włączył się system bezpieczeństwa i...

— Kiedy wylądowali? — przerwałem.

Znowu poruszył ramionami.

— Nie mam pojęcia — rzekł obojętnie. — Sądząc z wyglądu tych budowli niezbyt dawno.

Może sto lat temu. Może dwieście, lub trzysta. Czemu?

Przyjrzałem mu się bardzo uważnie. Wiedziałem przecież, że on, Złoty i ja należymy do różnych światów. Wiedziałem, ale ta prawda jakoś nigdy w pełni nie docierała do mojej świadomości. Poza tym łączyło nas tyle podobieństw. Lecz oto na scenę wkracza historia. Historia. Czas, doprowadzony do określonego punktu, wspólnego dla wszystkich. I okazuje się, że taki punkt nie istnieje. Leży zawsze gdzie indziej.

Dotąd w pewien sposób bliższy był mi Złoty, śmieszne. Cóż to takiego: bliższy, dalszy?

Jakie jest wzajemne położenie naszych punktów w czasie? Kiedy u boku Złotego widziałem tę planetę żywą? Kiedy patrzę na nią martwą wraz ze Stalowym? Kiedy jestem teraz tutaj dla siebie?

— Byłem już raz w tym miejscu — odezwałem się spokojnie. Stałem na tym właśnie placyku.

— Tak? — przyjął to bez zdziwienia. — Pewnie ze Złotym?

Potwierdziłem skinieniem głowy. Następnie zrelacjonowałem mu zwięźle, co tu widziałem

i usłyszałem. Także i to nie poruszyło go w najmniejszym stopniu.

— Możliwe — bąknął. — Całkiem możliwe.

Jasne. Cóż zwykleszego, że pustynny piasek kosmosu zagarnia jakąś kwitnącą oazę. I że człowiek odwiedza bezludne miejsca, które pamięta jako tętniące życiem. Na przykład te, w których się urodził, pierwszy raz kopnął piłkę i pierwszy raz poszedł na randkę. Bezludne miejsca. Nie ma mieszkańców Omegi? Zatem, czy... zagłuszyć tę myśl. Zagłuszyć, zanim się rozpanoszy i nakryje mi głowę całunem, tysiącrotnie czarniejszym niż ten, którego użył Jałowiec.

— Jak sądzisz — zapytałem — dlaczego oni wyginęli?

— Nie wiem. Z tego, co mi przed chwilą opowiedziałeś wynika, że prowadzili grę o wieczność. To znaczy, że walczyli z entropią. Może, choć to co najmniej mało prawdopodobne, przypadkiem im się udało? Ustaje entropia, ustaje chaos, ustaje życie. Mówisz, że próbowali łączyć fundamentalne cząstki przestrzeni. Ale te cząstki biegną przecież z szybkością światła, a sama przestrzeń kurczy się w kierunku ich ruchu. Wam, na twojej Ziemi, uciekł w ten sposób czwarty wymiar i dopiero nowoczesna nauka w pewnym stopniu go wskrzesiła. A ile wymiarów mogło uciec im, zapatrzonym, jak powiadasz, we w s z y s t k o ? Przy czym oni nie zorientowali się w porę. Byli zbyt zaabsorbowani swoją ideą. U nas rzekoma niezawodność...

Wsiadł na swojego konika. Niech sobie na nim galopuje beze mnie.

— Tak niewiele im brakowało — zauważyłem.

— To prawda — przytaknął drwiąco. — Właśnie widzisz, jak bardzo niewiele.

Ile ruchów przyśpieszają moi ziomkowie? Odzyskali czwarty wymiar? No to kiedy uciekną im wszystkie cztery, z prędkością światła? Właściwie, dlaczego ja z nim rozmawiam? Przecież nic nie wie. Niczego nie rozumie. A jeśli oni, dajmy na to, popełnili zbiorowe

samobójstwo? Pojęli, że nie osiągną wiecznej syntezy, ale poczucie godności nie pozwoliło im szukać wyjść pośrednich? To byłoby rozwiązanie, przemawiające jeśli nie do rozumu, to przynajmniej do wyobraźni. Może Złoty miał rację? Może śmierć panowała tu już wtedy, gdy cała planeta kipiała gorączkowym życiem? Widać nie da się związać szczęścia z czasem. Następuje kolaps i coś lub ktoś przekształca się w swoje własne przeciwieństwo. Oni budowali. Co jest przeciwieństwem budowy?

Bzdury. Katedry najspokojniej stoją, jakby nigdy nic. Są imponujące, potężne i piękne. A że nikogo nie ma?

Rzeczywiście, bzdury. Goethe twierdził, że w naturze nie zdarza się nic, co by nie miało związku ze wszystkim. Potem był Steiner, który przypomniał mi się, gdy bawiłem tu pierwszy raz. To u nas. A u nich? Jak brzmiało twierdzenie ich Goethego, skwapliwie podchwycone przez całą ludzkość?

Co właściwie chodzi mi po głowie?

Cholera, jak tu straszliwie pusto.

— Istnieje jeszcze jedno wytłumaczenie — odezwał się niespodziewanie Stalowy — i to wiele prostsze. Wspomniałeś, że nie latali.

— Nie — potwierdziłem. — Odniosłem wrażenie, że byli na to za dumni. Chcieli kosmos sprowadzić do siebie.

— Już to by wystarczyło — skonstatował. — Zaszło jednak coś znacznie bardziej, że tak powiem, zwykłego. Kiedy doktor Iwo tłumaczył mi, dlaczego musi podejmować eksperyment w celu ratowania twojej Ziemi, jako ilustrację jednego ze swoich argumentów wymienił

Wyspę Wielkanocną. Znasz taką?

Pewno, że znałem. Powiedziałem mu to. Skinął głową.

— Jest ponoć opuszczona i nieurodzajna. Liczni niegdyś mieszkańcy zniknęli. Zostawili

po sobie pomniki, których zagadki do dziś nie rozwiążali wasi badacze. Wznosząc je wycinali palmowe lasy, bo były im potrzebne kłocę do transportu i ustawienia monumentów. Dziś nie ma tam palm ani wody, ani ludzi, lecz są pomniki. Ci tutaj wznosili budowle, mające stanowić duchowy pomost łączący ich z kosmosem. Pięknie, ale przecież nie używali w charakterze budulca substancji duchowej, tylko tworzyw, metali i pokruszonych skał, wydartych planecie. Banki genów? Cóż za niedorzeczność! Banki, które trzymałyby pieniądze w sejfach i nie puszczały ich w obieg, po tygodniu poszłyby z torbami. Majątek musi przynosić procenty. A jeśli przestaje procentować życie? Naturalnie, wszystko to są jedynie moje przypuszczenia. Co więcej, w gruncie rzeczy niezbyt interesują mnie losy tego globu — wyznał na zakończenie, z nieukrywaną ulgą, Stalowy. Zbuntowany, ale Stalowy. Przypomniałem sobie smutne oczy Złotego, stojącego w tym samym miejscu, w którym on teraz.

Słońce świeciło jak wtedy. Było ciepło, pogodnie, jasno. A mimo to od tych wspaniałych budowli biło upiorne zimno. Pomniki. Będą tak stać przez wieczność?

To jeszcze nie wiadomo.

— A więc — zmieniłem temat — czas jednak posiada kierunek? Przynajmniej dla konkretnej rzeczywistości?

— Tak — rzekł, nieco zaskoczony. — O co ci chodzi?

— O drobiazg. Zresztą, niezmiennie ten sam. Czy w tym momencie, tutaj, my dwaj, dla naszych rzeczywistości jesteśmy poza czasem?

— Ktoś postronny zapewne określiłby to w taki właśnie sposób. Choć w moim wypadku rzeczywistość...

Jego wypadek mniej mnie jakoś interesował.

— Ale w każdej chwili potrafisz mnie przenieść w mój czas?

Teraz zrozumiał.

— Naturalnie. Już o to pytałeś.

— A gdyby nastąpiła, dajmy na to, awaria?

— Musiałaby to być nie awaria, lecz katastrofa. I to na skalę... o — zatoczył dłonią półkole — mniej więcej taką.

— Takie też się zdarzają.

— Owszem.

— Wracajmy, dobrze?

Zawahał się. Przez parę sekund nad czymś się zastanawiał. Na szczęście nie dłużej niż przez parę sekund.

— Myślę, że już możemy — rzekł. — Chodź — jak zwykle w takich sytuacjach wyciągnął do mnie rękę. Bardziej ochoczo niż kiedykolwiek pozwoliłem mu się wciągnąć w sześcian ciemności.

Był uparty jak muł. Błysnęło. Przez mgnienie dostrzegłem niewyraźne zarysy uliczki bez chodników, za to ze znajomymi sklepami. Następnie znowu wpadłem w nicość. Światło ukazało się jeszcze dwa lub trzy razy. Próbował. Nie był z tych, co łatwo dają za wygraną. Ale nie wygrał.

Zrobiło się jasno i teraz ta jasność nie była już przelotna, jak refleks w uchylanym oknie.

Zobaczyłem zielone krzewy, trawniki, ścieżkę, puste miejsce po ściętym drzewie i odsłoniętą kopułę pawilonu. Błyskawicznie skoczyłem przed siebie, długimi susami oddalając się od miejsca lądowania. Jeszcze się na dobre nie zatrzymałem, gdy za mną zabrzmiał bardziej zdziwiony niż urażony głos:

— Co się stało...?

Złapałem równowagę, odetchnąłem głęboko swojskim powietrzem i obejrzałem się.

— Nic — powiedziałem. — Absolutnie nic. Zrobiłem, co chciałeś. Byłem z tobą w twoim świecie. Nie moja wina, jeśli tym razem wyjątkowo nic z tego nie wyszło. Cześć — odwróciłem się i szybko ruszyłem w stronę zwirowanej ścieżki.

Nie odpowiedział.

Nie spotkałem go już nigdy więcej, tego błędnego rycerza, walczącego ze smokiem niezawodności.

XXVI. ZIEMIA DWA. TRZY

Znowu na ścieżce. Zielona strzałka, za nią zakręt, dalej małe wzniesienie. Na wzniesieniu drzewa, w ich cieniu pole azalii. Po drugiej stronie kilka kwitnących hibiskusów. Całkiem przyjemny labirynt. Azalie wydawały ciężki, bagnisty zapach. Tak pachną zapuszczone sadzawki i zaskrońce. Musiałem je łapać jako zupełnie młody chłopiec. Ale na pewno nie robiłem im krzywdy.

Wszedłem w ten zapach, znalazłem się w chłodnym cieniu i zniknąłem.

XXVII ZIEMIA MINUS IKS. OSIEM

XXVIII. ZIEMIA DWA. TRZY (C.D.)

Odnalazłem się na ścieżce zmiętoszony i zgorzkniały. Była to gorycz nie tylko wewnętrzna. Czułem ją w ustach, jakbym rozkruszył zębami jakąś pigułkę. Zszedłem ze ścieżki, usiadłem na trawie i chwilę siedziałem nie ruszając się i nie myśląc o niczym. Było ciemno. Na niebie dogasała jeszcze purpurowa warstewka wieczornej mgły, ale ziemię okrywał mrok. Zmarnotrawiłem dzień. Co ja plotę. Dzień? Tam upłynęło ich lichy wie ile. A tu nie zmarnowałem ani minuty. Pracowałem.

Przełknąłem ślinę i wstałem. Co mi tam, jedna gorzka pigułka mniej, jedna więcej. Muszę się tylko czegoś napić, żeby przepłukać gardło. Muszę się także przespać.

Ruszyłem na przełaj w stronę domu. Mimo ciemności, tym razem nie błądziłem długo.

Wstępując na pierwszy stopień zatrzymałem się nagle. Przypomniałem sobie, o co prosił Złoty i co mu odpowiedziałem.

Skrzywiłem się. Myśl o czyimkolwiek towarzystwie była dla mnie w tej chwili nie do zniesienia. Postąłem tak kilkanaście sekund, po czym machnąłem ręką i wszedłem. Wewnątrz zawołałem. Nikt się nie odezwał. Zawołałem głośniej. Cisza. Nie było go. Miałem swój dom dla siebie.

Przecież wiedziałem, że go nie będzie.

Wypiłem dużą butelkę wody mineralnej, zrzuciłem ubranie i skierowałem się do łazienki.

Kąpiel nie przywróciła mi nastroju sprzed iluś tam dni. Czułem się ni tak, ni siak. Moje nerwy reagowały opieszale, a właściwie nie reagowały prawie wcale. Twarz miałem nabrzmiąłą i jakąś nieswoja. Jakby wyrwano mi ząb i jakby wciąż jeszcze działało znieczulenie.

Zgasiłem światło, położyłem się, narzuciłem na nogi koc, lekki jak płachta gazy i zasnąłem.

Znałem to miejsce i ten krajobraz. Rzeka w rezerwacie, wypływająca spod niedalekich gór. Tutaj już dość szeroko rozlana, tocząca się po wygładzonych, płaskich kamieniach. Na tym brzegu, na którym stałem, kamienie ciągnęły się rozległym białym pustkowiem i dopiero pod dalekim przeciwpowodziowym nasypem wpełzały pod poduszki trawy i ziół. Sam nasyp był zasłonięty krzakami wikliny. Wśród nich rosło kilka pochyłych wierzb. Na granicy kamieni i trawy, częściowo ocieniony, znajdował się turystyczny stoliczek wraz ze składanymi fotelikami. W jednym z nich ktoś siedział. Dopiero co musiałem tam być. Czuję jeszcze zapach wikliny, zmieszany z zapachem mięty, kwitnącej między krzakami, na miniaturowych polankach. Ale tu, gdzie stałem teraz, pachniała jedynie rzeka. Rzeka i obmywane przez nią, a następnie szybko wysychające na słońcu otoczaki. Drugi brzeg był nieco wyższy, trawiasty i podmyty. Stanowił małe, gliniaste urwisko, na które jednak można się było wdrapać bez najmniejszego trudu. Dalej ciągnęła się łąka, żółta od kwiatów. Za nią zaczynały się sady i ogrody, należące do domów, których dachy wystawały spomiędzy drzew. Potem nie było widać już nic, dopiero grzbiety gór na widnokręgu. Rzeka śpiewała swoją pieśń. Panował idealny spokój. Po tej stronie, za moimi plecami, nie było żadnych domów.

Wiedziałem, że bardzo często przyjeżdżam w to miejsce, w świąteczne lub przedświąteczne dni. Czy sam? Nie. Przy tym stoliku zostawiłem kogoś, kto zawsze mi towarzyszył. Annę?

Nie oglądałem się w tamtą stronę. Patrzyłem gdzie indziej i na kogo innego. Bo tu, tuż nad wodą, też nie byłem sam. Jakieś pięćdziesiąt metrów na prawo stał łysawy mężczyzna w średnim wieku, z twarzą, której barwa świadczyła, że niezbyt często wystawia ją do słońca. W przeciwieństwie do mnie patrzył przed siebie i tylko przed siebie. Cały czas. Stał tak i patrzył już co najmniej kwadrans. Spoglądał na przeciwny brzeg, na łąkę pełną kwiatów, drzewa, dachy i góry.

On również nie przybył sam. I za nim, ukryty w wiklinie, widniał składany stolik z fotelikami, zajętymi przez jedną czy dwie osoby. Były to chyba kobiety, młodsza i starsza. Znowu w jakiś niezrozumiały sposób wiedziałem, że ilekroć tu jestem, ten mężczyzna niezmiennie stoi w tym samym miejscu, spoglądając przez rzekę na drugi brzeg. Potrafił tkwić tak całymi godzinami.

Rzeka była płytka. Nawet tam, gdzie toczył krótkie, strome fale jej główny nurt, blisko owej gliniastej skarpy, woda mogła sięgać najwyżej do kolan. Nieraz długo w niej brodziłem, przechodząc tam i z powrotem, z przyjemnością stąpając po oślizłych kamieniach. Znałem także tę łakę naprzeciw. Ale człowiek, zamarły w bezruchu na prawo ode mnie, nie był tam nigdy. Nigdy nawet nie zamoczył nóg. Tylko stał i patrzył.

W tym momencie od stolika, przy którym znajdowało się jego towarzystwo dobiegł niezbyt głośny okrzyk. Mężczyzna drgnął. W następnej chwili stało się coś zdumiewającego. Trochę przysadzista, niezbyt zgrabna postać samotnego wypatrywacza rozdziwiła się. Jedna z dwóch powstałych w wyniku tego zjawiska osób ruszyła w stronę, z której dobiegł ponaglący okrzyk, natomiast druga weszła w wodę i prosto jak strzełił podążyła ku przeciwległemu brzegowi. Z tym, że w kierunku turystycznego stoliczka udał się mężczyzna z krwi i kości, a rzekę przekroczył jedynie jego cień. Niewyraźny, ruchomy kontur, wypełniony chmurą. Mimo to ten zamazany cień wydał mi się jakiś jakby radosny. Żywy mężczyzna nie.

Zbudziłem się i jakiś czas patrzyłem w sufit, jakbym przez dach kopuły mógł widzieć niebo, przez niebo nieskończoną przestrzeń, a w niej błędzące tam od wieków cienie ludzkich myśli.

Jeszcze jeden sen.

Czy takie i podobne bajki opowiadałem dzieciom Stalowych, mącąc ich umysły,

konsekwentnie i metodycznie zaprawiane do kontynuowania budowy niezawodnej cywilizacji?

Zakląłem na głos, szkaradnie, jak nigdy. Nie lubiłem wyrazów, których nie znały moje prababki, a ich córki uznałyby za skrajnie ordynarne. Posługiwałem się współczesnym językiem, więc pewnie nieraz upraszczałem sobie sposób wyrażania myśli, jak to dziś robią wszyscy. Ale nie lubiłem tych słów, dawno już usankcjonowanych zarówno przez filologów jak i krytyków literatury pięknej. Jeden lubi, drugi nie lubi. Co, nie wolno? Tego, co teraz mi się wyrwało, nie powtórzyłbym na głos nawet będąc sam na sam z Kobrą.

Wstałem, ogoliłem się, wysuszyłem kolejną butelkę wody mineralnej, rozwaliłem trzonkiem kuchennego noża kostkę koncentratu i wrzuciłem sobie do gardła garść suchych okruchów. Zanim włożyłem spodnie i bluzę, strzepnąłem je z całej siły, co miało zastąpić pranie. Następnie wyszedłem z domu. Przemknęło mi przez głowę, że tym razem Złoty już na pewno nie przepuści okazji i znowu umieści swój niewidzialny pojazd na drodze, którą muszę przejść. Na najniższym stopniu zobaczyłem jednak nie Złotego, tylko Helenę. Wyjątkowo nie siedziała z twarzą ukrytą w kolanach, lecz stała zwrócona prosto w stronę drzwi.

— Dzień dobry — powiedziała cicho, kiedy zatrzymałem się przed nią. — Przepraszam, że przyszłam. Doktor Iwo kazał mi to doręczyć — podała mi niewielki zadrukowany arkusik.

— Co to jest?

— Chyba wezwanie...

Witaj nowy, słoneczny dniu. Spiżowy dźwięk krzywuł wzywa mnie do boju. Zjawię się w samą porę, rozplątam siedem głów i wrócę jako bohater. Zawsze przecież wracam z tarczą.

Niewiele brakowało, a zza zagrody moich zębów ponownie wypłynęłoby słowo skrzydlate.

Przełknąłem je jednak bezgłośnie, przybrałem niedbałą pozę, wziąłem od dziewczyny papierek i przebiegłem go wzrokiem. „Biuro Emigracyjne wzywa takiego a takiego do

stawienia się w tym a tym dniu o godzinie...”

— Którego dziś mamy? — spytałem. Okazało się, że właśnie tego.

— Za kwadrans będzie tu helikopter instytutu — poinformowała mnie Helena. — Do lotniska jest najwyżej dziesięć minut drogi.

Chwilę milczeliśmy oboje. Nagle uniosła głowę i spojrzała mi w oczy.

— Czy to z sądu? — wykonała nieznaczny ruch dłonią w stronę karteczki, którą przyniosła.

— Nie przeczytałaś po drodze? — zrobiłem zdziwioną minę, po czym dramatycznym gestem rozłożyłem ramiona. — Nie ma już prawdziwych kobiet. Nie. Nie z sądu.

— Myślałam... — była bardzo blada, ale nie spuszczała ze mnie wzroku. — Miał pan... miałeś — poprawiła się z przymusem — rodzinę... — zawiesiła głos.

— Podobno — potwierdziłem.

— Dlaczego...?

Powinienem się roześmiać i podchwycić z przekornym błyskiem w oczach: dlaczego miałem rodzinę? Ale jakoś wypadłem z roli. W dodatku najzupełniej nieoczekiwanie zapragnąłem znowu poczuć bliskość jej rozgrzanego ciała. Wdychać jej oddech. Zanurzyć wargi w jej włosach i co tam się jeszcze robi w tych szczególnych okolicznościach. „Kochasz mnie”. Cholera. A teraz następne pytanie, kto wie czy nie lepsze. Przy tym zadaje je wcale nie dlatego, by uważała, że zdobyła sobie do tego prawo. To wyczułbym do razu. I wtedy bez trudu zdołałbym się roześmiać.

— Pomyliły nam się znaki — wyjaśniłem. — A może czasy. Po prostu, awaria.

— Dzisiaj to także tylko pomyłka? — szepnęła, ponownie wskazując kartkę, z której zdążyłem już ugnieść w palcach mokrą od potu kulkę.

— Bo ja wiem — uniosłem brwi. Przyjrzałem jej się. Jak na tak śliczną dziewczynę

zadziwiająco małą wagę przywiązywała do strojów. Wciąż nosiła tę samą białą sukienkę. Tę samą lub taką samą. Z szyi zwisał jej srebrny łańcuszek. Już tylko jeden. Ten drugi, ważniejszy, przestał być potrzebny.

Zastanowiła się, po czym powiedziała coś, co wprawilo mnie w osłupienie.

— Może nie ma prawdy — mówiła bardziej do własnych myśli niż do mnie, lecz ani na moment nie odwracała swoich oczu od moich. — Może jest dla nas nieosiągalna — jeśli wiedziałem, o co jej chodzi i ku czemu zmierza, to niech ze mnie zrobią złoty pantofelek i powieszą na pięciopiennym kolczastym baobabie. — Ale czy nie czujesz, że potrzebujemy drogi do niej? Tak całkiem zwyczajnie? I że w głębi duszy doskonale zdajemy sobie sprawę, co warta jest cała reszta...?

— Niewiele się nauczyłaś od swoich mistrzów — orzekłem, właściwie zupełnie szczerze. Bo tego, co kryło się za jej słowami, obojętnie, czy rozumiałem, czy nie rozumiałem, co by to nie miało być, z całą pewnością nie wyniosła z pawilonów, w których królował Jałowiec i Kobra. — Mimo to i tak jesteś dla mnie za mądra.

— Na pewno nie jestem mądra — odparła z nikłym, żalonym uśmiechem. — Ale czegoś się jednak nauczyłam. I od nich i od ciebie — dodała, bez śladu rumieńca na jasnozłocistych policzkach. — Tylko nie umiałabym tego sprecyzować... sama dla siebie, a co dopiero, gdyby przyszło mi o tym mówić. Chyba odejdę z instytutu — zakończyła, znowu dość zaskakująco.

Przyglądałem jej się przez kilka sekund, myśląc, rzecz oczywista o sobie. Odejść z instytutu? Ba, ale dokąd? A co się tyczy tej dziewczyny, to nie ulega kwestii, że nie ja ją, lecz ona mnie mogłaby wiele nauczyć. Więcej niż Jałowiec, Kobra, Złoty, Stalowy i nie istniejący budownicowie nieśmiertelności z Omegi razem wzięci. Więcej, niż byłby zdolny pomieścić mój genialny mózg. W każdym razie o wiele za dużo.

Może to nie tak, że ona czegoś by mnie nauczyła. Może nauczyłbym się dzięki niej. To i to samo, i nie całkiem to samo. Tak czy owak nie potrzebowałem tego. Nie życzyłem sobie.

— Zdaje się, że już minęło tych piętnaście minut — powiedziałem swobodnie, schodząc po stopniach w dół. Przepuściła mnie bez słowa i nie poszła za mną.

Na polanie istotnie czekał helikopter ze znajomym ciemnowłosym pilotem, sprawiającym wrażenie padającego ze znużenia i na moje szczęście wybitnie małowównym. Zawiózł mnie na lotnisko, gdzie przesiadłem się do aerobusu. Czterdzieści minut później wylądowałem na drugiej półkuli i po raz pierwszy musiałem za pomocą znaczka tożsamości uszczuplić nie znany mi stan mojego konta. Wynająłem mianowicie taksówkę i kazałem automatycznemu kierowcy jechać do Biura Emigracyjnego. Wsiadłem przed wielką bramą, bo dalszą drogę do budynku, w którym przyjmowano interesantów, należało odbyć pieszo. Była zastrzeżona dla pojazdów służbowych. W drzwiach musiałem pokazać wezwanie ponuremu drabowi w mundurze, z okrągłym emblematem, przedstawiającym skrzydlatą piłkę futbolową. Może to zresztą miał być Mars, albo Uran, albo Duch Święty we własnej osobie. Drab obejrzał wymiętoszoną kartkę z wezwaniem, spojrział na mnie z odrazą i burknął: — Tam, gdzie wtedy.

Przybrałem wyraz twarzy człowieka tak zajętego, że wylatują mu z głowy nawet fakty, których nikt normalny żadną miarą nie może zapomnieć.

— Pokój numer sześć — rzucił.

— Naturalnie! — uderzyłem się dłonią w czoło i szybko poszedłem długim korytarzem.

Niepotrzebnie się rozpędziłem. Pokój numer sześć był drugi z kolei. Wszedłem i zobaczyłem siedzącego za biurkiem szpakowatego mężczyznę z końską twarzą, który wyglądał na jeszcze bardziej zapracowanego niż ja. Podniósł niechętnie głowę i patrzył na mnie bez entuzjazmu.

Podszedłem i podałem mu sponiewierany druczek.

— A — rzekł. — To pan. Dobrze — postukał w klawiaturę komputera i odczytał coś, co ukazało się na ekranie, który miał przed sobą. — Początek egzaminu jedenasta pięćdziesiąt pięć, sala numer dziewięć — oznajmił. — Komisja lekarska w hali symulatorów dwunasta trzydzieści. Drugi etap egzaminu trzynasta czterdzieści pięć. Sala siedemnaście. Wyniki prześlemy do domu. Ale — spoglądał badawczo w ekran — w pańskiej dokumentacji istnieją pewne luki. Proszę — wstał, odszedł od biurka i nakazał mi gestem, bym zajął jego miejsce. — Niech pan siada i jeszcze raz pisze życiorys.

Obszedłem biurko, spojrzałem w ekran, z którego zniknęło już wszystko poza moim imieniem i nazwiskiem, spojrzałem na klawisze komputera, czekające, bym zaczął ich dotykać biegłymi palcami i nagle wybuchnąłem niepoohamowanym śmiechem. Wyczyniałem cuda ze swoją twarzą. Dokonywałem nadludzkich wysiłków, by wziąć się w garść. Nic nie pomagało. Ryczałem jak oszalały. Łzy ściekały mi po policzkach, zmętniałymi oczami ledwie dostrzegałem rozmazaną sylwetkę urzędnika, skamieniałego w nienaturalnej pozie koło biurka, zataczałem się, rzeziłem z braku tchu i śmiałem dalej. Wreszcie dostałem czkawki i dopiero to mnie uciszyło. Życiorys! Życiorys! — powtórzyłem sobie w duchu i na nowo zaniósłem się przerywanym chichotem. W końcu jednak jakoś udało mi się opanować. Z grubsza otarłem twarz i powiedziałem:

— Przepraszam.

Chwilę panowało milczenie.

— Pan jest niedysponowany — przerwał je wreszcie elegancko funkcjonariusz Biura Emigracyjnego. — Pan się nie nadaje — dorzucił ostrzej. — Myślę, że darujemy sobie egzaminy. Chciałbym jedynie wiedzieć, co miało znaczyć to — ostrożnie zbliżył się do biurka i sam, zamiast mnie, uruchomił komputer. Zacząłem czytać. Na ekranie przesuwaly się linijki rozsądnie i logicznie uargumentowanego podania Marka Halnego, który pragnął opuścić

Ziemię i podjąć pracę w którejś z baz satelitarnych. Dane: inspektor, nienaganny przebieg służby. Absolutnie zdrowy. Wszechstronne wykształcenie, wszelkie wymagane kwalifikacje. Motywy: od dziecka marzył o kosmosie. Przygotowywał się starannie i metodycznie. Nie ma przeszkód natury osobistej. Brak rodziny (a Anna?). Jeszcze dużo podobnych słów.

A więc chciałem opuścić Ziemię i zamieszkać w przestrzeni. Kiedy? Dlaczego? Miałem dość Jałowca i jego eksperymentów? Własnej obcości, na własnej planecie? Dokładnie przebadałem swoje życie, wszystko przemyślałem i zrozumiałem, że zostało mi jedno wyjście: ucieczka? Zapewne przed samym sobą? Nie mogłem nie wiedzieć, że taka ucieczka jest niemożliwa. Wtedy nie nosiłem jeszcze przecież tłumika na fenomenalnie rozwiniętym mózgu. Podanie napisałem mądrze i przekonująco. Kłamałem od początku do końca?

Napisałem je nie mądrze, a po prostu sprytnie?

Teraz i tak przepadło. Czy żałuję? Ani trochę. To prawda, że się zmieniłem i zmieniam.

Niemniej pragnę zostać tu.

Odszedłem od biurka, już spokojny i cichy jak popiół po ognisku i jeszcze raz powiedziałem: — Przepraszam. Następnie oświadczyłem: — Wycofuję podanie. Ma pan rację. Nie nadaję się.

Potrząsnął głową.

— Przysporzył nam pan niepotrzebnie pracy — rzekł surowo, ale bez złości. — Czy pan wie, ile dostajemy podań? Tysiące. Traktujemy je wszystkie w sposób wysoce odpowiedzialny. Segregacją zajmuje się kilka zespołów dysponujących najnowszymi komputerami. Spośród chętnych zaledwie jeden na stu otrzymuje od nas takie wezwanie, dopiero przecież wstępne, jakie wysłaliśmy do pana. A pan nagle... — wzruszył ramionami.

— Ciągle przychodzi tyle ofert? — spytałem współczującym tonem, żeby go udobruchać.

— Coraz więcej — mruknął. — Służba pozaziemska oznacza stabilizację. Bezpieczne

obiekty, chronione paroma niezależnymi systemami. Idealne powietrze, cisza, spokój.

Wygodne mieszkania, sztuczne ogrody, świetne wyposażenie, jednakowe dla wszystkich. Po dwóch latach pracy na orbicie przeniesienie na Księżyc, po pięciu możliwość osiedlenia się na Marsie. Wie pan, jakie miasta tam powstają i jakie się planuje. Nie trzeba o nic zabiegać, tylko dobrze wykonywać swoje obowiązki. Księżyc ani Mars nie stanowią celu dla nuklearnych głowic. Nie ma tam banków, giełdy, sklepów, presji posiadania —
uśmiechnąłem się nieznacznie. Dziwny urzędnik. Mówił niemal jak Jałowiec. — Ludzie po prostu są pewni jutra — ciągnął.

— Na Ziemi nie czują się pewni. Któż z nas tutaj jest w stanie uporządkować sobie własny czas, zachowując sferę intymności, czyli nie tracąc swojej ludzkiej tożsamości? Kolego inspektorze — zmienił nagle ton i spojrzał na mnie przenikliwie. — W tej chwili wygląda mi pan dokładnie na takiego faceta, jakiego pan opisał w swoim podaniu. Często zdarzają się panu podobne ataki jak ten przed paroma minutami? Stałem, uśmiechałem się i milczałem.
— Czy była to jedynie inscenizacja na mój użytek? — rzucił cierpko. — Wstydził się pan oświadczyć wprost, że zmienił pan zamiar? Dlatego odegrał pan scenę, po której musiałem dojść do wniosku, że mam do czynienia z typem, oględnie mówiąc, niezrównoważonym.

— Nie — powiedziałem już bez uśmiechu. — Naprawdę nie mógłbym za siebie ręczyć. To znaczy za to, że jestem typem idealnie zrównoważonym, spełniającym wszelkie warunki jakie wy, w tym biurze, uznajecie pewnie za niezbędne. Niczego przed panem nie odgrywałem. To nie była inscenizacja. Pan tego nie zrozumie, a ja musiałbym wyjaśniać bardzo długo i nie wiem, czy w efekcie zdołałbym cokolwiek wyjaśnić. Rozbawiła mnie kwestia życiorysu.

— Wydaje się panu, że w ten właśnie sposób odpowiedziałby mi ktoś nie spełniający warunków?

Nie odezwałem się.

— Jak pan sobie życzy — burknął zniechęcony. Wetknął kartkę z moim wezwaniem w jakiś aparat, umieszczony z boku biurka, po czym zwrócił mi ją z nieukrywaniem rozdrażnieniem. — Odda pan to przy bramie — rzekł krótko. — Oczywiście, obciążymy pana kosztami postępowania.

— Oczywiście — przytaknąłem. — Przepraszam — powiedziałem, nie wiem już po raz który, i wyszedłem.

Drab przy drzwiach odebrał ode mnie wezwanie z pogardliwym uśmiechem. Dla niego oblałem zaraz przy pierwszym podejściu. W gruncie rzeczy niewiele się pomylił.

Przed główną bramą, czekając na taksówkę pomyślałem, czemu, do jasnej cholery, wycofałem swoją kandydaturę. Urzędnik najwyraźniej zdradzał chęć zbagatelizowania mojego szaleńczego napadu śmiechu, a orzeczenie komisji lekarskiej z pewnością uspokoiłoby go do reszty. Naturalnie, na orbicie, czy w ogóle poza Ziemią, musiałbym się uczciwie zabrać do pracy. Tam nie można próżnować. I nie ma ptaków. Zresztą, może i są, w tych sztucznych ogrodach. Jednak prawdziwy powód tkwił gdzie indziej. Co było tym powodem?

Nie miałem bladego pojęcia.

Ludzie chcą uciekać. W obronie swojego czasu lub przed nim. Przejadły im się wytyczone dróżki? Miasto? I tak zostaną w labiryncie. Kto dziś zna kasydy Szanfary? A w ogóle, mnie to nie dotyczy. Ja mieszkam w pięknym, cichym rezerwacie. Gdzie mi będzie lepiej?

Poza tym na dzisiaj dosyć się już nawojowałem z własnymi myślami. Czołem, mój drzemiący mózdzku.

Na lotnisku musiałem czekać na połączenie prawie godzinę. Na szczęście przypadkiem zapamiętałem nazwę mojego dzielnicowego portu lotniczego. W przeciwnym razie znowu miałbym co najmniej jedną zabawną rozmowę.

Kiedy wylądowałem, już po zachodzie słońca, pilot instytutu był na miejscu. Spytał, jak mi poszło. Odpowiedziałem, że nie mogło pójść lepiej i na tym wymiana zdań pomiędzy nami się skończyła. Z polany wolnym krokiem udałem się prosto do mojej prywatnej kopułki.

Złotego wciąż nie było. Ani przed domem, ani w środku.

Wziąłem prysznic i zacząłem chodzić po mieszkaniu. Zatrzymałem się przed półką z czterema książkami. Przemądrzałe bzdety. Zajrzałem do niskich szafek na poziomie podłogi. Puste. Usiadłem w fotelu i przymknąłem oczy. Natychmiast otwarłem je na powrót, wstałem i znowu przespacerowałem się po zielonkawym wnętrzu. W pewnym momencie przystanąłem i utkwilem wzrok w telefonie. Podniosłem słuchawkę. Odezwał się wysoki, martwy głos: — Kompleks instytutów psychologii. Proszę podać numer. Kompleks insty... — odłożyłem słuchawkę i burknąłem coś pod nosem. Sieć wewnętrzna. Jasne. A niby z kim miałbym rozmawiać w Mieście? Ja?

Jak stałem, boso, w samych slipach, wyszedłem z domu i dość długo szukałem w mrocznym parku prawdziwego telefonu. Znalazłem go w końcu dzięki palącej się u jego podstawy słabej, matowej lampce. Zgłosił się automat dzielnicowej centrali. Poprosiłem o połączenie z Anną. Powiedziałem, że nie znam numeru i wymieniłem nazwisko. Chyba nie zdążyła go jeszcze zmienić. A nawet jeśli tak, w pamięci centrali musi być zapisany dawny abonent.

Była w domu. Gdzie? Nieważne.

— Dobry wieczór Anno — odezwałem się. — To ja, Marek.

— Dobry wieczór — odrzekła niepewnie, najwidoczniej zaskoczona i odrobinę zmieszana.

— Czy coś się stało?

— Nic — powiedziałem. — Tak sobie zadzwoniłem, bez żadnego celu. Jak się czujesz?

— Dobrze. Dziękuję — teraz ona powinna spytać co u mnie, jak ja się czuję i tak dalej.

Ale nie zrobiła tego. Zamilkła.

Milczałem i ja. Trwało to może minutę.

— Anno.. — mruknąłem wreszcie.

Usłyszałem westchnienie.

— Mogę cię o coś zapytać? — nagle uświadomiłem sobie, jak dla niej zabrzmiałoby to, co zaraz powiem, ale nie potrafiłem się przemóc i wycofać. Nie mogłem i nie chciałem.

— Proszę — rzuciła sucho.

— Czy my mieliśmy... to znaczy, czy mamy dzieci...?

— Och! — wykrzyknęła przejmującym, cichym głosem i odłożyła słuchawkę. Stałem jeszcze długą chwilę, zanim zrobiłem to samo.

Wróciłem do domu i poszedłem prosto do sypialni. Z brudnymi nogami, do kostek mokrymi od rosy uwalilem się na łóżko i dla urozmaicenia inteligentnie wlepiłem oczy w sufit.

Zasnąłem dopiero nad ranem.

Nic mi się nie przyśniło.

XXIX ALFA CZTERY. ALFA PIĘĆ. OMEGA TRZY

A jednak nawiedził mnie sen. Zjawił się, kiedy było już jasno i rozpromienił wnętrze mojej sypialni złotym blaskiem, jak odwiedziny Apollina. Otworzyłem oczy, a sen trwał.

— Przynieś mi śniadanie na złotej tacy — powiedziałem, zaspany. — Tylko czy potrafisz zrobić nie złotą kawę? Taką jak siekiera?

Patrzył na mnie ze smutkiem. Zamrugąłem oczami i oprzytomniałem.

— Byłeś tu cały czas? — spytałem, siadając na łóżku. — W domu?

Potrząsnął przecząco głową.

— Wracałeś do siebie?

Znowu zaprzeczył. Następnie rzekł cicho:

— Przecież wiesz.

— Stajesz się coraz bardziej enigmatyczny — stwierdziłem kapryśnie, sięgając po spodnie.

Gdy ogolony i wyświeżony wyszedłem z łazienki, nie było go już w sypialni. Zupełnie jak któregoś dnia, bardzo dawno temu, pewnej ślicznej dziewczyny. Uśmiechnąłem się i ruszyłem w stronę kuchni. Nie dotarłem jednak dalej niż na środek dużego pokoju. W tym samym ułamku sekundy zauważyłem, że okno stanowiące wycinek kuli i sięgające szpicem niemal szczytu kopuły jest na oścież otwarte, oraz że z powietrza sięgają po mnie dzisiaj aż dwie ręce naraz. Zanim zdążyłem wykonać unik, doznałem znajomego mrowienia, po czym zaczął się bezkres kolorowych kryształów. Wreszcie barwy zbladły, bryły roztopiły się w słońcu i ujrzałem złotą panoramę zaokrąglonych wzgórz z pastelowymi domkami.

— Chyba się nie zdziwisz, jeśli teraz usłyszysz ode mnie, że jesteś bydlę — wycodziłem.

— Zarzekałeś się święcie: nigdy więcej żadnych pułapek. A ponadto, bądź co bądź, byłeś moim gościem. Dokąd mnie wieszysz? Znowu do tego katowskiego sanatorium?

— Złamałem słowo i nie przepraszam — powiedział. — Nie, nie do sanatorium. Dzisiaj nic nie powinno się wydarzyć. Widzisz?

Trudno było nie widzieć. Niebo, dotąd jednolicie złote, raptem przestrzeliły dziesiątki barw. Jakby sama planeta otworzyła płomienisty wachlarz, sięgający gwiazd i mieniący się odcieniami wszystkich możliwych kolorów. W następnej chwili te światła zaczęły tworzyć płynne, przenikające się nawzajem obrazy i wzory.

— Co to takiego? — spytałem, mimo woli ujęty niezaprzeczoną pięknem widowiska.

— Iluminacja — odrzekł lakonicznie. — święto. Rocznica zwycięskiego buntu humanistów.

Utkwiłem wzrok w niebie. Coś mi te obrazy przypominały. Wpatrzyłem się uważniej i

przypomniałem sobie. Oczywiście. Tak właśnie rozpoczynali leczniczy seans Stalowi, pragnąc obnażyć przed moimi oczami całą ohydę nieposkromionej fantazji. Tam, naturalnie, tłem nie były przestworza. No i chodziło o osiągnięcie najdokładniej odwrotnego efektu. Niemniej podobieństwo istniało. I im dłużej patrzyłem, tym stawało się wyraźniejsze. Hm. — Wylądujemy obok trybuny honorowej — poinformował mnie mój Złoty. — Może uda ci się otrzeć o oficjeli...

— ... i troszeczkę na nich pooddziaływać — dokończyłem, kręcąc głową. — Jesteś niesamowity. Jak ostatni z rodu łososi, który uparcie wraca do tej samej rzeki, choć już sto razy musiał zawrócić, bo trafiał zawsze do oczyszczalni ścieków.

Pominał to milczeniem. Latający dzwon zwolnił i zaczął się zniżać.

Ominięło mnie spotkanie z oficjelami oraz dalsze punkty programu uroczystych obchodów.

Nasz przezroczysty kielich nie zdążył dotknąć powierzchni ziemi, gdy świat zniknął. Czarny piorun rozłupał mi czaszkę. Znowu pędziłem przez podskórny ocean odwróconych kryształów. Pojazd uderzył w jakąś przeszkodę. Cios był potężny. Przeleciałem kilkakrotnie między niewidzialnymi ścianami, odbijając się od nich jak wypchana kukła. Następnie upadłem na płaskie dno i udało mi się o coś zaczepić palcami. Na moment znieruchomiałem. Jednak chwilę później nastąpiło nowe uderzenie. Przeszło mi przez obolałą głowę, że wszechświat się zamknął, skurczył, i że wraz z kielichem Złotego walimy teraz o jego stale ciaśniejsze granice. Jeszcze jeden wstrząs. Nagle zrobiło się jasno. Zobaczyłem złote niebo. Oczy miałem pełne łez, ale poznałem krajobraz, który już tak mocno wrył mi się w pamięć. Pojazd leciał spokojnie i wolno, jak zawsze, kiedy cel był blisko. Nad Ziemią otworzył się wspaniały, kolorowy wachlarz światła. Aha, święto.

— Słuchaj — usłyszałem tuż przy sobie gorączkowy szept. — Słuchaj uważnie — jeszcze nigdy mój Złoty nie mówił takim głosem. — Słuchaj — powtórzył po raz trzeci. — Nie ma

czasu na wyjaśnienia. Za moment może mnie tu nie być. Na zawsze. Możesz zostać sam. Jeśli tak się stanie, nie wpadaj w panikę. Przeprogramowałem pojazd i przesunąłem jego aparaturę poza czas, jakiemu podlega już nie moja konkretna rzeczywistość, a ja sam, od dawna związany z nią jedynie sztucznym i wciąż na nowo odbudowywanym pomostem strukturalnym. Ale moja wiedza, moje możliwości i ilość dopuszczalnych kombinacji wyczerpały się. Dobiegłem kresu. Gdziekolwiek wylądujesz, odczekaj parę minut. Pamiętaj. Pęknięta, rozedrgana przestrzeń musi się uspokoić. A potem wracaj. Wystarczy, że wsiądziesz z powrotem do pojazdu i dotkniesz swojego znaczka tożsamości. Nic się nie bój. Niestety, tym razem nie mogę zagwarantować, że na twojej Ziemi zjawisz się w tym samym momencie, w którym ją opuściłeś. To wymagałoby większych i bardziej skomplikowanych przeróbek. Ale tak czy owak wrócisz do siebie... obojętnie skąd. Bądź pewny. Wrócisz. Ty masz dokąd. Ty wrócisz...

Były to jego ostatnie słowa.

Uderzenie, ciemność jak w wehikule Stalowego, potem ponownie kryształły. Znowu uderzenie i znowu kryształły, jakby przelatujące w przeciwną stronę. Jeszcze jeden brutalny wstrząs, światło, ciemność i nagle spokój.

Nie szybowałem nad złotymi pagórkami. Stałem. W jasnym słońcu, pod pogodnym niebem, w czystym powietrzu. Stałem i obiema dłońmi obejmowałem potłuczoną głowę. Cały byłem potłuczony i rozbity jak porcelanowa figurka, wyrzucona z dziesiątego piętra.

Wszystko miałem połamane. Kark, kręgosłup, biodra, barki, ręce, nogi.

Zaraz. Gdybym rzeczywiście połamał nogi, to nie mógłbym stać. A stoję. Odkrycie tego faktu dało mi do myślenia. Nadto im dotkliwiej przenikał mnie ból, tym jaśniej uświadamiałem sobie, że w przeciwieństwie do figurki, zrzuconej z okna na bruk, nadal stanowią niepodzielną całość.

Odjąłem ręce od głowy i dokładnie obmacałem się od stóp do ciemienia. Nic nie było złamane. Wobec tego ponownie zająłem się głową. Mocno ścisnąłem skronie pięściami. Ból przestał się wzmagać, a następnie zaczął ustępować. W porządku. Geniusz taki więcej na odwrót, brylant nie tyle czystej wody, co w wodzie, na głębokości niedostępnej dla najwytrawniejszych nurków, ale chłopisko zdrowe, że wierzyć się nie chce. Bez mała niezniszczalne. Przez ułamek sekundy przepełniało mnie uczucie dumy. Ułamek sekundy później duma ulotniła się jak zdmuchnięta.

Jestem sam. Złoty to przewidział. Zostawił mi swój pojazd. „Ty wrócisz...”

Wrócę?

Miałem trochę poczekać, żeby czas mógł się pozlepić na powrót, jak to przed chwilą miało miejsce ze mną. Dobrze. Poczekał.

W braku lepszego zajęcia zajmijmy się na razie topografią. Gdzież to mnie znowu na odmianę przyniosło?

Jakaś kamienista pustynia. Jak okiem sięgnąć zwietrzałe, pokruszone skały, martwe od tysiącleci. Nigdzie ani źdźbła trawy, ani kępki mchu. Ale na tym pustkowiu, dokładnie na wprost mnie stoi coś, co w żadnym razie nie może być dziełem natury. Resztki kosmicznej bazy? Stary bunkier, porzucony przez przedpotopowych astronautów? Nie, nie bunkier. Ta szara bryła, do połowy wysokości podsypana drobnym piargiem, posiadała niegdyś nadbudówkę. Sterczy z niej jeszcze zębaty kikut czworokątnej... to chyba była wieża. Może antena? Platforma obserwacyjna? Raczej jednak wieża.

Nagle coś mnie tknęło. Pustynia? Kamienista? Pustynia na pewno. Ale czy rzeczywiście powstała w wyniku rozpadu skalistych gór, wypiętrzonych ongiś przez przyrodę, w toku długiego procesu formowania powierzchni planety?

Koloryt nieba. Te dziwnie jasne obłoki. Zapach powietrza. Upał, wręcz żar, a mimo to

oddycha się swobodniej niż w ziemskim parku. Góry musiały tu być niskie i osobliwie regularne. Gruzy tworzą powtarzające się kopczyki o niemal identycznych podstawach. Ich zarysy...

Zaraz. Dlaczego pomyślałem: „gruzy...”?

Wstrzymałem oddech. Długo wlepiąłem wzrok w to coś, co w pierwszej chwili porównałem do starej, opancerzonej bazy. Następnie powoli obiegłem oczami pustynny krajobraz i jeszcze wolniej wypuściłem z płuc powietrze.

Już wiedziałem.

Gruzy. Gruzowisko.

Tu nigdy nie było skalistych gór. Były katedry. Ta kamienista pustka to są ruiny. Starsze od najstarszych piramid. Piramidy wciąż jeszcze stoją.

Znajdowałem się na Omedze. Kiedy? Co za pytanie. Wtedy, gdy właśnie tak wygląda. Cóż to może mieć za znaczenie, czy ten widok należy do zamierzchłej przeszłości, czy zaistnieje dopiero po śmierci ostatniego człowieka na mojej Ziemi. Teraz mam go przed sobą. Teraz. To jest zawsze i nigdy. Ale jest.

Po raz trzeci, w odstępie paru dni, stoję na Omedze. Najpierw obserwowałem życie w pełnym rozkwicie. Minęło kilkadziesiąt godzin i minęły epoki. Został głos kosmosu i nietknięte pomniki wymarłej supercywilizacji. Znowu kilkadziesiąt godzin i pomniki rozsypały się w proch, ponieważ każda z tych godzin, gdzieś, dla kogoś, też oznaczała epokę.

A może się mylę? Może biorę za rzeczywistość jedynie wytwory własnej, chorobliwie pobudzonej wyobraźni? Dopiero co przeżyłem przecież taki koszmarny wstrząs.

Opuściłem pojazd przez niewidzialną ścianę i zrobiłem kilka kroków w stronę ocalałych resztek owego nibybunkra. Przy jego prawym boku wznosiła się stroma pryzma gruzów. Tam musiała upaść wieża. Ale we frontowej ścianie wciąż widniały zmatowiałe, lecz nienaruszone

masywne drzwi, trochę przypominające wejścia do skarbców w bogatych bankach.

No i nic dziwnego. Bo to naprawdę był skarbiec i bank. Nie miałem żadnych zwidów. Z całą pewnością znajduję się na Omedze. A ten nie do końca rozwalony gmach przede mną, to nic innego jak bank genów.

„Nie jesteśmy samobójcami...”

Jakżeż lekko, z jaką pewnością i wiarą wypowiedział te słowa radosny, niestrudzony budowniczy pomostu, którym on i jego ziomkowie mieli przejść przez wieczność.

Tak musi wyglądać wypalone do ostatka piekło.

W pewnym sensie widok, jaki oglądałem stojąc w tym samym miejscu obok Stalowego, był bardziej okrutny i wstrząsający. Martwa Ziemia, pokryta bez reszty pysznymi katedrami, jeszcze wyciągającymi w górę strzeliste mury i wieże, barwne, czyste, jakby wczoraj zdjęto z nich spiralne rusztowania. Ale wtedy byłem zbyt zajęty sobą. A poza tym uspił mnie ów basowy dźwięk, płynący przestrzenią. Nucił mi kołysankę: ludzie wróć, wróć, wróć...

Dzisiaj nie odzywa się już żaden daleki, zwodniczy głos. Dzisiaj wiem. To jest trup Ziemi.

Gruzy rozsypią się w księżycowy pył i doczekają dnia, kiedy w przedśmiertnym zrywie pochłonie je tutejsze jasne słońce. Tej pustyni nic nie przywróci życiu.

Chwileczkę. Pustynia. Życie.

Życie...?

Nie zastanawiając się dlaczego i po co to robię, zacząłem wolno okrążyć ruiny banku genów. Momentami zapadałem się w gruz po kolana. Momentami, wspiąwszy się na kamienisty kopczyk zjeżdżałem z niego tyłem, jak w tym śnie, w którym wędrowałem przez bezwodne góry. Czepiałem się wyszczerbionych bloków, jakichś filarów przypominających potrzaskane kolumny, wchodziłem na schody wiodące donikąd, urwane w powietrzu jak fantastyczne chmury. Po mniej więcej piętnastu minutach obszedłem w ten sposób dwa boki

dawnej budowli. Trzeci był podsypyany rumowiskiem wyżej niż poprzednie. Widać przedtem pomyliłem się co do miejsca, gdzie spoczęły pozostałości wieży. Główna jej część musiała upaść właśnie tutaj.

Wydrapałem się na dach. To znaczy, na strop pierwszej i jedynej zachowanej kondygnacji. Nadal o nic mi nie chodziło i niczego nie chciałem. Stopniowo jednak zacząłem sobie uświadamiać, że działam pod wpływem jakiegoś wewnętrznego nakazu. Dawniej to by mi wystarczyło. Odwróciłbym się na pięcie i pogwizdując odszedłbym z uśmiechem na ustach. Teraz ani się nie odwróciłem, ani nie uśmiechnąłem. Począłem szurać butami, rozgarniając gruz. Każdy mój ruch wzbijał tumany kurzu, ale pod osypiskiem wszędzie znajdowałem lite, twarde podłoże. Nigdzie najmniejszej wyrwy, czy szczeliny. Wreszcie dotarłem do kwadratu, który kiedyś stanowił podstawę wieży. Tu strop zadźwięczał inaczej. Głośniej i mniej głucho, jak zamurowane cienką ścianą tajemne przejście w starożytnym pałacu.

Rozejrzałem się. Mój wzrok padł na kawałek metalowego drąga, będącego zapewne fragmentem połamanej konstrukcji. Spróbowałem go podnieść. Rozsypał mi się w rękach, pozostawiając na dłoniach osad rdzawego pudru. Wobec tego wybrałem jeden z większych kamieni, kucnąłem i zacząłem walić w podłoże, na którym stałem.

Mokre kosmyki włosów przylepiły mi się do czoła, pot spływał ze mnie strumieniami, gubiłem oddech i odzyskiwałem go spazmatycznymi szarpnięciami klatki piersiowej, w gardle miałem żywy ogień, w kolanach watę, w półoślepych oczach wirujące roje pomarańczowych i błękitnych iskier, ale waliłem tym kamieniem, waliłem i waliłem, jakbym za każdą sekundową przerwę miał zapłacić najwyższą cenę. Nagle usłyszałem charakterystyczny syk powietrza, wdzierającego się do hermetycznie zamkniętego, pustego naczynia. Zaraz potem rozległ się rumor spadającego gruzu i w stropie powstała spora dziura. Znieruchomiałem, z owym kamieniem, którego używałem jako młota, uniesionym wysoko

nad głową. Pozostałem w tej pozycji dłuższą chwilę. Następnie powoli opuściłem ręce.

Kamień wymknął mi się z palców i upadł w wyrąbany otwór. Podniosłem się i odstąpiłem dwa kroki do tyłu.

Bank genów był rozbity.

Po to się tak namordowałem? Dla kogo? Zaraz, zaraz. Kto powiedział, że nie dla siebie? Z życiem może być podobnie jak z czasem. Niech licho porwie uczone terminy. Struny, struktury, pozaciągłe kontinua, nieliniowe coś tam i tak dalej. A także ewentualne konsekwencje mojego szaleństwa. Może przez tę dziurę w suficie, za tydzień, dwa, gdy powieje wiatr, wydostaną się zalążki życia. A może nie. Jeśli się wydostaną, może po wiekach na ruinach powstaną nowe wspaniałe budowle. Albo nie powstaną. Gdyby powstały, archeolodzy mogą kiedyś obwieścić swoim współczesnym, że ich cywilizacja rozwinęła się na gruzach poprzedniej, miejscowej, lub przybyłej z kosmosu. Albo na pewnej głębokości odkryją jedynie dziwną warstwę geologiczną i wyśmieją każdego, kto próbowałby snuć wokół tej naturalnej, choć trochę osobliwej formacji, fantastyczne przypuszczenia.

Wszystko to nie ma najmniejszego znaczenia. Życie, czas. Dwa uderzenia dzwonu. Ja, oni. Dla siebie, dla kogoś. Bim–bam. Melodia słów. Kiedy bije dzwon, każdy w głębi duszy wtóruje mu po swojemu. I to, na odmianę, nie jest nieważne.

Uśmiechnąłem się. Był to uśmiech całkowicie niepodobny do tego, jaki dotąd pokazywałem ludziom spotkanym w labiryntach. Następnie wzniosłem oczy do nieba i powiedziałem:

— Panie dwunastu oddziaływań, wszechogarniających kształtów i powiązanych strun przestrzeni. To zaplanowałaś sobie bez pudła. Moje podróże od granicy do granity i od dna na dole do gwiazdzistego pułapu. Moją nie znaną mi przeszłość, moje zabawy, mój strach i ból. Tylko po to, bym dzisiaj, niezależnie od tego, kiedy to dzisiaj zaistniało bądź zaistnieje,

znalazł się właśnie tutaj i wyflukł dziurę w dachu.

Wróciłem oczami na ziemię i uśmiechałem się dalej. Jeszcze jedna rzecz przestała się liczyć. Mianowicie kim i czym byłem dotąd. Moja historia zaczyna się dopiero teraz. Czy sprawiły to przygody, jakie przeżyłem? Ależ skąd. Zmieniło mnie i to zmieniło w sposób ostateczny, nie mają niczego wspólnego z procesami, jakich dopatrywali się u mnie Jałowiec i Kobra, coś na pozór absolutnie niedorzecznego. Ta zwariowana praca przed chwilą. Sam fakt, że się do niej wziąłem i że ją wykonałem. Nie pojmuję tego, ale tak jest.

Serce przestało mi łomotać w piersi niczym rozpedzony wagonik, który wypadł z szyn.

Wciąż byłem zgrzany i czułem suchość w gardle, ale mogłem już głębiej odetchnąć.

Po tej samej pryzmie, po której wdrapałem się na strop, zjechałem z powrotem w dół.

Okrzyżłem budowlę, dotarłem do zamkniętych wrót i przystąpiłem do uprzątnięcia przed nich gruzu. W końcu uznałem, że wystarczy. Przynajmniej jedno skrzydło drzwi mogło się już uchylić na tyle, by mnie przepuścić. Naturalnie, gdybym zdołał uporać się z zamkiem. Ale ten był skomplikowany jak w najprawdziwszym skarbcu i wykonany z tworzywa, które prawdopodobnie przetrzymałoby temperaturę i ciśnienie prawybuchu. Wróciłem na dach, położyłem się na brzuchu i zsunąłem w czarny otwór. Jego postrzępione krawędzie rozdarły mi bluzę. Co tam bluzka. Puściłem się i skoczyłem. Trafiłem stopą na wystający głąz i upadłem. Od podeszwy do biodra przeszył mnie promień bólu. Zupełnie ciemno, tylko przez tę wykutą dziurę wpada pojedynczy snop światła, jakby słoneczne niebo wetknęło przez nią rękę i czegoś szukało. Usiadłem, syknąłem i stwierdziłem, że skręciłem sobie nogę w kostce. Znakomicie. Mogłem ją przecież złamać. Podniosłem się i kulejąc ruszyłem w mrok. Coś załśniło. Wyciągnąłem dłonie i przejechałem nimi po tym lśnieniu. Szkło. Szklana ściana. Odwróciłem się i namacałem drugą, po przeciwnej stronie. Wobec tego zawróciłem i podniosłem kamień, z którego po zeskoku ześliznęła mi się stopa. Był to ten sam kamień,

którego używałem w charakterze młota do kruszenia murów, a następnie upuściłem. Teraz uderzyłem nim w szklaną ścianę. Oczywiście, nie zbudowano jej ze zwykłego szkła. Musiałem się znowu dobrze napocić, zanim ją roztrzaskałem. Następnie rozprawiłem się z drugą, po czym ponownie ruszyłem przed siebie. Orientowałem się mniej więcej, w jakim kierunku powinienem zmierzać, żeby od wewnątrz trafić do głównych drzwi, sprzed których uprzątnąłem gruz. Właśnie w ich stronę prowadził korytarz, biegnący cały czas między ścianami, które były przezroczyste, gdyby przenikało tu choć trochę światła. Co parę kroków przystawałem i wybijałem dziury w kolejnych odcinkach szklanych płyt. Nie wiedziałem przecież, czy za nimi nie ma poprzecznych grodzi, dzielących tunele banku genów na niezależne komory. Wreszcie trafiłem na drzwi. Walczyłem z nimi dobre pół godziny. Nagle rozległ się ostry trzask i ujrzałem przed sobą jasną, pionową szczelinę. Reszty dokonałem kopnięciem. Oczywiście, kopnąłem zwichniętą nogą. Wyrwał mi się jeden krótki jęk, po czym zacisnąłem zęby i z twarzą wykrzywioną grymasem bólu wykuśtykałem na wolną przestrzeń. Przedtem jakoś nie pomyślałem, że jeden otwór, wysoko w górze, niczego nie załatwi. Wewnątrz znajdowały się jeszcze te hermetyczne akwaria. Poza tym załączki życia nie mają przecież skrzydeł. Teraz to naprawiłem. Będzie przeciąg.

Oddaliłem się powoli od banku, który oszczędził bezrozumny czas, ale którego nie mogłem oszczędzić człowiek, zwróciłem twarz w stronę uchylonych drzwi i usiadłem. Stopa zaczęła mi puchnąć i narywać. Ostrożnie wyciągnąłem nogę i ulokowałem ją w takiej pozycji, żeby jak najmniej dawała mi się we znaki.

Jasne słońce Omegi dotknęło horyzontu. Pracowity dzień dobiegł końca. Pora się stąd zabierać. Z całą pewnością zostawiłem strukturze przestrzeni znacznie więcej czasu, niż go potrzebowała na zasklepienie pęknięć i zaleczenie ran. Wstałem i raptem skamieniałem. Pojazd Złotego. Mój pojazd. Opuściłem go jak taksówkę, która przywiozła mnie w

miejsce, gdzie miałem coś do załatwienia i która następnie zabrałaby mnie z powrotem. Tyle, że taksówki nie bywają niewidzialne.

Rozwaliłem bank genów. Ale żeby żył tysiące razy dłużej niż Gilgamesz, nie doczekam dnia, gdy na tej planecie pojawi się rozumna istota, a wraz z nią, trochę później, międzygwiazdna komunikacja. Bo ci nowi chyba jednak zechcą latać.

Spokojnie — powiedziałem sobie. — Spokojnie — powtórzyłem i nie bez zdumienia stwierdziłem, że naprawdę ogarnia mnie spokój. Rozglądnałem się i wytyczyłem sobie na okoboki kwadratu, wewnątrz którego musiał stać pojazd. Następnie, kulejąc, zacząłem go systematycznie przemierzać, przesuając się za każdym razem o jeden metr. Słońce zachodziło szybciej niż u nas i przygasając, nie czerwieniało. Wciąż było tak samo jasne, nawet gdy część jego tarczy schowała się już za widnokretem. Jednak wokół mnie prędko gęstniał ponury cień.

Był ktoś, kto znalazłszy się w kłopotliwej sytuacji stąpał dziarskim krokiem, pogwizdując sobie pod nosem bohaterską melodyjkę. Pomyślałem o tym kimś z politowaniem pozbawionym należnej mu być może mimo wszystko szczypty pobłażliwości. Dziś, tutaj, z całą pewnością nie maszerowałbym zamaszystym krokiem, choćby nie bolała mnie skrzycona stopa. A pogwizdywanie... Musiałbym znaleźć inne słowa, które podłożyłbym pod nieistniejące nuty. Słowa nigdy nie napisane i takie, których nigdy nikt nie napisze. Byłyby zbyt proste.

Zatrzymałem się. Cóż to? Ja na pewno nie, niemniej ktoś tu jednak pogwizduje. Cichutko, nie po bohatersku, ale pogwizduje. Nie mam przecież omamów. Mógłbym je mieć, w tej scenerii i w tych okolicznościach. Lecz nie w tym stanie ducha i umysłu.

Nie. To nie jest pogwizdywanie. Znam ten dźwięk. Brzmi inaczej, jak odtwarzany z muzealnej płyty. Towarzyszą mu szum, poskrzypywanie i słabe trzaski, podobne do zakłóceń

wywołanych iskrzeniem obluzowanych styków. Jest wyższy, matowy, pobawiony głębi. Ale to ten dźwięk. A jeszcze przed chwilą go nie było. Zrobiłem dwa kroki w kierunku, z którego dobiegał. To znaczy tam, gdzie się nasilał. Przeszedłem może trzy metry, może nawet nie i zatrzymałem się ponownie.

Poprzez niesłychanie daleką wibrację przebił się jeszcze dalszy chropowaty i zniekształcony głos człowieka. Mocno zacisnąłem powieki i wyteżyłem słuch. Początkowo łowiłem jedynie dźwięk ludzkiej mowy. Po jakichś trzydziestu sekundach zacząłem rozróżniać słowa.

— Jeśli mnie słyszysz, to znaczy, że jesteś na Omedze. Dziwiłeś się, kiedy tak ją nazwałem — mówił Złoty. Mój Złoty. Jedno z dwojga. Albo nie mówił nikt, albo on. Ale raczej to drugie. Raczej, na przekór rozsądkowi, w jakiś niewytłumaczalny sposób, skądś, bo na pewno nie stąd, z tego wypalonego globu, dolatywał mnie jego metaliczny głos. — Przestań się dziwić. Omega jest ostatnia, prawda? Wtedy wołałem nie wyrażać się zbyt jasno. Teraz ci powiem. Miałem na myśli, że ostatnia umarła. Gdy byliśmy na niej pierwszy raz, moja cywilizacja już nie istniała. A także cywilizacja na Becie. Ja i Stalowy wędrowaliśmy w przekształconej strukturze, szukając ratunku, dlatego nie podzieliliśmy losu naszych ziomków. Ale zostaliśmy sami i to było o wiele gorsze. Trafiliśmy na twoją Ziemię i na ciebie. Czy można cofnąć czas? Wiesz już że tak, w ograniczonym zakresie. Próbowaliśmy poszerzyć ten zakres. Gdybyś ty, obdarzony potężną siłą oddziaływania, trafił do n a s z e j przeszłości, mógłbyś zmienić zaistniały stan rzeczy, usuwając jego przyczyny. Myślisz, że to tylko fantazja? Tak, lecz jedynie do pewnego poziomu wiedzy. My mieliśmy jej więcej niż wy, ale jeszcze nie dosyć. Jednakże wystarczająco dużo, by dojrzeć w zamyśle człowieka, którego nazywasz Jałowcem, a tym samym w tobie, realną szansę. Zabieraliśmy cię do nas... nie jeden raz i nie do jednej warstwy czasu. Niestety coś zawiodło. Nie wiem co. Na pewno

nie teoretyczne przesłanki eksperymentu. Na pewno człowiek. Któryś z nas. Który? Może wszyscy po trochu. Teraz to już nie ma znaczenia Chciałbym jedynie, abyś nie wspominał mnie jako naiwnego marzyciela i fanatyka. Mogło się udać. Stało się inaczej. Trudno. Żegnaj. Jeśli dociera do ciebie mój głos, to dzisiaj również w moim, jak już wspominałem, odosobnionym przypadku, jest to głos z bardzo dalekiej, nie zmienionej przeszłości. Przyszła po mnie tam, gdzie byłem. Nic sobie z tego nie rób. Nie myśl o tym. U siebie cofasz się okresowo na dół. Nie musisz. Jesteś młody. Bardzo młody. Nie dotyczy to akurat ciebie jednego, wybranego z milionów. Twoja Ziemia jest młoda. Wracaj szczęśliwie. Przepraszam. To był koniec. Gdybym nadal miał wątpliwości, to ostatnie ciche „przepraszam” rozwiąłyby je natychmiast.

Chwilę jeszcze stałem, wyczekując, z zamkniętymi oczami i przekrzywioną głową. Wreszcie uniosłem powieki. Dokoła panowała już noc. Na ciemnobłękitnym, nie granatowym, niebie, rozblęły gwiazdy. Przebiegłem je wzrokiem i nagle Omega, na której stałem, przestała być pusta. A ja wraz z nią. Nie umiem wyrazić tego inaczej. W ogóle nie umiem tego wyrazić. Powtarzam, że to było zbyt proste. Owładnęło mną poczucie jedności. Opadła maska, którą nosiłem. Nie było we mnie jednej fałszywej nutki. Patrzyłem na uchylone wrota, do których wiodła droga przez gruzy i byłem szczęśliwy. Być może mózg podszeptował mi, że to znowu bzdura. Nie zwracałem uwagi na te podszepty. Liczy się przecież owo osławione uderzenie serca. Słyszę je teraz, wyraźniej niż słyszałem Złotego. Ludzie, jakież to niebywale proste! Przez całe życie wędruje się od drzwi do drzwi i odchodzi od nich z niczym. A przecież klucz stale ma się przy sobie. Mało tego. Te drzwi nigdy nie są zamknięte.

Czy może istnieć coś prostszego?

Ponownie wzniosłem oczy ku gwiazdom i zacytowałem sobie: „przed sensem świata stoję

oniemiały”. Nieprawda. Wcale nie jestem oniemiały. Całkiem zwyczajnie: zgadzam się.

Czegóż to ja nie naplotłem o konformizmie. Do diabła z nim. Damy mu radę. Wyleczymy się z niego, jak nauczyliśmy się leczyć raka. Ale akceptacja? O, nie. To całkiem, ale to całkiem co innego. Przed sensem świata stoję oniemiały? Raczej uśmiechnięty.

Wracaj szczęśliwie. Był tutaj ten głos z zaświatów, czy też rozbrzmiewał jedynie we mnie?

Zaraz się przekonamy.

Zrobiłem dwa kroki przed siebie. Przy trzecim kroku poczułem znajome mrowienie.

Skinąłem głową i posunąłem się jeszcze kawałeczek dalej. Następnie dotknąłem mojego znaczka tożsamości.

Podróż przez niesamowite, kolorowe kryształy wydała mi się miłsza i krótsza niż kiedykolwiek.

XXX ZIEMIA JEDEN. SZEŚĆ

Okno było otwarte jak wtedy, gdy odlatywałem, ale dzisiaj wraz z nieco przyćmionym światłem wpadał przez nie wiatr. Rozsunięte zasłony powiewały nad podłogą niczym długie, zielone flagi. Odszedłem kilka kroków od miejsca, gdzie zatrzymał się przezroczysty dzwon, po czym na wszelki wypadek postawiłem tam jeden z foteli. Może kiedyś znowu będzie tu czyjś dom. Uśmiechnąłem się smętnie do tej myśli. Złoty nie zagrozi już nikomu. Jego pojazd spoczął na podłodze w postaci szczypty niewidzialnego pyłu.

Wziąłem prysznic i wypilem morze wody mineralnej. To było moje pożegnanie.

Postawiłem szklankę na niskim stole, powiedziałem: czołem — i wyszedłem.

Na dworze czekała mnie niespodzianka. W pierwszej chwili poczułem się tak, jakbym znowu wylądował w jakimś obcym świecie. Jednak to wrażenie prysło w ułamku sekundy. Pomijając wszystko inne, kiedykolwiek i gdziekolwiek bym się teraz nie znalazł, już nigdy nie będę tam obcy.

Wajgelie dawno przekwitły i zmieniły barwę na żółtoczerwoną. Pnie młodych brzoź świeciły z daleka jak białe, ogołoczone maszty łodzi, zimujących w porcie. Wiatr, który w domu targał zasłonami, pędził niebem ciężkie, szare chmury.

Była jesień. Jesienne popołudnie.

Północna Europa miała klimat łagodny. Emisja pyłów, utrzymujących się następnie w górnych warstwach atmosfery praktycznie nie istniała. Istniały za to dziury ozonowe.

Niektóre rezerwaty, w zależności od ich charakteru i położenia posiadały własne stacje aurotechniczne. Ten, w którym się znajdowałem, nie miał jej na pewno. I tak nigdy nie widywał śniegu. Nigdy nie ścinał go mróz, ani nie nawiedzały fale spopielających ziemię upałów. Ale nie wszystko, co żyje, łatwo poddaje się zmianom. Nie wiem, jak zachowywały się zwierzęta, lecz rośliny jesienią zasypiały. Park mienił się kolorami i gdyby nie zachmurzone niebo, wyglądałby nierównie piękniej niż w lecie.

Trącając stopami szeleszczące liście przemierzyłem polanę i wyszedłem na wysypaną żwirem ścieżkę. Od razu pojawiła się przede mną zielona strzałka. Nikła, zmatowiała, jakby i ona jesienią więdła. Szedłem za nią, ponieważ prowadziła mnie główną drogą. A przy głównych drogach znajdowały się aparaty telefoniczne.

Właśnie ujrzałem przed sobą jeden z nich. Nieco odsunięty od ścieżki, ukryty wśród wiotkich pędów płaczącej jarzębiny. Przyśpieszyłem kroku i zniknąłem.

XXXI. ZIEMIA MINUS IKS. DZIEWIEĆ

XXXII ZIEMIA JEDEN. SZEŚĆ (C.D.)

Nie było wiatru, ale siąpił drobny, ciepły deszcz. Właściwie mżawka, nie deszcz.

Wróciłem przedpołudniem. Z dołu nie wyniosłem żadnych wrażeń. Dopiero teraz nagle ogarnęło mnie uczucie, że miałem zrobić coś ważnego i zapomniałem co.

Stałem i patrzyłem pod nogi, w ścieżkę, która rozstała się przede mną, a potem zasklepiła

nad moją głową. Oczywiście, zlatując na dół, nie zapadam się pod ziemię. Tego nie potrafiłby zaplanować Jałowiec nawet z pomocą dziesięciu zaginionych supercywilizacji. Ale co z tego. Wszystko pogrzebałem pod ziemią. Już wiedziałem i znowu nie wiem. Wiem jedno. Przestało być śmiesznie. A labirynt, którym muszę iść dalej jest piekielnie zawity i skomplikowany. Zdaje się, że tym razem rzecz dotyczyła nie pytania, lecz odpowiedzi. Jednak czy na pewno? Nie zapamiętuje się jednego uderzenia serca. Kto wie, czy nie na tym polega nieszczęście. Widać kompletnie nie nadaję się do myślenia. Drzemiący geniusz pełen chaosu. Głupek, wpatrzony w ziemię. W przeszłość.

Co to ja zamierzałem zrobić? Zadzwoić do Heleny. Po co? Podniosę słuchawkę. Może sobie przypomnę.

Oderwałem wzrok do ścieżki i spojrzałem w stronę schowanego w jarzębinie telefonu.

Podszedłem do niego.

W słuchawce odezwał się głos Jałowca.

— Cześć — powiedziałem. — Chcę rozmawiać z Heleną.

Długa chwila ciszy.

— Kto mówi? — padło wreszcie.

Uśmiechnąłem się jak dawniej. Rozmawiając z nim zawsze się przecież uśmiechałem. I błaznowałem.

— Nie poznajesz? — zdziwiłem się. — Twój własny, prywatny Hermes. Sam mnie wysyłałeś, to do krainy snów, to do umarłych z innych planet, to znowu do miejscowego Hadesu. Tylko jakoś nigdy nie wracałem na Olimp.

— Halny? — zawołał z niedowierzaniem.

— Zawołaj Helenę.

— Helenę? Nie ma jej w instytucie — burknął z roztargnieniem, po czym ponownie

podniósł głos. — Skąd dzwoniisz?

— Z Ziemi — odparłem, zgodnie z prawdą. — Podaj mi numer Heleny.

— Człowieku! — wybuchnął. — Co się z tobą dzieje?! Ostatni raz byłeś tu w czerwcu!

Zmarnowałeś tyle czasu!

— Ja nie zmarnowałem ani sekundy. Czy powiesz mi w końcu, gdzie mogę znaleźć

Helенę?

Chyba w ogóle nie dotarło do niego, że coś mówiłem.

— Słuchaj — zawahał się. — Może po prostu nie wiesz, gdzie przebywałeś? Może ktoś...

obcy, nie dotrzymał słowa?

— Obcy zrobił więcej, niż ktokolwiek mógł od niego wymagać — oświadczyłem. —

Zaraz. Powiedziałeś, w czerwcu? A teraz mamy...?

— Październik! — cisnął ze złością. No dobrze. Skoro już jesteś wracaj na szlak.

Będziemy czekać w następnym pawilonie.

— Co z Heleną?

— Masz do spełnienia bezprzykładnie doniosłą misję. Zainwestowaliśmy w ciebie...

— Nie ma Boga, a Jałowiec jest jego prorokiem — przerwałem drwiąco.

— To nieoryginalne — odparował.

Przebiegł mnie prąd. W ułamku sekundy opadła mgła, która zasnuwała mój wzrok i moją

myśl. To było coś cudownego. Jak spotkanie z samym sobą w najjaśniejszej chwili życia.

Przywitaliśmy się, opowiedzieliśmy pokrótce o swoich sprawach i zaraz potem na powrót

stopili w jedną całość. Przypomniałem sobie wszystko, o czym zapomniałem. To znaczy,

uświadomiłem sobie, że nie zapomniałem niczego i o niczym. Tylko moje objawienia były

nazbyt powszednie i zwyczajne. Nie nadążały za moim ciałem i umysłem, gdy wracałem z

tego przekłętego dołu. Przecież wędrówki w przeszłość wymagały tyle zapierającej dech w

piersiach wiedzy, przetworzonej w najtęższych głowach.

— Proszę cię bardzo, zechciej przyjąć moje najgorętsze przeprosiny — powiedziałem do słuchawki. — Masz rację, nie jestem oryginalny. Nigdy nie byłem. Czy można stać się geniuszem i oddziaływać, żonglując cudzymi myślami? Do tego dzisiaj, gdy przestrzeń pęka w szwach od ich nadmiaru? Pewnie wiele z tych myśli przedstawia nieśmiertelną wartość, tylko kto ma je wybierać? Ty? Kobra? Nie chcę cię urazić, bo ostatecznie wyszło na to, że naprawdę niemało ci zawdzięczam... nawet jeśli pominąć twoją troskę o moje wychowanie oraz wykształcenie i nawet jeśli nie rozumiesz, o czym wobec tego w tej chwili mówię. Zresztą, ty także nie byłeś oryginalny... darujmy sobie dalszy ciąg. Ale powiem ci coś o sobie takim, jakiego mnie nie znasz. Chyba ze dwieście lat temu pewien znakomity krytyk, przed którym drżeli autorzy, studenci i co ambitniejsi czytelnicy przyjemnych acz mało ambitnych książek orzekł, że ten, kto pierwszy porównał kobietę do kwiatu był genialnym artystą, a ten, kto pierwszy to za nim powtórzył, zwyczajnym, głupim grafomanem. Otóż ów krytyk sam był głupi i niczego nie rozumiał. Ponieważ prawda wyglądała tak, że wczoraj, dziś, jutro i po wsze czasy każdy, kto popatrzy na kobietę i zachwycony jej urodą odnajdzie w sobie banalny dla postronnych obraz rozkwitającej róży, jest równie wielkim artystą jak ten pierwszy z pierwszych. Widzisz, to właśnie między innymi odkryłem... tułając się po świecie i światach. Nie między innymi. Przede wszystkim to. Pewnie uważasz, że bełkoczę jak zidiociały jakała, wsadzony na wielbłąda. Wobec tego zrób próbę. Zamiast „kobieta” powiedz: świat, Ziemia, życie, rozum, prawda, szczęście... Znajdziesz jeszcze co najmniej parę podobnych pojęć i słów. A zamiast „kwiat”? No proszę, szukaj. Ale w sobie. W sobie, nie w szumie informacyjnym, który pcha ci się w uszy. Można codziennie przez dziesięć lat pisać ten sam wiersz i być poetą. Nie można stać się poetą, studiując antologię. Zdaje się, że rzeczywiście trochę bełkoczę. Nieważne. Jeśli istnieje między nami choćby ślad duchowej bliskości

pojmiesz, o co mi chodzi. Jeśli nie, trudno. Tak czy inaczej wybaczyć, że sprawiam ci zawód — zaznaczyłem grzecznie. — Panie doktorze, nigdy nie wrócę na szlak zielonych strzałek.

Mimo to powiedz mi, proszę cię, gdzie jest Helena?

— Zmieniłeś się, co? — rzekł gorzko. — Człowiek jest odbiciem własnych czynów i pokonanych przez siebie przeszkód. Tak?

— Pocałuj mnie gdzieś — zaproponowałem, wciąż spokojnie, ale już nieco mniej grzecznie. — Helena?

— Razem z nią będziesz odtąd przekształcać społeczeństwo? — spytał niby to z ironią, lecz w gruncie rzeczy smutnie. Całkiem jak Złoty.

— Co ty wiesz o przekształcaniu — rzuciłem. — Przecież pragniesz, aby lepsi byli wszyscy inni. Sam nie potrzebujesz się przekształcać. Dopiero kiedy cała ludzkość będzie już nieopisanie mądra i szlachetna, łaskawie się do niej przyłączysz. Uważaj, żebyś się nie spóźnił na ostatni pociąg. Ja odjeżdżam dzisiaj. Nie spodziewałem się, że zrezygnuje, ale zrezygnował. Może nie była to kapitulacja zupełna i ostateczna. Może po cichu liczył na to, że po niedługim czasie, bogatszy o kilka nowych doświadczeń w Mieście, zmienię zdanie, lub że stanie się coś, co mnie do tego zmusi. Na razie jednak przestał się upierać.

— Helena już nie pracuje w instytucie — powiedział.

— Nie wiem, gdzie jest. Nie mam z nią kontaktu. O ile cię to interesuje, jest w ciąży. Zdaje się, w piątym miesiącu,

Czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik...

— Jesteś tam jeszcze? — usłyszałem.

— Nie! — wykrzyknąłem i zaśmiałem się. — Nie ma mnie! To nie żart! Naprawdę mnie nie ma! Zniknąłem w przeszłości!

Leciałem przez jesienny, zadeszczony park, jak na skrzydłach. Ślizgałem się na mokrej

trawie, wymachiwałem rękami i wykrzykiwałem: czerwiec, lipiec, sierpień, wrzesień, październik! Zdążyłem! Będę mieć syna! Każdy zasługuje na miłość, nie każdy, żeby kochać? Powiedzcie to komuś innemu. Piekło i szatani, jak ja będę go kochać! Jego i jego matkę! O, poodziałujemy sobie we troje nawzajem na siebie! Dorośnie, pójdzie między ludzi, zagubionych, załęcznionych, niepewnych jutra, ale w głębi duszy czujących, że droga należy do nich. Niech się buntują i niech zawsze mają coś, przeciwko czemu by się buntowali. A on niech tylko będzie sobą, dzieckiem miłości. Prędzej czy później uzdrowi ludzi i Ziemię. Przecież odziedziczy po mnie ten milczący brylant. Będzie go mieć w sobie i niech mnie szlag trafi, jeśli nie zrobię wszystkiego, by ten brylant się odezwał, kiedy przyjdzie jego pora, błysnął i oślepił wszelkich możliwych mędrków, prowadzących świat milionami śladów wydeptanych w tysiącach krzyżujących się labiryntów. A także bezwolnych pięknoduchów, czcicieli niezawodności, oraz optymistycznych grajków, brzdąkających na wszystkich strunach kosmosu. Prawda, tam rozwaliłem ten bank. A tu? Czyż tu także nie jestem dawcą życia?

Istnieje dolna granica prostoty i prostoduszności, poniżej której zaczyna się sfera zastrzeżona dla jaskiniowców, również tych latających na Marsa. Zapewne biegnąc wtedy przez park ani raz nie wychyliłem czubka głowy z tej właśnie strefy. Ale nawet gdybym zdawał sobie z tego sprawę, nie popsuło by mi to nastroju.

Jałowiec nie musiał mi mówić, gdzie jest Helena. „Tam zasypia spokój”. Brama wjazdowa. Dalej wciąż prosto. Nie skręcać wraz z szosą. Kładka przez potok, sad, szkoła, domy, zabytkowy kościółek. Pamiętałem każde jej słowo, wypowiedziane z tym, tak niezwykłym u niej radosnym ożywieniem, przy oknie w rzekomo moim domu. Jakaż była wtedy śliczna. Za kościołem iść wciąż z twarzą zwróconą ku górom. Nie sposób zablądzić, bo ta droga prowadzi tylko do jednej dolinki.

Najtrudniejszy był pierwszy etap. Instytut zajmował rzeczywiście ogromny teren.

Założyłem, że brama będzie się znajdować za pierwszym pawilonem i na chybił trafił zmierzałem w kierunku, który też jedynie na wycucie uznałem za właściwy.

Deszcz przestał siąpić, chmury się rozstały i park zalśnił wszystkimi kolorami tęczy. Nie biegłem już. Szedłem szybkim, wydłużonym krokiem, wyłącznie po trawie. Przecinające mi drogę ścieżki przesadzałem niby trójskoczek. Jakby można przeskoczyć nad pułapką, zastawioną przez czas.

Ostatecznie jakimś cudem trafiłem. Z przedpołudnia zrobiło się popołudnie, pawilon nie był tym, który zgodnie z moim założeniem miał nosić numer jeden, bo posiadał dolepione do głównej jeszcze dwie mniejsze kopuły, niemniej zaraz za nim ujrzałem szeroką, twardą szosę, obrzeżoną szpalerem topoli.

Mignęła mi automatyczna taksówka. Parę osób szło w kierunku trójkopulastego budynku, parę w stronę otwartej bramy, wykonanej z pięknie wykutych metalowych prętów. Tu, na oczach ludzi, nie wypadało już deptać trawy. Wkroczyłem na jezdnię i zacząłem z napięciem obserwować powietrze przed sobą na wysokości kolan. Przeszedłszy kilkanaście metrów odetchnąłem z ulgą. Ani śladu strzałek.

Za bramą szosa wpadała w rzadki, bukowy las. Na pierwszej polanie zakręcała, zniżając się ku zasłoniętej drzewami dolinie. Tam gdzie zaczynał się łuk, widniała gruntowa ścieżka, zbiegająca po skarpie do drewnianego mostku, przerzuconego nad kamienistym potokiem. Mostek wyglądał jak z podhalańskiego skansenu. Ale Podhale było blisko, a ja nadal znajdowałem się w rezerwacie.

Wszystko się zgadzało poza pogodą, o co jednak nie mogłem winić Heleny. O pogodzie przecież nie wspominała. Zachmurzyło się na nowo, już kiedy przechodziłem obok owych opisanych przez nią starych domów, za strumieniem, sadem i szkołą. Gdy zbliżałem się do

kamiennego ogrodzenia nakrytego drewnianym, spadzistym gontem, które otaczało teren zabytkowego kościoła, zaczęło padać. Tym razem nie była to jakaś tam mżawka, czy inny kapuśniaczek. Lunęło raptownie jak za dawnych dobrych czasów w podzwrotnikowej dżungli. Takie wielkie, ciężkie krople, walące pionowo zbitą ścianą wody. Paroma susami dopadłem wejścia do kościółka i schroniłem pod rzeźbionym okapem, ale wystarczyło tych kilka sekund, żebym przemókł jak gąbka pod fontanną. Prychając strzepnąłem wodę z włosów, brwi i nosa. W tym momencie zagrzmiało. Echo odbiło się od gór, wstrząsnęło modrzewiową wieżą kościółka i z niechętnym pomrukiem osiadło gdzieś za rzeką. Za moimi plecami skrzypnęły drzwi. Odwróciłem się i zobaczyłem księdza w rozpiętej pod szyją sutannie. Był to wysoki gruby mężczyzna, dobrze po siedemdziesiątce. Spojrzał zatroskanym wzrokiem na niebo, po czym mruknął:

— Dach przecieka. Znowu trzeba będzie wołać konserwatorów. Nie cierpię hałasu... — popatrzył na mnie i jego pełna twarz nagle zmieniła wyraz. — Przecież pan zmókł do suchej nitki! — zawołał. — Niechże pan wejdzie — chwycił mnie za rękę, dokładnie tak, jak mieli to w zwyczaju robić Złoty oraz Stalowy i wciągnął przez uchylone drzwi do kościoła.

Znalazłem się w cichym, ciepłym wnętrzu, pogrążonym w półmroku, przesączonym wonią kadzidła, drewna i roztopionego wosku. Przed głównym ołtarzem, z obrazem przedstawiającym Matkę Boską z Dzieciątkiem, tliła się niczym robaczek świętojański ozdobna lampka, zwisająca z sufitu. Z boku patrzyły skupione twarze świętych. Poczuję się trochę nieswojo. Poza tym żał mi było każdej straconej chwili. Delikatnie oswobodziłem ramię z uścisku księdza, który prowadził mnie samym środkiem nawy i przystanąłem.

— Bardzo dziękuję — mimo woli zniżyłem głos do szeptu. — Naprawdę mogę przeczekać deszcz przed wejściem. Burza przejdzie raz dwa, a mnie nic się nie stanie. Śpieszę się. Złapał mnie na odmiannę za rękaw bluzki i pociągnął dalej.

— Dobrze, dobrze — powiedział głośno. — Dzisiaj wszyscy się tylko śpieszą. A pan pewnie należy do tych, którzy obok kościołów zawsze przebiegają już wręcz galopem i teraz boi się pan, że przyszła koza do woza. Zgadłem?

— No... — mruknąłem niepewnie.

Zaśmiał się i zaprowadził mnie do jakiegoś pokoiku za zakrystią. Kazał mi zdjąć spodnie oraz bluzę i zniknął z nimi za następnymi bocznymi drzwiami. Nie było go może dwie minuty. Wrócił i bez słowa oddał mi moje błękitne ubranko wysuszone na pieprz. Kiedy je wkładałem spytał:

— A właściwie, dokąd panu tak pilno?

— W góry. Do pewnej dolinki. Tu, tej najbliższej — wykonałem nieokreślony ruch głową.

— W góry? O tej porze? W taką pogodę? — o mało się nie przeżegnał.

— Czeka na mnie kobieta — wyjaśniłem. — Jest w ciąży — dodałem, wiedząc, że duchowni wszelkich wyznań cenią sobie kobiety, które zachodzą w ciążę i rodzą dzieci. Ten, skądinąd sympatyczny duchowny, stanowił jednak wyjątek. Cofnął się i wytrzeszczył oczy. Jego okrągła twarz zrobiła się długa i wklęsła.

— O Boże! — jęknął. — W ciąży! Tu, o? — wskazał ręką kierunek. — W tej dolince?

— Owszem... — bąknąłem, nieco zaskoczony taką reakcją.

— Moja dziewczyna — dorzuciłem.

— Dziewczyna? Jak to, dziewczyna? — spytał podejrzliwie. Przyszło mi na myśl, że pewnie wolałby, abyśmy byli małżeństwem.

— Teraz się pobierzemy — zapewniłem go skwapliwie.

— Nie było mnie tu blisko pół roku. Tak się złożyło. Przez ten czas kupiła pięknie położoną opuszczoną chałupę. Moja dziewczyna... — powtórzyłem bezradnie. — Ma na imię Helena.

Uspokoił się momentalnie. Twarz mu pojaśniała.

— A tak, wiem, widziałem ją — powiedział rozweselony.

— Ona nie omija naszego kościółka. Młodziutka i śliczna — mrugnął do mnie porozumiewawczo. — Gratuluję. Kiedy pan wspomniał o kobiecie w ciąży... — znowu zmarkotniał i ciężko westchnął. — Wie pan, właśnie w tej dolinie, w ostatnim domu, mieszka jedna baba... proszę pana, potwór, nie baba! Ubrdało jej się na starość, że jest w ciąży i urodzi Pana Jezusa. Panie — niemal zaszlochał — ona dobiega dziewięćdziesiątki! Jest w tej ciąży od dwudziestu lat! I codziennie przylatuje do mnie do spowiedzi. Skłamałem ją parę razy, to pojechała do biskupa. Pisała nawet do papieża.

— Pewnie nie ma dzieci i jest po prostu chora — postukałem się palcem w czoło, próbując sprawiedliwie odzielić swoim współczuciem babę i prześladowanego przez nią księdza. Ten jednak zachnął się ze złością.

— Naturalnie, że ma fioła. Ale wyłącznie na tym jednym jedynym punkcie. Poza tym jest zdrowa jak rzepa. A dzieci? Panie kochany, ma dwóch synów i całą kupę wnuków.

Przyjeżdżają tu, przywożą lekarzy, specjalistów. Wszystko na nic. Babsztyl przez całe życie nie spędził dnia w łóżku, nie wie co to katar, tylko ma gust urodzić Pana Jezusa.

Powiedziałem jej, że słonica jest w ciąży wszystkiego dwa lata, a ona na to, żebym nie bluźnił, bo słonica nie wyda na świat Zbawiciela. Ja bluźnię, uważa pan? Ja!

Uśmiechnąłem się nieznacznie, ale natychmiast spoważniałem. Popatrzyłem w stronę małego okienka, umieszczonego wysoko, pod samym sufitem i dostrzegłem nieco już pociemniałe, lecz czyste niebo. Ksiądz podchwycił to moje spojrzenie.

Zagadałem tu pana na śmierć — powiedział szybko. — Przepraszam. Rzeczywiście, wypogodziło się. Chodźmy.

Jednak przed kościołem zatrzymał mnie ponownie i pokazał ręką niebo. Powietrze było

ciężkie i wilgotne. Znad gór ciągnęły niskie chmury.

— To jeszcze nie koniec deszczu — zamruczał. — Niech pan tu chwilę poczeka — zanim zdążyłem zaprotestować, zniknął za drzwiami. Wrócił niosąc wypłowiałą sutannę i czarny kapelusz z szerokim rondem.

— Proszę to wziąć — rzekł wręczając mi oba wymienione, dość niecodzienne jak dla mnie, przedmioty. — Niestety, płaszcz przeciwdeszczowy mam tylko jeden. Ale ta sutanna jest taka stara i sfilcowana, że nie wchłonie nawet kropli wody. Użyj jej pan zamiast peleryny. No, niechże pan bierze — zniecierpliwił się, ponieważ stałem niezdecydowany, nie wiedząc, co zrobić. — Odda mi pan przy okazji, a jeśli nie, to tym lepiej. Pozbędę się przynajmniej dwóch niepotrzebnych łachów. A może pan się boi — skrzywił się filuternie — że od tej sukienki przejdzie na pana moja prawda i coś panu popłacze w pańskiej?

Roześmiałem się. Moja prawda. Gdybyż ten człowiek wiedział. Nie ociągałem się dłużej.

— Dziękuję — wziąłem sutannę oraz kapelusz, zwinąłem je, ponieważ jakby nie było na razie jeszcze nie padało i wsadziłem sobie pod pachę. — Oddam na pewno. Sądzę, że zostanę w tej okolicy na dłużej.

— To dobrze — rzekł zadowolony, po czym spojrzał na mnie i uniósł brwi. — Nie rozumiem tylko z czego pan się śmieje?

— Z siebie — odparłem szczerze. — Z tej mojej prawdy. Jeszcze wczoraj powiedziałbym, że nie mam żadnej, albo mam wszystkie. Absolutnie wszystkie, ile ich było, od Demokryta, przez Tomasza z Akwinu i Jamesa, aż po uczniów Hawkinga, którzy twierdzą, że wszechświat, ogołocoony przez nich z osobliwości w rodzaju tych, jakie wynajdywał Einstein jest niezniszczalny i nigdy nie został stworzony. Po prostu jest. Natomiast dzisiaj o swojej prawdzie nie potrafię powiedzieć zupełnie nic. Nie znajduję słów. Niemniej obawiam się, że nie prowadzi ona najkrótszą drogą do... — wskazałem oczami drzwi do kościoła. —

Przepraszam, jeśli...

Machnął ręką, nie pozwalając mi skończyć.

— Proszę pana — rzekł lekko. — Może się mylę, ale coś mi podszeptuje, że tam, dokąd pan idzie dzisiaj, też nie szedł pan najkrótszą drogą. Niczego nie chcę przez to powiedzieć — zastrzegł się z ciepłym, choć odrobinę kpiącym uśmiechem. — No, do widzenia. Robi się późno.

— Do widzenia. Jeszcze raz bardzo dziękuję.

— Nie ma za co. Pozdrowienia dla... żony — mimo wszystko w obliczu ciąży u normalnej, młodej kobiety, słowo „dziewczyna” nie mogło mu przejść przez usta. Przemily staruszek.

XXXIII. ZIEMIA. ZERO

Nastał wczesny, październikowy wieczór. Zapadł mrok. Niebo było zaciągnięte chmurami.

Na ich tle niewysokie pasmo gór wydawało się groźne i nieprzystępne. Łagodne wierzchołki nabrały wyglądu zbójeckich zamków, zbudowanych z czarnego bazaltu.

Zaraz za boczną linią karpackiej magistrali teren zaczął się dość ostro wznosić. Polna droga odbiegała zygzakiem w prawo, przecinała wąwóz i ukazywała się wysoko na przeciwległym zboczu, wiodąc prostym, stromym trawersem do granicy lasu. Pojedynczym szeregiem ciągnęły się wzdłuż niej stare, wiejskie domy. Pomyślałem, że zyskam na czasie, omijając wąwóz górą. Wzgardziłem wyjeżdżoną drogą i poszedłem dalej na wprost, ledwie widoczną kamienistą ścieżynką, prowadzącą grzbietem trawiastego żebra.

Jednak zanim osiągnąłem wysokość, na której u szczytu wąwozu sierpowata polanka łączyła jedno żebro z drugim, otoczył mnie zwarty, świerkowy las. W dodatku ścieżka albo dobiegała jedynie do pierwszych drzew, albo ją zgubiłem. Pozostało mi tylko piąć się na oślep w górę, do poprzecznej przecinki, wiodącej granią głównego pasma. Wciąż wydawało mi się, że już widzę tę przecinkę przed sobą i wciąż było to złudzenie. Na domiar złego znowu zaczęło padać. Nasadziłem na głowę czarny kapelusz i przeprosiłem się ze starą sutanną. Zanim narzuciłem ją na siebie i zapiąłem pod brodą, wciągnąłem rękawy do wewnątrz. Jej właściciel był mniej więcej mojego wzrostu, lecz znacznie pokaźniejszej tuszy. Dzięki temu teraz rzeczywiście znakomicie zastępowała mi prawdziwą pelerynę.

Miałem wrażenie, że już całymi godzinami przedzieram się po omacku przez gąszcz zachodzących na siebie mokrych, iglastych konarów. Ostatecznie jednak znalazłem się na owej upragnionej grani. Biegła nią wygodna dróżka, łącząca niemal poziomo poszczególne wierzchołki pasma, które stanowiło granicę rezerwatu.

Zamiast od razu skręcić w prawo i puścić się biegiem, stanąłem. Obydwa stoki grani były

porośnięte lasem. Zarówno po jednej jak i po drugiej stronie ścieżki widać było jedynie niebo ponad koronami drzew. Jednak o ile za mną to niebo stanowiło morze ciemności, o tyle przede mną jaśniała ogromna, jednolita łuna. Jej blask dziwnie ponuro rozlewał się po chmurach, wszędzie, dokąd tylko sięgał mój wzrok.

Miasto. Światła Miasta.

Zabudowana Ziemia. Domy, domy, domy. Miliardy istnień, pomnożone przez setki codziennych zajęć, oszukujących miliardy samotności. Gdybyż tak rzeczywiście dało się to mnożenie zastąpić mnożeniem przez zero, a potem... O, potem...

Licho wie, co potem. Nie ulega wątpliwości, że to i owo trzeba by jednak zabrać ze sobą z dołu. Bez względu na lekcje, udzielone przez gwiazdy. To i owo. No właśnie. To i owo. Nic dodać, nic ująć.

Miasto. Jakże łatwo o nim zapomnieć w zaciszu rezerwatów. Nawet jeśli to zacisze jest pozorem i jeśli błędząc po pięknych parkach także chodzi się za znakami, sztucznie ułatwiającymi odnajdywanie szlaków w ciasnych korytarzach labiryntów.

Miliardy kalendarzy. W każdym notatki. Co miesiąc temu, co wczoraj, co jutro, pojutrze, za tydzień. Co jeszcze dzisiaj.

Dzisiaj? Pójdę tam, do Miasta. Pójdę na pewno. Ale dzisiaj...

Zerwałem się jak sprinter po wystrzale startera i poleciałem w prawo, pragnąc nadgonić stracony czas. Jednak zaraz po pierwszych metrach zwolniłem. Szczytowa ścieżka niezmiennie biegła zwartym, świerkowym szpalerem. A ja przecież niedługo powinienem znowu skręcić i zacząć schodzić. Jeśli wejdem w las za wcześnie, albo za późno, wyląduję z powrotem na nizinie, nad rzeką, zwaną Starą, i będę mógł zaczynać od nowa. Zaczynanie od nowa to wprawdzie w pewnym sensie moja specjalność, ale tym razem zdecydowanie bardziej odpowiadałaby mi jakaś odmiana.

Właśnie tak wtedy pomyślałem.

Stałem, strzepnąłem wodę z kapelusza i nałożyłem go z powrotem na głowę. Następnie spojrzałem przed siebie i zawołałem na głos:

— Strzałki!

W tym momencie, jak na komendę, przestało padać. Powiał wiatr. Korony drzew najpierw sypnęły na mnie garściami wody, a potem zaszumiały z głęboką satysfakcją.

Strzałka się nie pojawiła, ale raptem chmury odpłynęły i zaświecił księżyc. Była pełnia.

Mniej więcej dziesięć metrów przede mną, po prawej stronie, rozbłysła na gałęzi jakaś wezbrana kropla. Kiwnąłem głową, uśmiechnąłem się, przeszedłem te dziesięć metrów, po czym bez zastanowienia skręciłem w las.

Niebo było czyste, księżyc świecił nieprzerwanie, wielki jak Złota Alfa. Tylko drzewa nadal jeszcze ociekały wodą. Kiedy wyszedłem z lasu i ujrzałem przed sobą drogę biegnącą w dół, a przy niej dom z oświetlonym oknem, nawet moja niezawodna peleryna była nasiąknięta jak futro z glonów. Ale znalazłem tę drogę i te domy. Mimo wszystko czasem nie zawadzi westchnąć do zielonych strzałek.

Helena mówiła, że licząc od góry jej chata jest... zaraz. Tego nie pamiętałem. Druga?

Trzecia?

Zapytam tam, gdzie się świeci.

Na pukanie do drzwi nikt nie odpowiedział, więc przeszedłem pod okno i zastukałem w szybę. Wewnątrz odezwał się przytłumiony, kobiecy głos. Wróciłem do drzwi. Otworzyły się.

W blasku księżyca ujrzałem tęgą, starą kobietę.

— Boże Przenajświętszy! — wykrzyknęła na mój widok. Zawahała się przez moment, po czym wycofała w głąb sieni.

— Proszę, proszę! — zawołała stamtąd.

Nie skorzystałem z zaproszenia.

— Przepraszam panią — powiedziałem do ciemnego prostokąta drzwi. — Szukam kogoś tu, w sąsiedztwie.

Ukazała się znowu. Przyjrzała mi się uważnie, po czym mruknęła:

— W pierwszej chwili pomyślałam... co to się człowiekowi nie roi w głowie — stwierdziła zagadkowo. — Szuka pan kogoś? — wróciła do normalnego tonu. — A czemu nie wstąpił pan do jakiegoś domu niżej, po drodze? Przecież dopiero co przestało padać. No pewnie, wygląda pan jak zmokła kura. Niechże pan choć na chwilę wejdzie.

— Śpieszę się — podziękowałem jej uśmiechem, choć nie widziała rysów mojej twarzy, bo stałem tyłem do księżyca.

— Nie mogłem nigdzie wstąpić. Szedłem z góry. Otóż szukam...

— Z góry? — przerwała mi zdławionym okrzykiem. Przez chwilę znowu przypatrywała mi się nieufnie i badawczo. Następnie jednak potrząsnęła głową, jakby przecząc jakimś swoim myśłom i powtórzyła nieco spokojniej: — Z góry? Niemożliwe. Tu nikt nigdy nie przychodzi z góry. Jeden jedyny raz... całe wieki temu. Ale tam nie ma żadnej drogi. Jakby przez lata żyła nadzieją, że odwiedzi ją ktoś przybyły z góry, pomimo że stamtąd nigdy nikt i że tam nie ma drogi.

Gdyby wiedziała, ile razy przychodziłem z dołu. Naturalnie, nie miałem wątpliwości, z kim rozmawiam. Nękany przez nią księżulo powiedział wyraźnie: w ostatniej chałupie pod lasem.

— Szukam dziewczyny — mówiąc to miałem idiotyczne wrażenie, że mimo woli robię tej kobiecie świństwo — która zamieszkała w tej okolicy stosunkowo niedawno. Jest... — o mały włos powiedziałbym: w ciąży. Dosłownie w ostatnim momencie ugryzłem się w język. — Blondynką... — wybrnąłem, nie nazbyt zgrabnie, lecz za to bardzo prędko i głośno.

— Czy pani...

— Dwa domy dalej — rzuciła, nie czekając aż skończę.

— Przedtem przyjeżdżała tylko w święta, ale od dwóch czy trzech miesięcy urządziła się tu już chyba na stałe. Bardzo ładna — westchnęła i uśmiechnęła się. Musiała mieć w sobie niewyczerpane zasoby życzliwości dla ludzi, skoro tak łatwo pogodziła się z faktem, że choć przybyłem z góry, to jednak nie do niej. — I miła — dodała. — Czeka na pana? — jej uśmiech stał się pogodniejszy.

— To będzie niespodzianka — zwierzyłem się. — Do widzenia. Przepraszam panią za najście i dziękuję.

— Niech pan sobie przed spaniem naparzy kwiatu lipowego — pobiegła jeszcze za mną dobra, szczerą radą, o ileż lepsza i mądrzejsza od tych, jakich ponoć ja udzielałem kiedyś obrońcom zagrożonych światów.

Pierwszy dom, to znaczy licząc od góry drugi, był prawie doszczętnie zrujnowany. Ale następny, trzeci, z daleka białął nowymi krokwiami, świeżo położonym poszyciem dachu, oraz grubo ciosanymi belkami, które wstawiono w miejsce starych, zapewne zmurszałych lub stoczonych przez korniki. Nie ulegało najmniejszej wątpliwości, że w ostatnim czasie przeszedł gruntowny remont.

Od pierwszego rzutu oka dom wydał mi się stylowy i uroczy. Z okien wychodzących nie na drogę, tylko na zalane teraz księżycową poświatą zielony wąwóz z potokiem oraz przeciwległe zalesione grzbiety, widok musiał być rzeczywiście przepiękny. I bardzo, bardzo spokojny. Ale jedyne oświetlone okienko znajdowało się właśnie od strony drogi. Podeszedłem do niego i zajrzałem przez szparę między framugą a firanką.

Ujrzałem Helenę. Ścieliła łóżko. Była jeszcze ubrana. Znowu miała na sobie białą sukienkę, lecz inaczej skrojoną, znacznie dłuższą i luźną. Ponad jej łonem wyrastała

wypukłość o tym jedynym, niepowtarzalnym rysunku. Jednak poza tym cięża nie zdążyła zmienić jej dziewczęcej figury. W niezbyt jasnym świetle lampy, umieszczonej w niewidocznym dla mnie kącie pokoju, jej włosy stały się ciemnozłote.

Przepelniła mnie muzyka. Stałem jak zaczarowany. Zaraz zapukam. Spyta: kto tam?

Odpowiem: taki, co przyszedł z góry. Od razu pozna mój głos. Krzyknie coś cicho, po czym pobiegnie do sieni i otworzy drzwi. Nic nie będę mówić. Sama się domyśli. Wystarczy, że spojrzy mi w oczy. Przytulę ją ostrożnie i pocałuję. Następnie zejść wargami w dół jej ciała, do brzucha. Nie. Chyba jednak coś powiem. Kobiety lubią, gdy nie skąpi im się słów, które mogłyby zapamiętać i przypominać je w poręcznych okolicznościach. Będę mówić o tym co najprostsze. Ja tego nie rozumiem, ale ona zrozumie. Zaniosę ją do łóżka, uklęknię i położę głowę na jej piersiach. Potem długo będziemy milczeć. Potem ona coś powie. Trzy, cztery słowa. Niby to do mnie, lecz tak naprawdę do samej siebie. Przecież wszystko, absolutnie wszystko będzie już oczywiste. Raz na zawsze.

Zgiąłem palce i uniosłem dłoń do szyby. Cofnąłem rękę, żeby delikatnie zastukać.

I w tym momencie zniknąłem.

XXXIV. ZIEMIA MINUS IKS. DZIESIĘĆ

Żadna przeszłość. Nie cofnąłem się ani o ułamek sekundy. Doskonale wiedziałem, gdzie jestem i z jakiego powodu tu się znalazłem. Pamiętałem wszystko, co było i miałem niezachwianą pewność, że zapamiętam wszystko, co dzieje się teraz. Dlaczego? Dlatego, że ziemia otworzyła się pode mną tam, gdzie nie istniał mój szlak, przetykany nakłuciami czasu? Tam, gdzie nikt nie mógł dla mnie niczego zaplanować? Nie. Nie wiem, dlaczego.

Pewnie po prostu tak było zawsze, tylko sobie tego nie uprzytamniałem. Nie mogłem.

Popsułoby mi to owo niezbędne dobre samopoczucie. Tutaj nie miało już ono znaczenia.

Nie było to nawet przesunięcie terażniejszości. Raczej jakiś mój własny czas przesunął się

wewnątrz niej, do najbliższego dokonanego przeze mnie wyboru, który sprawił, że ta chwila wygląda tak, a nie inaczej.

Coś się stało. Świat dokoła uległ raptownej zmianie. Zamarłem bez ruchu z dłonią uniesioną do szyby oświetlonego okienka. Muzyka umilkła. Zamiast niej zewsząd zaczęły napływać strzępy zdań, nie dokończonych snów i zagłuszonych myśli.

Znaki. Żółty zielony szlak. Mapa. Masz tropić błąd w postaci człowieka. Co zawsze robił człowiek na Ziemi? Tylko cień przejdzie przez rzekę. Trzydzieści bilionów neuronów w korze mózgowej, nieskończona ilość synaps, ale to nic. Otrzymałeś system wzmacniaczy i blokad. Fortepian bez strun. Nie jesteśmy samobójcami. Ciemny, zatopiony brylant. Co z tym pytaniem, którego zapomniałeś? Alfa, Beta, Omega, Ziemia?

Obcy.

Anno, skąd ja się tutaj wziąłem?

Pytanie: wracasz do siebie? Odpowiedź: nie ma dokąd.

Już raz umieściłeś się w społeczności.

Pisz raport.

Inspektorze Halny, co pan myślał w ciągu tych piętnastu minut, tam, w cieniu księżycowych Apeninów, u stóp krateru Autolikosa?

Pisz życiorys.

Stałem jak skamieniały okrągły kwadrans. Następnie ręka mi opadła. Odwróciłem się plecami do jasnego okna i ruszyłem w dół. Szedłem coraz szybciej. Może przed nocą zdążę jeszcze oddać prawowitemu właścicielowi tę pseudopelerynę i przemoczony, czarny kapelusz.

Potem nie będę się już musiał śpieszyć.

Wróciłem.

XXXV. ZIEMIA. ZERO (C.D.)

Wróciłem i niczego nie zapomniałem. Jeszcze słyszałem odgłos własnych kroków, na rozmokłej drodze, wiodącej w dolinę, drodze, którą się tu przychodzi z dołu, po dokonaniu rozsądnego wyboru. I wraca po następnym, jeszcze o niebo rozsądniejszym.

Tak. Tak było zawsze. A że pojawiłem się znowu sam przed sobą zmęczony, wypoczęty, zgorzkniały, wściekły, rozpromieniony? Do licha, a jak dochodzi się do chwili, która właśnie mija?

Coś się stało. Moja uniesiona do szyby dłoń zawisała w powietrzu. W rozbrzmiewającą dokoła muzykę wmieszały się strzępy zdań, niedośnionych snów, wyhamowanych myśli.

Złoty zielony ślad. Co zawsze robił człowieka na Ziemi? Droga przez pustynne góry. Bank genów. Miasto. Milczący brylant.

Tyle tych myśli. Tyle słów.

Jesteś młody. Twój świat jest młody. Jakież to cudownie proste.

Serce zabiło mi ze szczęścia. Zaśmiałem się i zastukałem w okno. Szyba zabrzęczała, jakby w tej grającej w przestrzeni orkiestrze odezwał się subtelny bębenek, wykonany z cieniutkiej srebrnej blachy. Albo jakby ktoś uderzył w księżyc. Zaraz potem muzyka ucichła.

Ukrytą w kącie pokoiku lampę przesłonił cień. Helena uchyliła firankę i spytała:

— Kto?

Odpowiedziałem dokładnie tak, jak to sobie wcześniej ułożyłem.